

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM LVII.

ALKHADAR.

USTĘP Z DZIEJÓW OJCÓW NASZYCH

PRZEZ

EDMUNDA CHOJECKIEGO.

WYDANIE DRUGIE, POPRAWNE.

TOM TRZECI.



LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
—
1869.

لعنكنّ الله جميعل سميتن عمرى
و الهمتننّى هذا الكتاب



XI.

Po zajściu przyjaciele odprowadzili Wilczka do domu. Oczy krwią mu zabiegły, piana wystąpiła na usta, włos zjeżył się, piersiom nie starczyło oddechu, kolana pod nim dygotały; nie mógł ustać na nogach. Z trudnością wydźwignął się na wschody, wysadził drzwi uderzeniem stopy, i strasząc służących obłąkanym wzrokiem, runął na łoże.

Legł bezwładnie, ale nie zasnął i nie czuwał: zapadł w letarg, pasował się z rozszalałą krwią, która szturmowała mu do mózgu i przed zamknięte oczy wyprowadzała płomieniste, piekielne jakieś obrazy.

Zgiełk biesiadnej zgrai nieustannie wrzał mu w uszach; słyszał ostry dźwięk kielichów, rozgardlone śmiechy, hałaśne wykrzykniki, przekleństwa, łomot o ziemię miotanych sprzętów, tentent końskich kopyt na posadzce, zwrotki rozpustnych piosenek, chrapliwe nawoływanie służących, wystrzały szampańskich korków, dziwaczne wrzaski toastów; a potem krzyki, zwadę, obelgi, zapalczywą bójkę, i znów, nie wiedzieć zkąd, niekształtne sploty niby hekatomby ludzkich ciał i martwych przedmiotów, uderzenia, strugi krwi, przeraźliwe ryki boleści, potworne a faliste ruchy sposoczonych głów, rąk wściekle zaciśniętych, i zjadłe zgrzyty rozpaczy, i straszne jęki, i grobowa cichość — i nagle znowu ostatecznego sądu opętane korowody.

On sam jeden, żywy nieboszczyk, rozkrzyżowany, leżał bezwładnie śród szalonego rojowiska; ze zgrozą widział, jak peł-

znął ku niemu kłąb rozszatanionej zgrai, jak dotykał się rąk jego i boków, jak wtłaczał się mu na piersi i roztasowywał na nich bojowisko upiornej walki.

Chciał otrząść się — niepodobna! Zdrętwiały mu ramiona. Chciał wołać ratunku — głosu nie mógł wydobyć. Żelaznemi pierścieniami ściskano mu czaszkę, dławiono za gardło, zapuszczano w mózg djabelskie szpony, szpik wiercono w kościach. Chciał umrzeć — nie pozwalano mu skonać.

Minuty, lata, godziny, wieki, wlokły się w tych nadludzkich katuszach. Męczennik zebrał ostatnie siły: chociażby mu przyszło od razu wyczerpnąć w nich życie, wytężył muszkuły, straszliwie krzyknął, porwał się i wsparł na łokciach.

Znikło widzenie.

Wilczek głęboko odetchnął, głowę między dłonie pochwycił i do koła niespokojnym zatoczył okiem.

Poznał swój pokój; siedział zwinięty na swojem łóżku.

Światło dzienne przez zapuszczone czerwone firanki łamało się w fantastyczne barwy; z daleka dochodził go głuchy szmer uliczny; w pół otwartych drzwiach stał niewzruszony służący, wyzwany gwałtownym krzykiem, jaki rozległ się w pańskiej komnacie.

Wilczek długo patrzył przed siebie osłupiałemi oczyma, zbierał po manowcach szału rozuzdanne myśli, na ociężały różaniec pamięci nizał zwolna wspomnienia, przecierał senne powieki, czuł się jeszcze mocno zmęczonym, rad byłby zasnąć — pościel paliła go ogniem.

Wyskoczył z łóżka, kazał pootwierać okna: brakowało mu powietrza. Owionął go świeży powiew letniego poranku i rozpędził powoli ostatnie mgły wczorajszej biesiady.

Wilczek niebawem znalazł się w obec rzeczywistości. Stanęły mu przed myślą w dokładnem następstwie szczegóły hulanki i zajścia. Brwi z gniewem namarszczył; zaklął na samego sobie. Przebudzony z męczącego snu, byłby rad powitać jako zniknioną marę, pamięć prawdziwych wypadków.

Dzielna jego natura zapanowała wkrótce nad chwilowem zmęczeniem ciała. Ubrawszy się, odżył na nowo; poczuł się rzeźwym, krzepkim, gotowym jak zwykle na dalsze z rozpustą zapasy. Sam tylko umysł mu nie wyswobodniał; przeciwnie,

zdawało się, że z powrotem siły i pamięci, zachodził coraz gęstszemi chmurami.

Wszedł do salonu.

Pierwszym przedmiotem, jaki wzrok jego uderzył, była człowiecza postać, zatopiona w szerokiem krześle, a która przeciągłem chrapaniem jasno dowodziła, jakiej się oddawała rozrywce.

Wilczek poznał Skałkę.

Na stole przed uśpionym leżały dwie pary pistoletów, kilka szabel i inne wojenne przybory. Kapitan, wedle zwyczaju, w podobnych okolicznościach zapinał się pod szyję i dźwigał u butów długie ostrogi. Pomimo trudów wczorajszej uczty, o świcie był już u Wilczka, opatrzył broń palną, pociągnął szable, objął dowództwo nad służącymi, postawił jednego na dole, z rozkazem, aby natychmiast wprowadzono dwóch Jegomościów, którzy będą o niego się dopytywać, drugiego posłał po lekarza, z dodatkiem, aby tenże nie zapominał z sobą chirurgicznych narzędzi.

Tak wszystko przygotowawszy, postanowił czekać spokojnie, dopóki przyjaciel się nie przebudzi.

Wilczek targnął go za ramię.

Skałka porwał się, jak gdyby na odzew alarmowej pobudki, i marsowym głosem zdał sprawę z dopełnionych przygotowań.

Panicz obojętnie słuchał znajomych mu a zawsze tych samych szczegółów. Kapitan ze swojej strony uważał z niemałem podziwieniem, że towarzysz jego wbrew zwyczajowi i naturze, nie poprzedzał pojedynku zwykłą wesołością. Napróżno starał się uczepić rozmowę; Wilczek upuszczał lakoniczne odpowiedzi, chodził zamyślony, pędził kłęby tytuniowego dymu, wyglądał oknem, poziewał.

Czekano na świadków.

Skałka klął ludzi, którzy odwlekali sprawę nie cierpiącą zwłoki; zżymał się, wywracał białka, wybiegał do przedpokoju, przysłuchwał się stąpaniom po schodach.

Mijały godziny — nikt nie przybywał.

Wilczek wyczerpał w sobie ostatki cierpliwości; jak brytan na uwięzi, lub tygrys w klatce, krążył po izbie; niepodobna

mu było znieść dłuższego oczekiwania. Uprosił kapitana, aby pozostał w domu dla przyjęcia świadków, sam kazał wyprowadzić konia i tylnemi drzwiami przez podwórze postanowił boczną ulicą wyjechać za miasto.

Służba miała rozkaz opowiadać przychodniom, że pan jest u siebie; natychmiast zaś po ułożeniu warunków, Skałka sam, lub z kimkolwiek drugim, bezpiecznie mógł pospieszyć do wiadomej za Lwowem gospody.

Wilczek potrzebował powietrza i ruchu; jednego i drugiego miał dostarczyć Godolfin na przejażdżce po lasku, przyległym gospodzie.

Kapitan za całą odpowiedź ścisnął druhowi rękę; tentent szlachetnego zwierzęcia oznajmił wkrótce, że jeździec nie bez pośpiechu opuszczał podwórze.

Łatwo było przewidzieć, że Skałka nie spędzi samotnych godzin na swojej placówce. Wspólnicy zabaw, przyjaciele i znajomi Wilczka, ściągnęli niebawem do jego mieszkania. Wszystkich gnała ciekawość następstw wczorajszej wady.

Kapitan dla przyzwoitości kazał znieść z oczu wojenne narzędzia, zaręczał że Władyś na chwilę tylko wyszedł, że wkrótce nadejdzie. Tymczasem zaś rad z towarzystwa, przyjmował z tą uprzejmą gościnnością, jaka go cechowała, ile razy w cudzym domu zastępował gospodarza.

Mieszkanie wkrótce wezbrało gośćmi. Rozprawiano o wypadku, marszczono się nieco na niesłychaną popędliwość Wilczka, ale zarazem pod nieba wynoszono szlachetne jego serce, zamaszystość, odwagę; chwalono go za naukę, jaką dał śmiałkowi; przewidywano, a raczej nie wątpiono, na czyją stronę przechyli się los pojedynku.

Dla czego świadkowie dotąd nie przybywali, nikt nie mógł odgadnąć. Poraj niedawny w kraju gość i mało z kim zaprzyjaźniony, nie miał zapewne nikogo pod ręką, brata mógł tylko przysłać; brata atoli mieć świadkiem walki, nie zawsze było przyjemnie. W każdym razie sprawa bezzwłocznie musiała się rozwiązać. Znowu więc zabrano się do oczekiwania na świadków. Skałka kazał zastawić śniadanie; wychylono kilka strzemiennych kielichów, kilka koniecznych toastów za pomyślność

gospodarza, poczem dla skrócenia czasu otwarły się zielone stoliki; młodzież zasiadła do kart.

Nie czekano już na świadków; niektórzy wpadłszy na fortunne szlaki, obawiali się nawet przerwania szczęścia niewczesnem ich przybyciem, wielu całkiem zapomniało o gospodarzu i o Poraju, o zwadzie i o pojedynku.

Sancta juventus!

Wilczek tymczasem pełnemi piersiami garnął w siebie powietrze, bódł konia ostrogą, wypuszczał — nie wiadomo, czy gonił za spokojem, czyli też uciekał przed własną myślą. Sam siebie nie pojmował, chociaż wypadek nie przedstawiał mu nic niezwykłego. Przyzwyczajony rozpuszczać namiętnościom wodze, obojętnie przewidywał skutki swoich wybuchów; miłość własna nigdy nie dozwalała mu winy w sobie upatrzeć; zuchwała odwaga w narażeniu życia aż nadto wystarczała na odpowiedź wymogom jego sumienia.

Pojedyńcze walki niosły mu w ofierze powód do ponętnej gry, do tłumu gwałtownych wzruszeń; z dzikim uśmiechem wyciągnął ku nim ramiona: nigdy nie czuł się tyle swobodnym, jako w dzień pojedynku.

Dziś po raz pierwszy owiewał go niewytłumaczony jakiś frasunek, po raz pierwszy dręczyły go wspomnienia zwady i niczem nieusprawiedliwionej zaczepki człowieka, którego jedyną winą był wstręt ku rzuceniu się w ten gwar uciech, jakim kipiało życie owczesnej młodzieży.

Człowiek ten w postaci, w głosie, w spojrzeniu, miał coś takiego, co mimowolnie zastanawiało Wilczka, co nieraz w wesołem uniesieniu przerywało śmiech, co żart w pół zaczęty mroziło mu na ustach, co drażniło słuch jako krzyk puszczyka śród wesołych gwarów biesiady. Chętnie byłby unikał dziwnego przybylca; tajemnicze moce mimowolnie go ku niemu pędziły. Napróżno pasował się z fatalnym urokiem — nieznośny widok Poraja gwałtem go ku sobie pociągał.

Oczywiście świat dla obu nich razem był za ciasny. Kto jednak miał komu ustąpić?

Wilczek odpowiadając na własną korzyść, cichym głosem wymawiał wyrok, jak gdyby w obawie, aby go nie usłyszało własne sumienie.

W tej chwili na podobną nawet odpowiedź zdobyć się nie zdołał; pytanie jak miecz Damoklesowy wisiało mu nad głową. Pochylony na siodle, szukał ulgi w bystrych z wiatrem pogoniach.

Godolfin szalał z rozpaczy nad niemiłosiernym kolcem ostrogi; wypadłszy za miasto, z rozdętemi nozdrzami mknął jak strzała, sadził przez rowy i płoty; cały zawełniony białą pianą, zaczynał niecierpliwić się pod jarzmem i wypowiadać władzy posłuszeństwo.

Jeździec tego właśnie pragnął; umyślnie rozjuszał dzielne zwierzę; z zaprzepaszczonym przed siebie wzrokiem siedział jak przykuty; zręcznością i siłą niweczył buntownicze zamiary rumaka.

Zapasy te tłumiły w nim burzę ducha; tak przynajmniej sądził.

Po pewnym przeciągu czasu, stosownie do obietnicy uczynionej Skołce, zwrócił konia ku znajomej gospodzie.

Ani ludzi, ani powozów — żadnego śladu przyjezdnych nie dostrzegł.

Opuścił wodze, zapadał zwolna w zadumkę, tonął cicho w zakrętach przyległego lasu; zdawał się na bezwarunkową łaskę Godolfina.

Widok człowieczej twarzy był mu obmierzłym; z chęcią byłby do późnej nocy spędził czas na samotnych wędrówkach, gdyby nie święty obowiązek stawienia się na placu spotkania. Jeszcze raz skręcił ku gospodzie — taż sama cisza, choć słońce chyliło się ku zachodowi.

Za powrotem znalazł u siebie liczne zgromadzenie.

Skałka na wstępie zaraz wymownym gestem dał mu poznać, że dotąd od Poraja nikt się nie zjawił. Młodzież na wyścigi ruszyła ku niemu z powitaniem. Gradem sypnęły się żarty, aluzje, zapytania, pochlebne wykrzykniki. Trudno było docisnąć się do ręki gospodarza, który ze swojej strony nie szczędził pozdrowień.

— Niecierpliwie oczekiwanego — wołali jedni.

— Witaj nam, miły gościu, we własnym domu — odzywał się głos w głębi.

— Tak późno i dotąd może na czczo? — powtarzał o wypasionych policzkach młody jakiś brzuchomówca z pod Sandecza.

— Czy z polowania wracasz? — krzyczał karpacki drugi Nemrod — z bekasów, czy ze słomek?

— Daj mu pokój — odpowiedział grubym głosem sąsiad ciekawego myśliwca. — Nie jego rzeczą uganiać się za drobnem ptastwem; on poluje teraz na grubszego zwierza i to na upatrzonego.

Towarzystwo buchnęło jednogłośnym śmiechem; zrozumiano przenośnię. Oklaskami przyjęto dowcipne przystosowanie.

— Słusznie mówisz, Baltazarze! — odparł bankier u zielonego stolika, mrużąc oko. — Jeżeli obławnicy nie nadejdą, trzeba mu będzie od biedy zapolować na upatrzonego. Nie zdaje się zaś, aby nadeszli; hołoty nie napędzisz tak łatwo do wąchania prochu.

I znowu śmiech, i znowu oklaski, i znów wykrzykniki, aż okna drżały od hałasu.

Wilczek sam jeden słaniał się obojętnie. Nadaremnie chciał zwykłą wesołość na twarz wywołać; usta krzywił uśmiechem, z oczu patrzyły mu troska i niepokój.

Skałka wyłącznie dotąd odgadywał niezwykłość w usposobieniu przyjaciela; nieświadomy czemu takowemu przypisać, lękał się, czyli w podobnej chwili nie było mu natrętnem zbyt liczne zgromadzenie.

— Zastajesz mię, Władziu — rzekł z przymileniem — pełniącego o ile możności obowiązki gospodarza domu. Goście twoi przysięgli nie ruszyć z miejsca, dopóki nie uznają, na czem się skończy — nie pamiętam, która z porządku nasza wyprawa. W obec tak uroczyście przedsięwziętego zamiaru musiałem pomyśleć jako stary, doświadczony i ciebie zastępujący Amfitrjon, aby lekkomyślna ta młodzież nie pomarła z głodu i z pragnienia. Po liczbie butelek zobaczysz, że nie mamy czego obawiać się, przynajmniej co do pragnienia.

— Dziękuję ci, kapitanie! — rzekł Wilczek z wymuszonym uśmiechem — nie zawiodłeś mojego zaufania; postąpiłeś jak prawdziwy mój przyjaciel i godny zastępca. Wreszcie, czyliż

każdy z was — dodał, zwracając się do grona — nie jest tu u siebie, we własnym domu?

— Równie jak ty u każdego z nas — odezwało się kilku bliżej stojących. — Od czegoż nasz katechizm: «zastajesz — wchodź; nie zastajesz — wchodź także, czekaj i gospodaruj przyzwoicie, abyś miał czem ugościć pana domu, gdy wróci.»

— Pilnujmyż więc katechizmu! — wtrącił pulchny młodzieniec, urodzony pod Sandeczem w dzień ś. Tertuljana. — Gospodarz wrócił, a żaden z nas nie zaprosił go dotąd do stołu, nie podał mu kropli wina. Przysiągłbym że biedny chłopiec od rana nic nie miał w ustach; widać mu to po twarzy. Dalej Władziu, siadaj! zawiążę ci serwetę. Daj nam dobry przykład! Zniewieściała ta młodzież zaczyna być do niczego. Wiesz dobrze, że gdzie ciebie nie ma, tam wszystko idzie jak po grudzie. Hola! — jest tam który? — Co będziesz jadł? — Natychmiast ci przyniosą. Ja sam, dla miłości twojej, gotów jestem powtórzyć. Zacznijmy od anyżówki; dla kompanji, wiesz na jaką nieprzyjemność cygan się naraził?

Wilczek podziękował tłustemu Tertuljanowi, uręczając że nie jest głodny; że co do kielicha, później mu będzie służył, na teraz bowiem nie czuje się w sztosie.

Tertuljan wytrzeszczył oczy i jak osłupiały zwolna upuszczał wyrazy:

— Wilczek wymawia się od kielicha! — Panowie! najdalej na jutro rano zapowiadam wam koniec świata.

— Bynajmniej! odparł Wilczek z udaną wesołością — przeszłość moja broni mię od podobnych zarzutów. Mniejsza wreszcie, zkąd puszczam się w gonitwę, bylem wraz z innymi stanął u celu. Tymczasem widzę, że jesteście na dobrej drodze, więc proszę, abyście z mojej przyczyny nie tracili kosztownych chwil; gospodarz jest ostatnią osobą, na którą należy zważać.

— Wyjąwszy w tej chwili! — przerwał jeden z zapalczywych przeciwników bankiera. — Na honor, Władziu! jeżeli nam nie przybędziesz w pomoc, zginiemy z kretesem pod ciosami króla Faraona. Najjaśniejszy egipski pan oświadczył się za bankierem i morduje nas bez miłosierdzia; twoje tylko szczęście może powstrzymać jego zapędy.

Wilczek nie zważał na wezwanie, odciągnął Skałkę na stronę, wszczął z nim cichą rozmowę, podczas gdy reszta towarzystwa znowu skupiła się w okół sukiennego pobojowiska. Wypadki atoli gry nie przeszkadzały tu i owdzie rzucanym wnioskom nad dziwnem usposobieniem, jakie w podobnych okolicznościach naczelnik młodzieży po raz pierwszy objawiał. Wpadano na różne domysły, dopytywano się między sobą półgłosem o ukryte przyczyny, dla których Władyś zwykłą przedpojedynkową wesołość zamieniał na widoczny niepokój. Koleje gry przerywały dalsze pasmo przypuszczeń i wniosków, aż nareszcie bankier skończył na wchłonięciu w siebie powszechnej uwagi.

Wilczek rad ujrzał się odosobionym. Pragnął zasiągnąć języka względem tak długiego milczenia ze strony Poraja.

— Jesteś pewnym, kapitanie — mówił po cichu — że do twojego mieszkania nikt się nie zgłaszał?

— Nikt, mogę zaręczyć. Zostawiłem Grzesia mego na warcie, z rozkazem, aby nie ruszał się z miejsca i wszystkich tu do mnie odsyłał,

— Mów ciszej; nie potrzebujemy wdawać się w powszechną rozmowę; nudzą mię ciągłe zapytania i uwagi.

— Bądź spokojny; nikt nas nie słucha. Przy grze strzelaj im z dział nad uszami: możesz być pewnym, że żaden nie odwróci głowy.

— Przeklęta dama! Siedm razy pada na prawą stronę. Giń niewdzięcznico! —

Poszarpana w kawałki dama legła pod stołem, właśnie gdy ósma jej siostra przegrywała dla bankiera.

— Wyginam się z dwudziestu dukatów do dwójki i banko mazo!

Zapanowało głuche milczenie. Obecni wstrzymali oddech, bankier zastanowił się i drżącą ręką otarł znój z czoła.

— Nie pojmuję — rzekł Wilczek — duszą się świadczę, nie pojmuję! Raz przecie trzeba skończyć; nienawidzę zwłoki: wolę prędkie nieszczęście, niż odwlekaną pomyślność.

— Nie twoja rzecz troszczyć się o następstwa wypadku — rzekł Skałka. — Ty czekasz, jesteś gotów; więcej od ciebie wymagać niepodobna.

— Może nie znalazł świadków? W takim razie ja pierwszy uproszę kilku znajomych, aby mu ofiarowali usługi.

— Chyba że ich nie szukał; na świadkach nikomu dotąd nie brakło.

— Dwójka przegrała! — odezwał się bankier przenikliwym głosem.

— Odgrywa się więcej wszystkiem, co znajdziesz w tym pugilaresie — była odpowiedź.

— Śmiały poniter — niech go nie znam!

— Na honor, Bayard ponterów!

— Wkrótce to zobaczymy. I Bayard trafił na bitwę pod Roncevaux. Pozwalam cofnąć się; jeszcze masz czas.

— Blücher nie rejteruje; ciągnij dalej!

— Cóż czynić, kapitanie? Musimy czekać do jutra; dziś już nikt nie nadejdzie.

— Poczekamy do jutra; nam przecie nie pilno.

— Mylisz się; oczekiwanie nigdy nie jest przyjemnem. Z założonemi rękami siedzieć w domu dzień po dniu i wyglądać go, nie myślę.

— Zapewne; trudno jednak prosić, aby się pospieszył, trudniej jeszcze od nas posyłać mu wyzwanie.

Wilczek powstał, wzruszył ramionami i zbliżył się do stołu grających.

Śród powszechnego milczenia karty z głuchym szelestem padały na lewo i na prawo.

Pugilares przyniósł szczęście potulnej dwójce; Bayard, jak go nazywano, pokazał się godnym swego nazwiska. Bankier zbladły, odsunął się od wysadzonego w powietrze banku. Obecni poszli za jego przykładem; kilku graczów dokończało wzajemnych rachub, gdy wtem drzwi otwarły się zwolna, ale szeroko i wszedł nowy przychodzień.

Juljusz niósł na twarzy wyraz człowieka obarczonego ważną tajemnicą.

Nie powitał obecnych, nie zdjął kapelusza, stanął w środku pokoju, szyderskim wzrokiem zatoczył po towarzystwie, wzniósł uroczyście rękę do góry, jak gdyby domagał się milczenia, uwagi, głosu.

Wszyscy poskoczyli ku niemu; każdy chciał pierwszy usły-

szeć niepospolitą wiadomość, tyczącą się oczywiście przedmiotu, który w tej chwili zajmował większą część mieszkańców miasta Lwowa.

Wilczek sam jeden nie ruszył się z miejsca. Z założonemi na piersiach rękami stał w kącie jak skamieniały; rażony strasznem a niepojętem przeczuciem, topił niespokojny wzrok w przychodniu; czekał na obwieszczenie jak na wyrok śmiertelny.

— Mówże, Juljuszu! cóż takiego? — krzyknęło razem kilka niecierpliwych głosów — Z czemże przychodzisz?

— Z zaspakajającą wieścią dla przyjaciół naszego przyjaciela. Przypadki chodzą po ludziach, zwłaszcza po tych, którzy jak Władyś, często zastępują im drogę. Tym razem, powtarzam, możemy być spokojni: Władyś sam zostaje na drodze; przypadek przed nim ucieka.

— Na Boga! tłumacz się jaśniej! — zawołał Skałka. — Nie pora bawić się w szarady.

— Zgoda! — odparł Juljusz — wyłożę rzecz jak na patelni. Pojedynek, który tak żywo nas obchodził, pojedynek, który niekiedy więcej zależy od losu niż od zręczności, pojedynek, który pomimo zmęczenia, niejednego z nas byłby przyprawił o bezsenną noc —

— I cóż ten pojedynek? do tysiąca szatanów! — przerwał Tertuljan.

— Rozejdźcie się i śpijcie spokojnie — rzekł Juljusz, zdejmując z ukłonem kapelusz — życzę wam dobrej nocy: pojedynek nie będzie miał miejsca.

— A to dla czego? — wtrącił pospiesznie Wilczek i uchwycił retora za ramię.

— Dla dwudziestu czterech przyczyn, mój Władziu! Puść mi tylko rękę, ściskasz jak kleszczami. — Najprzód dla tego, że do pojedynku potrzeba koniecznie dwóch osób, najmniej dwóch — nieprawdaż, kapitanie? Odwołuję się do twego doświadczenia.

— Jakto? — rzekł Skałka — Kazimierz Poraj —

— Nie będzie się bił.

— Dla czego?

— Dla drugich dwudziestu czterech przyczyn, najprzód zaś dla tej, że nie chce.

— Nie chce? — Żartujesz — niepodobna!

— Z początku i ja tak samo sądziłem, szlachetna młodzieży! Ale niestety! wkrótce musiałem ustąpić przed prawdą. Płaczcie nademną! Znowu jeden kwiat opada mi z korony złudzeń — de profundis! —

— Zkąd wiesz? — zapytał Wilczek. — Miejskie brukowe plotki, nic więcej! Nigdy nie uwierzę!

— Plotek nie powtarzam, lub gdy je powtarzam, mam zwyczaj wprzód słuchaczów ostrzegać. W tej chwili nie brukową powiastkę, ale prawdę przynoszę, prawdę, za którą uroczyście zaręczam.

— Któż ci ją powiedział?

— Ludzie niezaprzeczonej wiary, doskonale świadomi nie tylko czynów, ale myśli i zamiarów.

— Któż taki? — Wymień ich!

— Nie mogę; dałem słowo. Wreszcie drugi dzień mija od zajścia, a nikt nie zgłosił się od obrażonego. Zapowiadam wam że trzeci, dziesiąty, setny przeminie, a waleczny nasz kapitan napróżno będzie czekał na świadków. Pojedynku nie będzie; stawiam zakład: dziesięć przeciw jednemu. Spodziewam się, że lepszego dowodu złożyć nie mogę.

— Dobrze — ale cóż mówi Poraj? Dla czego nie ofiaruje spotkania? Musi przecie czuć się obrażonym. Pamięci dotąd nie stracił?

Juljusz litościwie wzruszył ramionami.

— Broń mię Boże! — rzekł z udaną pokorą, abym pierwszy miał wchodzić w pobudki tak niesłychanego postanowienia. Potępiać nikogo nie myślę; wszakże jeżeli pytacie, dla czego Poraj unika walki, powiem wam, że gdybym na dnie rzeki miał do wyratowania nieoceniony skarb, lękałbym się skoczyć do wody. W wodzie łatwo można utonąć; każdemu życie miłe. —

— Rozumiem! — przerwal Baltazar — słabość organiczna, zbyt drażliwe powonienie! Panicz nie znosi zapachu siarki. Symptom podobny nie ma w sobie nic nowego; spostrzegamy go na wronach i na zającach.

Śmiech powstał ogólny. Wilczek sam jeden nie dzielił wesołości.

— Dzień lub dwa dni zwłoki nic nie znaczą — wtrącił porywczo. Przed pojedynkiem niejeden ma zwyczaj urządzać swe interesa. Co do mnie, nigdy nie pozwolę sobie z pozorów wyciągać wniosków śmiertelnych dla zasad, które każdemu człowiekowi droższemi są nad życie. Oskarżenie zwykle łatwiejszem od dowodów; bez dowodów zaś nikogo potępiać się nie godzi.

— Amen! — rzekł Juljusz. — Słowa prawdziwie rycerskie, głęboko chrześciańskie. Kochasz twoich wrogów i oddajesz im szacunek; obiecuję ci na Wielkanoc rozgrzeszenie bez spowiedzi. Pozwól jednak, Władziu, powiedzieć sobie, że nie sam płoniesz biblijnemi uczuciami; kto inny może także być niemi przejęty, a nawet w wyższym stopniu. Ty miłujesz przeciwników; przeciwnicy twoi dalej idą: oni przebaczają urazy, oni odpowiadają chlebem, gdy kto rzuca na nich bilarowym kijem. W pojedynku na ewangieliczną miłość, znajdziesz wielu od ciebie zręczniejszych.

Wilczek przyciął usta, zacisnął pięście; rozpalone żelazo mniejby go było sparzyło, niż wspomnienie wypadku, który zimna rozwaga objawiła mu w całem szaleństwie.

Wszyscy umilkli. Niejeden z młodzieży nie mógł w ostatniem zajściu znaleźć sumiennych argumentów na usprawiedliwienie popędliwości Wilczka. Szał przebaczono mu, dla tego jedynie, że był co się nazywa, dobrym chłopcem, gościnnym gospodarzem, wesołym towarzyszem, majętnym a hojnym właścicielem.

Juljusz poznał po niewczasie, że zbyt ostro uderzył w drażliwą strunę. Zakłopotało go milczenie towarzystwa; szukał po głowie żartu, w którym dałyby się zatopić przykre a niepotrzebne wrażenia. Skałka, wierny przyjaciel, spieszył mu już z pomocą, gdy wtem przybycie nowych kilku gości w sam czas zwróciło powszechną uwagę. Przychodnie nieśli wieści potwierdzające słowa Juljusza.

Kilkanaście wiarogodnych osób z miasta zaręczyło im, że Kazimierz nie marzył nawet o pojedynku; jedni rozmawiali z Sokolnikiem; drudzy, widząc Piotra mocno zafrasowanego,

wyciągnęli z niewątpliwe wyznanie; inni słyszeli zapewnienia z ust kapelana Tapczyca, który w podobnych razach pierwszy umiał prawdę na jaw wydostać.

Juljusz tryumfował. Wilczek mimowolnie uginał się pod ciężarem niespodzianego obrotu sprawy. Wieściom atoli nie zupełnie jeszcze dowierzał; sam za najlżejszą pobudką gotów chwytać za broń, nie pojmował jak Poraj zdobywał się na bezkarne przepuszczenie ciężkiej zniewagi. Gdyby mógł był rozedrzeć się na dwoje, w sprawie nawet Kazimierza, chętnie jedną samego siebie połowę byłby przeciw drugiej do walki wystawił. Chór szyderstw, drwinek, zajadłych ucinków, jaki do koła niego grzmiał przeciw Porajowi, nie budził w nim chęci do spółuczestnictwa. Zasępiony, milczący, odpowiadał z roztargnieniem, nie słyszał często zapytań, lub usiłować wpędzać rozmowę na dalekie a obojętne zajściu manowce.

Obecni poznali nareszcie, że towarzystwo ich gospodarza wcale nie rozweselało; przekonani, że mu przeszkadzają do spoczynku, opuszczali go jeden za drugim. Skałka chciał przy nim pozostać, ale Wilczek pod pozorem zmęczenia i tego odprawił. Widok wspólników wczorajszego uniesienia był mu nad wszelki wyraz nieznośnym; samego siebie ledwo mógł zcierpieć.

Nazajutrz pogłoski o Kazimierzu sprawdziły się w sposób nie ulegający żadnej wątpliwości. Widziano go opuszczającego Lwów. Poraj wyjeżdżał, zostawiając za sobą cześć swoją, charakter, nazwisko; rzucał je na pastwę miejskim językom.

Sąd ludzki nie zapuścił odłogiem tak obfitego pola.

Zażarty ząb złości, potwarzy bez miłosierdzia, czemprędzej wziął się do dzieła. Tysiące szponów utkwiło od razu w zdanej na łaskę zdobyczy. Poruszono wszystkie sprężyny, odkryto najgłębsze tajniki prywatnego życia winowajcy. Zakon, dewotki, zestarzała rozpusta obojej płci, słowem, ktokolwiek pracował nad odpuszczeniem w niebie swoich grzechów, kto co dnia po trzykroć bił się w piersi, kto z własnem sumieniem nie mógł dojść do ładu, kto zawsze i wszędzie ku Bogu obracał pokorny wzrok, kto każdy frazes przetrącał odezwami do cnoty, do poświęcenia, do miłości ku bliźniemu, kto drętwiał ze grozy na opowiadanie ludzkich ułomności — każdy uczuł się

w duszy upoważnionym do rzucenia głazu, o ile możności, najcięższego, o ile możności, raniącego w samą pierś wyklętą ofiarę.

W pierwszych dniach po powrocie z zagranicy, kilka łaskawych osób przyznawało młodszemu bratu Piotra niektóre zalety, pewien stopień wychowania i nieposlednie wiadomości.

Niebawem przekonano się o prawdzie.

Poraj mało mówił; oczywiście milczeniem pokrywał głupstwo; postawą nadrabiał brak rzeczywistych przymiotów. Ależ i w tej postawie, kto dobrze jej się przypatrzył, wiele ciekawych rzeczy mógł wyczytać. Oczy miały w sobie coś podstępnego, nieszlachetnego nawet, coś takiego, co mimowolnie raziło uczciwego postrzegacza. Na twarzy malowały się: chytrość, bojaźń, popęd do złych skłonności, do skłonności szkodliwych nie tylko jemu samemu, ale i społeczeństwu, do takich, o których nie godziło się mówić bez wyraźnych dowodów. Dość było pilnie wpatrzyć się w rysy, i to wtedy, gdy niegodziwiec się zapominał, gdy zwykła larwa spadała mu z oblicza. Sama bladość twarzy naprowadzała na niezawodne domysły. Grał komedję; ukrywał się przed światem. Nie podpada atoli wątpieniu, że trawiła go szalona namiętność do kart i do napoju.

Nieszczęsne nałogi! — Wciągnięta w nie ludzka istota, na wszystko mogła się odważyć. Szkoda młodego człowieka, wielka szkoda, ale cóż czynić? — Zajście z Wilczkiem, nie pierwsza to jego sprawka. Powiadają — nie wiadomo do jakiego stopnia można ręczyć za prawdę, ale na nieszczęście, zdaje się niewątpliwem — że poznali się na nim i za granicą. Po pewnym czasie pobytu w kilku stolicach Europy, nikt żyć z nim nie chciał. Co za hańba dla polskiego nazwiska! — Podobnym ludziom rząd powinienby odmawiać paszportów. Wypędzono go publicznie z kilku towarzystw. Krew uderza do głowy na samo wspomnienie. Uciekł ze wstydu i ze strachu. Nic nie miał do przytoczenia na swoją obronę; o pomszczeniu obelgi łatwo zgadnąć, że nawet nie pomyślił. Za co go jednak wypędzono? — O tem różne krążą pogłoski. Mówią, że zaproszony na wieś do pewnego bankiera, w braku zasobów dobrał się — —

Bóg Wszechmogący raczy wiedzieć, czego się dopuścił!

W innem mieście, we Wenecji lub we Florencji, czy też

podobno w Konstantynopolu — nie, zdaje się w Atenach — jeżeli nie w Ratyzbonie — daleko głębiej przeskrobał. Nie wiadomo z pewnością, na czem się potknął; szczegóły tak trudno dochodzą z zagranicy — ale według wiarogodnych wieści, spieszna tylko ucieczka ocaliła go od poszukiwań sądowych. Dość wreszcie usłyszeć, co wyrabia u siebie na wsi, we własnym domu. Niedawno powrócił panicz, widać, czasu nie traci. Że ani razu nie pokazał się w kościele, że w piątek jada z mięsem to zbyt świadome rzeczy. Jegomość ani w Boga, ani w djabła nie wierzy. Brak religji ciągnie do ostatnich zbrodni.

Panie, odpuść mu! Boże, zmiłuj się nad nami! Najświętsza Panno! wybaw nas od takiego człeka! — Łotr całą gębą! Niech go, mości dobrodzieju, djabli porwą! Niech go piorun zatrzaśnie! —

Śród podobnych zdań, przekleństw, skrzeków i wyrzekań, Wilczek sam jeden ust nie otwierał przeciw potępionemu. Trudno było rzec, czy bodło go sumienie, czy w istocie wiary nie dawał, aby Kazimierz tak dalece miał zasługiwać na pogardę; czy mimowiednie poczuwał w nim człowieka wyższego nad roje śliniącej go gawiedzi; czyli nareszcie przyjmował ten kierunek dla odróżnienia się od powszedniego tłumu, dla ufałdowania w pewną szlachetność, która nie dozwalała pastwić się nad pognębionym przeciwnikiem. Towarzysze atoli dostrzegli, że od dnia wypadku postradał zwykłą wesołość, że dziwnie zsępiał, że chodził jak zgorączkowany i zmyśloną obojętnością dławił w sobie wybuchy gwałtownych niepokojów.

Stan ten wewnętrznej walki, oczywistego rozdwojenia, długo potrwać w nim nie mógł. Wilczek nie umiał się zatajać; każde jego uczucie potrzebowało powietrza, przestrzeni, słońca.

Tymczasem szatan potwarzy nic nie stracił na milczeniu Wilczka. Na jednego milczącego, dziesięciu za stu gębowało. Rozchełznane języki postradały wszelką miarę. Zakon ze swojej strony dodawał coraz nowych materjałów na dzienną potrzebę publicznej żółci. Śledztwo przeszłości Kazimierza za każdym krokiem wykrywało straszniejsze szczegóły. W modę weszło unoszenie się zgrozą i oburzeniem na samo nazwisko Poraja. Kobiety i mężczyzni z lwowskiego towarzystwa za lada spotka-

niem natychmiast wszczynali ulubioną rozmowę o świeżych odkryciach w jaskini czynów obwinionego. Usłużne kumoszki i serdeczni przyjaciele pilnowali, aby odgłos najmniejszej powiastki, najlżejszego szczegółu, nie pominął domu Sokolnika. Plotka wciskała się doń z powietrzem; uprzejmie witana przez gospodarza, rozgoszczała się pod jego dachem; za pośrednictwem księdza wpadała do ucha hrabiny, i zwolna, nieznacznie, osłonięta w tysiączne jedwabie, pełzła ku stopom Marji.

Dom magnata stał się wkrótce bagniskiem, dokąd ściekały wszystkie męty miejskich pogłosek, i zkąd wracały znowu na miasto, wykształtowane przez Sokolnika, wyostrzone przez księdza, obłogosławione i owzdychane przez hrabinę, uprawnione bezstronnością i przyjaźnią, jakiej Poraj doznawał przedtem od rodziców Marji.

Proces ten, według światowej procedury, poprzedzony wyrokiem i następnie dopiero przeprowadzzny bez obrońcy przed trybunałem zawczasu sprzysięgłym na potępienie, odbywał się zwykle w obec licznego grona słuchaczów i oskarżycieli.

Sokolnik zrozumiał, że w podobnym stanie rzeczy nie należało zostawić córki w odosobieniu. W dzień po wyjeździe Kazimierza otworzył dom na roścież, spraszał gości, wydawał obiady, przyjmował zaprosiny, wynajdywał tłumne za miasto przejażdżki, chwili nie dał Marji odetchnąć; wszędy ciągnął za sobą ofiarę, stroił ją, stawiał przed zwierciadłem, pierwszy unosił się nad jej wdziękami.

Ofiara mimowolnie trafiała nieraz na myśl, że od czasu nadludzkich jej cierpień, białe muśliny i białe róże dziwnie przypadały do tęsknych jej oczu i bladego oblicza. Powszechnie wiadomo, że do angielskich zwłaszcza loków, smętna twarz jest konieczną. Czoło całkiem odkryte, włos podniesiony ze skroni, przystoją więcej okrągłej, rumianej i rozpromienionej pustotą twarzyczce.

Marja miała głowę czystego greckiego owalu.

Pukle są ostatnią ucieczką starych panien. Na wsi jednak, w wiosenną porę, nikt nie zaprzeczy, że przy szerokiem słomianym kapeluszu, najwdzięczniejszym strojem są włosy w okół

głowy w wieniec splecione i przetknięte drobnemi, polnemi kwiatkami.

Ekscentryczni niektórzy marzyciele utrzymują stronę włosów przez środek głowy rozdzielonych i spadających na ramiona w dwóch długich warkoczach. Strój ten zapewne nie jest szpetnym; używają go dla dzieci — dla dorosłych atoli panien szlachetnego urodzenia zbyt przypomina czupryny chłopskich dziewcząt. Pudru — pudru, nieoceniona szkoda! — Ha! stało się, nigdy już podobno do niego nie wrócimy! Z pudrem warto było mieć płeć — dziś — próżne utyskiwania, daremne nadzieje — mówmy o czem innem.

Powodzenie Kazimierza wkrótce za jego powrotem z zagranicy, świetna przyszłość, jaką mu los gotował, uwyłącznione stanowisko pośród młodzieży i niezłożenie hołdu temu, który był jej przywódcą, zapuściły w serce Wilczka pierwsze ku niemu ziarna niechęci. Rozdrażniona miłość własna w skutek cierpkich kilku przemówek, w bujny kwiat rozwinęła zarody nieubłaganej zawiści.

Nie mogło być inaczej.

Zimna postać Poraja, surowy jego obyczaj, wstręt do rozpusty, wydawały się rozhukanemu paniczowi głosem własnego jego sumienia, brzmiały mu jako fatalne «memento vivere» stokroć sroższe od hasła «memento mori», obojętnego dla człowieka, któremu gra z życiem była ulubioną i codzienną niemal zabawą.

W takowem usposobieniu, Wilczek ślepo zdał się na wolę wrodzonej lekkomyślności i gwałtownych porywów swego charakteru. Dokąd go te ostatnie miały zanieść? — Nie przewidywał. Jak dziecię, igrał z niemiłem sobie cackiem, dręczył je, kaleczył, aż wreszcie gdy prysło mu w rękach, pierwszy raz zapomniał niechęci, rozżalił się nad stratą. Już było za późno. Kazimierz dogorywał pod wściekłem zębem opinji. Najdroższy skarb w życiu, miłość, w bagnisku potwarzy gasiła mu swoją pochodnię. Małżeństwo z Marją zdawało się bez nadziei zerwanem; przyszłość cała obrócona w niwecz; wszystkie chwile żywota zatrute potępieniem ogólnem i wzgardą.

A jednak człowiek ten nikomu dotąd w niczem nie zawadził. Wilczek nie taił przed sobą, że on sam podał nie-

szczęśliwemu bezdenny kielich trucizny i zmusił go do wychylenia.

Złe atoli, sumiennie nań wejrzawszy, nie było do nienaprawienia.

Zagorzalec mógł zrzucić pychę z serca, otworzyć umysł na widok prawy, wyznać winę, w obec wszystkich ukorzyć się, zażądać przebaczenia, podać braterską dłoń niewinnie pokrzywdzonemu.

Wilczek prędzej byłby wyciągnął rękę do rozpalonego żelaza, prędzej padalca byłby do piersi przycisnął.

Czyliż nie dość, że przyjmował wyzwanie, że pozwalał do siebie strzelać, że krew własną na zmycie zniewagi ofiarował? Życie narażał, życiem chciał płacić winę — czegoż więcej można było po nim wymagać?

Wprawdzie los zwykle nie przyjmował od niego tej zapłaty; szczęście i zręczność nie odstępowały go w podobnego rodzaju spotkaniach; ależ Bóg świadkiem, Wilczek czarodziejskich fortelów nie używał, celować do siebie nikomu nie zabraniał. Pojedynek był grą: można było zginąć tak samo, jak zabić lub wyjść bez zadraśnięcia.

W publicznem natomiast wyznaniu winy nie istniały żadne wątpliwe koleje. Próżność, duma, samolubstwo, musiały poledz bez ratunku. Pokonać stu przeciwników? — nic trudnego. Zwalczyć samego siebie i upokorzyć? — niepodobna!

Rozumowanie to, dotąd aż nadto wystarczające, tym razem nie zaspakajało Wilczka. Uległ mu. Nie potrafił inaczej postąpić, nie mógł zdobyć się na inny kierunek; ale uległ rozjątrzony przeciw samemu sobie, zakładający odtąd jeden cel swoim zapędom: walkę z własnemi troski.

Głowa i serce płonęły mu żarem; potrzebował ochłody, zapomnienia; potrzebował odrętwić sumienie, zaprzepaścić myśl tak głęboko, aby pamięć przeszłości do niej się nie przedarła. Sen uciekał mu z powiek, krew namiętnie tętniła w żyłach, ciało buntowało się przeciw duszy. Wilczek postanowił zgnębić ciało zmęczeniem, zdobyć chwilę zapomnienia i spoczynku, chociażby kosztem szalonych z naturą zapasów.

Niepospolita jego siła zapowiadała uporczywy bój.

Skałka, kilku bliższych przyjaciół, zwłaszcza zaś Juljusz, nie

przyzwyczajeni do marnotrawienia życia bez przywództwa najlepszego chłopca pod słońcem, szczerze mu dopomogli w urzeczywistnieniu pożądanego zamiaru.

Wilczek zamrużył oczy i z głową pogrążył się w wirze coraz gwałtowniejszych wzruszeń.

W dzień szalone gonitwy, niesłychane zakłady, uparte naigrawania z przypadku; dalej sardanapalowe uczty, niemiłosierne chłostanie krwi napojem i rozdrażniony obłęd mózgu w zapalnej atmosferze bachicznych wyziewów. Z nadejściem nocy gra, ale gra na zabój, z kielichem w ręku, z przekleństwem lub z szatańskim śmiechem na ustach, z wzrokiem obłąkanym i z piersią trawioną od nieugaszonej gorączki, z wściekłą zawziętością przeciw zmiennym losu kolejom, z nieubłaganym zamiarem okucia w pęta i rzucenia sobie pod nogi dziwacznej fortuny.

Gwiazdy nieraz już blakły, jutrzenka często rumieniła widnokrąg, słońce czasami złociło już ziemię — dla niego czas tracił miarę i koniecznością spoczynku przerw życia nie znaczył.

Towarzysze padali od zmęczenia; on jeden z uśmiechem na porażkę sił ich spoglądał, on jeden dna własnej dzielności nie mógł się dopatrzeć. Gdy nareszcie, sam tylko krzepki i rzeźwy, spostrzegał się śród zmorzonej snem zgrai, gdy do dalszych zapasów brakowało mu spólników, wtedy dopiero opuszczał zwolna namiętne szranki szału, rzucał się na łoże, zapadał w chwilowe skamienienie — snem czy letargiem? — Nie wiadomo.

Nazajutrz znów gonił tym samym szlakiem, drwił z bezsilnych, zachęcał leniwych, zażegał obecnych tym ogniem piekielnym, jakim sam płonął.

Dotrzymywano mu pola przez uczucie spółzawodnictwa, przez obawę zarzutu zniewieściałości, przez chęć okazania się wyższym nad powszechną gawiedź, która w nieustannem gwałceniu praw natury, bez snu, bez spoczynku żyć nie mogła.

Gawiedź nawzajem, z oczyma rozwartemi szeroko, podziwiała herkulesowe prace kapłanów rozpusty. Wilczek z każdym, a raczej z każdą nocą, rósł we wziętość i w szacunek.

Mijały dnie i tygodnie. Długo wątpliwe zwycięstwo, zaczynało przechylać się na stronę bohaterowi naszemu przeciwną. Los, urażony nadużywaniem łask swoich bez granic, opuszczał dawnego ulubieńca. Wilczek przegrał całą swoją gotówkę — uparł się, i na dalsze przegrane wyczerpał wszystek kredyt — uparł się jeszcze, i ogromne sumy przegrał na słowo.

W kilku tygodniach nad przepaścią zwiesił jeden z najznakomitszych w Galicji majątków. Siły poczęły w nim ustawać: natura wyraźnemi ostrzeżeniami wzywała go do porządku. Systematyczny nieprzyjaciel półśrodków, w jednej chwili doznał w sobie rdzennego przewrotu uczuć. To wszystko, za czem dotąd gonił, nagle obrzydło mu tak dalece, że długie lata najsurowszej klasztornej reguły byłby zniósł łatwiej, niżeli jeden dzień więcej hucznego lwowskiego życia.

Męty kielicha uczuć zaprawiły mu usta nieznośną goryczą; zniechęcił się do towarzyszów, zgiełk biesiady kaleczył mu uszy, wzruszenia gry przestały drażnić nerwy, znienawidził luby mu dotąd szmer pochlebstw, obojętnie przyjął nawet stratę Godolfina, który w jednej z ostatnich gonitw uwiązgł w przeskoku na żelaznych sztachetach i zabił się na miejscu. Co gorsza, zdawał się postrzegać, że za każdą znaczną przegraną stygnął ku niemu zapał dawnych przyjaciół, że kilku zupełnie go opuściło, inni zaś poczynali objawiać dowody szczególnego lekceważenia. Nie odpowiadano czasem na jego pytania, nie podziwiano, jak dawniej, odpowiedzi, nie zachwycano się dowcipem, nie wynoszono pod niebiosa zręczności jego, siły, odwagi, jedynych w towarzystwie zalet.

Oczywiście, gwiazda zaczynała blednąć. Wilczek zachwiany na siłach, zniechęcony, zgorączkowany, nie miał powodu przedłużania pobytu we Lwowie. Westchnął do rodzinnej wioski, jako pustynny wędrowiec do oazy; zapragnął odetchnąć, pierś orzeźwić świeżem, naddniestrzańskiem powietrzem. Uciekał wreszcie z miejsc i od ludzi mu obmierzłych.

Między powzięciem a wykonaniem zamiaru Wilczek nie znał granicy.

Z przyjaciół jednemu tylko się zwierzył, temu; który pomimo chwilowych nieporozumień był przecie najmniej nieznośnym,

którego spotkanie, w potrzebie zwłaszcza, było mu najdogodniejszem.

W istocie, jak na przyjaciela, Juljusz miał rzadkie zalety. Podczas gdy wielu zdawało się składać hołd raczej dostatkom, niżeli osobie, Juljusz kochał Wilczka dla niego samego. Widział go niespokojnym, zgadywał jego cierpienia, podzielał troski, lękał się zostawiać go gryzącym godzinom samotności. Los opuszczał młodego panicza; obowiązkiem przyjaźni było tem bliżej ku niemu się cisnąć. Juljusz na pamięć znał towarzysza, wiedział, co go bodło, co głaskało, przewidywał stosowne chwile na stawianie mu oporu, na potakiwanie jego woli; umiał poruszać w nim ukryte a jemu tylko samemu wiadome sprężyny, wiódł go jak na paskach, gdy tego zachodziła potrzeba.

Ułomnościom człowieczym nie był obcy: rozumiał konieczny wpływ materjalnych względów na ducha; sam bowiem od zewnętrznych przedmiotów brał nieraz odblask i przezorny żeglarz, z pomyślnym tylko wiatrem puszczał się na morze.

Ze swojej strony nie miał prawa uskarżać się na fortunę. Widział nienawistnego przeciwnika w Poraju; zbieg wypadków podchmuchniętych własnem jego tchnieniem, usunął mu z drogi Kazimierza, jak się zdawało, na zawsze. We względzie finansowego położenia, niedawno temu gonił ostatkiem i napróżno udawał się do ludzi, którzy gwoli ścisłości i stosunków, duszą byliby powinni z nim się podzielić. Nieszczęście Wilczka stało się dla Juljusza talizmanem zbawienia. Dziwacznica, ślepa bogini, parsknęła do niego na całe gardło; w przeciągu kilka dni obogaciła nowego kochanka nad wszelkie nadzieje. Pieniądze całej czeredy spłynęły mu do rąk.

Juljusz nie pozwolił olśnić się niespodzianym blaskiem fortuny, przebaczył przyjacielowi niedawną jego odmowę i kilkakrotnie przyszedł mu w pomoc. Wygrawszy od niego następnie znaczne sumy, nie domagał się gotówki, szlachetnie poprzestał na obligu, który w jednej kwocie dźwigał na sobie pożyczone i wygrane; co do wypłaty zaś przyrzekł niewyczerpaną cierpliwość, z warunkiem przyjacielskiego wynagrodzenia ośmiu od

sta na rok. Żydzi brali piętnaście, trzydzieści, czasami nawet i więcej.

Ponieważ atoli wszyscy jesteśmy śmiertelni — tak przynajmniej dotąd bywało — Juljusz rzucił nawiasową uwagę, że nie źle byłoby zaciągnąć oblig na hypotekę, chociażby dla tego, aby zawczasu zająć miejsce wierzycielom mniej wyrozumiałym, mniej przywiązanym do ukochanego dłużnika.

Juljusz zaczynał spokojniejszem okiem poglądać w przyszłość; świeżo zdobyte łupy, przy zręcznym obrocie, do końca życia obiecywały mu niezawisły byt. Wywłaszczony z rodzicielskiej puścizny, wpadał znowu na tor stania się wiejskim właścicielem; przemyśliwał nawet zawczasu nad nowym sposobem urządzenia dóbr i polepszenia bytu włościan; żywił na dnie myśli zamiary godne pierwszych obywatelskich wieńców, szeroko i głośno w stosownej porze o nich rozprawiał.

Marzenia te wszelako nie zaprzątały mu głowy z uszczerbkiem wymóg serca; przeciwnie, bystrzej niż kiedykolwiek rozwijały w nim uczucia. Przy pożegnaniu nie mógł pohamować tkliwych uniesień, czule przyjaciela uściskał i zaręczył mu, że nie zostawi go długo samotnym, że po załatwieniu rachunków z niektórymi ofiarami swego szczęścia, nie omieszka go poprosić o kilka dni gościnności.

Wilczek szczerze mu dziękował, położył jednak warunek, aby mile widziany gość nikogo z sobą nie przywoził. Skołataną miał głowę, chciał nieco usunąć się od zgiełku i wypocząć. Inna rzecz co do Juljusza. Ten z każdym dniem stawał się więcej niezbędnym, z każdym dniem nabierał nad nim silniejszej przewagi i wpływu, podobnego do tych, jakim ulegają dusze opętane potęgą czarnego anioła.

Wilczek, straciwszy miasto z oczu, odetchnął. Z radosnem uczuciem ujrzał przed sobą daleką drogę, z radośniejszem jeszcze poglądał na przestrzeń wyciągającą się między nim a Lwowem. Głęboka cisza okolicy dziwnem dyszała wrażeniem po hałaśnem życiu galicyjskiego grodu. W uszach tętniły mu jeszcze: zgiełk wczorajszej bachanalji, ostry brzęk kielichów, wrzawa hucznej biesiady, namiętne wykrzykniki graczów. Wzdrygał się, chmurzył twarz wyrazem oburzenia i niesmaku. Niebem pokazała się mu samotność. Błękit widnokręgów, lasów

zielenie, spokojny wdzięk natury, nigdy tak silnie i żywo nie wpadły mu do duszy. Pogrążony w obłędnych myślach, marzył o wszystkiem i o niczem, ścigał fantastyczne zawoje obłoków, lubował się szybkością, z jaką przedmioty mknęły mu przed oczyma. Na przeszłość gniewał się, ale jej nie żałował; przyszłość jasno rozglądał, ale się jej nie lękał.

Osobiste jednak położenie aż nadto wystarczało do zaprawienia mu myśli frasunkiem.

. Ostatni pobyt we Lwowie naraził go na ciężkie, niepowetowane straty.

Ha! mniejsza z tem — niech je piekło pochłonie! — Nieodrodny słowiański syn, o wszystko troszczył się więcej, niż o majątek. Najdotkliwszy ubytek przyjmował obojętnem wzruszeniem ramion; w zwykłem nawet usposobieniu wesoło byłby powitał zupełną utratę własności. Życie bez dostatków łatwo dało się zrozumieć; z głową na karku w każdym razie można było sobie poradzić.

Ach! gdzież skarb w porównaniu z jednym dniem spokoju, z jedną chwilą wypoczynku, z jedną godziną rzeczywistego spółczucia, prawdziwego przywiązania — nie tego, które znika wraz z pomyślnością, ale takiego, jakie rośnie z niedolą, jakie żyje na poświęceniu, na ukołysaniu w zgryzocie, na uweseleniu w smutku, na rozgonie trapiących myśli, na wydobyciu z troski uśmiechu!

Z innych źródeł nie spokój płynie, nie zapomnienie bolów tryska — ale ogień Gehenny, gryzący mózg, spopielający serce.

— Miasta, przeklęte miasta! — kamienne klatki, gdzie człowiek w dzikie przemienia się zwierzę, gdzie drętwieje na powaby natury, traci poczucie prostoty, prawdy, piękności, staje się skłamanem samego siebie dziwowiskiem, gdzie porzuca słońce dla świecy, a wonną świeżość powietrza dla zadusznych wyziewów.

O rus quando te aspiciam! Beatus ille qui procul negotiis! — Tityre tu pa — — Wilczek byłby przypomniał sobie niejedną klasyczną sielankę, ale nieboszczka starościna nie kazała go uczyć po łacinie; nie myślała nigdy kierować go na księdza. Po francusku mówił od urodzenia; Delilla

jednak dotąd nie czytał i nie byłby chciał nawet go czytać. Co do poezji bowiem, przekładał nadewszystko, w nadsekwańskiem narzeczu: «Wojnę bogów» Ewarysta Parny — w rodzinnem, pewną tragedję Kajetana Węgierskiego, której tytułu przypominać sobie w tej chwili nie mogę lub nie chcę. Znał także «Foblasa» i «Niebezpieczne związki» Laclosa; ale oddawna nieodczytanych, puścił w zapomnienie. Znudziły go płaczliwe miłostki Lodoiski, co jednak wcale nie przeszkadzało, że w tej chwili jako drugim Szymon Simonides lub Acernus alias Klonowicz, polski Teokryt, zachwycał się promieńmi słońca, świegotem leśnych ptasząt, słodyczą rodzinnej wioski i rzewnemi śpiewy Dafnisa i Chloi, że już nie wspomnę o wszystkich roskoszach pasterskiego życia, opisanych przez Menalkę i Mopsa, dwóch zacnych u Rzymian spółzawodników na fletni i piszczałce, z których, że drugi pomimo nazwiska, do rzędu ludzi należał, zaręczam.

Minął dzień, minęła i noc. Służba pocztowa wiedziała kogo wiezie, nie szczędziła koni. Wilczek dostrzegł nareszcie czerwony dach pałacu, wysokie drzewa, zielone gęstwiny starego ogrodu, znajomy wzgórek nad rzeką. Zmrużył oczy, wzrok dłonią przysłonił: zdało się mu, że na tle szmaragdu ujrzał blask białej postaci. Raz jeszcze a bystro spojrzał: nie mylił się, a przecież gdyby nie powiew wiatru, marszczący lekko fałdy odzieży, z daleka mógł był białe zjawienie wziąść za grobowiec z marmuru.

Kazał zatrzymać konie, wyskoczył z powozu i na przełaj ubocznemi ścieżkami, osłonięty gęszczem liści, ostrożnie przemykał ku wzgórkowi.

Doszedłszy prawie do celu, zatrzymał się niepostrzeżony; rękę położył na piersiach: serce gwałtownie mu biło — zapewne od zbyt pospiesznego biegu.

Na kobiercu zielonej murawy, do pół wyciągnięta, wsparta na dłoni, w postawie przypominającej Magdalenę Korredżia, Nastusia, zatracona Bóg wie w jakich myślach, machinalnie skubała stokrotkę.

Wiatr unosił blade listki kwiatu, nie bledsze od liljowego lica dziewczyny; na pochylonych jej ku ziemi powiekach, niby krople djamentu, chwiały się dwie grube łzy: cała historja Nastusi

Wilczek rozchylił cichaczem gałęzie i z tym uśmiechem, jakim w chwilach swobody nieprzyjaciół nawet rozbrajał, nagle stanął przed zadumaną.

Dziewczyna podniosła głowę, zerwała się, chciała krzyknąć, chciała ku niemu pobiedz — ani na głos, ani na ruch siły nie stało.

Wilczek postąpił ku niej, otworzył ramiona. Jako kwiat burzą złamany, padła mu w objęcia, cała drżąca, niepewna rzeczywistości objawu, niedowierzająca prawdzie, zalękła o przebudzenie, gotowa z roskoszą umrzeć na lubych piersiach, spragniona życia, które niespodzianie otwierało jeszcze przed nią taki skarb szczęścia.

On byłby rad spojrzał jej w oczy, ukoił, upieścił, rozpromienił stroskaną twarzyczkę. Ona nie chciała podnieść głowy; tuliła mu do łona blade oblicze, cisnęła go w objęciach, nie mogąc przemówić słowa, aż wreszcie zalała się łzami.

W podobnych łzach byłaby z radością wypłakała duszę, ale łez takich oddawna już nie znała; inne, gorzkie i palące, częściej bróździły jej lica.

Wilczek sam był wzruszony. Szaleniec! daleko gdzieś gonił za mętami wzruszeń, podczas gdy u boku miał niewyczerpany zdrój czystych dla serca pociech.

— Uspokój się, luba! — mówił, głaszcząc bursztynowe włosy dziewczęcia. — Na przyjazd mój zanosisz się od płaczu; dla samej siebie, gdy mnie nie ma, zachowujesz uśmiechy. Pokaż oczęta, Nastusiu; dawno ich nie widziałem. Długo byłaś samą; przebacz, moja miła; człowiek nie zawsze jest panem swego czasu. Ale po co przedłużać chwile rozstania? Spieszyłem co siły, wracam — ty kryjesz się przedemną i znowu czas tracę i jeszcze cię widzieć nie mogę.

Dziewczyna podniosła pół twarzy, bluszczowo oplotła mu w okół szyi ramiona, uśmiechnęła się, błysnęła perłowemi ząbki, patrzyła w niego jak w cudowny obraz.

— Udobruchałaś się, niedobre dziecko! Nie dość — winnaś mi drugie oko, ale bez łez. Łzy dziś ci nie przystoją; dziś i nigdy. Nie pozwalam płaczu. Przyrzeknij poprawę, ja przysięgnę nawzajem, że odtąd domku naszego nie opuszczę. Pragnę odetchnąć przy tobie, odetchnąć całą duszą. Miałem także wiele

zmartwień, wiele kłopotów; gdybyś wiedziała, luba! jak skołataną mam głowę! Jeżeli przy tobie nie wypocznę, nie odżyję — nic już ze mnie nie będzie. Przed samym sobą do ciebie uciekam i dopóki zechcesz, przy tobie zostanę. Chyba że ty się mną znudzisz, że sama mię odprawisz? — Nie odpowiadasz, moja miła — jeszcze na mnie się gniewasz? —

Nastusia znowu skryła mu głowę na piersiach; Wilczek czuł łoskot jej serca.

— Za całą odpowiedź bicie serca? — mówił pieszczącym głosem. Cóż czynić, muszę i na tem poprzestać; wyznam jednak, że spodziewałem się innego przyjęcia. Myślałem, że wybiegniesz ku mnie różowa, wesoła, że skrzętna gospodyni, ugościsz mię w twoim domku; że pokażesz kwiatki twoje, ptaszki i książki; że opowiesz, co porabiałaś podczas mojej nieobecności, jak wiele o mnie zapomniałaś, jak prędko sobie przypomnisz? Wielki Boże! co widzę? — U rękawów i u kołnierza czarne zaściążki! Zkądże przyszedł ci na myśl ten żałobny strój? Nie ma co mówić; pięknie mię przyjmujesz! —

Nastusia uskoczyła mu z ramion, zakryła rączkami nieszczęsną barwę zaściążek i szybko jak strzała pomknęła ku swemu domkowi.

Wilczek stał z założonemi ramionami, ścigał wzrokiem uciekającą, patrzył jak mu migała przed oczyma śród ciemnej krzewów zieleni, a gdy nareszcie znikła, wolnym krokiem za nią podążył.

W domku drzwi znalazł otwarte, ale nikogo na progu. Wszedł wewnątrz, rad opatrzeć te miejsca, z których każde budziło w nim tyle słodkich wspomnień. Rzucił wzrok bystry do koła; żaden szczegół nie uniknął jego uwagi.

Od czasu wyjazdu ze wsi niejedna zaszła zmiana. Kwiatek żaden nie przybył; wiele z dawnych, zupełnie zaniedbanych, uschło od pragnienia. Ptaszki pozakrywane w klatkach czarnemi zasłonami, umilkły stęsknione za światłem; ulubione książki pył niepamięci pokrywał; na stole leżało kilka pozaczynanych wieńców ze skabioz, z nieśmiertelników i z piołunu. Na zwierciadłach wisiały czarne krepy; w ostatnim tylko pokoju przychodzień za cały ślad życia ujrzał własną swoją miniaturę, otoczoną świeżą równianką z róż, z fjołków i z niezapominajek.

W posępnych tych barwach, w bolesnym jakimś nieładzie, i w smętarnych symbolach, Wilczek poznał wypisane postępowanie swoje względem Nastusi. Zakorciło go sumienie, rozżalił się nad biedną dziewczyną, rozgniewał się na samego siebie, przysięgał w duszy poprawę — gdy wtem nagle uderzył go srebrny wesoły głos znajomej piosenki. Drzwi otwarły się z trzaskiem: mała gospodyni domku, obarczona wielkim koszem kwiatów, wbiegła z dziecinną pustotą.

Nastusia w jednej chwili zmieniła niemiłą lubemu odzież, przystroiła się w najpiękniejsze szaty i cała biało-błękitna, szeleszcząca jedwabiem i wstęgami, z wieńcem chabru na skroniach, z bukietem konwalji i leśnych dzwonków u piersi, stanęła czarodziejka w środku pokoju, spuściła oczy i z uśmiechem czekała uścisku.

Nie długo czekała.

Wilczek krzyknął z podziwienia, klasnął w ręce, obchodził ją do koła, lubował się jej widokiem, jak gdyby pierwszy raz na nią spoglądał.

Nastusia pomiarkowała, że żałobne jej wymysły nie musiały gościowi przypaść do smaku; wnet więc zawinęła się chyża jak rybka i w mgnieniu oka znikły pogrzebne kwiaty i kirowe osłony; gromady ptaszków uweselone, podniosły świegotliwy chór; dziewczę wtórowało im wesołym śmiechem; duch życia i wesela owionął zasępione przed chwilą mieszkanie. Dawne smutki i troski, jak puszczyki za nadejściem słońca, tłumnym korowodem ulatywały przez okna.

On jeden przybyciem, dobrem słowem, czułem spojrzeniem wywołał to zmartwychwstanie; on życie przynosił z sobą i unosił; on mógł ją zabić i wskrzesić. Ona go tak kochała! —

On to wiedział, ona to czuła — oboje nie posiadali się z radości.

Biedna, o chłopskiem sercu dziewczyna!

Wilczek wcale nie postrzegał, do jakiego stopnia wesołość ta była głęboką i prawdziwą; nie zważał, że uśmiech Nastusi kołysał się na dziwnie bladych ustach; że oczy miała rozjaśnione, ale blaskiem gorączki raczej, niż szczęścia; że w srebrnych tonach jej głosu przebijał bolesny jakiś, zgrzytliwy dźwięk.

Podobne uwagi na myśl nawinąć się mu nie mogły. Wilczek posiadał szczególny a wygodny dar, niepostrzegania wszystkiego, co mu było przykrem.

— Zgoda! — zawołał, patrząc wesoło na rącze zabiegi dzieweczki — wyrzućmy za okno wszystko co trąci smutkiem! Pozwól luba, dopomogę ci w gospodarstwie; we dwoje prędzej damy radę. Precz z temi wieńcami! Mamy tu pełny kosz świeżych, do ciebie podobnych kwiatów. Zaczekaj — odkryję zwierciadło; przejrzyj się teraz i sama powiedz, która z was dwóch piękniejsza? Na mą duszę! przyjechałem w porę; miesiącem później, byłabyś wystrychnęła domek ten na kostnicę. A ja ślepy — dodał, całując ją w czoło — byłbym przysiągł, że droga ta główka nie tylko dla kształtu. Co mówisz, moja miła? Grubiej nie mogłem się pomylić.

Rozśmiała się i kończyła wyświąteczniać złoconą swoją klatkę.

— Słońce niedawno weszło — rzekła, rozstawiając pęki kwiatów. — W pałacu ludzie nie spodziewali się, że pan nadejdzie, ale od biedy i tu w domku znajdzie się śniadanie. Co, czy dobrze?

Nastusia poparła zaprosiny co najwdzięczniejszym wzrokiem. Biedaczka, rada była go u siebie zatrzymać; tyle samotnych godzin miała do powetowania!

— Prawisz jak z ambony, moja miła! — odparł żartobliwie Wilczek. — Niech się dzieje wola twoja! Dla wszystkich dziś święto: kwiaty dostaną wody, ptaszki siemienia; słusznie aby i na mnie przyszła kolej. Kładę tylko następujący warunek: śniadanie musi wystarczyć dla dwojga; sam jeden niczego nie dotknę; gotowaś mi domięszać Bóg wie jakich czarów.

Nastusia już znikła i zanim Wilczek miał czas opatrzyć się, dziewczę na śnieżnej bieliźnie zastawiło mu pustelniczy posiłek, którego szczątków panicz w tej chwili nie byłby oddał za najwymyślniejszą lwowską biesiadę.

Zasiadł do stołu; Nastusia naprzeciw, wsparła głowę na dłoniach i z róskoszą przypatrywała się łaskawemu na jej dary gościowi.

Wilczek pierwszy raz dostrzegł, że ślady żałoby zniknęły z pokoju, ale pomimo szczerej chęci, głęboko tkwiły jeszcze

w obliczu dziewczyny. Chwilowy błysk szczęścia na zupełne rozwianie ich nie miał dostatecznej potęgi. Pan domku, a więcej jeszcze mieszkanki, powstał i w milczeniu ją do serca przycisnął.

— Sama się zabijasz, moja luba! — rzekł po chwili — smutki do niczego dobrego nie prowadzą. Musisz przyrzedz poprawę. Przekonaj się, czy wesołe oczy nie lepiej ci przystoją od zapłakanych? — Odtąd przepędzimy troski za góry, za lasy, nieprawdaż, moja miła?

— Smutki — troski? — Gdzież one? zkąd ich wziąść? — odrzekła tęsknie dziewczyna. — Bywało ich tu nie mało, dawno, bardzo dawno: przed miesiącami, przed tygodniami, wczoraj — dziś jeszcze z rana. Teraz zapamiętać ich już nie zdołam. Nie ma czego wypędzać; same wszystkie uciekły. Uciekły i nie powrócą, a jeżeli powrócą, to już nie uciekną. Panie mój! powiedz że nie powrócą; ja tak się ich boję! Ale po twoim odjeździe próżno chciałam się opędzić. Bywało, jak się rozzłoszczą, to nigdzie nie dają spokoju. Biegnę do ogrodu — one za mną; uciekam na łąkę, do lasu — i tam pędzą w moje ślady. W dzień, w nocy chwili odetchnąć nie pozwalają. Mrużę oczy, zatykam uszy — słyszę je wszędzie i widzę. Szepcą mi straszne myśli; wygladają do mnie z kwiatków, włażą ptaszkom w gardziołka, świegocą ich głosem.

Ponakrywałam ptaszki, opuściłam kwiaty — nic nie pomogło.

Nie wiedziałam co począć.

Chcę zasnąć — nie mogę; chcę śpiewać — nie mam głosu; biorę robotę — igła wypadła mi z rąk; chcę czytać w książce — papier świeci jak całun, książka jak trumna, czarne głoski niby księża ciągną pogrzebowym szeregiem. Gdyby przynajmniej żałość przed kim wypowiedzieć! — Nikogo: — sama jedna! Dopiero dziś z rana, jak gdyby uciął toporem, wszystko zło znikło. Znikło wszystko inne, i znów nic nie widzę, i znów nie słyszę, tylko to, na co do końca życia radabym patrzeć, czego do ostatniego tchu radabym słuchać. Wróciłeś, mój Panie, do biednej Nastusi!

— Wróciłem, lube dziecię; żałuję teraz żem wyjeżdżał; wróciłem na zawsze.

— Na zawsze! — powtórzyła z westchnieniem dziewczyna. Ach, tego słowa nie wymawiajmy! Umrzeć tylko można na zawsze. Kwiaty zawsze nie kwitną i łąki nie zawsze zielone. Słońce im dziś świeci, jutro wicher może je złamać. Co nam myśleć, co nam więdzieć o jutrze! Wczoraj myślałam, że niedługo pożyję; dziś znów tak mi dobrze na świecie: nie chcę znać jutra i żal czasu o niem podumać. A żal jeszcze większy żałować tego, co już minęło. Gdyby mi kto był powiedział: Za taki jeden dzień jak dzisiejszy, wycierpisz lata boleści: okuta w łańcuchy, w strasznych podziemiach, męczennica, przez lata światła nie ujrzysz — odpowiedziałabym: — Mój dobroczyńco!

— Nie lękaj się, moja miła! — rzekł Wilczek, wyciągając ku niej rękę — dni takich wiele jeszcze naliczysz i uśmiechami je tylko opłacisz.

Nastusia siadła mu u nóg, rękę jego w obie dłonie ujęła i swoim zwyczajem, ścigając raz powziętą myśl, mówiła dalej:

— I czegoż się lękać? Cierpienia? Strach zbiera do tego tylko, ku czemu kto nie stworzony. Ja w smutku jako we własnym domu. Od małego dziecka, bywało, nie dziwuję się zmartwieniu, albo dziwuję się, gdy nie przychodzi, a najwięcej mi dziwno, gdy się spotykam ze szczęściem. — Tobie i twoim, zawcześnie jeszcze do szczęścia — mówi mi tajemny jakiś głos. — Więc cała drżę z obawy i sama się nie poznaję, i mróz czarnych przeczuć chodzi mi wedle serca, i jestem tak, jak gdybym nie moją rzecz wzięła potrzebniejszemu. Cudzo mi w szczęściu i trwożno, a przecie tak mi teraz szczęśliwie.

— Przy mnie ci cudzo — przy mnie trwożno?

— Zawsze i wszędzie. Cóż ja temu winna? Niedolę łatwiej rozumiem. Dość spojrzeć do koła: ten zbytek kryje się przed ludzkiem okiem; nie musi być dobry dla wiejskiej dziewczyny; sama na niego poglądam, sama, jak gdybym ze swoich nikogo nie miała na świecie. Rano i wieczorem odmawiam boże przykazania i pacierz; rano i wieczorem kryję się sama przed sobą, gdy pomyślę o tych, którzy mię nauczyli modlitwy. Gdzie oni teraz — czy jeszcze mię przeklinają? — Powiedziałeś, panie mój, że kto kocha, ten niewinny. Ja w ciebie wierzę jak

w Boga. Ale często zapominam twoje słowa; wtedy czuję, żem grzeszna, wtedy rozumiem, dla czego złe mi dokucza. Dobrej doli boję się, nie dowierzam. Czemże na nią zasłużyłam?

— Szalone, kochane dziecko! jam to nie wart ciebie! Gdybyś wiedziała, ile na mnie win cięży!

— Kto kocha, ten niewinny. Nie ja wymyśliłam tę prawdę; ale winny, kto mówi, że mnie nie wart. Mój los był, żyć dla ludzi i z ludźmi, którzy od świtu do zmroku w znoju pracują na kawałek chleba. Dla panów, którzy na to stworzeni, aby ludzkiej pracy rozkazywali, aby bez trudu, bez troski, żyli w wesołości i w dostatkach — po wielkich miastach i w pięknych pałacach rosną bogate hrabianki. Praca chłopska panu należy — tak przynajmniej wszyscy mówią we dworze — ale co wiejskim chłopcom po dworskich panach, gdy im panowie wybiorą z pod strzechy dziewczęta! — W przeszłą niedzielę muzyka przez cały dzień na wsi grała. Sołtys wyprawiał córce wesele; słyszałam ztąd śpiewy i weselne okrzyki. Smutno mi było, jak gdybym słuchała pogrzebowych dzwonów.

— Tęskno ci przy mnie; żałujesz żeś mię pokochała? — Chciałażbyś mię porzucić? Słusznie mścisz się, Nastusiu, ale mścisz się bez miłosierdzia.

— Mścić się — żałować — porzucić? — Mój Boże! czyliż ja umiem chcieć? Życie trawię, mój panie, na zgadywaniu twoich życzeń, jako za nieboszczki starościny, gdyśmy razem gonili motyle. Mnie nie ma już; mnie nigdy nie było na świecie. Bóg stworzył mię jako listek dla róży; listek niczem przez siebie; róża, choć i bez liścia, królewną w ogrodzie. Gdy wyjeżdżasz, panie mój, całą mnie z sobą zabierasz. Nastusia ciągle przy tobie, choć nic w podróży nie widzę, na nic nie patrzę, tylko na ciebie. Tu w domku cień tylko się słania, mara, pokutnica bez życia, bez myśli, a czasem i bez nadziei. Wracasz — wnet słońce inaczej świeci, i miesiąc srebrniejszy i gwiazdy żywiej mrugają; wróciła z tobą Nastusia, wesoła, szczęśliwa. Nie może być inaczej — ona cię nigdy nie opuszczała. Bóg widzi, że mówię prawdę, i że co mówię, rozumiem. Ale gdy cię nie widzę, gdym długo samotna, co wówczas dzieje się ze mną? Pojąć, powtórzyć nie zdołam. Wieczorami, szarą godziną, głowa ogniem mi płonie. Zamykam się, biegnę w kąt, zakry-

wam oczy. Jak nie zakrywać! — Iskry widzę w ciemnościach, słyszę straszne, powłóczne stąpania, sama nie wiem, westchnienia czy jęki, szmery, szelesty, stłumione pośmiechy i łkania głuche. Zrywam się, chcę uciekać, drzwi znaleźć nie mogę; coś mię ciągnie za odzież, coś świszcze nad głową.

Dwa razy ledwo mię docucili.

Nazajutrz trudno mi powstać na nogi; zwlekam się wreszcie z pościeli, zapominam wczorajszych strachów, ale wieczór nadchodzi i znowu słaniam się jak po zarzewiu.

Marszczysz czoło? — Już nic nie powiem. W pałacu, kiedy byłam młodą, ludzie mię zwali warjatką. Ludzie wiejscy jak zaczną o mnie gadać, to i wygadają.

Nie — nie, przestanę; tak sobie tylko mówiłam. Panie mój! patrz, śmieję się, z całego serca się śmieję! —

Łzy błyszczały w oczach dziewczyny; niewypowiedziana boleść łamała jej rysy; tuliła się do niego wzruszona. Wspomnienia nawet znieść nie mogła.

— Luba moja mała! niebezpiecznie zostawiać cię samą. Bóg wie, jakie książki wpadają ci do rąk; drukowane wymysły bierzesz za prawdę. Chorą masz wyobraźnię — śnisz na jawie.

— Nie pamiętam, od kiedy książki nie wzięłam przed oczy; pismo biegnie mi przed wzrokiem — nie dochodzi do myśli. A chorą nie jestem. Cóż to za choroba, którą jedno słowo, jedno spojrzenie rozpędza? Wczoraj głowy podnieść nie mogłam; dziś jak gdybym na świat się narodziła. Że nie śpię, a śnię często, to prawda. Dość mi zamknąć oczy, o własnej doli podumać, przypomnieć sobie wszystko com przeżyła, czegom doznała od maleńkości; dość spojrzeć gdzie jestem — sama siebie zapytuję, ile za mną snów, ile koło mnie prawdy!

Innym razem na prawdę zasypiam; budzę się i pytam znowu czy fałsz tylko widziałam? Fałsz i taki wyraźny! — niepodobna. Ciągnie się, powtarza z nocy na noc, jak książka z zagiętą kartą snuje nazajutrz wczoraj przerwaną powieść. Czasami żal się przebudzać: zamykam oczy, radabym dogonić, schwytać uciekającego — nadaremnie! Ale sen ten, mój panie, którego prawdę mam teraz przed sobą, rzadko kiedy zstępuje. Próżno się o niego modlę, napróżno przyzywam przed spoczynkiem

Częściej zlatują te drugie, czarne, straszne a nieproszone. Opędzić się im nie mogę. Niedawno przez trzy noce ciągle dręczyła mię ta sama mara. Nie gasiłam świecy, szłam spać dobrze już po północku; wilgotne chusty kładłam na skroniach. Nic nie pomogło. Straszny sen! — Myślałam że do reszty głowę zatracę. Nie o sobie marzyłam; tem większa boleść! Ach, Boże mój, śniłam o sobie; dusza moja przecie oddawna już do mnie nie należy, oddawna nie we mnie mieszka!

— Zaczynam domyślać się, że o mnie chodzi — przerwał Wilczek z uśmiechem. — Tem lepiej; mów, moja luba. Mniejsza o sen; wiesz jak sny mało mię obchodzą; pomimo to rad słucham twoich dziwacznych banialuków. Oddawna nie słyszałem twego głosu; muszę stratę nagrodzić. Mów, miła moja marzycielko; przekonamy się, czy w istocie sen taki straszny.

— Przeszedł już i da Bóg, więcej nie wróci; na co go wyzywać? Gdyby przynajmniej był różowy! Prawdać to, według ludzi, że im sen gorszy, tem się na lepsze wykłada. Jeżeli ludzie nie zwodzą, czeka nas, a raczej ciebie, mój panie, czeka cię wielkie szczęście. Ale ja nie dowierzam: kot czarny nigdy szczęścia nie wróży.

— Doprawdy! — czarny kot, powiadasz? — nie wiedziałem.

— Byliśmy niby oboje w wielkiem marmurowem mieście. Zajechaliśmy przed wysoką kamienicę i przez długie kurytarze zaszliśmy do izby, do tak dużej izby, że w środku zmieściłby się cały ten domek.

Ja usiadłam, zataiłam się w kącie; ty panie na mnie nie zważałeś, nibyś sam jeden przyjechał.

Po chwili otworzyła się podłoga, buchnął płomień i dym siarczysty. Za każdym kłębem dymu wyskakiwał djabeł, ale ubrany po pańsku, tak, że go nie można było poznać; z oczu tylko odgadywałam złego ducha.

Natłoczyło się ich bez liku.

Potem naprzeciw mnie otwarły się wielkie drzwi. Wniesiono nakryty stół; półmisek, zwłaszcza też szklanek, kieliszków, butelek na nim co niemiara. Złe duchy zasiadły do stołu — ty, panie mój, między nimi, we środku — na najwyższem miejscu.

Goście rzucili się do butelek; skoro zabrakło napoju, służba przynosiła więcej.

Powstały głośne rozmowy, zgiełk, wrzawa, hałas, jak w dniu ostatecznego sądu.

Ja przytuliłam się niby do ściany, z obawy aby mię nie postrzeżono; myślałam, jak mię który z tych czarnych zobaczy, to samym wzrokiem zabije.

Naraz wszystko ucichło.

Goście zwrócili oczy w jedno miejsce, patrzyli niby zdziwieni, szeptali coś sobie do ucha, marszczyli czoła, zaciskali pięście. Wzrok żywą krwią im zabiegał.

Ja także podniosłam się trochę; chciałam zobaczyć czemu się dziwowali.

Na oknie, w kłębek zwinięty, siedział duży kot, czarny jak gdyby smoła. Jak żyję, nie widziałam takiego kota. Skry sypał oczami; w łapach trzymał żelazną podkowę; kruszył ją niby dla zabawy i kawałki rzucał na ziemię. Gdzie padła okrucha żelaza, tam wnet zadymiło się drzewo, jakby pod rozżarzonym węglem.

Z za stołu zaczęli na niego krzyczeć, świstać, kląć, złorzeczyć; chcieli go spędzić. Kot mruczał pacierz, łamał dalej podkowę i nie ruszył się z miejsca.

Ostatnia złość niektórych porwała. Kilkanaście nożyc jak błyskawice mignęło ku oknu. Wszystkie niby o dzwon z mosiężnym jękiem odbiły się o skórę zwierzęcia.

Nie wiedziano co począć. Wtedy ty, panie mój, strasznie zagniewany, śmielszy od drugich, poskoczyłeś z miejsca i biegłeś ku oknu.

— Na miłość bożą, wstrzymaj się! — krzyczałam co siły. — Nie zaczepiaj nieszczęścia!

Nie słuchałeś, albo też nie słyszałeś.

Kot najeżył sierć, ziewnął iskrami i dymem. Ty oburącz pochwyciłeś go za grzbiet i wyrzuciłeś za okno.

Tenże sam dźwięk, jak gdyby miedź spadła na kamień, rozdarł mi uszy.

W izbie śmiali się okropnie, niby zbójeckim, niby wilczym jakimś głosem — przerażającym.

Załamywałam ręce; płakałam na całe piersi.

Spostrzegł mię nareszcie jeden ze zgrai; pamiętam go. Za stołem siedział tuż przy tobie.

Spostrzegł mię, strasznie wytrzeszczył oczy, dopadł znienacka i jął nożem krajać mi serce.

W niebogłosy wołałam ratunku.

Obróciłeś się, spojrzałeś — udałeś że mię nie poznajesz.

Wyciągałam ręce — zaśmiałeś się, ale tak dziko, że sama nie wiedziałam, czy mam skonać z boleści, czyli też z rozpaczy. —

— Gdy w tem na szczęście obudziłaś się — wtrącił Wilczek, do żywego wzruszony. — Słusznie uczyniłaś; jeszcze chwilę, byłoby zapóźno.

Chciał nadrobić uśmiechem; rozśmiał się. Nastusia szybko obróciła ku niemu głowę: dziwny, szczególny dźwięk tego śmiechu raz już gdzieś słyszała.

— Tak jest, przebudziłam się — rzekła po chwili milczenia. — Ale na tem nie koniec. Następnej nocy —

— I cóż, następnej nocy?

Wilczek mimowiednie zachmurzył czoło; wyraz niespokojności grał mu na twarzy.

— Nie w mieście już, ale u nas na wsi; nie w domku, ale w pałacu. Pokoje były urządzone podobnie, tylko że daleko piękniej jak za nieboszczki starościny. Widno pani jakaś zjechała z dworem, jak zmiarkowałam po rozrzuconych kobiecych sukniach. Ale nie widziałam nikogo; było już po północy: snać wszyscy spali. Na niebie strasznie się łyskało; wiatr łomotał drzewami, burza ryczała na całe gardło, deszcz lał jak z cebra, pioruny grzmiały w oddali.

Drżałam ze strachu.

Z pod wielkiej pałacowej lipy — sama nie wiem, zkąd i po co tam poszłam — wylękła, patrzyłam w czarne szyby jak w cudowny obraz.

Nagle usłyszałam brzęk stłuczonego szkła, a wtem piorun uderzył w lipę i zapalił ją, że gorzała jak gromnica.

Uskoczyłam ku oknu, chciałam skryć się w pałacu.

Stanęłam jak martwa.

Przez stłuczone okno, przy łunie pożaru, wyraźnie dostrzegłam i poznałam wczorajszego kota.

Ty, panie mój, w głębi pokoju spałeś z ręką podłożoną pod głowę. Zda się że jeszcze cię widzę. Przeklęty kot — djabeł to być musiał — zakradał się ku tobie. Jednym razem sunął na łóżko, porwał cię za gardło, zaczął kaleczyć i dławić.

Krew lała się po poduszczce.

Obłąkana niby, porwałam się za głowę i padłam zemdlona. — —

Zimny pot wystąpił Wilczkowi na czoło. Wzruszenie nie długo trwało: jedna chwila wystarczyła na wypogodzenie oblicza; pożałował łatwości, z jaką dał się oczarować opowiadaniom dziewczyny.

— I znowu obudziłaś się, moja miła? — rzekł tym razem ze szczerą wesołością. — Wszystkie sny tak się kończą. Mara znika i za całą prawdę przebudzenie tylko zostawia. Sama wreszcie mówiłaś, że zły sen znaczy dobro na jawie. Przysłowie prawdziwe: ziściło się, co do mnie przynajmniej. Po wielu trudach i kłopotach znowu spotyka mię szczęście, znów jestem przy tobie; większego szczęścia pragnąć nie chcę i nie mogę.

Nastusia zarzuciła mu na szyję ramiona. Wilczek objął polotną jej kibić i przycisnął do serca; ucałował ją w świecące oczki i na falistem jej łonie wsparł piękną, skołataną swą głowę.

— Nie śniłaś czasem, żeś mię przestała kochać? — szepnął pieszczonym półgłosem. — Mała moja wróżko! przyznaj się, czy sen ten nigdy nie wpadł ci do myśli, na jawie, z otwartemi oczyma?

— Nigdy, panie mój luby, mój drogi — szemrała dziewczyna. — Zapytaj czy mogę przestać żyć? — Odpowiem: kiedy zechcesz. Ale przestać cię kochać?—ani za życia, ani po śmierci. W kościele nas ksiądz nauczył, że dusza nie umiera. Dusza moja, to myśl wieczna o tobie, to miłość dla ciebie, tęsknota za tobą, szczęście przy tobie. Taką ją Bóg stworzył; taką ją ku sobie powoła. Choćbym umarła, ty panie mój, nic na tem nie stracisz: Nastusia zawsze cię będzie kochała. Dopóki żyję, nic od ciebie nie żądam, tylko abyś czasami dobre słowo powiedział, abyś pozwolił się kochać i patrzyć niekiedy na ciebie, chociaż z daleka, byle tylko cię widzieć.

— Miła moja biała gołąbko, nie pozwalaj mi myśleć, żem

na tak długo mógł cię opuścić, inaczej sam siebie do reszty znienawidzę, jako zaczynam się już niecierpieć.

— Znienawidzić to, co ja kocham nad życie? — Cóż ja biedna wtedy pocznę? Kto ciebie nienawidzi, ten i dla mnie wrogiem. Nie, panie mój, musisz ukochać się, całem sercem się ukochać, abyśmy oboje jedno kochali.

— Za wiele luba wymagasz; serce dla dwojga nie wystarcza: gdybyś chciała mi oddać połowę — nie mówię. Ale z tobą ani myśleć o podobnych układach; trzymajże całe, kiedyś raz już wzięła.

Dziewczyna śmiała się przytłumionym, srebrnym głosem i miękką dłonią odgarniała Wilczkowi z czoła pierścienie jasnych włosów.

— Ile razy czytam — mówiła zapatrzona w twarz kochanka — albo sama marzę historję o królewicach, o młodych rycerzach, o pięknych książętach, przed których niesłychaną odwagą i starym rozumem świat pada na kolana, zawsze wyobrażam sobie, że najpiękniejszy z nich, że pierwszy w bitwach i na zabawach, musiał mieć takie oto włosy, takie czoło, takie usta i wzrok, że jako dwie krople wody, do ciebie mój panie, musiał być podobny.

Gdy cię widzę wyjeżdżającego na koniu, zdaje mi się, że jedziesz na wojnę, że jedziesz sam przeciw tysiącom, że wrócisz z chorągwiami na wiatr rozpuszczonemi — postrach nieprzyjaciół i świata straszne dziwowisko!

Gdy głos twój słyszę z daleka, głos ten nie ludziom tylko, ale wichrom i burzy powinien rozkazywać. A przecież ten sam głos, gdy rozdźwięczony dobrocią, jak promień słońca przez jedwabną zasłonę, łagodnie mię uderza, ten sam głos stokroć milszy od dalekiego wiejskiego fletu śród wiosennej nocy, od najmiłośniejszych śpiewów słowika, od gwaru ptasząt rozbudzonych jutrzenką, od szmeru cichego zdroju, od wspomnienia dawno gdzieś, dawno nad kolebką słyszanych piosenek.

Powiadasz często: «Mów, Nastusiu, lubię cię słuchać.» Ja nigdy tego nie mówię, ale zawsze to myślę. Mów ty, panie mój do mnie: uklęknę, złożę ręce przed tobą; biedna grzesznica, poznam niebo za życia. Mów co sam zechcesz, tylko czasami powiedz, że mię kochasz. Choćbyś w następnych słowach zło-

rzeczył i przeklinał, ja słyszyć ich nie będę. Ten jeden wyraz, ten jeden, którymby mię porwał z śmiertelnej pościeli, na długo słuch mi zabierze.

Po twoim wyjeździe często, gdy rady sobie dać nie mogłam, starałam się przypomnieć, naśladować twój głos i sama mówiłam do siebie: kocham cię, Nastusiu!

Ach, nie czekałeś na odpowiedź! Moim głosem i za siebie odpowiadałam co żywo.

Pobladłeś w mieście, mój panie; z oczu ci patrzy zmęczenie. Czy chorowałeś? Troski, zmartwienia, nie Bóg zsyła na ciebie. Ja codzień ze łzami modlę się, aby wszystkie na mnie obrócił. Teraz wypoczniesz, o złem zapomnisz, odetchniesz przy twojej Nastusi. Tu przynajmniej smutnym ci być nie wolno; sam powiedziałeś, że w moim domku jam panią. Zawsze tak musisz poglądać, zawsze jak teraz, ze śmiejącemi oczyma.

Weź twój obrazek z małego pokoju; zabierz go sobie; malarz nie umiał na ciebie patrzyć — w nocy cię widać malował. Kwiatka jednego nie dałabym mu do odmalowania. Ach, gdybym ja miała boże dobrodziejstwo, gdybym ja potrafiła malować! — Patrzeć nawet mi na ciebie nie trzeba.

O luby mój, drogi — dziękuję ci, że powróciłeś! — —

Łzy rozrzewnienia zabłysły w oczach dziewczyny. Wilczek je prędko osuszył; upieścił rozpromienioną twarzyczkę, pytał: zkąd, jeżeli szczęśliwa, na płacz się jej zbiera?

Nastusia odpowiadała mu uśmiechem; wstydliwie kryła oddawna na tęsknem obliczu niewidziany rumieniec.

Z przeszłych smutków, z doznanych bolów, ostatni ślad uleciał — ona nigdy nie doznała niedoli; czyliż całem życiem nie była dla niej teraźniejszość? —

Źródło pociechy i siły, popęd w dążeniach do szlachetnych celów, balsam odwagi na rany poniesione w przeciwnych losu kolejach, promień ozłacający życie zawalone chmurami, święty spokój i niewysłowiona roskosz ducha, poczucie w jednej chwili prawd wieńczących zwykle mozolne męki umysłu; dopełnienie natury ludzkiej wchłonięciem w siebie najczystszych, bożych żywiołów; odgadnięcie rzeczywistego znaczenia praw i obowiązków człowieka — wszystkie te djamentowe kryształy serca i rozumu błyszczą niepokalanem światłem w miłości kobiety.

Takiej miłości gdzie szukać?

Tam, gdzie rosną polne kwiatki, gdzie oko niewieście częściej patrzy w niebo, niż w złocony sufit, gdzie serca świeże, zdrowe, wolne od trędu sentymentalizmu, od gangreny próżności, od raka zawiści i dumy, od kołowacizny niewczesnego rozumu, od anewryzmu uciech światowych, od konwulsji samolubstwa, od spazmu czułości na słowa, od letargu na rzeczy i czyny.

Daremna skazówka! — Gwoli czemu rozpalać pochodnię prawdy? — Lepszy łut blichtru, droższa szczypta błyskotek, niż centnary przywiązania — uczucia.

Z różańca tego pereł, jakie anioł miłości z nieba czasami upuszcza, ileż ich pada na śmiecie!

Od czystego klejnotu darmo nabytego, cenniejszy zlepek kału, byle zapłacony na wagę złota. Ach, gdzież się podziała — czemu nie ma Nastusi, gdy codzień smutków i bolów przybywa na świecie? —

Świętokradzką dłonią kwiaty z pola zerwane, więdną przyszpilone do modnej pańskiej odzieży. Niech więdną dla chwilowej woni, niech giną! — Taka ich dola! —

Tymczasem Wilczek upajał się czarownym polnej równianki zapachem, a słodkie te wonie zwolna rozpędzały mu gorączkę mózgu. Zmienny i chmurny jak jesienne niebo, wrócił rozprzężony na duszy, znękany, cierpki, gniewny na los, na ludzi, na siebie. Za pierwszem dotknięciem rodzinnej ziemi, za przestąpieniem tylko szranków zepsucia, fałszu, za postawieniem się w obec żywiołów między ludem zaczerpanych, świętych — niby bajeczny Anteusz, nagle odzyskał siły.

Głębokie zgryzoty sumienia, gryzące niepokoje umysłu, roztarganie ducha, niesmak do samego siebie — zatopił, zaprzepaścił w jednej myśli, w jednem uczuciu.

Miłość Nastusi wypogodziła mu życie; samo sprzeciwieństwo z niedawnym trybem bytu, niewysłowionym urokiem wytęczowało mu pierwsze dni powrotu na wieś. Być może nawet, że temu to jedynie uczuciu dziewczyna zawdzięczała szczególny popęd serca, z jakim garnął się ku niej niewdzięczny kochanek.

Wilczek nie kłamał; w tej chwili gotów był na wszelkie poświęcenia. Dni zbiegały mu lotem jaskółki; w mieście wypo-

wiadał bój czasowi, zabijał go, a dobić nigdy nie zdołał; na wsi, u siebie, zdala od towarzystwa, żalił się na bystry bieg słońca.

Nastusia zbawiała zapaleńca od własnych jego przeciw samemu sobie napadów; on czuł to dobrodziejstwo, sercem za nie płacił zbawczyni i nawzajem wracał ją do życia, do szczęścia, koił jej niepokoje, upieszczał, łagodził te wrażenną duszę, błękitną, gdy niebo było błękitne, zamroczoną za najlżejszą chmurką na widnokręgu.

Błogi ten wpływ jemu samemu aż nadto był widocznym. Widział czarodziej, jak pod namiętnem jego tchnieniem zbladły kwiat przywdziewał znowu świetne życia kolory, widział jak zamglone oczy dziewczyny rozbłyskiwały znowu promieńmi wesela, i lubował się uczuciem własnej potęgi, zakrawającej na moc stworzycielską. Dopóki u stóp Wszechmocnego płonie ogień życia — myślał w duszy — dopóty na Prometeuszach nie zbędzie. Potęgę jednej ożywiającej iskry nie żal wiekami męczarń opłacić.

Uwyłączniający się w jednej myśli, ile razy gonił za jakim celem, ilekroć oddawał się jakiemu uczuciu, jedną tylko drogę widział przed sobą; na inne względy, choć najważniejsze, nie starczyło mu ani wzroku, ani uwagi. Troskami o przyszłość pomiatał; dotychczasowe we wszystkiem powodzenie broniło go od przypuszczeń, że i jego gwiazda może kiedyś zagasnąć.

Jedyną stronę tej przyszłości, stronę wcale niezaspokajającą, rządca dóbr, w kilka dni po powrocie pana, odkrył mu w strasznej a nieubłaganej prawdzie.

Wilczek z natury swojej nie lubiał zagłębiać się w liczbach, nie pojmował często rzeczywistego ich znaczenia; tym razem atoli wybiegły mu w tak wydatnych różnicach, że pomimowolnie zastanowił się: przeląkł się nad ich wypadkiem. Cóż dopiero, gdy pomyślał, że ostatni pobyt we Lwowie w żadnym szczególe nie wystąpił jeszcze na rachunku!

Wilczek ani słowa o nim przed rządcą nie wspominał; stary sługa i bez tego srodze zakłopotany, do reszty byłby stracił głowę.

Poderwana wichrem rozpusty śnieżka zatracenia, z przera-

żającą szybkością zataczała się w bezmierną lawinę. Belki starożytnego gmachu rodzinnych dostatków trzeszczały już pod ciężarem walących się na nie zasp. Pora była pomyśleć o podparciu, o ratunku; ale właściciel nie po temu miał głowę. Prąd przelotnych a gwałtownych uczuć pędził go ku Nastusi. Resztę obojętnie zdawał na grę losu, na wolę Opatrzności, na wiarę we własne szczęście. Frasunek o zapewnienie materjalnego bytu czyliż nie był ostatnią troską młodego, prawdziwie polskiego charakteru?

Młody pan zapominał, że kierunek ten ojczystego ducha rozdzierał się na dwie strony: na prawo wiódł do szlachetnych poświęceń — na lewo zapadał w otchłań zbrodniczego samolubstwa i szalu.

Zkądinąd nie było czemu się dziwić. W każdem stanowisku człowiek za tem goni, co najwięcej ceni. Wilczek w tej chwili gardził wszystkiem, co nie było Nastusią. Choćby mu przyszło puścić z dymem cały majątek — i cóż z tego? Z własnego domu go przecież nie wypędzą! Dość mu jeszcze zostanie na jednego służącego, na kilka gończych psów, na parę zaprzęgowych i jednego wierzchowca. Odmieni tryb życia, porzuci ten świat, w którym ostatecznie doczekał się tylko niesmaku, odtrąci czarę hałaśnych uciech z kroplami goryczy na dnie, wyrzecze się kłamliwych roskoszy. I jakże wszystkiego się nie wyrzec dla prawdy, dla spokoju, dla niewyczerpanego szczęścia, dla życia przy tem anielskiem stworzeniu, które uwierzyło w niego niemal od kolebki; które sam sobie wyhodował, wypieścił, z płaszczyn gminu wydobył, wytęczował miłością, roziskrzył wyobraźnią, wyszlachetnił uczuciem, ożywił własnym zapałem i tak podniósł wysoko, że z wiejskiej dziewczyny została w niej tylko prawda i rodzimy jakiś wdzięk, rozwinięty aż w nieskończoność.

W obec takiego skarbu, w cóż obracały się nędzne uwagi na stratę kilku garści złota? Człowiek, choćby najświetniej urodzony, za dwóch nie mógł spożywać, a na jednego przy szczęściu i spokoju duszy nie wiele było potrzeba.

Podobny szereg marzeń przesłaniał się Wilczkowi przed myślą i wyznać należy, że chwila była ku temu stosowną.

Księżyc w pełnej roskoszy dumał na ciemnym niebios sza-

firze, i gwiazdy skrzyły na wyścigi, i drżały w powietrzu kwiatów i ziół balsamiczne wonie, i stary jodłowy las szumiał w oddali, i z pola płynął po rosie cichy odgłos tajemniczych jakichś chórów, rozmarzonych mieszkańców zboża: świerszczyków i derkaczów, kukułek i zwiastunek żniwa przepiórek. Noc letnia, noc prawdziwie polska, pełna życia i gwaru natury, noc, jakich nie znaleźć ani pod zadyszanym stropem południa, ani pod jednostajnym topazem wschodniego nieba.

Drugie, takież same niebo, z księżycem i gwiazdami, odbijało się w Dniestrze; księżyc tylko rozbryzgiwał się w złote pierścienie i wyciągał długim słupem po wodzie; gwiazdy chwiały się z falą, ciekawe dna w głąb zaglądały i znów potem świeciły na srebrnych grzywach topieli.

W łódce było ich dwoje.

Wilczek opuścił leniwe wiosło, zdał się na wolę wód, wzniósł głowę w niebo i utonął w dumaniach. Nastusia wsparta obiema rączkami o ster, lubowała się dziwaczną grą światła, jakie miesiąc sypał na twarz jej kochanka.

Oblicze dziewczyny promieniało weselem.

— Darmo szukasz po niebie — rzekła po chwili milczenia — ja tak wysoko nie patrzę, a przecie dwie gwiazdy więcej widzę od ciebie.

— Dwie gwiazd więcej! — Gdzież je znalazłaś, mała moja gwiazdarko?

— Już znikły! — rzekła, śmiejąc się — już ich teraz nie widzę!

— Na miłość Boga! dzieweczko — ostrożnie! — łódka przechyla się — oboje wpadniemy do wody. Skręć rudel na prawo!

— Tem lepiej! — odparła, umyślnie chwiejąc psotnica. — Toń głęboka, pełno w niej gwiazd i promieni; będzie z czego upleść wieniec, będzie co związać w snopek.

— Nie, nie, moja luba! Dziękuję ci za wodne twoje zdobycze; czyliż na wianki, na snopki, pola ci już zabrakło?

— Pola dostatkiem, kwiatów na nich nie braknie, ale kwiaty zawsze te same; dość sięgnąć ręką, aby je zerwać, to i ochota ku nim często ustaje. Tu w wodzie, śród nocy — patrz, mój panie! — byle dłoń zanurzyć, z każdego palca stru-

mień wytryska, do koła pławią się złote blaszki: zda się, że już je chwytasz, że same biegną ku tobie; wyciągasz rękę — nie! woda tylko się kropli, w ręce nic nie zostało. — Płyńmy ku wierzbom, co tam u wzgórka płaczą nad tonią. — Czy w wielkich miastach panowie i panie tak żyją jak my żyjemy, zawsze na polu, w lesie, na wodzie, śród gwaru ptasząt, między kwiatami, pod gwiazd złocistą ulewą? — Ja nigdy w mieście nie byłam.

— Nie, luba; my żyjem samotnie. Po miastach ludzie żyją razem — mają kwiaty, ale w pokojach, i drzewa na pustych placach, która zowią ogrodami; na niebo oknem zwykle wyglądają.

— A jeżeli się kochają, jeżeli jedno drugiemu wystarcza i chcą być sami?

— Nie mogą; świat by ich wyśmiał.

— Nie mają więc własnej woli? Służą u świata — cóż im świat za to płaci? — Za lada co nie oddaliby przecie wolności?

Wilczek uśmiechnął się.

— Zapewne; świat daje im w zamian towarzystwo. Odwiedzają się, schodzą razem, wynajdują wspólne zabawy — inaczej zanudziliby się na śmierć.

— Rozumiem — rzekła po chwili zamyślenia Nastusia. — Chciałabym raz choć, niepostrzeżona, usłyszyć co między sobą mówią, ciekawe, zabawne to muszą być rzeczy. Każda z tych pań, każdy z tych panów, od maleńkości wiele się nauczyli; książek mają bez liku. Wiedzą zapewne wszystko, co stało się od stworzenia świata, co się dziś dzieje w różnych krajach, z jednego końca ziemi na drugi. Dopieroż to muszą piękne historje sobie rozpowiadać! Jeden mówi, reszta słucha, póki na innych kolej nie przyjdzie. W zimie, albo gdy deszcz pada, radabym ukradkiem dostać się do miejskich pałaców; odsłuchać bym się nie mogła. Ale bo też nie do darowania — dodała, umyślnie chmurząc wesołe czoło — że ile razy powracasz z miasta, przywozisz cacka, stroje, książki, a o tem, co mówią, nigdy nie wspomnisz, historji żadnej powtórzyć nie raczysz. Nie chcę wstążek i książek — sam strój się w jedwabie; ja chcę historji,

ja chcę wiedzieć, co mówią na świecie. Powiedz mi, albo nie dam ci chwili spokoju.

Wilczek śmiał się serdecznie.

— Śmiech nie odpowiedź — rzekła dziewczyna, odwracając głowę. — Nie odezwę się ani słowem, dopóki mi nie rozpowiesz historji. W mieście umiesz i musisz rozpowiadać, gdy kolej na ciebie wypadnie. Ja chcę historji! —

— Uparte dziecię! Przysięgam ci na lube twoje oczęta — nie możesz żądać świętszej przysięgi — jak żyję, nie słyszałem w mieście żadnej historji, takiej zwłaszcza, jakiej ty odemnie wymagasz.

— Rozpowiedz inną — jakąkolwiek. Przecież jak zejdą się goście, nie zasiądą, nie patrzą sobie jeden drugiemu w oczy i milczą?

— Przeciwnie, moja miła rozmawiają bez ustanku; im nawet kto więcej mówi, tem za rozumniejszego uchodzi. Ale o tem, co działo się dawniej, albo co się dziś daleko gdzieś dzieje, nikt ust nie otwiera. Przeszłość dla nich nie sięga dalej nad dzień wczorajszy: jutro całą ich przyszłość zawiera. Chcesz, aby cię słuchano? — Mów im o drugich, przedrzeźniaj, wyśmiewaj, przekręcaj i powtarzaj słyszane słowa. W braku prawdy, miej fałsz na pogotowiu; o dobrem nie wspominaj, co złego, staraj się z pod ziemi nawet wydobyć i na jaw pokazać; nadewszystko zaś obmawiaj drugich na zabój, siebie wynoś pod niebiosa. Nie goń ani za miłością, ani za przyjaźnią, lub za szacunkiem, ale postępuj tak, aby każdy bał się twego języka. Wszystkie drzwi staną ci wówczas otworem, wszyscy na czoło przed tobą upadną — dopóki cię widzą, ma się rozumieć; skoro bowiem wyjdziesz, zabawią się z tobą, jak ty bawiłaś się z nieobecnymi. O innych rzeczach nie dzisiejszych, nie miejscowych się nie odzywaj; usnęliby za drugiem słowem.

— Ach, mój Boże! za cóż się tak znienawidzili?

— W mieście nikt nie kocha, nikt nie nienawidzi; każdemu ledwo starczy czasu myśleć o sobie. Jeżeli masz ochotę jechać do miasta, każę zaprządz?

Nastusia milczała.

— Wracajmy do domu — rzekła z westchnieniem — wiatr się zrywa; ciężko płynąć pod wodę. Jak cicho do koła! —

Wszystko śpi, drzewa tylko czuwają i liściem szeleszczą. — Słuchaj, mój panie! — Słyszałeś? — tam, tam — daleko, pod lasem!

— Cóż takiego?

— Trzy razy krzyknęla kukułka. Ludzie powiadają, że kto za trzecim razem czego zapragnie, niezawodnie otrzyma. Słuchajmy — może się jeszcze odezwie.

— Zapóźno ostrzegasz mię, luba — rzekł Wilczek z udanym żalem. — W jednej chwili i jedno tylko życzenie? Nie znam trudniejszego. Mało żądać, nie wypada przez sam szacunek dla wszechmocności losu — wiele? — łatwo w jednej rzeczy można się pomylić. Wreszcie jeżeli taka twoja wola — zgoda! Za trzecim krzykiem kukułki zażądam, aby twoje sprawdziła życzenia.

— Moje? — Ja nie mam żadnych. Niechaj ten się spodziewa, komu źle, gorzko, smutno na świecie. Ja tylko mogę cieszyć się życiem, rano i wieczorem Bogu dziękować, że mi dał poznać, co szczęście na ziemi. Ani mi głowy, ani serca na jakiekolwiek życzenia. Widzę cię, panie mój, wkrótce obaczę i znowu widzę. Gdy jestem sama, gdy z domku wybiegam i spieszę ku kwiatom, nagle zatrzymuję się, stawam jak wryta, myślę kiedy odszedłeś, kiedy powrócisz. Wszystko do koła mi wypiękniało; żywe jakieś, tęczowe kolory, jakich nigdy nie pamiętam, zewsząd biją mię w oczy. Budzę się z uśmiechem, a gdy wejrzę na wschodzące słońce, poranne ptaszki nie weselsze odemnie, niebu nie tak wesoło w jutrzence, jak mnie we wspomnieniu o tobie. Czasami spóźniasz się, nie przychodzisz; czekam i myślą daleko gdzieś lecę, ku tobie, a więc daleko, bardzo daleko! Najdalej mi tam, gdzie ty jesteś, gdy cię nie widzę. Wtem serce mi zakołace; zrywam się, słucham — nie słyszę; patrzę — nic nie postrzegam; radabym śmiać się lub gniewać na siebie. Jeszcze nie odetchnęłam, już drzwi się otwierają, już jesteś przy mnie. Bóg świadkiem, że nie widziałam cię idącego. Więc znowu chciałabym sobie wyrzucać, żem ośmieliła się nie dowierzać przeczuciu — ale jak nie zapomnieć wszystkiego za pierwszem słowem z ust twoich!

Widzisz, mój panie, przed tobą, tam wysoko, gdzie niebo o las się opiera, widzisz tę najpiękniejszą gwiazdę między

wszystkiemi, jakąś złoto-zieloną, srebrno różową zarazem? Sam mi raz powiedziałeś, że ludzie zwą ją gwiazdą miłości. Dobrze pamiętam. Spytaj tej gwiazdy iskrzącej, czy żąda więcej kolorów i blasku? Gwiazda to serca mojego. Czegoż ma więcej żądać twoja Nastusia? — Chyba w tej chwili, święty mój miły, jeszcze jednego uścisku, a po tym jednym jeszcze drugiego — i więcej. —

Dziewczę słodko spłynęło mu w objęcia — łódka dobijała do brzegu.

Nastusia mówiła prawdę, ale nie mówiła wszystkiego co czuła. Gdzież słowa, któremi byłaby potrafiła wyrazić przepełniające ją uczucia? Dawne jej boleści i smutki rozwiały się jako mgła poranna; niebo tem czyściej po nich rozbłękitniało. Dziewczyna lekkiemi stopy nie tykała ziemi; rozmarzona roskoszą, poiła się uciechą życia, tem najwyższem ludzkiem uczuciem, które — jeżeli mądrość i dobroć w istocie przewodniczyły stworzeniu człowieka — było jedynem, prawdziwem a łatwem szczęściem na ziemi. Czasami wprawdzie, w zapędach błogich uniesień, wieśniaczka niespodzianie mroczyła rozpromienione oblicze; z głową schyloną, topiła w ziemię obłąkany wzrok, siły ją opuszczały, zsuwała się na kolana, kryła twarz w dłoniach i zalewała się łzami. Zkąd na nią spadały te niespodziane rozpacze? — Czyli płakała jak płaczą uśpione dzieci, gdy marzy im się sen życia? Czy ją ściskało za serce błędne a straszne jakieś przeczucie? Czyli na skrzydłach szczęścia wzbita gdzieś pod obłoki, poglądała nagle na ziemię, mierzyła przerażonemi oczyma niesłychaną wysokość upadku? — Sama nie wiedziała biedaczka; a gdy szukała odpowiedzi na groźną zagadkę, nie było już nad czem rozmyślać: ulatywały tajemne postrachy, wyiskrzona rzeczywistość jednym promieniem uśmiechu ostatnią łzę jej suszyła. Śpiewna, uweselona, znajdowała znowu te chwile czystych uniesień, jakiemi Wilczek darzył ją był niegdyś, wkrótce po powrocie z zagranicy, w pierwszych dniach po uwiezieniu z sąsiedniej wioski. Później — to prawda — nastały trwogi, niepokoje, częste wyjazdy kochanka, osamotnienia i przechylony, zataczający się na jedną stronę stosunek, w którym Wilczek tyle tylko uczestniczył, że pozwalał się kochać.

Nastusia i na tem musiała przestawać; nieoddziaływane atoli uczucie wyczerpało jej siły: upadała nieraz pod ciężarem niewzajemności, myślała jak umrzeć.

Zamiar nie trudnym był do urzeczywistnienia: bezwładnie oddała się smutkom; te gryzły ją zwolna, iskra po iskrze gasiły w niej życie.

Wilczek w sam czas powrócił.

Powrócił inny niż zwykle powracał. Skołatany burzą namiętności, znękany i zniechęcony, w prawdzie zaszukał ucieczki, w miłości szukał wytchnienia.

Talizman spokoju czekał na niego.

Nastusia pod światłem uczucia podniosła głowę, wróciła do życia, nowy byt rozpoczęła, byt pełen uroku, cudów i czaru, gdzie sama siebie nie poznawała, gdzie w chwilach oczekiwania jeszcze zanosiła się od szczęścia.

Mijały — nie — nie mijały już teraz, mgnęły dnie i tygodnie; dla nich obojga czas tracił miarę: nadzieja jutra cieszyła ich, gdy żałowali, że dzień dzisiejszy upływał. Wilczek powoli zabliźniał w sobie przykre wspomnienia; trawiące niepokoje rozpędził oderwaniem się od wszystkiego, co mu przypominało cierpki osad światowych uciech; wyjaśnił sobie widnokrąg myśli tak, że na ostatnich jej krańcach chmurki najlżejszej nie dostrzegał.

Było to zawieszenie broni w walce, jaką staczał z namiętnościami, z popędem do gwałtownych życia wzruszeń, z własną, niespokojną naturą.

Cisza jego umysłu, błogi spokój serca, bynajmniej nie zwiastowały zwycięstwa dobrych zasad, świętego sojuszu z prawdą, z czystem uczuciem.

Przez liczne, rodowe pokolenia zużyta krew, za wręcznym tylko a upornym bojem z pierwiastkami zatraty, mogła zakrążyć czystem tętnem, przerodzić się w siłę pełną życia, przyszłości, dzielnych a szlachetnych żywiołów.

W przebojach Wilczka przez życie, nie rozum wolą poparty pchał go czasami na stronę prawdy, ale niewytłumaczona konieczność ducha, której oprzeć się nie mógł, a której następnie rozwinąć, utrzymać na prostej drodze nie potrafił. Biegł zawsze szybko, ale kierować sobą nie umiał; unosić się tylko pozwalał.

Nowością dla niego był spokój, nowością prawie od dawna zapomniane wzruszenia serca. Z dziecinnym zapałem jak nowość pochwycił we dwójny, osamotniony byt na wsi, powrót do pierwszych uczuć młodości.

Nadchodziła atoli chwila, gdzie Wilczek zaczynał męczyć wzrok ciągłym widokiem jednostajnego błękitu, gdzie z radością byłby chmurę na nim powitał, a nawet wyzwał i nawałnicę.

Z początku usiłował zaprzeczyć w sobie tę dążność, żżymał się sam na siebie, wmawiał niezachwiane zamiary wytrwania, przymuszał do takichże samych uniesień, jakie wczoraj jeszcze pomimowolny zapał w nim budził; wszystkiemi siły tłumił gwałtowne ku zmianie popędy. Nadaremnie! — Niesmak tożsamości i przesyt coraz uporniej go ogarniały.

Dwa miesiące oddalenia od świata! — Dwa miesiące pożycia sam na sam z Nastusią! — Wilczek nigdy tak długo z jednego wątka nie snuł żywota.

Przyszło nareszcie do tego, że z goryczą myślał o jutrze, któremu nie mógł przebaczyć bezpłodności w urozmaiceniu jakąkolwiek odmianą zawsze tego samego szczęścia.

Nastusia w tych zarzutach nie miała jeszcze żadnego udziału. Przeciwnie — zdało się mu, że codzień więcej ją kochał. Byłby gniewem rozsrożał, gdyby kto poważył się zwątpić o prawdzie jego uczucia.

Do tysiąca szatanów! — Kochał Nastusię, kochał ją szalenie, kochał nad życie; przed całym światem gotów był miłość swą wypowiedzieć, sprosić na wieś przyjaciół i znajomych, pokazać im w blasku krasy dziewczynę i zmusić, aby upadli przed nią na kolana.

W istocie, czyliż Nastusia nie była wyłącznem, zachwycającem stworzeniem? Czyliż lube jej wdzięki mogły lękać się jakiegokolwiek sądu lub porównania? Niech więc na roścież otworzą bramy pałacu, niech nakryją stoły, niech zagrzmi muzyka, niech z czterech stron zjadą się goście, niech życie znów warem uciech zakipi — poddani znajdą godną zabaw królowę!

Co na to powie świat? — Ha, ha! Pieśń wesela zagłuszy wrzaski światowe; zawiść przylegnie w kącie, głupcy zapłacą

przesąd nudotą, mądrzy pospieszą podzielić kielich roskoszy. Szalony, trzykroć szalony, kto szczęście odpycha dla tego, że nie odstęplowane pieczęcią nikczemnych świata przywidzeń!

Ale ona czy zechce? — Czy znajdzie roskosz w zgiełku, czy wytrzyma natrętne spojrzenia młodzieży, czy nie przelęknie się wrzawy, czy potrafi słowo odpowiedzieć na odgłosy uwielbień, na zwykłe kadzidło zalotów? —

Biedne dziecię! kazać jej żyć podobnem życiem! Lepiej od razu ją zabić.

Rzucać w zapalne powietrze kłamanego bytu wątłą, niby z promieni światła usnutą istotę, wystawiać na wicher rozchełznanych namiętności blady ten kwiatek, wzrosły w zaciszu ziół wonnych i lasów? — Nie, nie! — Dla niej trzeba prawdziwego słońca, łąk i pól świeżego oddechu, szmerów nadrzecznych wieczorem, chórów porannych jutrzenki — dla niej trzeba innej harmonji, niż kaleczących dźwięków rozbryzganego szkła, lub chrapliwych toastów wznoszonych przez szał.

Próżne złudzenia! — Życie z Nastusią, lub ze światem! — można było wybrać — pogodzić oba warunki? — Nigdy!

Aleź znowu zawsze i zawsze jedno i jedno. Ha! gdyby pół wsi chciało spłonąć od piorunu, gdyby wybuchło straszne jakie nieszczęście! — Nikt nawet nie przyjeżdża! Czyliż wszyscy zapomnieli już wesołych progów? Czy ani niebo, ani piekło z dna nie wyrzuci jakiego znajomego? Czy szatan nie potrafi już opętać i zabłąkać w te strony jakiego gościa? —

Wilczek właśnie domawiał w duszy złowrogich wyrazów, gdy wtem z dala doszedł go turkot powozu.

Zwabiony niby przekleństwem, wywołany piekielną odezwą, zjawiał się Juljusz.

Wilczek krzyknął z radości, do serca go przycisnął, jak zbawcę powitał.

Przyjacielski zarzut za długą nieobecność, nastąpił po oznakach wesela z przybycia winowajcy. Juljusz tłumaczył się natłokiem majątkowych spraw — od ostatniego pobytu we Lwowie przyzwyczaił się przedewszystkiem rozprawiać o swoim majątku.

W istocie, fortuna pożerała go pieszczotami. Dzięki niesłychanym jej łaskom, szczęśliwiec przez dwa miesiące nie dał

o sobie znaku. Objeżdżał tymczasem ofiary zapalczywości losu, ściągał wygrane, właził na hipoteki, nadziewał pugilares skryptami.

Syt łupów, zapragnął nareszcie odetchnąć na łonie przyjaźni.

Nastusia tego dnia została samą; nic dziwnego: dowiedziała się, że towarzysz przybył do pałacu.

Juljusz rozgościł się na długi pobyt; gospodarz nałożył mu tę pokutę.

Wilczek doczekał się przecie odmiany: uchwycił drugą strunę, z ktorej mógł wydobyć inne dźwięki, niż ciągłe brzęczenie miłości. Nastusi porzucać nie chciał, przyjaciela atoli również samego zostawiać nie należało. Umyślił pogodzić dwa słodkie sercu obowiązki: wyjawił gościowi tajemnicę, którą tenże od dawna ze szczegółami posiadał, i nazajutrz zawiódł go do małego domku.

Z dala, przez otwarte okna, doleciał ich srebrny głos dziewczyny.

Nastusia, w oczekiwaniu na przybycie kochanka, stroiła jak zwykle, wdzięczne swoje ustronie i śpiewała wymarzoną przez siebie wiejską jakąś piosenkę.

Zbliżyli się cichaczem. Wilczek wszedł pierwszy, drzwi otwarte zaniechał. Dziewczyna poskoczyła z uśmiechem, klasnęła w dłonie i chciała mu upaść na szyję — od wczoraj, od południa go nie widziała.

W tej chwili Juljusz stanął na progu.

Nastusia lekko krzyknęła; zatrzymała się jakby do ziemi przykuta; żywy rumieniec wybiegł jej na oblicze.

Po chwili zbladła, strasznie pobladła. Wzrok osłupiały topiła w przychodniu; oczu zdjąć z niego nie mogła. Zdało się jej, że twarz tę raz gdzieś już widziała — ale gdzie? — kiedy? błędne wspomnienia krążyły jej po głowie. We śnie, czy na jawie? — Nie pamiętała, a jednak sen szatańskiej biesiady, sen, w którym nieodstępny towarzysz kochanka kaleczył jej serce, mimowolnie majaczył jej przed myślą.

Wilczek niespodziance przypisał przestrach dziewczyny; przedstawił jej Juljusza jako blizkiego, jedynego przyjaciela i starał się wesołością rozpędzić pierwsze wrażenia. Gość ze

swojej strony szczerze pomagał do wydobycia z kłopotu małej gospodyni; przyglądał się kwiatom, podziwiał ich krasę; niby dawny znajomy, wszczynał poufałe rozmowy.

Nastusia ochłonęła nieco z wzruszenia, ale do spokoju jeszcze jej było daleko. Odpowiadała nieswoja, roztargniona; wzrok zalękniony rzucała do koła, przysuwała się nieznacznie ku Wilczkowi, jakby szukając u niego opieki.

Zalotna z wielkiego miasta kobieta byłaby pozazdrościła wieśniaczce wyrazu twarzy, wzroku, postawy. Dziewczyna, jako spłoszona sarna, chwiała się na drobnych nóżkach, drżała gibką kibicią, iskrzyła wylękłem okiem; raz blada, to znów różowa z wzruszenia, widno było po falach łona, że sercu dać rady nie mogła. Przed tym człowiekiem byłaby chętnie skryła się pod ziemię, uciekła na koniec świata — ale tego człowieka on jej przywiódł i przedstawił jak przyjaciela. Nastusia odgadła, że należało przyjąć go z wesołą twarzą.

Gość wreszcie nietrudnym był do zabawienia; sam widok pięknej mieszkanki ustronia był mu najmilszem przyjęciem. Dotąd wiedział tylko o bycie Nastusi — nie domyślał się wszelako jej wdzięków. Rzeczywistość prześcigała w nim wszelkie oczekiwania.

Juljusz uchodził w całej Galicji za jednego z pierwszych znawców na koniach i na kobietach. Niektórzy utrzymywali, że lepiej znał się na koniach; on sam jednak głęboko był przekonanym, że hipiczne jego wiadomości ustępowały bystremu oku co do płci pięknej.

Zachowywał się więc niby obojętnie, ukradkiem atoli bacznie oglądał polotną kibić dziewczyny, przypatrywał się harmonijnym składom jej ciała, podziwiał rozgrzywione płowe włosy, słodycz błękitnego oka, okrągłość ramion, łabędzie ruchy szyi, wytworny kształt głowy, ręce i nóżki dziecinne. Wady ani w niej dopatrzeć! — Oczywiście, Nastusia miała w sobie krew rzadkich przymiotów, była stworzeniem nieposzlakowanej rasy, czyli — według malowniczego wyrażenia młodego badacza — folblutem.

Prawdziwy znawca, a więc i namiętny lubownik, Juljusz okiem rybitwa pozierał na dziewczynę; z wzrokiem i myśl

w nią zatapiał, myśl zamiarów, których skry pierwsze czuł, że mu biły do mózgu i że wkrótce w nieugaszony pożar rozpłoną.

Wyszedłszy, Wilczek uczepił nawiasem rzecz o wdziękach Nastusi; usprawiedliwiał jej pomięszanie przywykiem do dzikiego, samotnego życia, uniewinniał się z przywiązania ku niej dziwną dobrocią jej serca.

Juljusz potakiwał, wszelako dość obojętnie; z przyjemnością jednak przyjął myśl powrotu do domku, choćby dla tego, aby, jak mówił, napatrzeć się szczególnemu zjawisku wieśniaczki, okrzesanej nad wszelkie pojęcie.

Wilczek mu zaręczył, że za drugiemi odwiedzinami Nastusia oswoi się, udobrucha i pokaże w całym wdzięku lubej swej prostoty.

Juljusz z zimnym uśmiechem wysłuchał zaręczeń.

Minęło dni kilka; gospodarz i gość codzień chodzili do domku. Nastusia nie mogła przywyknąć do dziwnego przychodnia, choć jej sypał grzeczności, choć zgadywał jej upodobania, z kwiatami pieścił się i rozpowiadał zabawne historje. Skoro czasami folgę dawała niepojętym a przykrym uczuciom, jedno spojrzenie Juljusza mroziło jej uśmiech na ustach, ucinało w pół zaczęte słowo, trwogę miotało do duszy. Byłaby chciała na niego nie patrzeć, ale ile razy się zjawiał, mimowolną, tajemną siłą pędzona, wzroku od niego nie zdołała odczepić; cała drżąca pod przenikliwemi oczyma przychodnia, martwiała ze strachu jak ptak oczarowany spojrzeniem węża.

Juljusz rozżarzał w sobie powziętą myśl, zacierał ręce, układał zamiary. Biegły ludzkiego serca czytelnik i na pamięć znający Wilczka, wiedział, że można było go posądzić o wszystko prędzej, niż o wytrwałość. Tłum wreszcie innych, daleko ważniejszych względów, utwierdzał w nim nadzieje. Wilczek gonił ostatkiem.

Juljusz wracał właśnie ze Lwowa, gdzie zapisując swą należytość na hipotece przyjaciela, miał sposobność wględu w rachunek jego sumienia. Do wyraźnych ciężarów, których znalazł co niemiara, dodawszy koszta ostatniego w mieście pobytu, wypadek, przy najpomyślniejszym obrocie rzeczy, zaokrąglał się w zero czystego mienia.

Klęska majątkowa Wilczka koniecznie musiała pociągnąć

za sobą rozbrat z Nastusią. Gdyby nawet młody zapaleniec prawdziwie kochał wieśniaczkę, nie ma wątpienia, że wyzuty z dostatków, rozszalały rozpaczą, nie byłby chciał porwać ją z sobą w burzliwe życia koleje, jakie czekały go na przedsionku nędzy. Jeżeli zaś — co zdawało się niezawodnem — przelotną tylko miał ku niej skłonność, pierwszy lepszy pozór mógł wystarczyć na przyczynę rozłączenia. Kto wie nadto, czyli zgłębiwszy zionącą mu pod nogami otchłań, dla jednego promienia ratunku sam nie byłby poświęcił kochankę?

Wilczek przy szczerej chęci mógł na kilka tygodni zamknąć się na wsi; ostatecznie atoli gwałtowna jego natura wymagała miejskiej wrzawy, zgiełkliwych uciech, hałaśnych towarzystw, mianowicie zaś przewodzenia młodzieży wykwintem, świetnością i tonem.

Nawzajem dziewczyna, przyzwyczajona do zbytku, nad powrót pod słomianą strzechę, przeniosłaby podzielenie z kim innym dostatków. Juljusz utrzymywał i wierzył, że próżność i zbytek były na cały ród Ewy cudownym lepem.

W takowym obrocie wypadków, nowym dobroczyńcą Nastusi mógł zostać on, nowy ulubieniec fortuny. Pieniędzy miał podostatkiem, a na popędach namiętnych szałów ku dziewczynie także mu nie zbywało.

Zamiar ten, jakkolwiek w założeniu logiczny, jakkolwiek przedstawiał silne prawdopodobieństwo powodzenia, wymagał atoli długiego czasu, długiej cierpliwości. Upadek Wilczka mógł się przewlec; niejeden panek w podobnem mu położeniu wiódł mnogie lata pomyślności. Z innych względów zguba przyjaciela była mu więcej szkodliwą, niż użyteczną. Wilczek, na mocy rodzinnych stosunków ze znakomitemi domami, forytował go w wielkim świecie, chętnie użyczał własnego blasku, woził z sobą po Galicji, wprowadzał nawet w pierwsze wiedeńskie towarzystwa. Juljusz bez przewodnika tracił większą część dogodności życia; że zaś najmniejszej wygody nabytej tracić nie wypadało, umyślił przeto tak nastawić samotrzask, aby za jednym pociągiem i Nastusia weń wpadła i przyjaciel z rąk mu nie uciekł, przyjaciel w całem znaczeniu tego wyrazu, nie zbankrutowany, ale świetniejszy niż kiedykolwiek.

Wilczek sam powinien był uczepić się myśli zerwania stosunków z Nastusią.

O porwaniu go w war hucznych zabaw nie było co myśleć. Ostatni pobyt we Lwowie, widno, gorzkie zostawił mu wspomnienia: słuchać o nim nie chciał, skręcał umyślnie rozmowę. Juljusz też bynajmniej nie upierał się w wytaczaniu na plac sprawy zajścia z Porajem; pokrył ją nieprzebitem milczeniem i przestawał na innych przedmiotach, w których Wilczek z całem zaufaniem odsłaniał przed nim głąb myśli; wdzięczen za przyjazd, zwierzał się z uczuć, odkrywał zamiary na przyszłość, opowiadał szczegóły pożycia z Nastusią, jak gdyby wcale był dotąd nie zauważał dziwnych względem niej towarzysza zachodów.

Nie brakło mu przecie w podobnych rzeczach na doświadczeniu; zręczniejszą grę byłby odgadł z łatwością, tym atoli razem, bądź że w istocie nic nie spostrzegał, bądź że nie chciał postrzegać, często udawał gospodarskie zatrudnienia i przyjaciela samego słał w odwiedziny do małego domku.

Bóg raczył to wiedzieć, jakie zamiary hodował w głębinach myśli. Zapewne tym sposobem chciał jedno z dwojga wystawić na próbę, okazać gościowi pierwszy a główny warunek przyjaźni: zaufanie bez granic — a może też pragnął dowieść pośrednio zalotnikowi bezskuteczności jego zalotów.

Po sercu ludzkiem, mianowicie po takiem, jakie było serce pana domu, wszystkiego można było się spodziewać.

Człowiek ten posiadał szczególną łatwość przewrotów charakteru i usposobień. Od pewnego czasu zwłaszcza wpadał w niezwykłe zadumki, widocznie tracił wesołość, chmurzył w niepokój oblicze, przymuszał się do swobody. Przymus mu nie był do twarzy — rysami kłamać nie umiał.

Juljusz uważał, że podobne rozstroje napadały go perjodycznie po coraz częstszych od kilku dni rozmowach ze starym rządcą. Snać wierny sługa za każdem posiedzeniem wyjaśniał mu nową a bolesną stronę prawdy.

Juljusz postanowił zgłębić tajemnicę.

Pewnego wieczora, gdy obaj znaleźli się sami, a Wilczek z zaciśniętemi ustami i z założonemi ramionami przechadzał się szybkim krokiem, Pylades jego, zmęczony ciszą, odmierzaną

stopami gospodarza, powstał i donośnym głosem krzyknął na służbę.

— Janku! — rzekł do wchodzącego — powiedz piwniczemu, że pan hrabia każe nam tu dostawić parę butelek starego węgierskiego wina, tylko co najstarszego, rozumiesz? — Biegaj! —

Chłopiec zniknął. Wilczek na te słowa ocknął się z zamyśleń, spojrzał zdziwionym wzrokiem na wydawcę rozkazu.

— Dziwi cię moja myśl? — mówił Juljusz zamaszystym nieco tonem. — Cóż mamy lepszego do roboty; na frasunek znasz jedyne lekarstwo? Do klasztornego milczenia żaden z nas nie przyzwyczajony; wino rozwiązuje języki — ja sam nieswój dziś jestem, potrzebuję wzmocnienia, trochę balsamu wesela. Na honor, Władziu, albo przemówisz, albo powiesz, zkąd ci ten kamadulski obyczaj? — Od kilku dni cię nie poznaję! — Do gorącego piekła! — przedemną nie potrzebujesz przecie nic taić?

Butelki okryte szanowną pleśnią, stały już na stole.

— Słusznie mówisz, Juljuszu — odparł Wilczek — ale jeszcze mniej potrzebuję nudzić cię nieznośnemi szczegółami, jakiemi od pewnego czasu ludzie moi suszą mi głowę. Stary Bednarzewski, pod pozorem że mię kołysał niegdyś na kolanach, chwili odpoczynku mi nie daje. Usypiał mię, gdy byłem dzieckiem; zgoda! Ależ na Boga żywego! dziś mógłby oszczędzić sobie trudu; zasnąć i bez niego potrafię.

— Stary Bednarzewski jest człowiek jakich mało; wszyscy ci go zazdroszczą. Jeżeli zrzędzi, to nie bez kozery.

— I cóż mi tem pomoże?

— Zapewne; słowa nie pomagają — często jednak więcej szkodzi milczenie. Mięszać się w twoje dzieła tyle tylko mam praw, ile mi ich udziela przyjaźń moja ku tobie i zaufanie, jakie we mnie pokładasz. Choćbyś się więc na mnie rozgniewał, powiem ci szczerze, mój Władziu, że czas abyś o sobie pomyślił. Prawdy nie ma co owijać w bawełnę; zła to usługa. Rozumiem że nieprzyzwyczajony do gospodarskich i majątkowych kłopotów, przez wstręt ku szczegółom nie chcesz poglądać na ogół. Dla przyjaciół twoich atoli, dla sercem do ciebie przywiązanych, sprawa nie może być obojętną. Przed dwoma tygodniami

widziałem hipoteczne twoje księgi; rządca twój zna je bez wątpienia lepiej odemnie. Powiadasz, że ciebie usypia; ja zaręczam, że on sam zasnąć nie może; bynajmniej nie dziwię się, że zrzędzi.

Wyborny węgrzyn! Po myszce widać, że nie za naszych czasów wstawiono go do piwnicy.

— Mało zajmowałem się dotąd interesami, nie przeczę — prawił Wilczek, jak gdyby domawiał zaczętej w duszy myśli. — Nie moja wina! Natura rozmaicie ludzi usposabia. Nie urodziłem się na spekulanta; rachować nie umiem; liczby kłują mię w oczy. Wolałbym raczej nie żyć, niż za każdym krokiem biegać do regestrów, pytać gdzie granice mojej woli, o co mają się rozbić moje upodobania? Dopóki było z czego, żyłem jak na mnie przystało; żyli przy mnie i drudzy. Skoro kassa głuche dno pokaże, żyć pomimo to nie przestanę; inni więcej na tem stracą. Na mą duszę, dbam o majątek jak o próżną butelkę! W potrzebie dałbym rady skarbom Wielkiego Mongoła; w biedzie umiem poprzestać na małem; z niczego wyżyję. Świat mi zbrzydł do niewypowiedzenia. I cóż stracę? — Że nie pojadę do Wiednia na wyścigi, do Lwowa na zapusty, że zamknę dom na roścież dotąd otwarty, że na kontraktach nie będę poił i żywił czeredy, która dopóty o mnie pamięta, dopóki świecę jej przed oczyma. Uciechy te solą mi w oku — Bóg świadkiem! Do Wiednia dziś wysłałbyś mię chyba za karę — głupstwo austrjackie kością stanęło mi w gardle. Chceszże, abym płakał za plotkami Lwowa, abym rozpaczał za nędznym bytem tego małego miasteczka, które bezemnie nie byłoby weselszem od rzymskich katakomb? Czyliż nie widziałeś, że musiałem przed niem uciekać w gwałtowny war życia, którego sam byłem stworzycielem? Nie idzie o pieniądze; mogę mieć pełne kieszenie złota — i cóż z niem pocznę, gdy sił mi zabraknie? Samemu jednemu za ciężko ciągnąć wóz napełniony ludźmi, którzy o własnych siłach na krok ruszyć nie potrafią. Przekonasz się, jak sobie poradzą, gdy ich porzucę, choćby dla samej ciekawości, jak się bezemnie obejdą. Prawdę wyrzekłeś; czas nie tylko pomyśleć o sobie, ale żyć zacząć dla siebie — czas zaprzestać głupich poświęceń dla niewdzięcznej zgrai. Dążyłem tam zawsze, gdzie mię niosły moje upodobania; dziś zmienił się ich

kierunek. Samotne życie milszem mi nadewszystko. Konia ostatniego wierzyciele z podemnie nie wezmą, a i na chlebie, chociaż razowym, nie tak prędko jeszcze zabraknie. O resztę nie dbam!

Wilczek zapalał się do własnych marzeń, mówił o spoczynku, o słodyczy wiejskiego zacisza, tonem właściwym raczej do wypowiedzenia walki, do rzucenia się w bój.

Juljusz odgadywał rzeczywistość pod gęstym obłokiem złudzeń.

— Pojmuję twoje rozumowanie — rzekł uroczyście, chyląc ku kieliszkowi butelkę — porwał cię niesmak do świata, pod niebo wynosisz samotność. Na dziś masz słuszność, ale czy potrafisz zaręczyć, że jutro inna myśl ci nie przyjdzie? Gonisz za upodobaniem; zmienność jest główną cechą tego systemu. Co powiesz, jeżeli jutro porwie cię chęć powrotu na dawny tryb życia?

— Nie znasz mię, Juljuszu — ale mniejsza o to; przyjmuję twoje przypuszczenie. Pozbawiony dawnych środków, wracam pomimo to do dawnych zwyczajów — i cóż z tego? Stałem na czele młodzieży; pochlebiam sobie, że nie majątkowi jedynie zawdzięczałem to stanowisko. Daj tyle rocznego dochodu, ile miałem majątku, Damianowiczowi z Potulina albo Rafałowskiemu z Hłuszczy — że już o wielu innych nie wspomnę — proś ich, niech mię zastąpią! Z wroniego gniazda orląt nie wybierzesz. Z majątkiem czy bez majątku, w kraju czy za granicą, Wilczek zawsze będzie Wilczkiem; niejeden miljonowy pierwszy się mu ukłoni, przyjaźń jego każdy za zaszczyt poczyta, rękę jego każdy z pośpiechem uchwyci. Mówię otwarcie jak przed przyjacielem; znasz mię dość, abyś nie wątpił, że nie wygórowana miłość własna przezemnie przemawia, ale uczucie godności, na którą uczciwie sam zapracowałem.

— Znam — odparł Juljusz — i słowom twoim nic nie zarzucam, jak również nie przeczyłem, że na rachmistrza się nie urodziłeś. Nie wszystko każdemu dane. Podczas gdy ty jednak pod tylu względami wyprzedziłeś przyjaciół, przyjaciele ze swojej strony nie mogą i nie powinni — tam gdzie idzie o twój byt — zostawić cię smutnemu dla nich lekceważeniu własnego

dobra. Co do mnie, wyznam, że widząc cię na tej drodze, lękam się spojrzeć w przyszłość.

— Naśladuj mnie, nigdy w nią nie patrz; wiesz dobrze że ona nie od nas zależy. Ha! gdybym był o przyszłości pomyślał, nie byłbym nigdy wsiadł na konia, pistoletu ani szabli nie byłbym wziął do ręki, jednej bezsennej nocy bym nie przepędził, trzeciego kieliszka wina bym nie napoczął. Byłbym założył kram towarów we Lwowie, żył jak ostryga, nie kochał, nie nienawidził, nie zaznał roskoszy zmęczenia, ani słodyczy wypoczynku. W czemże nadzieje mię dotąd zdradziły i dla czego nadal nie miałbym im zaufać?

— Dla tego, mój Władziu, że nadzieja jest kobietą. Kobiety do młodych tylko się wdzięczą; skoro jednak raz krew w człowieku ostygnie i zmarszczki na czoło wystąpią — bywaj zdrów!

— Jak do czoła i do krwi, Juljuszu. Zgarbiona postać lub rumiane oblicze, pamięć dawnych wypadków lub kościelne metryki, dla mnie wieku jeszcze nie dowodzą. Patrz! pokażę ci takich znajomych, którzy z dziecinnych niemal lat, sami nie wiedząc kied, przeszli w zdziecinnienie. Spojrz w drugą stronę, na mego Bednarzewskiego. Świat zwie go starym; przysięgam ci, że żaden z nas w ośmnastym roku życia nie miał tak gorącego serca, tak niezmordowanej czynności. Ja sam nie czuję w sobie ubytku sił, a jednak przypatrz się mojej głowie: na skroniach już gdzieniegdzie siwy włos przebłyska. Ten tylko starzeje, kto nie ma woli być młodym. Barwa włosów, powierzchowne oznaki, dobre tam, gdzie wola i wewnętrzne życie nie są wszystkiem. Niejeden wulkan garb nosi na grzbiecie i pomarszczoną ma skórę, a przecież ciągle ogniem wybucha.

— Niejeden też zagasł, mój Władziu; ale dla tego, że nie gore, nikt o nim nie wspomina. Widziałem dziarskich starców, to prawda — ale widziałem też, że dzielność ich w późnych latach zużywała się na czem innem, niżeli w młodości. Na starość często namiętnie gonili za tem, co w młodzieńczym wieku, dla zadowolnienia innych namiętności, marnotrawili pełnemi garściami. Pozwalam że siła oprze się latom; ale czyliż z wiekiem nie może zmienić kierunku i celu? Z nazwiskiem, z ma-

jątkiem, cel każdy zawsze i wszędzie jest ci przystępnym. Bez majątku przyjdzie chwila, że samemu sobie staniesz się ciężarem.

Wilczek zamyślił się.

— Pieniądze i zawsze pieniądze! — rzekł z gorzkiem uniesieniem. — Słuchając was, zdaje się, że dusza ze złota jest ulaną, że człowiek zamiast serca nosi worek talarów. Czyliż nie ma już rzeczy na świecie, którejby nie można zakupić, nie ma nieszczęścia, z którego niepodobna się wykupić, nie ma prawdy, którąby dała się przekupić? Nie ty jeden mi to mówisz, Juljuszu: wszyscy śpiewają tę samą piosenkę. A jednak przypominaj sobie, z jakich przeciwieństw nieraz się wydostałem — i dzięki czemu? — Pewno nie moim pieniędzom! Jeżeli słowa twoje niezwalczoną są prawdą, nie ma dość przekleństw na podobny porządek.

Juljusz powstał, w surową powagę wystroił oblicze, struny głosu naciągał na uroczysty ton.

— Długo — rzekł — mój Władziu, cierpliwie słuchałem; winienem ci teraz szczerą odpowiedź. Odrzućmy na bok sentymentalne zachwyty nad ideałem, poetyczne wyrzekania na zepsucie świata; żaden z nas go nie przerobi; musimy go przyjąć jakim jest.

Sądziłeś, żeś wyrzekł retoryczny frazes, bajeczną metaforę? — Powiedziałeś prawdę, niezaprzeczoną prawdę! Tak jest, nie ma rzeczy na świecie, którejbyś na targu nie dostał. Znaczenie, wziętość, cześć, miłość, przyjaźń, szacunek, roskosz, zabawę, spokój, wzruszenia; przedewszystkiem zaś niepodległość, świętą niepodległość — oś szczęścia ziemskiego — wszystko znajdziesz wewnątrz tego okrągłego, świecącego przedmiotu, opatrzonego rządowem znamieniem, a który toczy się szybciej niż gwiazdy, błyszczy jaśniej niż słońce, znika prędzej niż błyskawica. Na przestworze światowych stosunków człowiek z kiesą pod pachą nigdy nie utonie, chybaby, jak tego na panu Poraju świeży przykład mieliśmy we Lwowie, własnowolnie kamień sobie do szyi uczepił.

Przy pieniądzach głupstwo jest oryginalnością, płaski dowcip przedziwnym rozumem, zuchwalstwo rycerską odwagą, szumowiny miałkich wiadomości głęboką nauką, pospolite,

powszednie zdanie nieodwołalnym, salonowym sądem, karczemna rubaszność wdziękiem, szpetność krasą, chytrość zręcznością, występek wesołem roztargnieniem, błąd ciężki lekką pomyłką, wada zaletą, zaleta genjuszem. Pieniądz wszystko opromienia, wyszlachetnia, do nieskończonej potęgi wynosi, uniewinnia; pieniądz nie błaga, ale rozkazuje, nie przekonywa, ale narzuca. Czyliż jeden bogaty nasz magnat nie zabijał Żydów, każąc im na drzewach udawać kukułki? Naród śmiał się do rozpuku, podziwiał dowcip. Biedaka za pierwszą podobną krotochwilę byliby obwiesili bez miłosierdzia. Biada wydziedziczonym! — Wszystko co dodają pieniężnym, hołyszom ujmują w dwójnasób. Jednym chwała na oślep — drugim potępienie na zabój! Kto ma wiele, będzie miał więcej — prawią księża z ambony; kto mało — i to, co ma, zostanie mu odjętem. Dzieje się jak mówią. Jednym bez prośby wszystko do nóg się ściele; drudzy przy zasłudze, ze łzami nic nie wymodlą. Uczynki ich podejrzane, słowa nieszczere, myśli zdradliwe, milczenie obłudą, cnota rachubą, praca niechętnie i zawsze niedokładnie spełnionym obowiązkiem; światło ich ciemnością, prawda fałszem, dobro złem, skromność przekonaniem o własnej głupocie, zaleta niczem, słabostka człowiecza haniebną wadą, wada występkiem, występek zbrodnią, zbrodnia źródłem nieubłaganej, strasznej pomsty, choćby na całe pokolenia.

Biada! — powtarzam — po trzykroć biada wydziedziczonym!

W stosunkach światowych nie zawsze od razu odgadniesz, czemu jeden wybija pokłony, za czem drugi goni, co inny wynosi pod niebiosa, w co tamten patrzy jak w tęczę. Po szyldzie nie sądź o sklepie. Ludzie jak dzieci wypiszą na piasku: «Tu pałac», i wnet gniewają się, gdy kto nie raczy uwierzyć w rząd kolumn doryckich. Weź atoli nitkę tajemniczego kłębka, poszukaj prawdziwych przyczyn, wejrzyj w głąb rzeczy: dostrzeżesz jedną dźwignię, jedną sprężynę ich działań — pieniądz, lub to, co za niego można dostać.

Jeżeli kiedy sam siebie tak dalece znienawidzisz, że u piekła poprosisz zemsty nad sobą, sprzedaj wszystko co masz, pieniądze wyrzuć za okno. Lepszej rady nie da ci Lucyfer — —

Wilczek słuchał; giął się jak kłos pod wichrem argumentów Juljusza; żywa jego wyobraźnia chwytała każdy obraz i rozwijała w szereg nieskończonych następstw. Byłby pragnął zaprzeczyć; dowodów na odparcie nie mógł wynaleźć. Na dnie sumienia słaniało się mu mgliste uczucie prawdy; wyrazić je, nie w jego ducha było sile. Za pierwszym atoli napadem nie chciał uznać się zwyciężonym,

— Świat z różnych stron — rzekł — można malować, stosownie do szkła, przez jakie malarz pogląda; idzie tylko o to, aby wiedzieć jak łamią się kolory, które do przedmiotu, a które do szkła należą.

— Zapewne — odparł Juljusz — w rzeczach czystego uczucia lub przeczucia, w sferze fantazji, w doborze kolorów, w tłumaczeniu snów, w odgadywaniu przyszłości z kart, każdy ma swoje szkiełko. Na kwestje żywotne, rzeczywiste, jasne jak dzień, proste jak dwa a dwa, cztery — dość gołego oka i trochę własnego doświadczenia. Ty, Władziu, nie miałeś sposobności nabyć ostatniego. Od pierwszych lat, na drodze o jakiej mówię, zamiast przeszkód spotykałeś wygody. Poznałeś wszystkie korzyści posiadania, nie doświadczyłeś żadnych następstw braku. Do wrodzonych zalet, do rodzinnego klejnotu, dodałeś kosztowną oprawę, inaczej wierzaj mi, byłbyś mniej błyszczał. Jam poznał jedno i drugie: widziałem uśmiechy, słyszałem zgrzytania. Gdybyś tylko mógł przeczuć kielich ten osłodzonych i niewinnych upokorzeń! — Za pierwszą kroplą wpadłbyś w szaleństwo. Ja poiłem się z niego pełnemi usty — gorzka, straszna trucizna! —

Od dwóch miesięcy, ledwom trochę na wierzch wypłynął, co za nagła i zupełna odmiana! — Serdeczny śmiech mię porywa —

Ludzie, którym dotąd byłem obojętnym, ściskają mię jak przyjaciela, zewsząd do mnie się odwołują, pytają o radę, zanoszą od uwielbień, nim usta jeszcze otworzę; każdy chce mieć mię gościem, powiernikiem, druhem. Jeżeli dalej szczęście mi posłuży, nie będę mógł opędzić się życzliwcom. Zaduszą mię w uściskach.

Alleluja! — Chwała panu na wysokościach pełnego worka!

Ale niech mi przypadkiem noga znów się poślizgnie! — wiem co mię czeka — nie darują dzisiejszych kadzideł!

Trzeba przyznać, że doskonałe masz wino. Władziu! nie poznaję cię! — Od kwadransa kieliszek twój stoi nietknięty. Uczono cię zapewne w szkołach, że cześć złotego cielca oddawna poszła w niepamięć; radzę abyś za pierwszem spotkaniem zażądał od twoich mentorów zwrotu pieniędzy.

Mówiłem dotąd o sobie. Mógłbym teraz na poparcie słów moich przytoczyć kilka nieznanych ci wyjątków z własnej twojej historji.

Po wyjeździe twoim ze Lwowa widywałem ciągle mnóstwo ludzi. Rozmowa często padała na ciebie, i jak zwykle, przedewszystkiem zaglądano ci do kieszeni. Śledztwa te nie musiały wykazywać korzystnych dla ciebie wypadków.

Pamiętam niedawny jeszcze zwyczaj zaklinania się na przyjaźń ku tobie. Zwyczaj ten poszedł w poniewierkę. Zastąpiły go dwuznaczne uśmiechy, cierpkie przygryzki, surowe czasami uwagi, w których obronie nikt nie śmiał podnieść głosu. Nie hymn pochwalny ci śpiewają, ale pogrzebowe treny; oczywiście trącisz już dla nich pieniężnym trupem. Powszechnego chóru jeszcze nie zawodzą; nie są zupełnie pewni nuty; gotów jesteś nagle zmartwychwstać. Przyzwyczaiłeś ich z twojej strony do tak niesłychanych niespodzianek! — Niech atoli przeświadczą się, żeś zginął na dobre — obaczysz jak cię pochowają.

Bądź spokojny; otwarcie nikt nie napadnie; wiedzą, z kim mieliby do czynienia. Wreszcie kogo i za co się uczepisz? — Obojętność nie jest zniewagą, zaocznych zaś pogłosek nikt ci nie powtórzy. Niedawno jeden z najszczerszych twoich przyjaciół rzucał z przekąsem uwagę, że straciłeś głos, że zaczynasz cienko śpiewać, że wiejskie powietrze bynajmniej ci go nie wróci, zwłaszcza jeżeli będziesz zmuszonym ostatnie dźwięki wydać na duetto z komornikiem.

Skończona butelka — amen! Ostatnia kropla dla ciebie — szczęśliwa wróżba. —

Wilczek nasunął brwi na oczy, zacisnął pięście.

— Któż taki? — zapytał głosem, którego drżące, stłumione tony zapowiadały wewnętrzną burzę ducha. — Po-

wiedz mi, Juljuszu — przecież między nami nie ma żadnych tajemnic!

— Wymagasz odemnie, mój Władziu, rzeczy, której sam nie dopuściłbyś się za żadną cenę. Imiona własne nic wreszcie nic dodają do dzieła. Chciałem ci tylko dać próbkę jednego, z najpowszedniejszych obrotów ludzkich stosunków. Na honor, nie byłbym wspominał o niczem, gdybym ważniejszych rzeczy, gdybym dobra twego nie miał na celu. Znam cię, mój Władziu, lepiej, niż ty znasz sam siebie. Ród twój, charakter, serce, upodobania, same nawet zalety, koniecznie wymagają, abyś zachował w społeczeństwie świetne stanowisko. Porwany niewyrozumowanem uniesieniem, chwilowym niesmakiem do świata, mniemasz że łatwo ci przyjdzie dokończyć długiego jeszcze życia w zapomnieniu wiejskiego zacisza. Więcej w tem gorączki niż prawdy.

Nie obejdziesz się bez świata, nie wytrzymasz samotności, nie zniesiesz przykrych odgłosów, które nakoniec przedrą się kiedyś do ciebie. Musiałbyś przestać być samym sobą. Dalej idę. Przypuszczam że natura twoja, że skłonności, upodobania, w mgnieniu oka rdzennie się przeistoczyły. Wstręt twój do świata niewyleczony — wzdychasz za samotnością, za spokojem, zrywasz wszystkie stosunki, zamykasz się na wsi, otaczasz chińskim chmurem.

Żywot pustelniczy, jak każdy inny, o tyle ma w sobie powabu, o ile jest dobrowolnym i wolnym, o ile jutro go możesz porzucić — o ile zmiana w każdej chwili jest ci łatwą. Niewola, choć w złotych kajdanach, jest zawsze niewolą — cóż dopiero, gdy los ukuje ci kajdany z daleko mniej szlachetnego kruszcu!

Ty, Władziu, miałbyś wycierpieć i pozwolić konieczności, aby cię wzięła na uwięź? Prędzej uwierzyłbym, że Dniestr ogniem był spłonął. Wreszcie zastanów się: ten spokój, za którym gonisz, dla którego poświęcasz rzeczywistą stronę życia — wszędzie znajdziesz go więcej niż na wsi u siebie. Skoro majątek twój w posadach raz się zatrzęsie, skoro zaświeci szczelinami i gruz się z niego posypie — wierzyciele, woźni, prawnicy, Żydzi i Chrześcianie, doradcy i dobijacze, jako drapieżne kruki zewsząd spadną na dach twego pałacu. Każdy będzie chciał

porwać jak największą część zdobyczy. Od świtu do nocy trzymany w oblężeniu, sto razy na dzień przeklniesz życie.

Gdyby przynajmniej na dnie tego piekła było zwycięstwo — ale daremne złudzenia! Trzykroć wyszedłeś nietknięty z ciężkich niebezpieczeństw; zadławią cię tym razem pod stosami obwieszczeń, pozwów, wyroków. Kto raz niebacznie w koło sądowe palec zaplecie, temu nieubłagana machina i resztę ciała w miazgę potrzaska. Od powietrza, od głodu, od ognia, od wojny — prędzej się ustrzeżesz; raz popadłszy w ręce Temidy, winny lub niewinny, musisz zginąć.

Nie — nie, mój Władziu, nie dopuścisz, aby rzeczy tak daleko zaszły. Stanowisko nie jest jeszcze straconem. Zawiść czeka na twój upadek; niechże doczeka się nie upadku, ale świetniejszego niż kiedykolwiek wywyższenia. Hydra zazdrości podnosi ku tobie syczące żądła; zgnieć jej głowę potężną stopą. Dopóki świat za sprawiedliwe uwielbienie blasku będzie od ciebie wymagał, pogardź pochlebnym jego sądem, zasłoń się przed nim chmurą obojętnego osamotnienia; w potrzebie jednak, gdy zdejmie cię chętka, gdy przyjdzie ci upodobanie, umiej jak dotąd rzucić mu w twarz garście złota, choćby mu krew oczami miała wytrysnąć. Nie wolno ci ustępować z pola, do wygrania zaś bitwy, do tryumfu, w twojem położeniu dość silnej woli. — —

— Woli! — powtórzył z szyderskiem niedowierzaniem Wilczek, w którym słowa Juljusza roztargały wszystkie struny miłości własnej, próżności i dumy. — Woli, powiadasz, jak gdybyś nie wiedział, że chęć od możebności przepaść częstokroć przedziela. Wiele jest prawdy w tem co mówisz; nie przeczę i dodam nawet, skoro już raz wpadliśmy na kolej wynurzeń, że dziś rano Bednarzewski przyniósł mi dokładne sprawozdanie o moich interesach. Sprawozdanie niepomyślne, bardziej zatrważające, niżelim sądził. Ale co począć, gdzie się obrócić, zkąd czekać zbawienia? Stało się! — Los rzucony; skarżyć się nie lubię, płakać nad niepowetowanemi stratami nie umiem. Jeżeli przyjdzie uledz — ulegnę; oczu togą nie zasłonię: zginę jak gladjator, z wzniesionem w górę obliczem. Łaski błagać nie będę, ratunku zaś nie widzę, choćbym nadludzką wolę z siebie wywołał.

— Nie moja w tem wina — odparł Juljusz. — Ja widzę ratunek, widzę jak najwyraźnicj.

— Gdzie? — mów? —

— Chwilę cierpliwości, Władziu! Postawmy najprzód kwestję w prawdziwem jej świetle; wypadek znajdzie się na dnie logicznego rozumowania. Majątek twój byłby aż nadto wystarczającym, gdyby nie upadał pod ciężarem hipotecznych i niehipotecznych długów. Długi zatem są głównym i jedynym wrogiem, którego nam trzeba pokonać.

— Wyobrażasz sobie, mój Juljuszu, że rozumujesz? Dotąd nic nowego nie powiedziałeś. Oczyść z długów zadłużony majątek, będzie czystym — nieprawdaż?

— Prawda; dla tego też mówię, że przedewszystkiem należy uprzątnąć długi.

— Wiem — przerwał Wilczek zniecierpliwiony — ale jakże je uprzątniesz?

— Jest na to jeden nieochybny sposób.

— Jaki?

— Trzeba je spłacić.

— Żartujesz sobie! Czemże ja spłacę?

— Pieniędzmi.

— Zkądże ich wezmę? — Mój Boże! — Czy masz kamień filozoficzny na podorędziu? Wiesz lepiej niż ktokolwiek, ile mi gotówki zostało we Lwowie.

— Wiem dobrze, że nie masz pieniędzy; należy ich dostać i to wcale nie sposobem pożyczki. Podobny środek zwie się łataniną i do niczego nie prowadzi. Najkrócej jest wystawić kosztowny jaki przedmiot na sprzedaż.

— Ha, ha! — na honor, straciłeś rozum! Posądzasz mię o przechowywanie skarbów Golkondy. Mogę ci przysiądz, że nie posiadam żadnych kosztowności; jeżeli zaś chcesz, abym kilka wiosek uprzedał — odpowiem, że w tej chwili każda wieś tyle zaledwie warta, ile dźwiga na sobie ciężarów. Rozmyślaj, szukaj, patrz — przekonasz się, że nic nie mam do sprzedania.

— Mylisz się — masz do sprzedania rzecz nader drogą, rzecz, za którą żaden z wierzycieli nie da ci ani grosza, a którą jednak możesz spieniężyć za sumę przenoszącą długi twoje i majątek.

— Zadziwiasz mię! Cóż takiego?

— Twoje nazwisko.

— Moje nazwisko? — Nie rozumiem.

— Do tysiąca szatanów! mój Władziu! zagadka przecież nie trudna. Jesteś młody, masz wziętość u ludzi, rzadkie zalety, powierzchowność, wysokie rodzinne stosunki — to wszystko ozłocone tytułem i jednem z najznakomitszych w kraju nazwiskiem. Powinieneś i musisz bogato się ożenić, a ożenisz się bogato, skoro sam zechcesz. Rzeknij słowo, a pierwsza w Galicji, w cesarstwie może dziedziczka padnie ci w objęcia.

Masz dwie drogi do wyboru: na jednej czeka cię zgryzota, rozpacz, wstyd, nędza, a może — o ile cię znam — i samobójstwo. Na drugiej spotkasz znaczenie, potęgę, szczęście, roskosz świetnego życia, ku jakiemu zdaje się, że los umyślnie cię stworzył.

Wybieraj! — —

Wilczek oczy wbił w ziemię, stał z założonemi na piersiach rękami, zatrzymywał w sobie oddech, jak gdyby lękał się przerwać subtelny wątek myśli, który snuł się mu po głowie. Juljusza w pokoju już nie było.

Rozpacz, nędza i samobóstwo! — Znaczenie, potęga, szczęście! —

Juljusz w kilku tych wyrazach zwarł mu całą przyszłość.

O własnych siłach niepodobna było się wydźwignąć. Uchwycić jedyny wskazany środek zbawienia, szukać nadziei w małżeństwie, żenić się, gdzie i z kim? — Sprzedawać? — Tak jest, Juljusz trafnie rzecz określił — sprzedawać się za garść złota, kłamać uczucie łatwowiernej istocie, która uwierzy fałszywym wyznaniom — i to wszystko dla nędznego widoku wypłaty długów! — I któż śmiał mu podobny zamiar nastręczyć, kto odważył się tak dalece zwątpić o szlachetności jego uczuć? —

A ona co pocznie? — Biedna dziewczyna! — Czyliż i ją należy zamordować na ołtarzu głupiej próżności?

Nie — nie, chociażby przyszło ugiąć szyję pod ostatnie jarzmo niedostatku i gorzkich upokorzeń! — Raczej zginąć!

Zginąć na duchu i na ciele — przestać żyć, własną ręką grób sobie wykopać, wtedy gdy serce namiętnie jeszcze biło,

gdy siły parły się do życia, gdy war uczuć, upodobań, popędów, kipiał i buhał na wsze strony? — Zginąć marnie dla braku kilku worków pieniędzy, dla niezapłaconych nędznych kilku długów? Samemu rzucić się na pośmiewisko, zostawić po sobie pamięć wzgardy? — Zginąć — dobrowolnie przeciąć pasmo wiernego dotąd szczęścia, nieustannych uciech, hołdów składanych wyższej, daleko wyższej nad powszednie, naturze; w jednej chwili zniweczyć tyle wrodzonych zalet, tyle nabytych przymiotów? —

Ach! świat ten, pomimo niesmaku, jaki często na dnie kielicha roskoszy osadzał, pomimo wszelkich skarg, żalów, wyrzekań — świat ten rzeczywisty, ozłocony słońcem, widomy, krył w sobie jeszcze niewyczerpane skarby wesela!

Oczywiście, Juljusz był człowiekiem praktycznym w całem znaczeniu tego wyrazu. Juljusz doskonale rozumiał, że osamotniony byt na wsi, przyklepany na jednostajne warstwy zawsze tych samych wrażeń, urozmaicony tylko nawałem ciężkich w przyszłości kłopotów, zbezczeszczony ciągłą a gorzką komedją własnego niby wyboru, w treści zaś upokarzający niewolnictwem — byt taki był piekłem na ziemi.

W mieście ani się pokazać! — Palcem wytknęliby go przyjaciele — jego, którego na szerokim gościńcu życia nikt niegdyś nie mógł dogonić — jego, który dla starych i dla młodych, dla drobnych i dla znakomitych był niedawno temu wzorem, przedmiotem zazdrości, podziwu, powszechnych uwielbień, hucznych oklasków.

Kto prędko gaśnie, temu nie trudno zabłysnąć — zewsząd by powtarzano. Ha! żyć tak, jest to być pochowanym za życia i na własnej mogile słyszyć, zamiast mów pogrzebowych, szydercze poświsty! Ci sami, którzy wczoraj nosili ubóstwionego na rękach, mieliżby jutro nogą potrącać strzaskane losem bożyszcze? —

Zwolna! — Chmura z piorunem tym we wnętrznościach jeszcze gdzieś daleko za morzem. Złość ludzka zawcześnie podniosła wrzaski tryumfu; dąb stał jeszcze nietknięty, choć mu burza nadłamała kilka gałązek.

— Zapewne! — Ale cóż się stanie z cichym kwiatkiem, wyrosłym w zaufaniu pod cieniem jego konarów, miłośnie przytu-

lonym do króla puszczy? Trzebaż go będzie zaniechać szalonym wichru porywom? —

Na Boga żywego! sercu rozkazywać niepodobna! Człowiek w chwili uczucia wie tylko że kocha; dla czego jednak dziś a nie wczoraj pokochał, czemu jutro kochać przestaje, kiedy w nim uczucie się zapala, kiedy gaśnie? — Niewytłumaczona ducha ludzkiego zagadka!

Pewnem jest tylko, że zmuszać się do miłości wtedy, gdy serce milczy upornie, jest to kłamać niegodnie przed własnem sumieniem, upokarzać się, słusznie przed samym sobą potępiać, samowolnie strącać się na ostatni szczebel poniżenia, na pogardę samego siebie.

W podobnych chwilach zwątpienia, w walce obowiązku z uczuciem, gdy człowiek na wsze strony niepewnością kołatany, nie wie, na którą szalę cisnąć ostateczne postanowienie, jedyną skazówką dla jego czynu jest prawda.

Dopóki kocha, wszystkie inne względy winien poświęcić uczuciu; gdy kochać przestaje, nie wolno mu wydawać życia na fałsz. Jakiekolwiek skutki prawda miałaby za sobą pociągnąć, sumienie tę jedną drogę mu tylko wskazuje.

Szczęśliwy kto może wycofać się z podobnych położeń, nie zostawując krwawych śladów za sobą, nie słysząc głosu rozpaczy, jęków boleści, wydartych z piersi ofiary poświęconej prawdzie!

Życie atoli jest walką; każdy stosunek bojem, w którym jedna z dwóch stron koniecznie ulega. Nie człowiek, ale los wybiera i poświęca ofiary; trzeba poddać się przeznaczeniu. Tem gorzej dla zwyciężonych! — Słusznie powiedział Juljusz, doświadczony, praktyczny zapaśnik w szrankach światowych stosunków.

Dzielne wreszcie umysły łatwiej znieść potrafią cios gwałtowny, doraźny; nieustannej ulewie drobnych pocisków nie oprze się żadna odwaga, żadna wytrwałość.

Na rozpaczne położenia rozpacz tylko może podać środki; mniejsza o ból chwilowy, choć straszny! Szalony, kto nie ucina chorego palca, kto czeka aż mu gangrena całe ciało obejmie; szaleńszy daleko, kto w dwudziestu kilku latach życia rzuca rękawicę wszystkim od razu przeciwnościom, bez żadnych

wojennych zapasów, bez żadnego prawdopodobieństwa wygranej! —

Ha! nie ma nad czem się zastanawiać! Juljusz obiecał zbawić, niech zbawia; niech daje do wybrnięcia z labiryntu cudowny środek na pokruszenie zawad — on, który nieraz z głębszych dobywał się przepaści, człowiek praktyczny! —

Wilczek patrzył z pod oka, czoło coraz gęściej namarszczył; przeklęty zamiar wybiegał mu na twarz: łamał konwulsyjnie rysy. Gdyby zawsze był nosił podobne oblicze, Nastusia nigdy nie byłaby go ukochała.

Logicznym spadkiem pojęć, winowajca wbiegł myślą na długi szereg oburzeń przeciw zmienności niewieścich uczuć.

I ona także była kobietą — mniej świadomą towarzyskich stosunków, ale w ostatnim wypadku nie lepszą od innych. Brak sposobności uchował ją od zepsucia, ustrzegł od winy — gdyby się jednak znalazła śród grona spółzalotników, gdyby dym hołdów, pochlebstw, kadzideł uderzył jej do głowy! — Ach! ona także była kobietą!

Wilczek gorzko się uśmiechnął.

Kto wie — mówił sam do siebie — czy w tej chwili, zmorzona snem, nie marzy według zwyczaju, czy nie marzy o jedwabnych słowach, o lisich układach naszego gościa?

W istocie, Juljusz zdaje się być silnie dotkniętym wdziękami dziewczyny. Zawsze mu spieszno do domku, zawsze zawcześnie do pałacu; często nie czeka na gospodarza, idzie pierwszy, wraca ostatni, otacza Nastusię staraniami, spogląda na nią, pieści wzrokiem, kołysze słodkiemi wyrazy. Gdyby dziewczę odważyło się go pokochać! —

Ha! Wilczek nie czuje w sobie prawa zadawać gwałtu jej uczuciom; Wilczek szanuje własną wolność, podda się konieczności i wolność innych zarówno uszanuje.

Zatoczył dzikim wzrokiem; snać inny wniosek miał na myśli, ale przed sumieniem głośno lękał się go wyjawić.

Juljusz groził mu zagubą, radził sprzedaż samego siebie jako jedyny środek zbawienia. Wilczek ze złym swoim duchem dobijał targu.

Nastusia tymczasem, którą oskarżano o marzenia, zaczynała — przeciwnie — budzić się z marzeń; smutne przeczucia

ze snu kilkutygodniowego szczęścia, przywoływały ją na jaw niedoli rzeczywistego życia.

Ustały długie wedwójne rozmowy, poranne przechadzki na łąkę, do lasu; wieczorne wycieczki na rzekę.

Wilczek tłumaczył się, że gościa nie może opuszczać; po całych dniach zostawiał ją samą — samą, gdyż odwiedziny w towarzystwie nierozłącznego Juljusza więcej sprawiały jej udręczeń, niż pociechy.

Targana tajemną trwogą, biedna, jedną tylko widziała przed sobą nadzieję. Gość nie mógł na zawsze osiedlić się w pałacu; musiał przecie kiedyś wyjechać i zabrać z sobą obojętność, jaką kochanek od przyjazdu natręta jej okazywał.

Zaprawdę, sprowadziła go tu nieszczęsna godzina; zjawił się jak czarna chmura i tak widnokrąg zasłonił, że odtąd promyk pogody nie miał kędy wpaść jej do duszy.

Próżne nadzieje! Dnie jedne po drugich mijały, mnożąc zwątpienia i gorycze — o wyjeździe gościa słychać nie było; na opak: Juljusz każdego dnia mawiał o jutrze, obiecywał powrót — często bowiem sam już do domku przychodził — tłumaczył nieobecność Wilczka zatrudnieniami z rządcą, mnogiemi listy, tysiącznemi, Bóg wie o ile prawdziwemi, pozory.

Nastusia musiała przyjmować go po ludzku; ale gdy odszedł, załamywała ręce, we łzach tonęła, prosiła nieba o zmiłowanie, czuła że sił jej niebawem zabraknie. Nieraz myślała sobie, że mieć kochankę i przyjaciela, to na jednego za wiele. Ona nikogo nie miała na świecie, dla tego też może tem więcej kochała.

Wilczek w istocie od niejakiego czasu podwoił dla gościa względów i oznak przyjaźni. Zdał się mu zupełnie na łaskę, wezwał do majątkowych narad ze starym rządcą, słów jego słuchał jak wyroczni, rady we wszystkiem zasięgał. Sam pilny wykonawca wspólnie powziętych postanowień, szczerze wziął się do pracy, wysyłał posłańców, rozpisywał listy, łagodził natarczywych, używał kolejno obietnic, prośby i groźby, oddalał wybuch. Juljusz poprzysiągł, że byle zyskać na czasie, zbawienie było niezawodnem.

Łatwo pojąć, że zatrudnienia te nie pozwalały mu jak dawniej, dni całych spędzić z Nastusią. Nie zdawał się też srodze

na tem cierpieć; wyprawiał do niej towarzysza, za odchodzącym atoli dziwnym często poglądał wzrokiem.

Pewnego dnia Wilczek od samego ranka w szczególniejszym był usposobieniu. Roztargniony, blady, snać noc bezsennie na gryzących myślach przepędził; ręce mu drżały, w oczach skrzył żar gorączkowy; nie słuchał, gdy go pytano, nie odpowiadał, nie mógł znaleźć miejsca, ani chwili spokoju.

Potrzebował ruchu, samotności. Choć niebo zachodziło gęstemi chmury, nie zważał na oznaki burzy: kazał przyprowadzić konia i oznajmił, że wyjeżdża na przegląd poblizkich wiosek, zkąd zapewne wieczorem dopiero powróci.

Przyspieszony tentent oznajmił wkrótce, że jeździec nie szczędził ostrogi. Juljusz z uśmiechem dał odjeżdżającemu krzyżyk na drogę, spoglądał za nim dopóki nie zniknął, wrócił do pałacu, wziął jakąś książkę, nie wejrzał nawet na treść, z niesmakiem ją na bok odrzucił i zadumał się na chwilę. Nareszcie otworzył tylne drzwi od ogrodu i ruszył ku domkowi Nastusi.

Tym razem śpiew, jako pierwszego dnia przyjazdu, nie ostrzegał z dala przychodnia o weselu pięknej mieszkanki ustronia. Nastusia z głową na ręku podpartą, siedziała milcząca, zamyślona. Usłyszała chód męski, podniosła oczy; serce gwałtownie jej zakołatało — słuchała.

Nie — to nie on! To był ten drugi — ten drugi sam jeden. On zapomniał już ścieżki do domku, ten drugi z przeklętemi oczyma. Ach, gdyby chciał próg ominąć!

Otwarły się drzwi — wszedł Juljusz.

— Sam jeden! — westchnęła, powtarzając mimowolnie jedyną, ogarniającą ją myśl.

Juljusz chciał ująć białą rączkę Nastusi; dziewczyna z pośpiechem ją umknęła jak od rozpalonego żelaza.

Przywykły do dzikiego obejścia wieśniaczki, nie zważał na wstrętny jej ruch: wysłodził twarz, przymilił oczy, siadł obok niej i prawił pieszczonym głosem:

— Sam jeden, piękna moja pustelnico! Czyliż nie dość? — Władyś tylko co wyjechał; objeżdża gospodarstwo; zapewne nie prędko powróci.

— Wyjechał! — nieprędko powróci! — mówiła dziewczyna, która te tylko zasłyszała wyrazy. — Ach! dawno temu, już był raz wyjechał! Pojechał i długo, długo nie wracał; myślałam że nigdy już nie wróci. Dziś znowu wyjeżdża, i znowu myślę, że na długo ucieka. A dawniej jeszcze — przed rokiem — przed dwoma-roki, nie potrzebował spieszyć z powrotem, bo choć wyjeżdżał, to zawsze i wszędzie było go pełno. Teraz, gdy na chwilę wyjdzie, gdy ledwo do pałacu się oddali, wszystko z sobą zabiera.

— Nie ma się czego smucić, Nastusiu! — odparł Juljusz, tłumiąc niezadowolnienie — zaręczam że wieczorem powróci. Wreszcie chociażby dziś wcale nie wrócił, czyliż bez niego jeden dzień taki ci trudny?

— Jeden dzień! — Co panie nazywasz jednym dniem? Od wschodu słońca do zmroku? — Nie wiesz ile razy przez ten czas serce może zaboleć, a boleść czas wyciąga, oj! wyciąga bez miary. Kiedy niedola z rankiem się zacznie, południa ciężko doczekać, a gdy południe nadejdzie, do wieczora rok przynajmniej upływa. Innym razem dnia nie ma; ranek, południe i wieczór mignęły jak błyskawica; szczęście je gnało przed sobą. Prawdę mówiłeś, panie; dzień taki jeden trudniejszy dla mnie, niż zdołam wypowiedzieć.

— Biedna moja maleńka! — rzekł Juljusz z spółczuciem — zgaduję ile musisz cierpieć, jak nieraz sama się nudzisz. Grzech też niedarowany samotną cię zostawiać. Tyle razy mówiłem to Władziowi! Nieszczęsna głowa! Mądry kto z nią dojdzie do ładu! Gdyby nie moje namowy, jeszcze byś rzadziej go widywała. Bóg świadkiem, nie pojmuję jak mając skarb taki przy sobie, można do tego stopnia być ślepym, jak można gdzieindziej niż w domku jedną chwilę przepędzić? Dziwna rzecz! — Kocham Władzia jak brata, choć wiem, że on niezdolny ocenić żadnego ku niemu przywiązania.

— Nie znasz go, panie.

— Od maleńkości.

— A dla czego tak o nim mówisz?

— Uspokój się, miła orędowniczko; w niczem zaletom jego nie ubliżam. Jeżeli Bóg mniej mu dał czucia, niż drugiemu — nie jego w tem wina. Jeden mało ma, drugi wiele; obu równa

zasługa, skoro wszystko oddadzą. Władyś, jestem przekonany, kocha cię całem sercem, ale na szczupłem sercu nie każdy przestaje. Dla twego szczęścia, Nastusiu, potrzeba abyś była kochaną jak sama kochasz. Kogoś ty ukochała, ten nie powinien mieć ani przyjaciół, ani rodziny, ani znajomych, ani ze światem stosunków — ty mu za wszystko wystarczysz. Czyli Władyś tak cię rozumie? — Nie wiem, nie odważam się sądzić; widzę tylko, ciągle z nim żyjąc, że często tysiąc rzeczy więcej go zajmuje od ciebie; że nie rozumie, nie ocenia siły twego przywiązania, że przy tobie zwykle o czem innem myśli i mówi. Wreszcie znasz go równie dobrze; żalić się na samotne godziny, dziś już zapóźno. Powinnaś być przyzwyczajoną.

— Powinnam, to prawda; wiele dni samotnych przeżyłam — rzekła dziewczyna, odpychając z myśli pierwsze uwagi Juljusza i chwytając się ostatnich jego wyrazów. — Ale cóż pocznę, kiedy przywyknąć do niczego nie potrafię: ani do szczęścia, ani do złej doli, bo w szczęściu, dziś piękniejsze mi zawsze od wczoraj, a w smutku codzień czarniej, boleśniej mi w duszy.

Juljusz milczał; ścigał okiem dwie łzy, drżące na jedwabnych rzęsach dziewczęcia. Nastusia nigdy nie wydała się mu tak piękną; pochylona, blada, cała przejrzysta, spowietrzniała niejako, podobna była wodnym liljom, przy blasku księżyca rozdumanym na brzegach jeziora.

— A jednak — rzekł po chwili z uczuciem ojcowskiej troskliwości — możeby nie źle było, abyś smutki twoje, moja miła, mniej brała do serca. Jutra żaden z nas nieświadomy; kto nam zaręczy, że dwoje ludzi, żyjących dziś razem, jutro nie rozłączy się na wieki? Przyszłości nikt z nas niepewny, nikt nie zna; trzeba na wszystko być przygotowanym.

— Bóg ją zna — przerwała dziewczyna, szybko odsuwając się z krzesłem. — Ale dla czego — dodała, składając ręce na piersiach — dla czego, panie, mówisz tak okrutne wyrazy, czemu tak strasznie na mnie patrzysz?

Juljusz z uśmiechem przysunął się ku niej, magnetyczny wzrok utkwił w przerażonych jej oczach, upuszczał zwolna wyraz po wyrazie, jak gdyby mowę na takty odmierzał.

— Słuchaj, Nastusiu — rzekł — znam cię wiele, choć nie od dawna; nie trzeba wreszcie wielkiej bystrości, aby cię po-

znać, ocenić. Świadczę się niebem — masz we mnie przyjaciela, który każdą troskę twoją przyjąłby na siebie, któryby ją okupił ostatnią kroplą własnej krwi. Jesteś sierotą na świecie; ja także nie mam nikogo; rozumiem gorycze osamotnienia, znam wartość czułego serca — ja, który nieraz za słowo przywiązania życie byłbym poświęcił. Kto sam nie cierpiał, ten kochania cenić nie umie; kto w świecie, między ludźmi wiele znalazł szczęścia, ten nie szuka pociechy w cichej miłości prostej, wiejskiej dziewczyny; kto raz zasmakował w zgiełku światowych roskoszy, temu piekłem osamotnione ustronie. — Dla ciebie, anielska istoto, innego życia potrzeba. Tyś zesłana na ziemię dla serc utrapionych; ku tobie winien garnąć się ten, kto chce ukoić, zapomnieć srogie, doznane nieszczęścia. Ach! wtedy żyjąc przez ciebie i tylko dla ciebie, nie zatęskni za światem, nie pożałuje przyszłości — o życie jedynie modlić się będzie, o życie z tobą, przy tobie, o raj bożego szczęścia na ziemi. — Tak być powinno. Czyli tak jest? — Z boleścią muszę zaprzeczyć. Rozpatruję, poglądam do koła — napróżno! Biedne, lube dziecię! drżę o twoją przyszłość; lękam się, aby djamenty twoich uczuć nie wpadły w niegodne ręce. Wreszcie po co ci o tem mówić? Jestem przekonany, że sama aż nadto prawdę przeczuwasz. —

Nastusia zerwała się przerażona, wylękła. Juljusz wypowiadał zwątpienia uśpione na dnie jej duszy, trwogi, których sama rozbudzać nie śmiała, ani głośno przed sobą wyjawiać, z obawy aby się nie sprawdziły.

Złożyła ku niemu dłonie i mówiła drżącym, przerywanym głosem:

— Zkąd wiesz, panie, co ja przeczuwam? Zkąd ci ta siła, że czytasz we mnie jak na otwartej książce? — Znasz prawdę, albo zgadujesz? Dobry człowiek nie spieszy się z odgadywaniem złego — ale jeżeli wiesz, mów! gdzie — co słyszałeś — czy sam ci powiedział — co mówił? Może się gniewa — w czem zawiniłam — czemu mi w oczy nie wypowiada? — Wszystko mu wyznam jak na spowiedzi. Przeproszę — ubłagam — niech tylko gniew zdejmie z serca, niech mię wysłucha, niech się przekona. Ach! czyliś każda myśl jego nie do mnie pierwszej należy? — Musiałeś często i wiele z nim mówić o Nastusi. Na

Boga! za co mię karze? Od twego przyjazdu, panie, codzień mu dalej do domku, codzień mu spieszniej odemnie. Niedawno jeszcze przysięgał, że miłą mu byłam na wieki — dziś słowa z wiatrem ubiegły; niby zupełnie o mnie zapomniał!

Juljusz nie mógł wzroku od niej odczepić; krew namiętnie biła mu w żyłach; dziewczynie do twarzy było z rozpaczą. Podszedł ku niej, stanął, założył ramiona i rzekł:

— Zapominać o tobie, Nastusiu? — Chybaby nie miał sumienia! — A choćby cię nawet zapomniał, i cóż z tego, kto na tem straci? — Nie ty, zaprawdę, o luba! Spojrz w to zwierciadło; przypatrz się sobie — ach! gdybyś mogła porównać się z wyborem szlacheckich panien, za jednym rzutem oka przybyłoby ci zaufania. Niech staną obok ciebie najpiękniejsze, we wszystkich powabach młodości, w całym blasku bogatych strojów — klnę się na duszę — zgasną jak gwiazdy przed słońcem. Nie znasz siebie, Nastusiu; nie pojmujesz uroku czarującej twojej postaci, nie domyślasz się słodyczy wdzięku rozlanego na twoich rysach. Za wzrok twój pieszczący, za śrebrny dźwięk głosu, za te strumienie złotego jedwabiu, co ci spływają na szyję, niejedna wielka pani oddałaby wszystkie swoje skarby. Za jeden uścisk łabędzich twoich ramion, za jedno dotknięcie koralowych ust, niejeden piekłu zaprzedałby duszę. Ach, patrz jeszcze na mnie, patrz temi oto wzruszonymi oczyma, chociażby do końca świata! — Niebo mi przez nie wygląda. Nie mów o zapomnieniu, ty, samowładna pani każdej pamięci! Dość raz cię widzieć. I cóż z tego, że cię zapomni jeden niegodny? — Czyliż ubędzie ci przez to wdzięków, czyliż ci porwie blask oczu, czy róże i lilje twego oblicza z sobą zabierze? — Nie dbaj o niewdzięcznika — tysiące innych, godniejszych, u nóg ci legną. Rzeknij słowo! — Chcesz zemsty? — Będziesz zemszczoną jak żadna dotąd kobieta nie była na świecie! Chcesz miłości? — Będziesz kochaną jak w niebie tylko kochać umieją. Chcesz poznać świat, zaświecić blaskiem, otoczyć się przepychem? — Jutro w największem mieście o tobie tylko będą mówić, spoglądać tylko na ciebie. Porzuć dobrowolne męczarnie, porzuć każdogodzinne konanie bez zgonu nawet za pociechę! Brak ci szczęścia, brak życia! — Odetchniesz szczęściem, o jakiem nigdy nie marzyłaś. Ci, którzy dziś nie umieją cię

cenić, jutro ci pozazdroszczą; znajdziesz miłość bez granic! — Luba! —

Upiorna bladość pokryła lice dziewczyny: z rozchylonemi usty, z obłąkanemi oczyma, słuchała tego człowieka, który z krwią zabiegłym wzrokiem, z potarganemi żądzą rysami, wyciągał ku niej drżące ramiona, jak gdyby chciał strącić ją z sobą w rozwartą mu pod nogami otchłań.

Wicher szalał na dworze; wściekła burza łamała gałęzie drzew, dudniła ulewą w okna. Strach dzwonił białemi ząbkami Nastusi. Cofnęła się ku oknu; ręką wskazała na niebo.

— Co mówisz, panie? — rzekła. — Gościu nieszczęścia, czy słyszysz? — Grzmi! Patrz — błyska się, pioruny biją. Boga się nie boisz — ziemia pod tobą się otworzy! — Straszne twoje wyrazy — straszny sam jesteś! — Jak żyję, nic takiego nie słyszałam — nawet w złych snach. Boże mój, Boże! — Matko najświętsza! — Głowa mi pęka. Co prawisz o szczęściu, o kochaniu — o życiu? — Z twarzy twej bije niedola; w głosie, jak poświst wichru, szumi nienawiść — z oczu śmierć ci wygląda. Na bożą miłość — porzuć mię — zostaw — ulituj się nademną! Nie obiecuj zemst ani skarbów! — Ja niczego nie chcę, niczego nie szukam — ja i bez tego mam więcej boleści, niż mogę wycierpieć, i więcej szczęścia, niż zasłużyłam. —

Juljusz nachmurzył czoło, srożał w duszy, ale potęgą woli wybuch przytłumił.

— Uspokój się, drogie dziecię — odparł, gestem pogardy wskazując na walkę powietrznych żywiołów — burza to zwyczajna, nic więcej; wkrótce ona przeminie i słońce znowu zaświeci. Są wszelakoż inne burze, groźniejsze — te, które nie kwiaty łamią i drzewa, ale druzgocą serce człowieka. Takiej burzy chroń się, Nastusiu; od takich gromów pragnąłbym cię zasłonić. Oby Bóg ją od ciebie odwrócił — ale bożego cudu na to potrzeba. Sama jedna nie ostoisz się przeciw nawałnicy, a na nieszczęście lękam się, aby wkrótce straszny wicher przeciw tobie się nie poderwał. Gdzie wówczas znajdziesz przytułek i opiekę? — Co poczniesz, skoro Wilczek cię porzuci? — Nie wzdrygaj się; trzeba na wszystko być gotową. Gdzie wówczas się podziejesz? — Uważaj pilnie na moje wyrazy — wiem, przysięgam ci — wiem dobrze, co mówię.

Nastusia ukryła twarz w dłoniach; wzmianka o porzuceniu wracała ją do rzeczywistości; w obec tej jednej myśli znikały przed nią rozchełznane zapędy Juljusza.

— On mię porzuci! — zawołała głosem rozpaczy. — Wiesz panie o tem z pewnością? — Ach! przez litość powiedz mi wszystko! Jeżeli mam zginąć, niech ginę od razu; nie zabijaj powoli! Znudził się mną, zbrzydłam mu — pokochał inną? — Przeczuwałam że tak musi się skończyć. Ale niechby przynajmniej sam był otwarcie w oczy powiedział. Od niego wszystko byłabym zniosła. Czyliż nie on panem życia mego i śmierci? Czemu, kiedy już chce mnie się pozbyć, przez drugich posyła truciznę? Czemu mi skąpi ostatniej pociechy? —

Uporny zwrot myśli dziewczyny na Wilczka rozsrożył Juljusza; zniecierpliwiony rzucił się w krzesło, wzniósł oczy do góry, jak gdyby czekał na wezbranie nowych sił do pokonania niebezpiecznego spółzalotnika.

Nastusia zbliżyła się ku niemu i ujęła go za rękę. Boleść i groźba szarpały kolejno jej rysy.

— Nie powiedziałeś prawdy? — zawołała. — Czemu panie mię zwodzisz? Widzisz że myśli zebrać nie mogę; korzystasz z szalonych moich przywidzeń. Szalona żem ci uwierzyła! On mię kochać nie przestał; przed twoim nieszczęsnym przyjazdem przysięgał! On kłamać nie umie. Jednemu słowu jego, jednemu spojrzeniu więcej wierzę, niż gdybyś przez rok mi dowodził; więcej wierzę, niż własnym, szalonym niepokojom. Czego chcesz odemnie? Kto cię na moją zgubę tu przysłał? — Udajesz przyjaciela. Czemu przed nim inaczej się odzywasz? Ja mu wszystko powtórzę; nie wiesz jeszcze jaki on straszny gdy się rozgniewa! — On wszystkiemu zaprzeczy; w oczy ci powie żeś skłamał — przeklnie twoją przyjaźń — słyszeć o tobie nie zechce.

Juljusz uśmiechnął się z niedowierzaniem.

— Będziesz żałował, ale zapóźno. Pamiętaj! — Jeszcze czas. Powiedz żeś mię oszukał, żeś chciał żartować z biednej dziewczyny. Zapomnę ci bolu, słowa nikomu nie rzeknę, zamilczę; przysięgam na duszę! — Odgadłam — nieprawdaż? — Ach, powiedz, panie! wrócisz mi życie, będę ci wdzięczną do śmierci; będę cię kochać jak dobroczyńcę, jak zbawiciela!

Nagle zatrzymała się, ucięła głos; fala zwątpienia znowu pochłaniała jej ostatni promyk nadziei. Nastusia z rozpaczą opuściła ramiona.

— Nie — nie! — mówiła sama do siebie — niepodobna aby ten człowiek tak dalece mię zwodził: nie miałby serca dla żartu wymyślać straszne męczarnie. Prawdę powiada — odgadłam ją wprzódy — tu, w piersiach. Każą mi zginąć, zatracić się bez ratunku. Zginąć — kiedy na dwa życia, na życia bez granic, wystarcza mi jeszcze kochania! Stało się! — Niech wiem przynajmniej za co mię gubi!

Użal się nademną! — Powiedz mi, panie — na wszystkom gotowa. Patrz, jestem spokojną — łzy w oczach nie dostrzeżesz; wysłucham cierpliwie. Bogu poświęcę niedolę, tylko nic nie taj przedemną! Musiał przecie mówić dla czego? —

Prawda! szczerze wyznaję: i ja nie jestem bez winy. Zawiniłam — gdzie? — kiedy? — nie pomnę; on by mię nie porzucał inaczej! Gdybyś mi czas tylko przypomniał, gdybyś rzekł jedno słowo, o co poszło? — Bóg widzi, że nie pamiętam.

Nie odpowiadasz? — Czy żal zdjął cię nad moją biedą? — Zapóźno teraz żałować! — umarli z grobów nie wstaną.

Dziś z rana przed wyjazdem mówił ci o mnie? — Przysięgnę! W tej samej chwili serce we mnie pękało; nie wiedziałam wtedy, od czego. Ach! gdyby śmierć była chciała mię sprzątnąć! Daremnie; Pan Bóg pokarał mię życiem! — Niechaj się pełni jego wola! Wycierpię za moje grzechy; tylko ostatniej prośby na ziemi wysłuchaj, mój panie; potem nikogo już o nic prosić nie będę. Powiedz, dla czego mię znienawidził? — Mówiłeś, że znajdę jeszcze łaskę na świecie — niechże ją znajdę u ciebie! Zmiłujesz się — powiesz — ach! przecie serca nie masz z kamienia! —

Składała ręce, patrzyła mu w oczy, czekając odpowiedzi.

Juljusz palił ją wzrokiem.

— Widzę że powiesz — rzekła po chwili. — Biedniejszej odemnie, sam się przekonasz — nie ma na ziemi. Dobry mój panie — patrz! — u nóg cię błagam!

Nastusia padła na kolana i zalała się łzami.

Wycieńczona na siłach, ujęła go za ręce i w milczącej prośbie przycisnęła je do ust rozżarzonych gorączkową spieką.

Na widok rozbukanej boleścią dziewczyny, mimowolne wzruszenie zdjęło Juljusza; ale głos sumienia na krótko w nim zadźwięczał. Ta piękna głowa wsparta na jego dłoniach, i śnieżna pierś rozkołysana falą rozpaczy, i wiotka kibić u nóg mu w wężowe kształty spleciona, tulące się ku niemu białe ramiona wieśniaczki, znowu namiętność wpędziły do mózgu; krew ogniem w nim zakipiała: silnie porwał dziewczynę, ku sobie na pierś swą wezbraną szałem ją ciągnął.

Nastusia roznicmożona cierpieniem, w bezprzytomności na ramię zwiesiła mu głowę ciężką od łez; jak kwiat u stopy podcięty, chyliła się w objęcia, od łkań się cała zanosząc.

Wicher zahuczał przeraźliwie, straszna błyskawica rozdarła ciemny strop niebios; tuż za nią grzmot zdawał się do dna ziemię druzgotać. Zadrżały domku posady — drzwi otwarły się z łoskotem.

Blady, z włosem w nieładzie, z obłąkanemi oczyma, z zaciśniętemi usty, stanął pośród nich Wilczek.

Juljusz zerwał się; odepchnął dziewczynę.

Nastusia kszyknęła boleśnie; wsparta o krzesło, zatoczyła wzrok błędny do koła. Przetarła oczy. Śród ogarniającego ją zmroku nagle dwie ujrzała postacie.

Ten drugi był on! —

Jednym skokiem była tuż przy nim.

Wilczek ręką się przed nią zasłonił.

Juljusz głowę zwiesił na piersi; stał w kącie z założonemi ramionami i szydersko z pod oka poglądał: czekał rozwiązania groźnej przygody.

Nastusia, niby senna, bezwiedna, jedną ręką wskazywała Juljusza, drugą usiłowała usunąć zaporę, broniącą jej przystępu do serca kochanka.

Wilczek ściskał jej ramię jak żelaznemi kleszczami.

— Przeklęta! — zawołał grzmiącym głosem — dla każdego masz tę samą piosenkę! — Nie w porę przybywam, ale przysięgam ci, że w porę odejdę. Możesz go przy sobie zatrzymać. Ha, ha! — rozmaitość nie tylko w miastach popłaca. Wybrałaś sobie dzień burzy! — To niebezpiecznie — przy burzy piorun czasem uderza! Serce ci, widzę, urosło! — Dla dwóch dziś może wystarczyć!

Stała jak wryta, jak martwa; słuchowi nie dowierzała i odpowiedzieć nie mogła. Zdradzie łatwiej na słowa się zdobyć — dla niewinności pierwszą obroną blask niepokalany własnego sumienia.

Wilczkowi zdało się, że chciała mówić.

— Dość tego — rzekł obojętnie — próżnych słów nienawidzę. Znudziłaś się mną; nic w tem dziwnego. Żalu mieć nawet do ciebie nie będę. Uprzedzę tylko twoje życzenia! Razem już z sobą być nie możemy. Bywaj mi zdrowa na wieki!

Nastusia wyjąkała niezrozumiałe jakieś wyrazy; krew zbiegła jej do serca. Padła bez zmysłów.

Wilczek oniemiał. W pierwszej chwili myślał, że ją zabił. Nadludzki żal ścisnął mu piersi; poskoczył ku niej, chciał wracać do życia. Ach! sam byłby do niej powrócił, do biednej istoty, która od lat dziecinnych duszę mu była oddała.

Ostatnie iskry uczucia, promień sumienia, łzą nawet zabłysły mu w oku. Zapomniał o sobie, gotów był z roskoszą paść znowu w objęcia białego anioła.

Juljusz ujął go za ramię.

Wilczek drgnął jakby zakłóty wężowem żądłem. Z gniewem wyrwał rękę towarzyszowi, raz jeszcze spojrzał na pół martwą dziewczynę, zatrzymał się na progu, nareszcie jak szalony wybiegł ku pałacowi.

Z dala dochodził go odgłos kroków Juljusza.

Zastanowił się w pół drogi i pomimo burzy, która rozpasywała się bez miary, zadyszany, z obnażoną głową, obojętne czoło stawił nawałnicy, wyzywał niejako do walki rozhukane żywioły.

— Jest Bóg na niebie — rzekł, gdy go tamten doścignął — jest sprawiedliwość nad światem — jest burza, co ryczy nad nami — a dla nas nie ma piorunu! — Przekleństwo na dzień dzisiejszy!

— Zwykły to porządek na świecie, mój Władziu — rzekł Juljusz, odstępując mu pół parasola. — Co się zaczyna, kończyć się musi. Wracajmy pod dach, inaczej zmokniem do nitki.

Wilczek rzucił nań gniewne wejrzenie.

— Juljuszu! — rzekł — przyjąłem cię w dom jak przyjaciela, jak brata —

— Ja zaś — ciągnął dalej ostatni — zdradą odwdzięczyłem twoje zaufanie: chciałem uwieść, porwać ci kochankę. Nic w tem nie widzę nadzwyczajnego; podobne wypadki nieraz już się zdarzały.

— Niewczesne żarty! — przerwał Wilczek. — Takie postępowanie —

— Wymaga zadośćuczynienia; nie przeczę. Będzie to, jeżeli się nie mylę, piętnasty twój pojedynek.

— Mniejsza o liczbę; cieszę się, żeś mi oszczędził wstępu, w podobnych razach zawsze przykrego.

— Zbyt dawno znam cię, mój Władziu, abym nie umiał odgadnąć najskrytszych twoich życzeń; ale tu, na wsi, we dwójkę nie możemy się zabijać.

— Nie mówię o wsi. Chwili dłużej nie potrafiłbym tu pozostać; natychmiast wyjeżdżam; znajdę Skałkę po drodze.

— Wątpię; kapitan odsiaduje swój miesiąc u Dzieduszyckiego. Ja przed tobą zapewne wyjadę, jeżeli furman mój prędzej od twojego zaprzęże. Ruszam prosto do Lwowa i tam czekam na twoje rozkazy.

— Nie nadużyję twojej cierpliwości — odparł Wilczek, prosząc go gestem, aby pierwszy wszedł do pałacu.

Juljusz uchylił czapki i wbiegł szybko do swego pokoju, gotować się do wyjazdu.

— Tym razem — mówił sam do siebie — obejdziesz się bez pojedynku, chociaż po prawdzie, ja raczej powinien bym szukać zemsty i wpakować ci kulę pod czwarte żebro za wyrwanie się jak Filip z Konopi, z niewczesnem przybyciem! Szczególny człowiek! — w czepku się urodził; wszystko wiedzie się mu jak z płatka! —

Niebawem pusto było w pałacu. Gość i gospodarz rozjechali się każdy w swoją stronę.

Z trzech postaci ostatniego dramatu została tylko na miejscu dziewczyna.

Nastusia po kilku godzinach bezwładzy, zwolna wracała do życia.

Ocknęła się na podłodze, strasznie znękana; cierpiała, jak gdyby przez zdruzgotaną czaszkę żelaznemi szpony mózg jej szarpano.

Podniosła głowę, wsparła się na dłoni i spojrzała w okół osłupiałym wzrokiem.

Burza oddawna już ustała; deszcz tylko cichym szmerem wydzwaniał na szybach grobowe jakieś melodje.

Długo zbierała rozprzężone myśli, chwytała się za głowę, tarła powieki; przerażona uciekała przed pamięcią i znów rozbijała się o krwawą rzeczywistość.

Rozstawione w nieładzie sprzęty, płaszcz Wilczka rzucony ziemię, przypomniał jej całą prawdę wypadku.

Zerwała się, załamała ręce; gorące powieki na łzę zdobyć się już nie mogły — sucha, okropna boleść tłoczyła ją ku na ziemi.

Dziwne, straszne jakieś myśli musiały przewijać się po głowie Nastusi: kilka bowiem razy żegnała się trwożnie, jak gdyby odpędzając czarnego ducha poszepty.

Odegnany westchnieniem do Boga, przylatywał znów na skrzydłach rozpaczy, gryzł ją zębem zwątpienia, podmawiał na zatratę duszy i ciała.

Nastusia wybiegła do przybocznego pokoju, zdjęła z nad łóżka szkaplerz i obrazek Poczajowskiej Bogarodzicy, poczem uklękła, twarz w dłoniach ukryła i poczęła żarliwie się modlić.

Ach! była to jedna z tych modlitw, jakie z wieśniaczego serca i z prostej wiary płyną ku Wszechmocnemu Obrońcy uciśnionych, ku jedynej pociesze, ku Ojcu dzieci bez szczęścia i bez dziedzictwa na ziemi. Było to zaofiarowanie niepojętych cierpień na chwałę Pana wszech rzeczy, gorąca prośba o wytrwałość, o radę w niedoli.

— Matko siedmiu boleści! nie opuszczaj mię, wysłuchaj! — powtarzała, tuląc do ust cudowny obrazek.

Długo Nastusia klęczała, zaprzepaszczona w myślach zaświatnych, a gdy powstała, z zapadłych jej oczu święte błyskało natchnienie; w skołatanej głowie zaświtał zamiar, modlitwą u Nieba wybłagany.

Dziewczyna rękę położyła na sercu; wahała się chwilę — nie długo. Postanowienie i wola odniosły zwycięstwo. Jakby nie należąca do siebie, wiedziona wyższym rozkazem, jęła ustawiać sprzęty, składać pod zamknięcie dary kosztowne Wilczka i drobne przedmioty, zacierać w domku ślady pobytu żywego ducha.

Została jeszcze nietknięta mała skrzyneczka.

Nastusia otworzyła ją, wyjęła prostą, ubogą odzież wieśniaczki, pamiętny ubiór, w którym on ją był niegdyś porwał od matki, ubiór, który był dla niej świętą relikwią, najsłodszą życia pamiątką.

Za chwilę już miała go na sobie, już z pańskiego zbytku, z pańskich podarków, znikły ostatnie poznaki. Złożyła wszystko i zamknęła, szkaplerz swój tylko zabrała i chust własnych biednych kilka zaściągła w zawitek, i chłopskim, polskim zwyczajem, w węzeł kawałek chleba uwiązała dla siebie, a prędzej jeszcze dla głodnych, potrzebnych ludzi na drodze.

Stanęła na progu; wszystko już było gotowe.

Na niebie chmury rzedniały; słońce u zachodu, na pociechę po burzy, słało ziemi kilka krwawych promieni; drzewa i kwiaty wzruszone lekkim wiatru powiewem, sypały djamenty rosy; ptaszki wylękłe nawałnicą, wdzięcznie witały powrót pogody.

Nastusia pobiegła ku nim, otworzyła okno i klatkę; uleciały z więzienia, ale jak gdyby niechciwe wolnego przestworu, zostały wszystkie w pokoju, trzepocąc skrzydełkami nad głową dziewczyny, pieszcząc jej ręce i szyję, tuląc się do niej z miłosnym świegotem.

Gorzki, tęskny uśmiech zamigotał na połamanem boleścią jej obliczu.

Więc jeszcze raz mieszkanko obeszła i każdy przedmiot po szczególe żegnała, i za każdym krokiem garnęły się do jej duszy bolesne wspomnienia, i za każdym poglądem część serca rzucała za sobą.

Obejrzała się: kwiaty tysiącem ócz zewsząd na nią patrzyły, ostatni raz chwiały ku niej wonnemi kielichy. Ach! odtąd nikt już ich nie upielęgnuje, przed wichrem nie zasłoni, poranną rosą nie napoi, nie uweseli złotemi słońca promieńmi! Raz

jeszcze, ostatni, równiankę z najmniej różanych, z najmniej jasnych! I te zerwane, i drugie nietknięte, wszystkie niedługo powiędną, zniszczeją. Zerwanym przecie milej będzie uwiędnąć na ukochanem łonie ich opiekunki.

Chodźcie tu bliżej — spoczniecie na piersi, znikome szczęścia dawnego pamiątki! Zanim barwy wam zbledną, nim się w pęk ziela suchego zmienicie, w trumnie was złożą, razem z biedną stroskaną.

A teraz dalej w drogę!

Księżyc już błyszczy nad lasem — noc będzie cicha, pogodna.

— Bywaj mi zdrowa! — powiedział, za własne winy obwinił; znudzony wiejską dziewczyną, zabił ją dla zabawki — odepchnął z wstrętem od siebie. Ona, poddana jego woli, ofiarą z siebie i z życia, ostatnie posłuszeństwo mu odda.

Ach! tę niedolę tak często przewidywała w sennych marzeniach!

Niech jemu Bóg szczęście zsyła! — Zgryzotę, boleść i smutek ona oddawna na siebie przyjęła. Czyliż inaczej byłaby kiedykolwiek szczerze go ukochała?

Teraz już wszystko skończone. Aniele stróżu, przed nią ulatuj! —

Tam za borami i polem, za wioską drugą i trzecią, jeszcze za polem i borem, tam opuszczona, samotna, od dwóch lat za dzieckiem płacze Krystyna. Gdy córkę biedną zobaczy, znowu zapłacze, winę daruje, do matczynego serca przyciśnie i użałuje, utuli jak w maleńkości bywało, gdy pieszczotami z łez suszyła dziecinne oblicze.

Dopóki matka jeszcze na ziemi, chociaż uboga i skołatana cierpieniem, choć zagniewana i słusznie, jest przecie w życiu otucha. Dość się przed nią użalić, paść do nóg, grzech wypowiedzieć — matka podniesie zbłąkaną, matka o sercu ludzkiem, bo z ludu. Toć jeszcze Pan Bóg pozwoli, że pozostałych kilka dni życia dziecię staraniom około matki poświęci; i jej też lżej będzie na sercu, gdy dziecku własnemu przebaczy, i do modlitwy za grzechy pomoże; bo odpuszczenia, ani zbawienia dziecię

bez matczynego błogosławieństwa u Boga nie dozna. Zwątlonej rozpaczą, o Panie! daj siły i wytrwałości, i prowadź prosto pod strzechę rodzinną, by łzy na zgrzybiałą twarz padać przestały; prowadź, o Panie, do matki, do matki doprowadź! —

Wybiegła z domku, drzwi zatrzasnęła; po srebrnych ścieżkach miesiąca jak cień mgnęła przez ogród.

Stanęła na wzgórku, gdzie go zwyczajnie oczekiwała, gdy wracał z podróży; raz jeszcze wzrokiem zatoczyła do koła.

Stary pałac posępnie tonął w ciemnej lip i świerków otchłani; w oddali, niby grobowiec z marmuru, bielił się między krzewy mały domek, zwalisko szczęścia, uczucia i wiary.

Obojętny świadek ludzi i rzeczy, Dniestr, roziskrzoną wstęgą, płynął gdzieś w nieskończoność.

Wszystkie struny życia rwały się w piersiach dziewczyny — przedarła ciszę nocną stłumionym krzykiem rozpaczy, raz ostatni ku lubym pamiątkom boleśnie wyciągnęła ramiona, oburącz szkaplerz uścisnęła, zbiegła z wzgórka i dalej w drogę!

I rada była że nocą wybrała się w podróż; w dzień może byłoby trudniej opuścić miejsca kochane. Biegła samotną dróżyną i wkrótce, przed okiem nawet księżyca, znikła w gęstym jodłowym lesie.

Wiatr szumiał między gałęziami, liść zeschły szeleścił jej pod stopami; strach czasami zdejmował biedną pątnicę; drżący wzrok rzucała przed siebie, szemrała litanję do Bogarodzicy i cudowną pielgrzymów modlitwę: «Kto się w opiekę podda Panu swemu.»

Ranek zaczynał już świtać; siły Nastusię zdradzały: na drobnych nóżkach słaniała się, chwiała, do wioski jeszcze było daleko, bardzo daleko.

Brała na wolę, chciała biedz dalej — byle wyjść z lasu, byle do krzyża, co czernił się na rozstaju.

Tchu jej zabrakło, na brzegu lasu, padła pod drzewem.

Cała się rozniemogła, tak, że myślała nieboga, że ciężką śmiercią, bez księdza przyjdzie jej umrzeć.

Dreszcz gorączkowy krew lodem w niej ścinał.

Na szczęście, o wschodzie słońca ludzie jechali do miasta; dzień to był bowiem świąteczny. Zoczyli biedną, poratowali, na

wóz włożyli i zmusili napić się mleka. Zkąd — po co — gdzie idzie? — pytać nie śmieli; przyrzekli podwieść o staje od wioski, dokąd dziewczę dążyło.

Pan Bóg jej w porę zesłał ratunek.

Jechali szparko dzień cały; ku zachodowi słońca wrtrzymali konie i w bok gościńca, tuż na zakręcie, za łąką, wskazali dzieweczce kościół, dzwonnicę i wioskę, i słówo dobre na drogę przydali.

Podziękowała zapłatą u Boga; widok kresu podróży dodał jej siły, nadziei. Biegła na przełaj ku wiosce. Ach, tam! między krzewy — za chwilę padnie na pierś matczyną.

Jest jeszcze istota na ziemi, która się uweseli i tuląc szczerze do łona, zapomni cierpień, winę przebaczy, o szczęściu zamarzy.

Droga, kochana matka! —

Słońce już błyska ostatnią czerwienią, zmierzch zwolna zaczyna szarzeć.

Nastusia spieszy co żywo, aby przed nocą stanąć u progu. Słyszy z daleka ryk bydła i psów szczekanie, wiejskie ją gwary dochodzą — ale dla czegoż z dzwonnicy smętny jęk dzwonu płynie w powietrze? — Na Anioł Pański zapóźno i po nieszporach oddawna być musi.

Staje nareszcie we wrotach, serce jej bije gwałtownie — nim wejdzie, pragnie odpocząć, pragnie o drogę zapytać.

Widzi otwarte wierzeje, do pierwszej chaty przybywa — pusto i głucho do koła — na progu tylko stare dwie baby kościelne o łachman jakiś się swarzą.

Nastusia drżąca, przelękła, nieśmiało ku nim podchodzi i prosi by dały wypocząć.

I spojrzeć nawet nie raczą, a gdy dziewczyna zapyta: dla czego to biją tak w dzwony? — jedna z czarownic odpowie:

— Nachorowała się, nameczyła siebie i ludzi — ubrać, pochować za co nie było; z łaski ją niosą na mogiłki — stara Krystyna — mamka pana grafa z Polanki.

— Krystyna? — Krystyna! — mamka! — Zły duch przez was powiada! —

— Krystyna — i cóż dziwnego? Albож to ona umrzeć nie miała?

Nastusia upuściła zawinek, porwała się za głowę, parsknęła dzikim, okropnym śmiechem i ku mogiłkom, gdzie światła błyskały, pomknęła szybko jak strzała.

Warjatka! —

XII.

Sokolnik wyjeżdżał ze Lwowa. Zaczynały nudzić go miejskie, brukowe wrzaski, nieustanne przeżuwania zjadliwych pogłosek, zawsze jednej treści, ciągle o tymże samym człowieku. Powiernicy, blizcy i dalecy znajomi, poufali i obojętni, każdy poczytywał za święty obowiązek, udzielać mu nowych odkryć, donosić mu najświeższe wieści o niegodnych uczynkach Kazimierza Poraja. Cieszono się, że los pozwolił mu w porę zerwać stosunki z człowiekiem, który pomimo młodego wieku, tyle na sobie dźwigał grzechów. Nie pojmowano, jakim sposobem magnat, wyżyty między ludźmi, doświadczony, przebiegły, mógł do tego stopnia dać wyprowadzić się w pole.

Wprawdzie gorsze nieraz rzeczy widywano pod słońcem; świat z każdym dniem psuł się, rozszatanial; rodzonemu bratu niepodobna było zaufać.

Ojcowie Jezuici i świeccy sprzymierzeńcy zakonu, odznaczali się szczególną gorliwością w zrywaniu larwy z ducha zatraty, w wytrząsaniu na biały dzień niecnych jego podstępów i ukrytych zbrodni. Prawowierny syn kościoła powinien był korzystać z każdej sposobności, z każdego przykładu, dla ostrzeżenia bliźnich o zasadzkach, jakie im stawiał nieprzyjaciel boży, dla utwierdzenia ich na stromej ścieżce do raju. Korzystał też, ostrzegał, utwierdzał; nie szczędził piersi ani języka.

Suchej nitki na potępionym nie zostawiono.

Sokolnik sam jeden nie łączył głosu do powszechnego chóru; słuchał w milczeniu, ubolewał raczej, niżeli nastawał

lub oskarżał. Piotr zawsze był bratem Kazimierza; magnatowi nie wypadało narażać się na niechęć Piotra.

Uwaga ta przyspieszyła powrót jego na wieś.

Nikomu wreszcie z rodziny nie chodziło o dłuższy pobyt we Lwowie. Sokolnikowa rada wracała w domowe zacisze, gdzie z większą łatwością mogła oddawać się pobożnym krzątaniom wedle duszy. Co zaś do Marji — —

Marja nie została za obrębem pocisków, jakie zewsząd padały na Kazimierza. Ojciec, matka, kapelan, młode i podeszłe przyjaciołki, z niechcenia niby, nawiasem, podsuwali jej sam kwiat rozjuszonej potwarzy, kwiat wabiący zwykle barwą pobłażania, żalu, spółczucia, ale na dnie kielicha kryjący pomimo to niemniej zjadliwą truciznę.

Hrabianka oddychała zgubną tą wonią i nie postrzegała się, jak ukryte jady z każdym dniem wsiąkały w jej myśl, w serce, w sumienie.

Rzeczy te na wielkim świecie trudne są do spostrzeżenia.

Nagły wyjazd Kazimierza nie mało przyczynił się do zgubienia go w jej przekonaniu. On, który tyle zawsze mawiał o stawianiu czoła przeciwnościom, on pierwszy przed rozpoczęciem walki uciekał z pola bitwy. Poprzysiągłszy miłość i zaufanie bez granic, opuszczał ją, zalekceważył i potargał święte stosunki — wolał uniknąć zapasów z losem, aniżeli dać zabić się pod jej oczami.

Niewdzięczny! —

Odesłaniu nieotwartego listu Marja żadnej nie przypisywała wagi. Ona czuła się zbyt wyższą kobietą, aby w czemkolwiek mogła była pobłądzić — ona, jak zwykle między podobnemi jej bywa, zawsze, wszędzie i we wszystkiem widziała tylko siebie, na skalę boleści lub zadowolnienia, odmierzała zaszłe na zewnątrz wszelkie wypadki, postrzegała prawdę w tem tylko, co przynosiło jej pożądane wrażenia; obojętnie poglądała na wszystko, w czem własne jej uczucia, własne upodobania nie brały żadnego udziału.

Czyliż ze swojej strony nie dość łaski świadczyła samem rozwijaniem się we wdzięki, pozwalaniem uwielbiać w sobie i podziwiać arcydzieło stworzenia.

Serce jej należało do tego, kto pod tym względem umiał

najlepiej ją oceniać. Pojęcie cudzych cierpień, o ile nie skakało do oczu, o tyle przedstawiało jej niemą, niegodną rozwiązania zagadkę. Nad śmiercią ulubionego pieska, nad rzewnym ustępem drukowanego romansu, była w stanie rozpłakać się z żalu; tajemne rany serca, pokątne, w milczeniu przez nią samą spełnione morderstwo ducha, nie budziły w niej żadnego spółczucia, żadnej zgryzoty.

Nie jej wina: z urodzenia, z rodu, z wychowania miała wzrok krótki, zmysłowy. W zwykłem stanie duszy, od dziecięcia dogorywającej kasty konającego społeczeństwa, trudno było wymagać tej potęgi uczucia i prawdy, tego spokoju w jasnym a sumiennym rozglądzie rzeczy, jakie są udziałem świeżych tylko żywiołów, rozwitych w prostocie rzeczywistego bytu. Zkądinąd atoli stanowisko wcale nie było zwyczajnem; duch Marji tym razem wysoko wzbijał się nad powszednie szlaki. Ona kochała! — kochała, a więc i wzrok miała jasnowidny i widnokrąg przed sobą rozszerzony w nieskończoność.

Czyliż nie dzięki światłu tego właśnie uczucia, Alighieri wstąpił w kraje, gdzie już nie serce, nie rozum, ale boża tylko mądrość panuje?

Wieszcz Gibeliów nie bezsennił się nad księgami, nie uganiał za piśmienną nauką, nie przetapiał w tyglu rozumu zlewków wiekowych poszukiwań — otworzył tylko serce i kochał, kochał po człowieczemu, po swojemu.

Hrabianka także kochała po swojemu, jak kochają kobiety zrodzone w haftowanych pieluchach. Czuła się wyższem stworzeniem, i nie bez przyczyny. Kochała nie jak prosta wieśniaczka, ale jako bożyszcze kocha składających mu hołdy śmiertelników. Miłość była dla niej czarodziejskiem zwierciadłem, o tyle droższem, o ile takowe żywiej tęczowało jej zalety i krasę; przeglądała się w niem z roskoszą, kochała je za promienne odbicie własnych o samej sobie przekonań; przywiązywała się do błyszczącej tarczy za każdem nowem a pochlebnem odkryciem; fałsz, byle pochwalny, z łatwością mogła w niej uwielbić; za pierwszą atoli prawdą, cokolwiek gorzką, byłaby rozbiła zwierciadło na miazgę.

Kto poważał się ją kochać, musiał wyprzeć się samego siebie, zniweczyć wszelką samodzielność ducha, przestać być sa-

mym sobą, zaprzepaścić własną istotę w jednym a nieskończonym hymnie niewolniczego uwielbienia.

Córka Sokolnika nie rozumiała siebie na poziomie; los i natura wyniosły ją na ołtarz; zstępując z ołtarza, przed samą sobą byłaby wpadła w ostatnią pogardę.

Tego rodzaju wypadki Marja czynem urzeczywistniała na drodze niewieściego swego bytu; urzeczywistniała je zwykle, stawiąc im wcale przeciwne założenia; inaczej bowiem pojmowała siebie na sentymentalnych przestrzeniach teorji.

Tam różane usta dziewczyny inną pieśń wydzwaniały. Tam szeroko rozprawiano o poświęceniu, unoszono się proroczym zapałem nad świętemi objawy uczucia, zalewano łzami na samą myśl o cudzych cierpieniach, ze zgrozą potępiano samolubstwo, z wzgardą poglądano na światowe próżnostki, z gorączkowem pragnieniem błagano o życie boleści w zamian za jeden błysk szczęścia dla drogich sobie istot.

Prawda parowała przez mózg; w sercu nic nie zostawało — nic, prócz garści rozdrażnionych nerwów. Zwłaszcza też w obec Kazimierza, pod wpływem dzielnej, niepożytej fałszem natury jego ducha, Marja ulegała potędze prawdy, traciła swoją osobistość z oczu, w świętem natchnieniu odgadywała stowarzyszone w wolności przywiązanie dwojga istot; biegła naprzód, wyprzedzała nawet przewodnika na prostej drodze rzeczywistego życia, jaką jej tenże wskazywał; nawoływała opóźnionego, świeciła mu z dala ideałem Polki-kobiety.

Chwilę potem, sama zostawiona, z obłocznych marzeń spadała na woskowaną posadzkę rodzicielskiego salonu. Kilka chwil później wyzwana na pole czynu, na pole doraźnego zastosowania tylekroć z zapałem wypowiedzianych zdań, przeistaczała się w mgnieniu oka: piękne, urocze stworzenie pochylało zadumaną głowę; kobieta w duchownem znaczeniu pojęcia, Polka w narodowej wartości wyrazu znikała — znikała bez śladu.

Przewrót ten całego sposobu widzenia i czucia, mógł zastanawiać tych tylko, których kosztem się odbywał. Marja przyjmowała go ze spokojnem sumieniem; nie czuła się bynajmniej winną, nie przypuszczała aby w czemkolwiek mogła omylić się, pobłądzić.

Rozum tylko błądzi; wyrachowania często się mylą; głos serca jest głosem prawdy. Hrabianka byłaby przysięgła, że miała serce i że we wszystkiem głosu jego słuchała.

Biedaczka! —

Bolesne skutki, gorzkie zawody, odczarowania wynikłe z braku żywotnych strun w duszy, składała na karb zawziętości losu lub przewrotnych na zewnątrz siebie charakterów. Sama wyższa nad pospolity tłum światowych kobiet (któraż nie jest wyższą nad drugie?), mogła tylko pokochać człowieka, który o głowę podobnych sobie przerastał. Górujący nad gawiedzią, uczuciem, duszą, przymiotami, szczęśliwiec ten winien był posiadać czarodziejskie berło władzy nad rzeczami i ludźmi. Przeciwne wypadki, rozhukane namiętności, szalona zawiść, napady opętanej zazdrośników złości — wszystko winno było rozbijać się o jego wszechmocność, padać na twarz przed jego potęgą. On sam, wiecznie zapatrzony w oblicze swojej bogini, ją tylko musiał widzieć, jej życiem, jej wolą żyć i chcieć, zalekceważyć wszystkie inne względy, zaprzeć wszystkie inne uczucia, zapomnieć o wszystkich człowieczych zasadach i obowiązkach; niezwyciężony i niedotykalny, ją jedną wziąść za cel bytu, w jej tylko zadowoleniu upatrywać przyczynę zamiarów swoich, usiłowań i źródło własnegc szczęścia.

W niewieścich wyobrażeniach naszego stulecia, kto swej samodzielności do ostatniego stopnia zniweczyć, zmazać, wygładzić, pochłonąć nie pozwala — ten nie kocha, ten nie wart kochania.

Kazimierz oczywiście zawiódł oczekiwania Marji. Człowiek zwykły, powszedni, jak się później okazało, dozwolił ku sobie przystępu światowym napaściom, nie znalazł siły do powalenia nieprzyjaciół, wdał się, zamiast w otwarty bój, w piśmienne tłumaczenia, aż wreszcie zgnębiony nawałem pocisków, okryty powszechną naganą, wystraszony myślą walki, wszystko porzucił i ujechał.

Gdzież się podziała ta duma wyniosłego czoła, gdzie nieugięta odwaga, która zdawała się błyskać w każdem spojrzeniu, tętnić w każdym wyrazie — gdzie miłość nieskończona, bez której, jak utrzymywał, życie mu było męczarnią? — Czyliż na to miał w sobie duszę, aby w niej krył sprzeciwieństwo czynu

z wdziękiem, z godnością słów i postaci? — Po zajściu z Wilczkiem nie przyszedł do domu ze spokojną twarzą, z pogodnym umysłem, jak przystało na człowieka wyższych uczuć i czystego sumienia, nie prosił o schadzkę, o chwilę rozmowy — wyjechał! —

Byłożby prawdą, co mówili o nim ludzie najmniej przystępni potwarzy, znani z szlachetności serca, z chrześciańskiego pobłażania, ludzie, którzy do każdej wzmianki o jego błędach, łączyli wymówkę, uniewinnienie? —

Przeszłość jego kryła w sobie straszne tajemnice. Łudził się nadzieją, że ludzkie oko nigdy jej nie rozedrze; drżał przed promieniem światła.

Nadaremnie! — Książki słusznie prawią, że nic nie ma tajnego pod słońcem.

Ależ te same książki częściej jeszcze mówią o mylności człowieczych sądów.

Nie, nie! Tym razem nie ma o co świat oskarżać; wszakże własny brat wyparł się go, porzucił.

Ach! nie ma wątpienia. On przeszłość kłamał, on kłamał spokój ducha, on miłość tylko udawał. Nie kochał, nie mógł kochać; prawdziwa miłość nie zażega serc nieczystych. On oszukiwał! —

Więc go znienawidziła, jak zwykle dzieje się w podobnych wypadkach, zwłaszcza gdy nienawiść jest dzielnym i jedynym zaradczym środkiem na głuche, ale gryzące pomimo to wrzaski naszego sumienia, na chwilowe napady zwątpień w nieomylność zdań, w świętość naszych uczuć, w wyjątkową doskonałość naszej istoty. Jak bowiem nie znienawidzieć probierza, na którym odkrył się fałsz naszego charakteru, miałkość naszego ducha, jak znienawidzieć opatrznej przyczyny, bez której nie dręczyłyby nas samowiedne choć rzadkie chwile pogardy samych siebie?

Wylęgła na pniu próżności, na rumowisku czarownych o samym sobie złudzeń, nienawiść taka rośnie potęgą tajemnych własnych niepokojów, całą siłą własnego przewinienia. Umysł winowajcy musi przed samym sobą się usprawiedliwić, chwyta więc każdy powiew przeciwnego wiatru, jaki wieje na pokrzywdzonego; czepia się lada poznaki, lada pozoru, z upragnieniem

otwiera ucho na potwarz, łowi najlżejsze jej szmery, rozwija we wnioski, wyplata w pewniki, chciwie w siebie parnie łatwą tę karmę niechęci, za każdym porywem uczucia prawdy dławi je nowemi dowodami nieomylności sądów i sprawiedliwego potępienia. Tak przemożnie party głos prawdy słabieje, cichnie nareszcie lub raczej usypia, dopóki kiedyś później nagle znowu nie zagrzmi chrapliwym krzykiem nieszczęścia, które ślepe oko i niepamiętne usta z przekleństwy zwą niespodziewanem, niezasłużonem.

Prawo równowagi jest nie pogwałcalnem; sila na to dowodów na zewnątrz nawet teorji o pohulankach w raju i o piekielnej smole.

Jeżeli jednak nie wystarcza wmawianie w siebie nieomylności i bezstronnego sądu, jeżeli przeszatanienie niewinnej ofiary w zbrodniarza nie całkowicie serce spokojem wypełnia — wówczas pozostaje jeden jeszcze środek, niezawodny, gładzący do szczętu szczerby niepotrzebnie drażliwego sumienia. Środek ten zazwyczaj nieodstępnie pierwszemu towarzyszy; idzie tylko o to, aby go nie zaniedbać, ale owszem jak najdzielniej rozwinąć.

Bierze się waga samolubstwa: na jednej szali staje piękna, o kamienem sercu, o wulkanicznej głowie katownica; na drugą pada niewdzięcznik, szaleniec, który w podobnem doświadczeniu dał się uprzedzić. Wnet ofiara przywalona potępieniem, przeważa, tonie, zapada gdzieś w otchłań ciemności, płaczu i zgrzytania zębów; podczas gdy anioł potępiciel unosi się do góry, wzlatuje w niebiosa, fałduje na sobie złotem uczucia djamentami poświęcenia obłoki, tchnie błogim Cherubów pokojem, rozmawia z Przedwiecznym i Matce Siedmiu Boleści składa pokornie pod stopy kielich cierpień, wychylony w zamian za spółczucie ku niegodnemu śmiertelnikowi. — E sempre bene! —

Marja czuła się poświęconą, do głębi serca dotkniętą niezasłużonym a srogim pociskiem losu. Przeznaczenie, zawzięte zwykle na wyjątkowe, wzniosłe charaktery, zadawało jej straszny cios, niwecząc za jednym zamachem najświętsze nadzieje, najczystsze uczucia. Cierpiała niewypowiedzianą boleścią, cierpiała jak nikt dotąd nie cierpiał; jak nikt w przyszłości cierpieć

nie będzie. Tak się jej przynajmniej zdawało. Tyle skarbów duszy, tyle bogactw uczucia, na wiatr rzucić, nędznie zmarnować! — Ją tylko jedną mogło spotkać podobne oczarowanie! —

Czemże więc były te krótkie miesiące wedwójnych w kraj szczęścia pogoni, rajskich upojeń uczuciem, uroczych zachwytów nad sobą samemi? — Czem były? — Snem, złudzeniem, roskoszną marą, rozwianą za pierwszym rzeczywistości podmuchem.

Gorzkie przebudzenie! — Marja zawnioskowała, że dla niej szczęście istniało jako czczy tylko wyraz. Istoty jej podobne, wyjątkowe, błyszczące tu i owdzie śród powszechnych uczuć zamroczy, chcąc świecić, musiały same płonąć, goreć i znosić wszystkie męczarnie ognia.

Pospolite, mierne tylko stworzenia mogły cieszyć się nadzieją, rościć prawa do szczęścia.

Kto sam siebie tak dobrze rozumiał, ten z dziecinną ułudą nie znajdował powodów do wyiskrzania sobie przyszłości. Córka magnata bez żartu pomyślała, że życie jej zatoczyło się ostatnią i stanowczą koleją. Pozostawała jej wieczna samotność, pasmo długich dni, powleczonych kirem tęsknoty, gdzie jedynem towarzystwem były bolesne wspomnienia, jedynym i nieodstępnym gościem smutek, jedynym celem — grób — przez nikogo nie opłakiwany, od nikogo niepojęty. Biały świat zdradę tylko i złudzenia przyniósł jej w ofierze; nie zdradzi jej, ani zawiedzie ciemna, samotna mogiła.

Łagodny chłód letnich nocy, lube nerwom srebrne promienie księżyca, pędziły Marję w podobne dumania. Sama jedna, ze splecionemi rękami, z pochyloną głową, długie godziny często trawiła na dumce i na westchnieniach.

Innym razem brała z niechcenia smętną jaką książkę — «Noce Younga» na przykład — i zabłąkana pośród ciemnych szpalerów, szukała wyrazu na własne cierpienia w rozpacznych utyskiwaniach ojca pięknej Narcyzy. Czasami skłoniwszy chmurne czoło, z wzrokiem w ziemię wlepionym, przy wtórze szeleszczących liści i rozhoworzonego strumienia, szemrała mimowolnie żałosny sonet Petrarki.

Harmonja wiersza dźwięcząc jej w ucho wolnemi taktami, koiła boleści jej serca; cisza urocza natury wlewała spokój w jej duszę. Zbolała, zniechęcona do świata i do ludzi, wyzuta z wiary w prawdę uczucia na ziemi, rozbratana z nadzieją, zapragnęła resztę życia rzucić na pastwę samotnej dziczy marzeń i zaświatnym z własnem sercem rozmowom. Precz z miastem, precz z uciechami, gdzie więcej ciernia, niż kwiatów! Jeden promień słońca rozbryzgany o wieńce gęstej leszczyny, więcej ma w sobie czaru, niż całe strumienie balowych, rzęsistych świateł. Gdyby nawet rodzice, hołdując zwyczajowi, chcieli na zimę ku stolicy pociągnąć, ona ich ubłaga, aby dozwolili samej jednej na wsi pozostać, lub w ostatnim razie, zniechęcona do świata, wzniesie między nim a sobą nieprzełamaną zaporę: klasztorną kratą przegrodzi się od zgiełku na wieki. Tam, jako przedtem raz już była marzyła, w długiej, powłóczystej odzieży, pierwsza na jutrzni, ostatnia z nieszporów, Jezusowi poświęci to serce, którego ludzie pokazali się niegodni. Za jedną chwilę spokoju i ciszy, za jedno sam-na-sam z rozesłaną w pogodzie lubych wdzięków naturą, bezmyślny, kto wręcz nie oddaje całego życia zawodów i goryczy! —

Na podobnych myślach upłynął hrabiance miesiąc jeden i drugi. Byłoby bez wątpienia temże samem korytem i więcej ich spłynęło, gdyby czas, a z nim i myśli ludzkie, mogły nagle zatrzymać się w obiegu i unieruchomić, gdyby księżyc nigdy nie zachodził i lato zawsze rzeźwiło łagodnym powiewem łąki i lasy.

Na nieszczęście, rok cierpień Marji był rokiem niewolniczo do poprzedników swoich podobnym.

Po lecie nastała jesień, nastały dżdżyste poranki, chłodne wieczory, wichry dyszące zagubą na liście i kwiaty, a czasem i trzydniowe niewypowiedzianej nudoty deszcze.

Marja nie mogła wychodzić z pokoju. Jednostajny widok zawsze tychże samych sprzętów, i kwiatów na obiciu, i rozety na suficie, i czworoboków na posadzce, po pewnym przeciągu czasu staje się nieznośnym, obmierzłym. Konieczny spoczynek, bezwładność, w jakiej do koła wszystko grzęźnie, wstręt budzi w naturze człowieczej pożądliwej ruchu, goniącej za życiem, za

zmianą. Więc i książki przestają zajmować, gdy wrażeń w nich zaczerpanych nie ma komu udzielić, i muzyka traci powab, gdy jej pojętne ucho nie słucha, i fantazja z miejsca nie rusza, gdy zamiast polotu w niedościgły błękit, musi rozbijać się i kaleczyć o niskie ściany komnaty. Cóż dopiero, gdy za całą rozmaitość słyszy się tylko wybladłe rozmowy hrabiny z kapelanem, stokroć słyszane ojca anegdoty lub meteorologiczne spostrzeżenia nad nieznośnym deszczem, nad miłą pogodą.

Jest z czego oszaleć — zwłaszcza gdy się ma lat dziewiętnaście! —

Marja z początku, w samej sobie, we własnych wspomnieniach pogrążona, mniej zwracała uwagi na zewnątrz niej dziejące się rzeczy. Powoli jednak myśli jej mimowolnie zahaczyły się o prozaiczne strony domowego pożycia, tak, że nieraz ze wstrętem uciekać musiała przed nimi, lub walczyć z gwałtownie uciskającą nudotą.

Pewnego dnia zabrakło jej siły. Powstała, długo patrzyła na zabrudzone niebo, na cienkie pasma upartego deszczu, na znękane słotą, pożółkłe liście drzew; długo słuchała rozdrzemanego głosu księdza, który czytał hrabinie nieznośną jakąś lwowską gazetę. Odeszła wreszcie od okna i tuląc chustkę do ust, zatłumiła — jeden z najstraszniejszych symptomów duszy — ziewnięcie.

Senny ten goniec nie tyle zmęczenia ciała jak ducha zapadającego w letarg, zwiastował dopełnione przesilenie w całej istocie hrabianki, zapowiadał przebieg uczuć, marzeń i nadziei, na inną kolej, całkiem różną od dotychczasowej.

Dawny tor pojęć mógł odtąd trwać tylko w wymuszonem złudzeniu. Rzeczywiście życie Marji na inne wpadało szlaki, umysł jej z innego zaczynał snuć wątku.

Badaczom, którym prawda tylko jest miłą i pożądaną, ziewnięcie droższem częstokroć od uśmiechów, od westchnień. Ostatnie tyle razy kłamią; pierwsze nigdy nie zwodzi. Często usta klną jeszcze przysięgi, wzrok płonie namiętnem wejrzeniem, głos drży od rozpieszczonych wzruszeń — wszystko fałsz. Prawda tkwi na dnie i w godzinę dopiero wyjawia się w jednem samotnie stłumionem ziewnięciu.

Pierwsze ziewnięcie, niewyleczona to trucizna, od której

więcej poległo związków uczucia, aniżeli wyobrazić sobie mogą powierzchowne umysły.

Bywa wprawdzie czasami, że istoty nerwowe nie mogą oprzeć się wpływowi dżdżystego, upornie chmurnego powietrza. Ziewnięcie w takim razie wyraża szlachetną protestację przeciw niegrzecznemu obejściu natury. Widok nieustannej słoty naprzykrzył się hrabiance, wzrok jej potrzebował wypocząć na wdzięcznym przedmiocie; zapragnął pogodzenia z naturą na jednym z najpiękniejszych jej utworów.

Marja spojrzała w zwierciadło.

Spojrzała i westchnęła. Niestety! sama przed sobą nie mogła zataić prawdy.

Od dwóch miesięcy czas złośliwie igrał z jej rysami. Smutek dodał bladości obliczu; bladość wprawdzie nie była bez wdzięku, ale z rumieńcem pobladły zarazem i ust korale; troska przyćmiła blask oczu; między brwiami nawet, od nosa ku środkowi czoła, zamajaczyła lekka brózda, ślad częstych chmur przez myśl przeciągających.

Panie odpuść! — Jeszcze kilka miesięcy takiego życia, a ku schyłkowi oczu, na skroniach zmarszki gotowe się pokazać.

Wolno było zaiste łzy wylewać i serce napawać goryczą, ale niweczyć w sobie udałe dzieło rąk bożych, zatracać się dobrowolnie i powab w szpetność przeistaczać, szatańska to robota, głuche samobójstwo, dokonane w odarciu z poezji, a tem samem obojętne dla świata, budzące w sercach czułych litość raczej, niż spółczucie i uwielbienie.

Śmierć za młodu, mordercza dla życia, szanująca atoli wdzięki, mogła jeszcze posłużyć na tęskną, łzawą balladę; ale nić bytu przerwana w skutek długich cierpień i spotworzenia postaci, nie wystarczała nawet na nędzny sonet.

Jakkolwiek zawistny los miał nią nadal rozrządzić, Marja z roskoszą byłaby przyjęła zupełną samotność, odosobienie — wszystko! — prócz zawsze tego samego, jednostajnego towarzystwa, zakrzepłego gdzieś w opuszczonej, galicyjskiej wiosce, w znanym, rodzicielskim pałacu, od kolebki wyuczonym na pamięć. Gdyby przynajmniej miała pociechę widocznego udręczenia ze strony ojca lub matki! — Walka powinności z uczu-

ciem byłaby podała jej sposobność rozwinięcia tych znakomitych zalet, jakie czuła że drzemały w głębinach jej duszy. Próżne ułudy! — Marja z całym swoim skarbem poezji, uczuć, poświęcenia, skazaną była na wydawanie go codziennie zdawkową, powszednią monetą.

Sokolnikowa w niczem nie zdołała sprzeciwić się nie tylko woli, ale i przywidzeniom córki; rano i wieczorem, z nieomylnością zegaru, całowała ją w czoło, uwagi i rady wynurzała jedynie nad strojem. Cała wreszcie zacieczona w myślach o zaświatnem życiu, niechętnie ziemskiemi względy przerywała zachody o zabezpieczenie po śmierci wygodnego miejsca dla duszy.

Magnat nawzajem, od czasu jak córka pokazała się mu jedyną gałązką majątkowego ocalenia, rozpłonął ku niej szczególniejszą, ojcowską czułością. Uniżony sługa własnego dziecięcia, czatował, wynajdywał, chwytał sposobności zakradania się w jej łaskę. Powagę rodzicielskiego stanowiska odepchnął dla poufałych, przyjacielskich niemal stosunków, które otwierały mu łatwiejszy przystęp do przekonania jedynaczki. Przedewszystkiem cel mając na oku, wszelkie środki uważał za dobre, byle tylko środki niegwałtowne, nie oparte wyłącznie na sile i na rozkazie, takie bowiem — wiedział z doświadczenia — najtrudniejszemi były do użycia, zapalały niepotrzebną domową wojnę, po ślimaczemu wiodły do spełnienia zamiarów. Sokolnik mniemał, że dogodniej mu było rozbudzić w córce pobudki, jakie nim samym kierowały i jednakowemi przyczynami wywołać podobnyż skutek. Rozpieszczał więc jedynaczkę, pochlebiał, wynosił pod niebiosa, zachwycał się jej urodą, jej zaletami, porównywał z najpowabniejszemi dziedziczkami wielkich imion w cesarstwie, przysięgał że żadna z nich nie wytrzymałaby porównania z Marją, że na widnokręgu wiedeńskich salonów wszystkie zgasłyby jak gwiazdy za nadejściem słońca. Pochwały te wyrywały się mu niby pomimo chęci, bez żadnych przymilających uśmiechów, z surowym nawet często wyrazem na twarzy, zwyczajnie jak człowiekowi, który nie może odmówić świadectwa prawdzie, a jednak nie chciałby ujść za pochlebcę. Dzięki tej zręczności w postępowaniu, wpływ jego na córkę z każdym dniem nieznacznie się wzmagał.

Dygnitarz z zaufaniem poglądał w przyszłość; nie wątpił, że wiatr pomyślny, jaki od pewnego czasu nadymał mu żagle, i nadal wiać nie przestanie.

Ze stosunków z Porajami kwiaty tylko oberwał; cierni zręcznie unikał. Cierniem oczywiście była konieczność małżeństwa hrabianki z drążkowym szlachcicem, nie tak znowu nieprzeliczenie bogatym, aby świat mógł mu dla ogromnych dostatków przebaczyć poziomość rodu i brak w Wiedniu wszelkiego znaczenia.

Szczęśliwym trafem małżeństwo było zerwanem; zerwanem bez żadnej obawy zawiązania go na nowo; sam bowiem cesarz nie mógłby wymagać po ostatnim potomku znakomitej rodziny, po magnacie cenionym przez księcia kanclerza, aby dygnitarskie, jedyne swe dziecię rzucał na pastwę człowiekowi prawie bez nazwiska, zaledwie urodzonemu i na wczorajszym klejnocie dźwigającemu już plamę niepomszczonej zniewagi.

W istocie, wymagać tego po nim, było niepodobna!

Była atoli inna rzecz, daleko ważniejsza, jedyna nawet istotnie ważna, rzecz — jak w Galicji nazywają — kapitalna, której niegodziwość ludzka mogła była od niego zażądać. Piotr Poraj, w dobru Sokolnika niewidzący odtąd żadnego dla siebie zajęcia, mógł mu wypowiedzieć pożyczkę i zapragnąć natychmiastowego jej zwrotu. Trudno było odgadnąć zamiary człowieka, w chwili zwłaszcza, gdy rozwój ich nagle i niespodzianie zwracał się na drogę własnemu jego interesowi wręcz przeciwną! —

Innych, nad własny interes, pobudek działania, Sokolnik w ludziach nie przypuszczał — zbyt mało na to był romantycznym.

Cóż dopiero, gdy pomyślił, że obaj bracia mogą się pogodzić, że starszy da się młodszemu przekonać, że przyzna mu słuszność, wystąpi w jego obronie i o zerwaniu małżeństwa słyszyć nie zechce? W jednej chwili przepadną ciężkim trudem zdobyte korzyści. Trzeba będzie albo wydać córkę za człowieka osławionego, zgubionego przed światem, a tem samem odkryć nikczemne pobudki podkumania się z Porajami, albo też otwarcie zerwać z nimi stosunki i znowu wpaść w niemiłosierne szpony komorników, czyli od razu przystępując do wypadku,

uledz ostatecznie pod ciosem, z takim zachodem, z taką zręcznością, z takiem szczęściem zaledwie co odwróconym.

Niepewność wdarła się magnatowi do duszy, trawiła ją ogniem; przed sobą widział nieprzezwyciężone zawady, po obu stronach przepaść. Cofnąć się było zapóźno; stać w miejscu i czekać na wypadki, niebezpiecznie.

Sokolnik atoli nie należał do rzędu ludzi bezwładnie ulegających przeznaczeniu; w razie potrzeby umiał wystąpić na pole czynu i z niezwykłym uporem przebijać się śród przeciwności. Oblężony kłopotami, dręczony niepokojem, postanowił od razu tamę frasunkowi położyć, nie czekać w męczarni umysłu na zagubę, ale śmiało zajrzeć jej w oczy, samemu naprzód pospieszyć przeciw niebezpieczeństwu.

Czyliż arcyksiążę Karol, taktyk nie lada, a co więcej, brat JCMości, nie zwykł był mawiać, że w bitwach zaczepka jest połową wygranej?

Magnat długo w myśli plany odmieniał, układał, rozważał, naradzał się z kapelanem, aż nareszcie pewnego dnia oznajmił, że wyjeżdża na kilka dni w drogę. Gdzie? — za interesami. Sam tylko ksiądz wiedział pod tajemnicą, że podróż miała na celu odwiedziny starszego Poraja.

Sokolnik w żadnym razie nie mógł wrócić z próżnemi rękami; doniesiono mu bowiem, że brat Kazimierza od przyjazdu ze Lwowa na chwilę nie wyruszał z domu; musiał go więc zastać.

W istocie, Piotr kamieniem siedział na wsi, żył samotnie, na pozór spokojnie, a jednak zmienił się bardziej, niż gdyby był czas ten przeżywał na Bóg wie jak ciężkich przeprawach.

Ze wszystkich osób naszego dramatu, on sam najwięcej wycierpiał.

Wyłącznie oddany jednemu tylko celowi, jednej nadziei, jednemu uczuciu — za jednym zamachem wszystko postradał. Nagle uczuł w sercu nieznośną próżnię, ujrzał się obumarłym na wszystko, prócz na boleść bez granic. Żadna myśl zemsty, żaden zwrot na własną osobistość, nie przedstawiały mu ulgi w udręczeniach. Piotr z zerwaniem Kazimierzowego małżeństwa wszystko utracił; z potępieniem i pogrzebaniem brata przez

nieubłaganie sprawiedliwy sąd ludzki, nie miał dla kogo — nie miał już więc po co żyć na ziemi.

Gwałtowność ciosu tak go była odurzyła we Lwowie, że w pierwszych dniach sam siebie dokładnie nie pojmował, nie dowierzał ogromowi swego nieszczęścia. Skoro jednak w samotności wiejskiego pobytu ochłonął z wstępnych wrażeń i ostygł z namiętnych uniesień gniewu, skoro zebrał rozprzężone myśli i począł zimno zastanawiać się nad następstwami wypadku, wtedy dopiero zmierzył głąb otchłani, w jakiej los go był pogrążał.

Całe życie pracy wydało się mu kartą wydartą z dziejów jednej z Danaid, daremnym trudem, którego wspomnienie mu zbrzydło i obmierzły niepożyteczne dotąd owoce.

Niedawno przedtem, on, nieugięty żadną przeciwnością, niezastraszony żadną pracą, żadnemi zawadami, w walce dwojący siły, w rozbijaniu przeszkód szukający uciechy — on dziś czuł się słabszym od dziecka, niedołężniejszym od starca, zobojętnionym ku rzeczom, którym dotąd z zapałem wszystkie poświęcał chwile.

Samą wreszcie postacią aż nadto zdradzał niepowszednie troski ducha.

Słowo i rysy Piotra były zawsze wiernem odbiciem wewnętrznych jego usposobień. Żwawo wzniesiona niegdyś głowa, ponuro chyliła się dziś ku piersiom, boleść pokurczyła mu pogodne oblicze; otwarte, wesołe oko w głąb gdzieś ku mózgowi uciekło; na pobladłej skroni wiele siwego włosa przybyło; rączy krok stracił zwykłą regularność w targaninie ruchów, wywoływanych ciągłym niepokojem myśli.

Z jednego wątku, jak pająk samotnik, snujący jedyną szarą nić zgryzoty, Piotr, z boleści czasami od zmysłów odchodził, załamywał ręce, krył się przed samym sobą, palącą łzę ocierał ukradkiem.

W podobnych chwilach, zdjęty nadludzką rozpaczą, przemyśliwał nieraz jak porzucić rodzinną ziemię, dostatki, stosunki, jak wyrzec się całej przeszłości i wszystkich pamiątek — uciec przed znajomymi, przed miejscami dotkliwych wspomnień, daleko gdzieś, na koniec świata uciec, zagrzebać się w nieznanych krajach, opuścić ojczystą strzechę, zatracić się,

byle razem z pamięcią dobrego i złego. Ach, to ostatnie całe odtąd życie nakryło mu żałobnym kirem!

I byłby może dał porwać się szalonym zamiarom odludztwa, gdyby szlachetną swoją naturę nie był dzierżył w cuglach rozsądku: jeden wzgląd święty, wzgląd na jedynych, wiernych mu od kolebki towarzyszów, na sercem przywiązanych spółpracowników i spółtwórców jego dobra.

Starzy służebnicy, lud wiejski, byliby pozostali bez ojca, bez opiekuna, bez przyjaciela.

Kto wie, czyja obojętna a może i niemiłosierna dłoń byłaby ujęła władzę nad nimi i ostatnie chwile starców zaprawiła goryczą, a pierwsze myśli dziatek zatruła haniebnem wrażeniem ucisku i niewoli?

Myśl ta z ciemnych bezmiarów rozpaczy wracała go do rzeczywistości. Dla siebie niczego już nie mógł wyglądać; dla drugich mógł przydać się jeszcze na wiele.

Dla drugich! — Nie miał więc już prawa wyrzec: dla drugiego samego siebie, dla tego, który dotąd widnokrąg życia mu zapełniał i obiecywał urzeczywistnieniem własnego szczęścia zesłać upragnioną starszemu bratu najsłodszą jego trudów nagrodę!

Piotr osierociał, i było mu w sercu tak grobowie pusto, tak posępnie wietrzno, jako dziecięciu, które nie zaznawszy nigdy ojca, ani krewnych, ani przyjaciół, nagle ukochaną matkę utraca.

Przepaść rozwarła się między nim a bratem. Nic o Kazimierzu nie słyszał, nie wiedział; pierwszy, po zaciętej kłótni, nie miał odwagi do niego się odezwać; nadaremnie zaś ze strony wychowańca czekał wstępnego kroku. Znał Kazimierza i niezłomność jego postanowień; pamiętał że umysł jego jak zestalone w ogniu żelazo nagięte, wprzód pęknie, nim się odegnie.

A przecież, gdyby nieszczęsnik, upamiętany w bezmyślnym uporze, a nawet choć i nieupamiętany, gdyby tylko pychę złożył z serca, przyjechał do starszego, lub spotkał się z nim gdziekolwiek, umyślnie Piotr z początku możeby namarszczył czoła — ależ Bóg widzi, w duszy na własną krew nie miał zawziętości; winnego czy niewinnego byłby nareszcie przytulił do

serca i dopomógł do uczciwego wydobycia się na czyste pole honoru.

Darmo! — Kazimierz miał o honorze swoje, opętane wyobrażenia, lub raczej — niepojętem zjawiskiem w dziejach prawego szlachcica — z urodzenia lub z wyrodzenia grzeszył zupełnym brakiem uczucia własnej godności. Zniósł krzywdę, nie zacisnąwszy nawet pięści, połknął zniewagę, wzruszenia nawet nie pokazawszy na twarzy; dał się bezkarnie potyrać opinji, potargał zacne związki, zdradził zaufanie, podeptał miłość dziewczyny; przeniósł niesławę, wzgardę, własne nawet nieszczęście nad dopełnienie gorzkiej wprawdzie, ale koniecznej powinności. W rozhukanej dumie sam jeden chciał wznieść się wyżej nad wszystkich, swoje i nieswoje losy rzucał od razu na kartę, o której wiedział, że w każdym razie musiała przegrać.

I dla czego? — Sam może nie pojmował. Ot tak, byle postawić na swojęm!

Nie! — Podobnego postępowania Piotr nie mógł mu zapomnieć ani przebaczyć. Nad związki rodzinne, nad braterskie przywiązanie, krew szlachecka dla innych, świętszych jeszcze biła zasad. Wszelkie zacne uczucia mogły tylko wzrastać na glebie niepokalanej, człowieczej godności. Tę godność starszy tylko z dwóch braci nietkniętą dotąd przechowywał.

Nietkniętą? — I tego nawet nie mógł powiedzieć. Czyliż bowiem wstyd braterskiego postępku nie bryzgnął gęsto i na jego własną sławę? Trudno było przed samym sobą zataić prawdę. Nazwisko Poraja miało odtąd przypominać nie cnoty, nie zasługi starszego, ale hańbę młodszego brata.

Piotr na to wspomnienie płonił się krwawym rumieńcem, giął pod brzemieniem wspólnego wstydu; wzdrygał się wyjechać na świat, zajrzeć ludziom w oczy. Zdawało się mu, że palcem wytykać go będą i pokazywać jako brata jednogłośnie potępionego winowajcy. Zamknął się więc u siebie na wsi, uciął nagle stosunki ze znajomymi i z sąsiadami. Ci ostatni nawzajem, aż nadto świadomi szczegółów lwowskiego wypadku, szanowali słuszną boleść w obywatelu ze wszech miar zacnym, bogatym, a więc wywierającym znakomity wpływ na ludzi i na rzeczy.

Piotr sam atoli, w chwilach przystępu zimnej rozwagi, poj-

mował że z podobnym trybem życia nie długo dalej pociągnie, że sam w sobie strawi się, zniszczy, że nędznie zmarnieje. Bezczynności dziwak-szlachcic znieść nie potrafił.

Samotność ciężyła mu ołowiem. Często, mimowolnie niby, wychodzi na ganek, przysłania wzrok dłonią, patrzył czy z pod lasu nie jedzie jaki gość, jaki znajomy; wysłuchiwał wieczorami wiejską ciszę i szybko podnosił nieraz głowę, jak gdyby uderzony dalekim turkotem kutych kół.

Napróżno! — Koła wodnego młyna warkotały tylko w oddali; pod lasem wznosiła tuman kurzawy wracająca trzoda lub szereg wieśniaczych wozów.

Pewnego dnia nareszcie, w chwili gdy Poraj głębiej niż zwykle tonął w rozpacznych dumaniach, stary służący wbiegł nagle i oznajmił powóz od strony łąki.

Piotr machinalnie dał odziać się w przyzwoitszy strój, ale zanim pospieszył wybiedz naprzeciw gościa, tenże zajeżdżał już przed ganek.

W żwawo wyskakującym przyjezdnym gospodarz rozpoznał Sokolnika.

Magnat niósł na twarzy wyraz smutku, rozpromienionego wszakże na chwilę uczuciem niewysłowionej radości, jakiej doznawał z widoku drogiego sobie przyjaciela.

Padł w objęcia Poraja, przytulił go długim uściskiem. Piotr uczuł bicie dygnitarskiego serca, drżenie ramion, oddech przerywany tłumionemi wzruszeniem powitaniami, wykrzykami przyjaźni, dopytywaniami o zdrowie.

Z tęsknym uśmiechem prowadził w dom gościa; odpowiadał w sposób na pozór zaspokajający.

Sokolnik jednym rzutem oka dobadał się prawdy. Piotr musiał wycierpieć straszne męki — tak przynajmniej patrzyło mu z twarzy. Pod larwą udanego spokoju krył ciężką zgryzotę, żal — a kto wie — może nawet chęć postawienia sprawy na dawnem stanowisku, lub w przeciwnym razie, nieubłaganą zemstę.

Gorączkowy dreszcz strachu przebiegł magnatowi po skórze.

Dźwięk głosu ludzkiego, chociażby z własnych ust wychodzący, w razach zwątpienia, dodaje zaufania i odwagi.

Sokolnik wielomównością odpędzał złe myśli, krzepił zachwiane nadzieje. Unikał wzmianki o Kazimierzu, o Marji, o małżeństwie, o interesach; chwytał podpadające mu pod oko przedmioty, przyczepiał do nich dziwaczne powiastki, wspominał dowcipne słowa wielkich dostojników cesarstwa, starał się przedewszystkiem rozweselić gospodarza, przygotować sobie pole do ważniejszych działań.

Odwoływania się do zdań Piotra, skryte ale pomimo to łatwe do odgadnięcia oznaki przyjaźni, rozrzewnione uśmiechy, potakiwania, mile przeplatały poufałą rozmowę.

Poraj wracał do życia pod zbawiennym wpływem tylu serdecznych uczuć, jako kwiat wbity do ziemi gwałtowną nawałnicą, za pierwszym promieniem słońca znowa prostował się i rozchylał ku niebu wdzięczne zawoje. Wyrwany za obręb dotychczasowych, ciągłych niepokojów, spragniony wolnego oddechu, z błogiem uczuciem pozwalał unosić się w sfery, gdzie nic mu nie przypominało trawiących go zgryzot.

Ztąd jasny wniosek, że przyjaźń w istocie jest córą nieba, balsamem na najboleśniejsze rany. O słodki balsamie przyjaźni! —

Gość i gospodarz rozeszli się, nawzajem z siebie zadowolnieni: magnat nabrał otuchy, Piotr pomyślił że większą część nieszczęść należało na karb losu policzyć; każdy bowiem człowiek miał swoje dobre strony, które trzeba było tylko umieć wynaleźć.

Nazajutrz, pomimo że sam rano się zerwał, zastał już gościa ubranego.

Sokolnik przez otwarte okna swego pokoju pogodnym wzrokiem przypatrywał się zabudowaniom, ogrodowi i położeniu wiejskiej siedziby swojego przyjaciela.

Piotr wesoło go powitał; z łagodnym uśmiechem przepraszał za skromność swego pomieszkania, w porównaniu z wykwintnym pałacem hrabiego, z przepychem jego ogrodów i smakiem, z jakim zbytek rozwinął wszędy rodzime wdzięki natury.

Sokolnik nie dał mu dokończyć.

Powierzchowne ozdoby, świecidła, romanse! — mówił, pogardliwie wzruszając ramionami — ważne to i piękne rzeczy dla

kobiet. Panie nasze lubią stroje nie tylko na sobie, ale i koło siebie. Nie wszystko, co świeci, złoto. Pałace, kioski, szpalery, kwietniki — rzecz pieniędzy! W naszym rolniczym kraju na pochwałę, na podziw zasługują tylko wzorowe gospodarstwa, mądre ulepszenia wprowadzone do sposobu uprawy roli, do uszlachetnienia rasy inwentarza — słowem, to wszystko, co w ostatecznym wypadku daje włościaństwu dobry byt, a obywatelom zapewnia pomyślność.

Tu dygnitarz wręcz ku Piotrowi wymierzył argument: bez ogródek wypowiedział mu, że go poczytuje za pierwszego w Galicji gospodarza, że obywatelstwo zewsząd powinno się zjeżdżać doń na naukę, brać wzór z korzystnych jego dla kraju usiłowań.

Na poparcie tych słów oczywistym dowodem i własnym przykładem, oświadczył że pragnie dzień wyłącznie poświęcić przeglądowi wszelkich szczegółów Porajowego gospodarstwa. W tym celu nawet sam, uprzedzając wolę pana domu, za przebudzeniem kazał natychmiast przygotować polową bryczkę, i chociażby ogień z nieba padał, nieodmiennie postanowił nie wracać do domu, nie przekonawszy się wprzód na własne oczy jak należało żyć na wsi z pożytkiem dla siebie i dla drugich.

Piotr usiłował poskromić agronomiczne zapały swego gościa względami na obiad i na śniadanie. Magnat o niczem nie chciał słuchać. Śniadanie, byle jakie, miało być wzięte z sobą i spożyte na polu, w lesie, lub w pierwszym folwarku; obiad zaś, choć spóźniony, nic nie mógł stracić na całodziennej biesiadników przejeżdżce.

Poraj, silnie ujęty za serce dobrodusznem obejściem dygnitarza, nie śmiał sprzeciwiać się dalej jego żądaniom, tem bardziej, że oczekiwana bryczka zajeżdżała już przed ganek.

Nalegania Sokolnika głaskały wreszcie miłość własną szlachcica, który rad był wielkiemu panu pokazać, jak przystało wieść żywot prawdziwie polskiemu obywatelowi i jaka różnica przedzielała zapracowaną zamożność od dziedzicznego a próchnem świecącego zbytku.

Piotr zaczął od oprowadzenia gościa po gospodarskich zabudowaniach, wszedł do kilku włościańskich chałup, wydawał przy nim rozporządzenia, następnie zawiózł go w pole, wtąpił

do kilku folwarków, kazał zdawać sobie sprawę ze wszystkich szczegółów stanowiących zakres wiejskiej działalności.

Od kilku tygodni zasiedziały w domowem osamotnieniu, sam pragnął zawiązać na nowo ogniwa przerwanego łańcucha, tem wyraźniej więc mógł przed oczyma swego towarzysza wyjaśnić najdrobniejsze sprężyny wprawiające w ruch całość rolniczego przedsięwzięcia.

Sprawiedliwość i uczciwość podwładnych, dobry byt, swoboda ducha przebijająca w śmiałych odpowiedziach włościan, ład, porządek, przezorność, cechowały każdy szczegół tego pracowniczego stowarzyszenia, którego Piotr więcej był przewodnikiem, niż wyzyskiwaczem.

Dla Sokolnika nie mam dość rzęsistych oklasków: odegrał on swoją rolę przewybornie, po mistrzowsku. Przysłuchiwał się z większą uwagą, niż marnotrawny synowiec słucha morałów suchotniczej a bogatej ciotki; zręcznie uczepiał pytania, domagał się bliższych objaśnień, sam kilkakrotnie raczył zniżyć się do osobistej rozmowy z wieśniaczą hołotą, zgadywał i odsłaniał szlachetne strony pieczołowitych Piotra o dobro robotniczego ludu. Oko naówczas wilgotniało mu łzą, uśmiech rozrzewnienia siadał na ustach; dygnitarz zamiast słów podziwu, czule ściskał rękę swemu gospodarzowi.

Okrzyki zachwytu, potakiwania zamiarom, troskliwie wypowiadane zarzuty i wątpliwości, które pierzchały bez śladu za pierwszem słowem Piotra, stosowniejsze miejsce znajdowały tam, gdzie rzecz nie toczyła się o ludziach, ale o martwych lub bydlęcych przedmiotach.

Piotr nie posiadał się z oczarowania. Porwany w ulubiony sobie żywioł, otrząsł się na chwilę z długiej boleści, odzyskał pierwotną swobodę umysłu, otworzył serce szlachetnemu zadowolnieniu z owoców własnej pracy i słodkim uczuciom przyjaźni.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Sokolnik kilkakroć zapytywany, bronił się od powrotu, co chwila spostrzegał coś nowego, co krok napotykał świeże powody uwag, podziwień, wykrzykników.

Piotr musiał zniewolić gościa swego do wytchnienia i do posiłku.

Magnat w duszy rad był spotkać się z obiadem. Widok wykwintnie zastawionego stołu przyjemniejszym mu był nad wszystkie sieczkarnie, siewniki, młockarnie, młyny, tatarki, łąki i lasy, zasiewy i ugory, lud wiejski i inwentarze.

Tym razem nie potrzebował udawać wesołości: uczucie żołądkowego zadowolnienia szczerym uśmiechem wykrasiło mu oblicze. Potrzebował wreszcie pokrzepić siły: tegoż samego bowiem wieczora zamierzał przystąpić do głównego celu odwiedzin.

Po zaspokojeniu pierwszego głodu, Sokolnik z lekka wyciągnął się w krześle i uroczyście niosąc do ust kieliszek wina, o którego zaletach już się był z zapałem wyraził, rzekł:

— Teraz, kochany sąsiedzie, nad tem tylko przemyślam, jak spamiętać to wszystko, co widziałem i com słyszał. Nie chciałbym, aby nauka poszła w las. Wprawdzie nadzwyczajny porządek, z jakim w tem gospodarstwie jedno wywija się z drugiego, ułatwia mi zachód; wszelako ze wstydem wyznać muszę, że jestem nowicjusz. O wielu rzeczach, które dziś tak głęboko mię zastanowiły, nie miałem dotąd żadnego wyobrażenia. Ha! dziękuj Bogu, panie Piotrze, że siwizna samowładnie zaległa mi głowę! Gdybym mógł uciec w przeszłość przynajmniej o trzy dziesiątki lat, nie łatwo wypędziłbyś mię z domu. Musiałbyś przyjąć mię na ekonoma i krócej trzymać niż twoich podwładnych. Dziś, stary niedołęga, mogę tylko podziwiać i żałować zmarnowanego czasu. —

Obiad zbliżał się ku schyłkowi; dwie zapleśniałe butelki starego węgrzyna wystąpiły na cześć zacnego gościa. Magnat powitał je z radością; wiedział, o ile stare wino ułatwia przystęp do szlachetnych serc.

— Łaskawe oczy kochanego sąsiada — rzekł Piotr, ostrożnie lejąc bursztynowy płyn — przeceniają rzeczy zaledwie godne uwagi. Rolniczy stan nie rzemiosło, ani żadna filozofja; prawić o nim jak z katedry niepodobna. Własna praca, własne doświadczenie, oto jedyna nauka. Ja sam, Bóg świadkiem, nie szukałem nauki, ani w książkach, ani w cudzych radach. Wyjdę, bywało, na pole, na łąkę, do lasu; patrzę, słucham i zdaje się mi nieraz, jak gdyby ziemia i trawy do mnie szeptały, jak gdyby żaliły się i spowiadały, czego im braknie.

Rada nie trudna, gdzie ból wiadomy. Wracam do domu i często jeszcze nie stanąłem na progu, już wiem jak się nadal zarządzić.

— Rozumiem — odparł dygnitarz, zawracając białka do góry — ciągła styczność z naturą, wysłuchiwanie tajemnych jej głosów, samotność i rozwaga, oto główne warunki, dzięki którym dobry byt wieńczy wspólną pracę obywatela i włościan. Przyznaję, panie Piotrze, że pierwszy raz u ciebie widzę tyle porządku i zamożności między chłopami. Nie pojmuję, jakim cudem potrafiłeś hultajstwo to wyciągnąć z błota i z pijaństwa, postawić na nogi, zmusić do osiedlenia mieszkań, gdzie bydło i ludzie żyją osobno? Dla podobnych tobie właścicieli sprawiedliwy rząd nie miałby dość oznak i zaszczytów.

— Boże uchowaj! — zawołał Piotr z uśmiechem. — Od powietrza, głodu, ognia, wszelkich łask i poufałości z rządem, wybaw nas Panie! U nas na partykularzu nagrodę rządową uważają za patent na szpiegostwo lub na podłość. Czyliż pomyślne skutki własnej pracy nie stanowią dostatecznej nagrody? Co do chłopów moich, śmiało mogę powiedzieć, że nie mają na co się żalić; ale też i ja winienem oddać im sprawiedliwość. Lud uczciwy, skrzętny, pracowity. Od czasu jak w domu starczy im co dnia na kieliszek wódki, w niedzielę nie rozpijają się w karczmie. Młode pokolenie umie czytać expedite; na zabawnych i pożytecznych książkach mu nie brak, ztąd też rade znajduje zabawę gdzieindziej, niż w zwadach i w pijatyce.

— Dziwna rzecz, niepojęta! — westchnął Sokolnik. — Ileż trudności musiałeś przełamać, ile przesądów wykorzenić! Na twojem miejscu, panie Piotrze, z owoców własnego doświadczenia wyciągnąłbym i opisał teorję, która, nie wątpię, stałaby się wkrótce katechizmem dla całego obywatelstwa.

— Teorje najmądrzej spisane, na nic się nie zdadzą; cała nauka zawiera się w kilku słowach: żyć z ludem, podzielać z nim pracę, wglądać samemu we wszystkie szczegóły jego bytu i mieć dobrą wolę. Kto sam nie pracuje, ten chociażby Salomonową głowę nosił na karku, nic nie wskóra.

— Zapewne; opieka nad ludem, święty to i pierwszy obowiązek. Bieda tym, którzy go nie dopełniają, jak również chwała ludziom, którzy jak ty, kochany sąsiedzie, szlachetny

w tym względzie wzór stawią okolicy. Biedny chłop! — Od świtu do nocy pracuje dla naszego dobra; trzebaż przecie i dla niego mieć ludzkie wnętrzności, pomódz mu w niedoli, obchodzić się jak z człowiekiem. Jeżeli dbamy o konie, które nas ciągną, jak nie dbać o ludzi, którzy nas żywią? Ja u siebie pod surowemi karami zabraniam ekonomom pastwić się nad chłopami. Nie dalej jak onegdaj, kazałem komisarzowi wypędzić gumiennego, który — nie pomnę za jakie przekroczenie — srodze pokaleczył gorzelnianego parobka. «W sprawach z chłopami — powtarzam moim panom oficjalistom — nie mojej korzyści patrzcie, ale sprawiedliwości. Mniejsza o moją stratę, byle na wsi był spokój, byle na was i na mnie nikt się nie skarżył.

— Wtedy bowiem i pańskie dobro nie ucierpi. Sprawiedliwość i inna jeszcze zasada, wyższa od sprawiedliwości — miłosierdzie — w ostatecznym wypadku ze strony właściciela najlepszym są rachunkiem. Mówię z doświadczenia. Gdzie chłopom dobrze się dzieje, tam i pan bogatszy. Robota idzie rączo, wesoło; nędza i rozpacz nie pchają do rozpusty. Rolnik przekonany, że chata do niego należy, że pola nikt mu nie wydrze, przywiązuje się do siedziby, do ziemi, podpiera strzechę, ulepsza glebę. Zaczem skrzętniej chodzi koło bydła, nie wypędza dobytku na targ, nie przepija. Bo dzieciom także chciałby zostawić zapomogę, oszczędzić wstępnych a gorzkich w gospodarstwie kłopotów.

Pamiętam, jak przy objęciu majątku ludzie moi mieszkali w chatach gorszych od chlewów; kilku zaledwie miało po parze roboczych wołów. Dziś każdy z nich mógłby wygodnie ugościć zagonowego szlachcica. Gromadzkie bydło i trzody daleko liczniejsze od moich własnych. Czy uwierzysz pan hrabia, że gdybym szczególnym wypadkiem zapotrzebował nagle kilkunastu tysięcy złotych, w niedzielę po mszy gromada złożyłaby mi pieniądze co do grosza, z zapytaniem, czyli nie żądam więcej.

— Doprawdy? — Nie do uwierzenia!

— Nie inaczej. I to, co mówię, stosuje się nie tylko do tej oto wioski, ale i do innych, któremi od dwudziestu czterech lat zarządzam. W jednym Gołuchowie, o dwie mile ztąd, lud mniej

zamożny. Nic dziwnego. W ostatnich kilku latach spadły na biedaków dwa pożary, pomor bydła i zupełny prawie nieurodzaj. Ofiarowałem im zapomogi; podziękowali, mówiąc że nie potrzebują.

— Słucham jak we śnie — rzekł magnat — słucham i myślę, że jeżeli dzięki twemu zarządowi, chłopi twoi, panie Piotrze, tak dalece byt polepszyli, różnica między stanem twoich interesów dzisiejszym, a stanem, jaki znalazłeś w pierwszym dniu objęcia majątku, musi być tem wydatniejszą. Ciekawa to gospodarcza nauka, wykazywana nie czczą tylko teorją, ale oparta na dotykalnych, niezbitych dowodach. —

Druga butelka węgrzyna zaczynała przeświecać dnem. Piotr stawał się coraz rozmowniejszym; jeden po drugim otwierał upusty serca, pamięci i sumienia.

Zamyślił się na chwilę i rzekł:

— Chcesz pan hrabia mówić o mojej przeszłości? — Hm! — więcej ona ciekawą niż nauczającą. Zasługa gra w niej podrzędną rolę; główna należy szczęściu, lub jak mój proboszcz nazywa, i na co chętnie przystaję, błogosławieństwu bożemu. Dziś, gdy nitka się zerwała, mogę mówić o szczęściu spokojnie, bezstronnie, jak się mówi o nieboszczykach. Więcej już się go nie spodziewam, ani nie żądam; nigdy jednak nie zapomnę com winien fortunie.

O pracy mojej, o zachodach nie warto wspominać. Iluż pracowało więcej i dłużej a nadaremnie! Nie będę nadużywał cierpliwości łaskawego gościa wyliczaniem cyfer lub szczegółowych przedsięwzięć. Historja moja nader krótka.

Majątek spadły na nas po rodzicach, w skutek klęsk wynikłych z ostatniego rozbioru kraju, składał się z mnogich posiadłości, ale po brzegi obdłużonych; z samych prawie tytułów, których istotnymi posiadaczami byli aż nazbyt liczni wierzyciele.

Wziąłem się do dzieła. Było nas dwóch: jeden dzieckiem, drugi dorosły. Musiałem pracować za dwóch.

Marne niegdyś tytuły pokrywają dziś czystą rzeczywistość.

Ale kiedy o wszystkiem już prawię, wyspowiadam się także ze śmiesznej manji. Gdybym w szkołach pilniej był uczuł się geometrji, myślałbym że Bóg stworzył mię na matematyka.

Nie mogłem ścierpieć w posiadłościach moich nieregularnych linji. Korzystałem z każdej sposobności, aby zaokrąglić się w koło lub rozciągnąć w kwadrat. Od koła do kwadratu, od kwadratu do koła wypadło, że gdyby ś. p. ojciec mój wstał dziś z grobu, spotrzebowałby na objechanie ziemi swoich synów trzy razy więcej czasu, niż go zużywał na objazd swoich wiosek. Nie ma obawy; nie powstanie umarły! — Ba! może też i lepiej dla niego że zasnął na wieki! Raz umierać nie łatwo, cóż dopiero powtarzać próbę, i to nie ze starości, nie z choroby — Bóg wie, dla jakich strasznych powodów! —

Piotr przesunął rękę po czole; widno, odpychał chmurę trosk zachodzącą mu na umysł.

Sokolnik przerwał gospodarzowi tęskne za gorzkiemi myślami pogonie.

— Protestuję! — zawołał z przyjacielskim zapałem — jak najuroczyściej protestuję! Niechaj całe pokolenia zmartwychwstają, ja pierwszy obowiązuję się zawdzięczyć im cud, widokiem człowieka, który własną pracą, własnym trudem wywalczył jedno z świetniejszych w kraju stanowisk; który dla tego piął się na szczyt pomyślności, aby zyskać szerszy zakres dobroczynnych wpływów na otaczających go spółpracowników, sąsiadów, znajomych, przyjaciół; który każdy dzień życia znaczył usługą oddaną bliźniemu, odporem przeciw cudzemu nieszczęściu, odkryciami nowych źródeł krajowego dobra. Przejdźmy się po kraju! — Gdzie imię otoczone większym szacunkiem, gdzie bardziej wzorowy rolnik, chętniej pytany doradca, więcej czczony obywatel, szczerzej kochany przyjaciel? — Zasługa często upada na świecie; ale tym razem bądźmy sprawiedliwi: uszanowano ją jak należało. Założyłeś sobie, panie Piotrze, wysoki cel i nie czekałeś na nagrodę, na najsłodszą nagrodę, o jakiej wolno człowiekowi zamarzyć. Mniejsza o dostatki; ja także nie widzę w złocie szczęścia! Jedynem naszem dobrem, bez którego obejść się niepodobna, jest pochlebny głos opinji, szacunek współobywateli.

— Zawstydzasz mię pan hrabia — rzekł Piotr z uczuciem mimowolnej boleści, jakie w nim wzbudziła apologja opinji. — Osobistych celów, mogę zaręczyć, nigdy sobie nie zakładałem. Co zaś do nagrody, ta którą mi przyznajesz, przewyższa

moje zasługi, choć na nieszczęście, nie odpowiada moim oczekiwaniom.

Celem moim był cel każdego człowieka na ziemi: praca — nagrodą: nie zaspokojenie zbytkowych wymóg, nie gromadzenie dostatków. Dla siebie, Bóg widzi, przestaję na małem, zapotrzebować wiele nie umiem.

Opinja! — szacunek powszechny! — Piękne to rzeczy i niezbędne — nie przeczę; alem nigdy o nich nie pomyślił. Przyszły mi jak we śnie — sam nie wiem kiedy. Usługi, jakie tu i owdzie udało się mi wyświadczyć, mniej jeszcze mają znaczenia. Względem moich podwładnych, względem włościan, dopełniłem świętego obowiązku — niczego więcej. Zaspokojona powinność nie jest zasługą. Co do znajomych i sąsiadów, rada nic nie kosztuje; z uczynku zaś więcej przyjemności ciągnie strona czynna niż bierna. Dzieło od serca poczęte, samo w sobie nosi dostateczną zapłatę.

Nie powiem jednak, abym nigdy nie łudził się żadnemi widokami na przyszłość.

Miałem i ja moje chimery — goniłem i ja za tem, co w moich pojęciach stanowiło dla mnie szczęście. Stary szaleniec! — Zbyt ufałem w moją gwiazdę. Srodze mię pokaleczono! — Ha, darmo! — Przekonałem się, że głupcy tylko marzą i wierzę w wymarzony naprzód program życia dla siebie i dla drugich! —

Stało się! — Nie ma o czem mówić.

Jeszcze jeden kieliszek, łaskawy sąsiedzie. Wino to pamięta wesele mojego ojca; mam go kilkanaście butelek i dobywam w rzadkich razach, dla szczególnie miłych mi gości. —

— Z chęcią, kochany sąsiedzie. Wino niewątpliwie rzadkich zalet; takie godzi się tylko pić z przyjacielem od dawna niewidzianym.

Skoro jednak mówimy z sobą otwarcie, pozwól i mnie wyznać, panie Piotrze, że już wcześniej byłbym przerwał twoją samotność, gdybym się był spodziewał równie łaskawego przyjęcia. Nie śmiałem narzucać ci mojej obecności; wiedziałem że dźwigasz na duszy zmartwienia i trosk nie mało. Ja także od nieszczęsnego pobytu we Lwowie, nie usypiam na różach.

Zawiniłem — szczerze się spowiadam i za grzechy żałuję Powinienem był więcej zaufać głosowi mego serca, nie zwlekać odwiedzin — po prostu, po przyjacielsku zajechać, sam własne frasunki wypowiedzieć i twoje z ciebie wydobyć. Cóż u licha, miałażby przyjaźń być czczym tylko wyrazem? U kogoż wreszcie znajdziemy ulgę, jeżeli nie u przyjaciela, u drugiego samego siebie? —

Otworzyliśmy dwie butelki — patrz, obie próżne! Nie pokazujmyż mniej szacunku dla naszej rozmowy; skoro raz zapoczęliśmy, wychylmyż ją do dna! —

Sokolnik ze szlachcicem i ze szlachetnym umiał rozmawiać po szlachecku. Gorączkowy rumieniec wykrasił lice Poraja; zaćmiło się mu w oczach, jak gdyby od łzy roztęczowanej na źrenicy. Zawstydzony zbyt wyraźnem wzruszeniem, utkwił wzrok w obrus, długo machinalnie bawił się trzonkiem noża, gryzł drżące usta, przerywanym wreszcie głosem rzekł:

— O czem tu prawić? — Wszystko stracone! — Dziękuję panu hrabiemu za odwiedziny, z serca dziękuję. Przekonałeś mię, że między ludźmi wysokiego rodu są jeszcze uczciwe charaktery. —

Piotr, pewien że powiedział magnatowi grzeczność, ciągnął dalej:

— Mówiliśmy o celu pracy. Tak jest — i ja miałem cel. Od świtu do nocy, nie szczędząc sił i zachodów, wzrok i myśl wypoczywałem w przyszłości na jednej tylko nadziei. Byłem więcej ojcem niż bratem. Czułem niepokoje, troskliwość i dumę ojcowską; pojmowałem na wszystko wyrozumiałą przyjaźń brata. Jedno tylko miałem marzenie: chciałem oszczędzić mu troski o własny los, pragnąłem wyswobodzić go od materjalnych kłopotów, wyrównać mu drogę życia, wykierować na człowieka zajętego wyłącznie dobrem narodu, postawić w kraju jako wzór Polaka, szlachcica, naczelnika rodziny. Wtedy, myślałem sobie, wypocznę z trudów; pożyję jego szczęściem, gdy na własne już mi zapóźno.

Było w tem może z mojej strony nieco próżności.

Odpokutowałem, chociaż po prawdzie, zaczynam dopiero pokutę. Los odkrył mi przyszłość, o jakiej przedtem sam przed sobą głośno byłbym się lękał zamarzyć.

Dzisiaj rozumiem jego igraszki — z wysoka chciał mię strącić.

Aljans z domem pana hrabiego pod wszystkiemi względami przewyższał moje nadzieje.

Nie posiadałem się ze szczęścia, daleko więcej, niżeli dziś posiadam się boleści.

Nie mam brata. Jestem jedynak albo samotnik — do wyboru! —

— Ależ panie Piotrze, na wszelki grzech jest miłosierdzie.

— Na grzech dokonany, zgoda; w tym razie atoli grzech trwa ciągle, z każdym dniem się rozwija. Kazimierz na zabój tkwi w swoich postanowieniach.

Wreszcie może być, że się mylę; może o rzeczach i o ludziach sądzę jak ślepy o kolorach.

Mów pan hrabia, tłumacz go; odwołuję się do jego zdania. Co czyni człowiek honorowy po otrzymaniu śmiertelnej zniewagi? Jak się nazywa ten, kto z placu boju umyka? — Czyj obowiązek szanować tego, kto sam swojej godności bronić nie umie? Z kim stosunki, gdzie miejsce obojętnika na karczemne obelgi? — Do stu szatanów! przecież nie pod slzacheckim dachem; ten nad podobną głową sto razy zawalić się powinien! — Mów pan — słucham. —

Sokolnik ponuro opuścił głowę, jak gdyby pomimo głębokiego spółczucia nic nie miał do powiedzenia. Wszechwładny głos sprawiedliwości i prawdy tłumił w nim porywy serca.

Poraj zrozumiał milczącą odpowiedź.

— Pojmuję — rzekł — pańską delikatność w domu starszego z dwóch braci. Tam, gdzie nie ma na czem oprzeć obrony, szlachetne usta milczą. Ha! gdyby nieszczęsnik cień słuszności miał za sobą, pierwszy byłbym go wynalazł! Dziś z czem w jego obronie przeciw opinji wystąpię? Jakiem prawem powstanę przeciw tym, którzy zerwą z nim wszelkie stosunki — którzy przed uściskiem jego dłoni w tył łokcie usuną? — Chociażbym do upadłego upierał się i walczył — sam jeden opinji nie pokonam, zwłaszcza też gdy według mego własnego przekonania, opinja ta w wyroku od sprawiedliwości w niczem nie odstępuje. Sumienie każe mi ze wszystkimi powtórzyć: przepadł, sam się zatracił, bez nadziei, bez ratunku! —

— Bez nadziei? — uczepił magnat, cedząc słowa przez zęby — bez ratunku? Dla młodego człowieka żadne położenie nie jest bez nadziei; rozpacz tam tylko ma prawo owładnąć, gdzie ustają siły. W honorowych sprawach sąd niesłychanie śliski. Są to rzeczy, w których każdy najlepszym jest samego siebie sędzią.

Żal mi niesłychanie zajścia pana Kazimierza z szalonym moim kuzynem. Poświęciłbym wiele, aby złe odrobić. W następstwa jednak wypadku w żadnym razie wchodzić mi nie wypada. Stosunków moich względem ciebie, panie Piotrze, i brata twego w niczem nie uważam za zerwane; pierwszy przynajmniej, pomimo osobistych moich wniosków, zrywać ich nie mogę. Wasza wola będzie dla mnie prawem; co do mnie, raz jeszcze powtarzam: uważam siebie i całą moją rodzinę za stronę zupełnie bierną, w niczem nie rozsądzającą. —

Piotr słuchał z uwagą, ale z plątaniny własnych myśli i ostrożnych słów Sokolnika nie mógł wywikłać prawdy.

— Przebacz pan hrabia — rzekł — nie zrozumiałem. O szlachetnym charakterze gościa mego i całej jego rodziny nie wątpię; w czem jednak łaskawe pobłażanie zacnych przyjaciół może wpłynąć na niecofnione następstwa przeklętego zajścia brata mojego z Wilczkiem? — Nie pojmuję.

— Wytłumaczę się jasno, otwarcie — odparł magnat. — Między nami, co na sercu, to na ustach; innego stosunku nie przypuszczam.

Ułożyliśmy między naszemi dziećmi małżeństwo. Związek ten przed miesiącem jeszcze wszystkich nas napełniał szczęściem. Dziś, pomimo że okoliczności zupełnie się zmieniły, z mojej strony zobowiązania uważam za równie święte; zrywać ich nie przyjeżdżam — przeciwnie, stawiam się na słowie, jestem gotów, czekam na wasze rozkazy.

— I hrabianka także w niczem nie zmieniła swojego sposobu myślenia?

— Córka moja od kolebki przyzwyczajona szanować wolę rodziców. Osobiste jej zdanie nie powinno nas obchodzić. Ja sam udaję, że nie postrzegam jej łez, chociaż od powrotu na wieś nie ma dnia, abym ją zapłakaną nie widział. Przekonany

jestem, że jedno moje słowo bez żadnego oporu zaprowadzi ją przed ołtarz. —

Piotr powstał; głos mu drżał, wzrok ćmił się od wruszenia. Z niewysłowionem wzruszeniem ujął magnata za rękę.

— Umiesz pan hrabia być przyjacielem — mówił — umiesz dodawać siły zwątlonym i godzić z życiem tych, którzy na ziemi o wszystkiem już zwątpili. Niechaj Bóg ci to wynagrodzi błogosławieństwem na drogie twoje dziecię. Ułożyliśmy zaszczytny dla mojej rodziny związek, to prawda; cieszyliśmy się wspólnem szczęściem — ach! ja może byłem najszczęśliwszy, ja najniecierpliwiej liczyłem dni i godziny, ja najgoręcej pragnąłem spełnienia naszych nadziei, ja najgorliwiej goniłem za przyspieszeniem pożądanej chwili. Dziś ja pierwszy może, dałem odprawę złudzeniom. Świat cały potępia winowajcę; pan hrabia jeden otwierasz mu serce, wyciągasz przyjacielską dłoń, potępionej głowie ofiarujesz przytułek pod gościnnym twoim dachem, sadowisz niegodnego u ogniska twojej rodziny, oddajesz mu jedyny skarb twego życia, jedyne dziecię; w uniesieniu szlachetnego serca przyjmujesz na siebie część słusznie przywalającej go zniewagi. Ja ze wszystkich tych dobrodziejstw mogę tylko przyjąć przyjacielską rękę; do reszty sumienie wzbrania mi rościć prawo. Ja, w miejscu pana, nie miałbym odwagi wydać córki za osławionego Kazimierza Poraja. Ja, Piotr Poraj, zwracam panu słowo, zapominam żem kiedykolwiek mówił lub marzył o małżeństwie; rozmowy nasze i układy w tym względzie uważam za sen, za niebyłość. Wszelkie związki mego brata są mi obojętnemi; ani słyszeć o nich, ani mięszać się do jego losu nie chcę.

— Jedna chwila błędu, chwila zapomnienia, życia całego zatruć nie może i nie powinna.

— Przepraszam, panie hrabio! Jedno uderzenie w miazgę druzgoce drogie z kryształu naczynie. Nie do mnie wreszcie należy nastawać na własną krew. Niechaj Kazimierz się żeni, niech mu sprzyja szczęście! Myśl ta, że mu na niczem nie zbywa, że w niczem nie cierpi, nie przestanie być pociechą moich dni. Poniosłem ciężką ranę, z mojej atoli strony zawsze zachowam ku niemu serce jednakie. Bronić go przed światem? — inna rzecz! Samemu sobie kłamać nie umiem; słów na jego

obronę nie znajdę. Możesz pan hrabia dać mu córkę; ja nie mogę przypominać naszych układów; mnie już nie wolno odwoływać się do naszych zobowiązań. Jeżeli związek nie przyjdzie do skutku, zaboleję, zacierpię; skarżyć się ani obwiniać nikogo, prócz brata mego, nie będę. Pytam, z jakiemże czołem stanąłbym przed kobietą, dla której mam najwyższy szacunek, którą — wybacz pan śmiałości — przyzwyczaiłem się kochać jak siostrę, jak córkę — z jakiem czołem odważyłbym się jej rzec: Oto młody człowiek słusznie potępiony przez opinję, nie umiejący ani uczuć, ani cenić, ani bronić własnej godności; tratujący nogami dawne zwyczaje i szlachecki honor; ludzie zeń szydzą, wzgarda zewsząd gradem nań leci — co wcale nie przeszkadza, że byłbym mocno rad, gdybyś pani raczyła uszczęśliwić go swoją ręką?

Człowiek ten jest moim bratem!

Nie — nie, podobnych słów żadne uczucie z piersi mi nie wydrze; z innemi zaś nie zgadza się moja wiara, moje przekonanie.

— Mówisz kochany sąsiedzie jak człowiek prawy, ale zbyt silnie ulegający pierwszym wzruszeniom. Skoro ból w tobie nieco ostygnie, zmienisz lub przynajmniej złagodzisz surowość wyroku.

— Ależ panie hrabio, ja nie sądzę, ja nikogo nie skazuję; mówię tylko o sobie samym, wyjaśniam powody mego postępowania teraz i na przyszłość — nic więcej. Słów moich nigdy nie cofnę; nie gwałtowna boleść je wyrzuca. Od miesiąca przeszło jak krokiem nie ruszyłem z domu, jak cienia obcej twarzy nie widziałem, jak z moimi nawet ludźmi zaprzestałem rozmawiać. Ciągle, dniem i nocą, jedna tylko myśl kołuje mi po mózgu. Rozważyłem ją na wszystkie sposoby, na wszystkie strony; wysnuwałem ją z różnych wątków i zawsze wpadałem na tenże sam wniosek. Brat mój w sprawie obchodzącej całe jego życie, wzgardził mojemi radami, mojem zdaniem, które przecie nie z siebie dobyłem, ale ze zwyczajów i z przekonania świata. Postąpił wedle swojej głowy. Przepowiadałem co go czeka. Nie wierzył. Odtąd nic z sobą nie mamy wspólnego; każdy z nas wiedzie dalej życie na własną rękę.

— Moje położenie w tym razie nader jest trudnem; sam nie wiem co począć?

— Cokolwiek pan hrabia postanowisz, nigdy nie zapomnę szlachetnej ofiary, jaką chciałeś mi dowieść przyjaźni, wierności danemu słowu, nieograniczonego poświęcenia siebie i swoich, wbrew przekonaniu, zasadom, a nawet względom na szczęście jedynej córki. Nie ma bowiem szczęścia na gruzach zacnego imienia i dobrej sławy.

— Na miłość boską, panie Piotrze, czyliż warto tak wysoko wynosić prosty, szczery uczynek? Za kilka marnych słów, tobie zwłaszcza względem mnie, nie godzi się mówić o wdzięczności. Wreszcie idzie tu o rzecz daleko ważniejszą. Proszę cię o chwilę uwagi; ja bowiem również z założonemi rękami nie mogę pozostać. O małżeństwie córki mojej z panem Kazimierzem trudno mi stanowczo się wyrazić. Związek ten w bożych rękach; mnie nie wypada nastawać, ani się wzbraniać. Ale nie dość na tem. Oprócz pokrewnych wiążą nas inne stosunki niemniej uroczyste. Wydźwignięcie z rozpacznego położenia tobie winienem, panie Piotrze. Bez ciebie, ja i rodzina moja, bylibyśmy przywiedzeni do strasznej ostateczności.

— Nie ma o czem wspominać, panie hrabio!

— Przeciwnie między nami o wszystkiem należy mówić. Podałeś mi rękę nad przepaścią, wyratowałeś mię nie tylko radą, ale ogromnemi ofiarami; uwięziłeś w moich interesach znaczne kapitały.

Przyjmowałem poświęcenie, dopókim był przekonany że domy nasze, kochany sąsiedzie, złączą się wkrótce w jedną rodzinę, że pomyślność moja i los brata twego miała na celu.

Stan rzeczy odtąd się zmienił.

Małżeństwo tak dobrze może przyjść jak nie przyjść do skutku; prorokować nie umiem. W każdym wypadku rozstrzygnięcie tej sprawy, po tem zwłaszcza co słyszałem, od żadnego z nas nie zależy. Dziś ja także powinienem dowieść że zasługuję na twoją przyjaźń, żem godzień był twoich dobrodziejstw.

Dzięki twojej uczynności, jeden dług zastąpił massę moich wierzycieli, jeden, ale według tego co wiem, wyrównywający wartości wszystkiego co posiadam. Nie właścicielem jestem, ale de facto zagrodnikiem w twoich posiadłościach.

Pozostajc mi teraz dopełnić jedynego obowiązku. Cezarowi co Cezarowego. —

Oto są papiery; racz je przyjąć. Nie potrzebuję dodawać, że gdybym stokroć wypłacił ci należytość, dłużnikiem twoim być nie przestanę.

Sokolnik przy tych słowach dobył kilka arkuszy papieru we czworo złożonych i dłonią drżącą od wzruszenia wręczył je gospodarzowi.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Piotr zdziwiony. — Pan hrabia kwitujesz mię z przyjaźni? Co znaczą te papiery?

— Akt hypoteczny, tytuły własności mojego niegdyś majątku, przepisane na twoje imię. Rozporządzaj nim według woli; mów, kiedy chcesz wejść w istotne posiadanie, kiedy się mamy wyprowadzić? —

Poraj stał oniemiały; szlachetne postępowanie magnata rozrzewniało go do głębi serca.

Teraz dopiero poznawał, z kim miał do czynienia; ile rzadkich zalet, ile prawdziwie pańskiego obejścia krył w sobie ojciec tej lubej dziewczyny, która miała być jego bratową!

Słodkie uczucie, jakie w poczciwej duszy budzi widok cnoty, bezładnie mięszało się z goryczą, z boleścią wspomnienia na niegodnego brata, który jednym zamachem potargał tyle świętych węzłów, wyrzekł się tyle zaszczytnych stosunków, zagrodził sobie na wieki przystęp do znakomitej, i jak na nasze czasy, dziwnie zacnej rodziny.

Magnat z wspartemi na stole rękami czekał na odpowiedź. Piotr zebrał powoli rozprzężone myśli, wziął papiery i z wyrazem przyjacielskiego wyrzutu, patrząc mu w oczy, rozdarł je na dwoje.

— Panie Piotrze! — zawołał magnat — co czynisz? — Na Boga — akt urzędowy!

— Tem lepiej — odparł Poraj — tem bardziej należy go zniweczyć, aby śladu po nim nie pozostało. Czemuż podobnie nie mogę rozedrzeć i zniszczyć pamięci słów, które dopiero co usłyszałem? Za moją dobrą chęć, za przyjaźń bez ogródek, za prostą usługę bez żadnych osobistych widoków — wybacz pan — spodziewałem się łaskawszego postępowania.

— Nie wysłuchałeś mię, kochany sąsiedzie — przerwał ma-

gnat — nie chcesz mię rozumieć. Zastanów się, sam przyznaj, jakiem prawem mogę przyjmować tak niezmierną ofiarę, owoc pracy całego twego życia, nieprzeliczony szereg trudów i kłopotów, jeżeli przyjdzie ci, jako byłeś żądał, wziąść w zarząd wszystkie moje interesa?

— Prawem naturalnem między ludźmi, panie hrabio; prawem, jakiem każdy potrzebujący pomocy, żąda jej; jakiem każdy mogący jej udzielić, odpowiada na podobne wezwanie.

— Uczynność ma swoje granice. Jeżeli jedna strona je przekracza, obowiązkiem drugiej ich pilnować.

— Usługa kończy się razem z potrzebą; inaczej przestaje być usługą.

— Zgoda! podpisuję na to określenie. Zagrożony procesami, sądowemi kłopotami, przyjąłem twoją pomoc. Natarczywi napastnicy ustąpili. Wydziedziczenie mi nie zagraża; dobrowolna zaś sprzedaż nikogo nie zadziwi. Zostanie mi życie, nędzne, biedne, to prawda; ale wyjdę z honorem, nie nadużyję niczyich dobrodziejstw, każdemu zajrzę śmiało w oczy. Gdzież więc konieczna potrzeba tuczenia się cudzą pracą, cudzym kosztem?

— Gdzie? — Zaraz ją wykażę. Wolno ci, łaskawy mój gościu, rorządzać własnym losem; ale dzięki Bogu, masz pan żonę i córkę, masz świetne nazwisko do utrzymania. Względem rodziny, względem stanowiska, jakie zajmujesz w kraju i w historji narodu, masz daleko świętsze obowiązki, aniżeli względem mnie. W czem wreszcie z mojej strony tak nadzwyczajne poświęcenie? Miałem zbyteczne kapitały; umieściłem je na pańskich dobrach tak dobrze jak na innych.

— Zapewne! — gdybym widział przed sobą możebność oddania — nie mówię —

— Czyja wina, jeżeli pan hrabia jej nie widzisz?

— Ha, ha, ha! wyśmienity żart! — Chyba że posądzasz jaki łan mojej ziemi o skrywanie w sobie kopalni złota?

— Nie jeden, ale wszystkie łany posądzam. Mości hrabio! majątek pański — przebacz że otwarcie się wyrażę — jest niegodziwie zagospodarowanym. Podwładni, Niemcy, których Bóg wie, zkąd sprowadziłeś, kradną cię beż miłosierdzia; na dobytek twój oczy bolą spojrzeć; lud wiejski upada pod cięża-

rem zdzierstwa i nędzy. Ziemia atoli złota! Pierwszych zasobów podostatkiem; brak tylko zarządu, ładu, doświadczenia. Nie znam w okolicy majątku, z którego przy obrocie możnaby otrzymać tyle cudownych niemal skutków! O co rzecz chodzi? O wydobycie moich kapitałów? — Zostaw mi pan u siebie absolutną władzę: przysięgam że najdalej w dziesięciu latach postawię cię na czele fortuny, jednej z najznakomitszych w Galicji, czystej od wszelkich zobowiązań.

— Tyle pracy, tyle trudów! — Panie Piotrze, obaj nie jesteśmy już młodzikami. Jest w życiu czas na pracę, jest czas na wypoczynek. Jak miałbym sumiennie pozwolić, abyś, tyle się napracowawszy, znowu kładł jarzmo na siebie, wtedy, gdy praca z każdym dniem staje się bardziej męczącą?

— Nie znasz mię pan. Zabroń mi pracować, skaż mię na wypoczynek — lepiej od razu mię zabij! Praca, to moje życie, moje zdrowie, jedyny mój spokój — spokój, którego tyle mi dziś potrzeba. Dla siebie niczego nie pragnę; o swoje dbać, troszczyć się, nie mam już serca. Samemu sobie zostawiony, pchnięty w życie bez celu, kołatany zgryzotą, zginę, nędznie zmarnieję. Opatrzność w osobie pana hrabiego zsyła mi ratunek. Przedsięwzięcie wystawienia świetnego gmachu na gruzach pańskiego majątku nader jest trudnem — nie przeczę. Wątpię nawet, czyli wielu u nas ludzi podjęłoby się urzeczywistnienia podobnego zamiaru. Tem więcej ztąd dla mnie podniety, tem więcej roskoszy, jeżeli postawię na mojem. Sam się nad sobą zadziwię, sam sobie rękę uścisnę. Cóż dopiero, gdy pomyślę, że przed spełnieniem uczynku odbieram nagrodę, że jutro, że dziś będę miał gdzie uciec przed własnemi myślami? Przekonasz się pan, co z naszej polskiej ziemi można wydobyć. U siebie trudno mi zaprowadzić wielopolowe gospodarstwo i inne różne zmiany. Na świeżym gruncie, gdzie wszystko żąda nowego, zawinę rękawy, zastosuję ostateczne wypadki mego doświadczenia. Zobaczysz pan! — Kraj cały zdziwiony, klaśnie w ręce na widok twojego majątku. Ludzie będą zjeżdżać się z pod Krakowa, z Warszawy. Zaufaj mi pan hrabia! — Odpowiadam głową, ręczę całym majątkiem. Czeka nas niesłychany skutek, ważny nie tylko dla pana, ale jako przykład dla okolicy.

— Nie, panie Piotrze — rzekł Sokolnik, po mistrzowsku udając rozrzewnienie — na Boga zaklinam cię, nie nastawaj! Przyjąć od ciebie tyle dobrodziejstw, nie trudno; ale jak zawdzięczyć szlachetne twoje postępowanie? Życiem całem nie potrafię się wypłacić; sumienie do grobu będzie mi wyrzucać nędzną moją rolę, w której — niezdolny do wyświadczenia wzajemnej przysługi — umiałem tylko garnąć w siebie cudzą łaskę.

— Przeciwnie. Sumienie, panie hrabio, powie ci, żeś nie pozwolił zmarnować się człowiekowi, który sobie i ludziom mógł jeszcze być przydatnym; że przyjąłeś prostą usługę, jaką w razie potrzeby każdemu z współobywateli sam gotów jesteś wyświadczyć; że ojciec dla twoich włościan, chwyciłeś pierwszą sposobność polepszenia ich bytu. Czyliż wreszcie koniecznie mamy otrąbywać przed światem nasze stosunki i układy? Oprócz nas dwóch, nikt o tem, co między nami zaszło, wiedzieć nie powinien. Jakże więc, mówisz pan o sprawiedliwości, a nie chcesz pozwolić, aby postępowano względem ciebie, jako sam postąpiłbyś względem drugich? — Oto moja dłoń, silna jeszcze i szczera; dobijmy układu! Klnę się ciałem i duszą, że zezwolenie poczytam dla siebie za istotne dobrodziejstwo, za dowód szczególnej przyjaźni i łaski. Nie mówmy więcej, nie myślmy o małżeństwie. Da Bóg doczekać, hrabianka znajdzie godnego siebie męża. Los może w przyszłości przestanie na nas się srożyć. Pan zbędziesz ciężkich kłopotów, staniesz znowu na czele znakomitych rodzin; ja znajdę spokój lub nie znajdę, mniejsza o to; dość że porwawszy się w zapasy z trudnościami, nie będę miał czasu przeżuwać własnych boleści. Dalej panie hrabio! — jedno słowo — zgoda? —

Piotr wyciągał ku magnatowi szczorstką, ogorzałą dłoń, kończył prośbę wzrokiem, dopominał się zezwolenia samym wyrazem uczucia, jakie rozpromieniało mu oblicze.

Myśl o otwierających się przed nim szerokich polach, na których czynnością i zdolnościami pochlebiał sobie dokonać cudów ulubionego zawodu, zapalała mu wyobraźnię. Uśmiechał się do walki z zawadami, nie taił przed sobą sił trzech wrogów: bezładu, zniszczenia i nędzy; spokojnie atoli rzucał im rękawicę, ufny że pracą i doświadczeniem zapewni zwycięstwo żywiołom:

ładu i pomyślności. Obszerny plac i same niebezpieczeństwo boju podniecały w nim ochotę.

Magnat tymczasem mrużył oczy, dopraszał się u nerwów o dwie, choćby najchudsze łzy; spostrzegłszy nareszcie wyciągniętą ku sobie dłoń gospodarza, uchwycił ją obiema rękami, pochylił naprzód postawę, zachwiał się, i jak gdyby niezdolny oprzeć się popędom serca, padł w objęcia drogiego wybawcy.

— Niech się dzieje wola boża, zacny mój przyjacielu, najzacniejszy z ludzi! — zawołał, cisnąc go do piersi. — Czyń co zechcesz, na wszystko przystaję; pozwól tylko zawczasu, naprzód wynurzyć uczucia wdzięczności, dozgonnego —

— Ani naprzód, ani potem — przerwał Poraj. — Wdzięczność z obu stron równa, dług umorzony i pokwitowany; nie warto o nim wspominać. Pomówmy raczej o naszych interesach. Mam w myśli kilka projektów; radbym wiedzieć który z nich przypadnie panu do smaku.

— Na wszystkie zgadzam się, lub raczej nie mów mi o żadnym. Co sam zwiążesz, tego moc moja nie rozwiąże; cokolwiek postanowisz, przyjmę z ślepem posłuszeństwem, z niezachwianą wiarą i zaufaniem. Wyrzekam się własnego zdania; poddaję moją osobę pod samowładne twoje rozkazy. Nie zaręczam czyli wykierujesz mię na zdolnego agronoma; ale przysiądz mogę, że między twymi podwładnymi nie znajdziesz gorliwszego odemnie wykonawcy. —

Piotr śmiał się z całego serca.

— Jeden tylko warunek — ciągnął dalej dygnitarz — lub szczerze mówiąc, jedną tylko prośbę odemnie usłyszysz. Nie wiem, z której strony rozpocząć; pomimo tylu dowodów twojej przyjaźni, nie jestem zupełnie spokojny; lękam się odmowy. —

— Mów pan, prosto, naprzód, krzyżową sztuką; znasz mię, ja człowiek nie do ceremonji.

Sokolnik pochylił głowę na ramię, rozwdzięczył usta, przymrużył oczy, jak przystało na poufałego suplikanta, i rzekł:

— Samotne życie, panie Piotrze, przy pracy nawet, ma swoje strony przykre, bolesne. Człowiek potrzebuje towarzystwa, uścisku serdecznej dłoni, starań wiernych przyjaciół.

W moim domu wszyscy cię kochają. Obecność twoja milszą mi jest niż mogę wyrazić. Zamiast szukać wypoczynku między czterema twojemi ścianami, gdzie nikt cię nie wita, nikt nie żegna, rozkwateruj się w drugim twoim majątku, pod moim dachem. Tam równie jak tu jesteś u siebie. Uszczęśliwisz nas wszystkich. Wieczorem, po dziennych trudach, nie zaszkodzi trochę muzyki, trochę gawędki z kobietami, ze mną, z kilku bliskimi znajomymi. No, cóż — jakże? Na mnie teraz kolej zapytać, czy zgoda? —

Piotr wbił oczy w ziemię; niewymowny żal chwycił go za piersi. Założył ręce w tył i jak kleszczami ściskał sobie ramiona, byle tylko zatłumić boleść rozbudzoną odezwą gościa.

Słusznie mówił Sokolnik: samotność ciężyła Porajowi. Od dawna marzył on o wypoczynku na łonie rodziny. Niedawno jeszcze spodziewał się, że wkrótce dobije się upragnionego celu, że znajdzie raj dla siebie — w domu Sokolnika.

Raj ten stał się mu piekłem, odtąd jak u ogniska rodziny jedno miejsce na zawsze opustoszało.

Otrząsł się z zamyślenia, przetarł wzrok ręką, odwrócił od gościa i bezwiednie wpatrując się w ciemny jakiś olejny obraz, rzekł:

— Dziękuję, kochany sąsiedzie. Umiem cenić łaskę pani hrabiny — panny Marji — powiem nawet, że czuję się jej godnym, jeżeli głęboki szacunek, jeżeli proste szlacheckie przywiązanie, zasługują na jej wzgląd. Będę korzystał z zaprosin — nie teraz, nie natychmiast, później — niech tylko ułatwię się z pierwszymi zachodami.

— Dla czego nie teraz? — Dla czego nie miałbyś mię odwieść do domu? — Ucieszylibyśmy żonę moją miłą niespodzianką.

— Nie, nie; za żadne w świecie skarby. Interesa przedewszystkiem. Muszę bezzwłocznie jechać do miasta, jeszcze raz przejrzeć akta hypoteczne; następnie trzeba będzie czemprędzej objechać wioski i folwarki. Jesień za pasem. Główny pański majątek, na którym zakładam większą część nadziei, leży pod Bochnią; ztąd dobrych dwadzieścia mil. Myślę w nim się osiedlić — przynajmniej na trzy miesiące.

— Nie umiem nastawać, a przecież, gdybyś dał się namówić —

— Później, później — z wdzięcznością, z prawdziwą roskoszą stawię się na rozkazy. Bądź pan hrabia przekonanym, że skoro otrząsnę się z frasunków i zatęsknię do ludzi, nie gdzieindziej zajadę, tylko przed pałac — —

Masz tobie! — Piękny ze mnie gospodarz! Zapomniałem na śmierć o czarnej kawie; ludziom moim także, nie pojmuję co kręci się po głowie — odwykli od służby, zwłaszcza też od gości.

Hola! — Jest tam który? — Może wyjdziemy na ganek? — Cudowny wieczór! — Pozwolisz pan hrabia służyć sobie fajką tureckiego tytuniu?

— Mocno obowiązany — nie palę.

Piotr otworzył drzwi, z ukłonem wskazując gościowi wyjście. Podano kawę. Magnat wyciągnął się w szerokiem krześle; gospodarz ziewnął kłębami stambulskiego dymu i jął szczegółowo rozwijać przed nim gospodarcze ulepszenia w podupadłym majątku, przemyślnicze zamiary, widoki i nadzieje, trudności i środki na ich zwalczenie.

Sokolnik potakiwał, słuchał, podziwiał i coraz głębiej wpijał się mu w serce.

Rozmowa przeciągała się do późnej nocy.

Nazajutrz pusto było w siedzibie Poraja.

Gość wracał do domu. Gospodarz przeciwną drogą spieszył do miasta, ztamtąd zaś do posiadłości Sokolnika pod Bochnią.

Szlachcic-ziemianin jechał z posępnem obliczem, zaciskał czasami usta, podnosił rękę ku oczom, kiwał głową, ucinał westchnienia.

Magnat zaledwie ujrzał się za bramą, wypromienił twarz, dał folgę krzyżującym się co chwila uśmiechom, poglądał w niebo, jak gdyby oczekiwał ulewy z fjołków i z różanych liści.

— Biedaka — powtarzał w duszy — na dalcko mniej śliskiej pochyłości los oddawna byłby strącił w przepaść, zgniótł, rozbił bez miłosierdzia. Jest Opatrzność nad panami! — Bóg nie

zapomina swoich wybrańców. Czyliż samo wywyższenie ich nad tłum nie jest ze strony Stworzyciela uroczystem zobowiązaniem podtrzymywania ich na raz zajętem stanowisku? Bez wątpienia, tak być musi i tak się też dzieje.

Sokolnikowi dłużyła się droga. Wygrawszy sprawę, rad był czemprędzej wrócić do domu. Brnął tymczasem w rozumowania, których nieubłagalną logikę potwierdzało mu pasmo oczywistych wypadków; wyciągał wnioski, roił jeszcze na starość o szumnem życiu w Wiedniu, o świetnem położeniu, jakie mógł zająć, dzięki trudom i pomocy Poraja; marzył o zaskarbieniu szczególnych względów księcia kanclerza, o zwróceniu na siebie uwagi monarchy; głaskał sobie pierś, na której fantazja wyobrażała mu rozwieszone zaszczytne oznaki Złotego Runa.

Order Złotego Runa! — ze zwichniętą pacierzową kością, złoty baranek! —

Sokolnik pytał siebie, czyli naraz zdoła wytrzymać tyle szczęścia?

— Zobaczymy! — odpowiadał — niech tylko fortuna sprobuje!

Magnat czuł się tak dalece silnym, że pomimo łańcucha z runem byłby gotów jeszcze podstawić pierś pod dwie, a nawet pod trzy zagraniczne gwiazdy.

Siłom ludzkim, przez święte natchnienie wyzwanym do czynu, któż zdoła położyć granice? —

Łagodny ruch powozu kołysał mu tymczasem ciało i wyobraźnię. Przyszły dostojnik zmrużył zwolna powieki i wkrótce na skrzydłach snu puścił się w czarowne kraje dworskich faworów, uśmiechów księcia kanclerza, wejrzeń cesarskich, hołdów gawiedzi, zazdrości sobie podobnych. Przebudzany od chwili do chwili trąbką pocztyljona, późną dopiero nocą zatrzymał się przed pałacem, gdzie oddawna wszystko oddychało głębokiem snem.

Jeszcze kilka słów, jeszcze jeden małoznaczny, zwyczajny wypadek, a znów kończę rozdział mojej powieści.

Sokolnik ocknął się, kazał sobie do gabinetu podać posiłek, następnie rozbudzić i natychmiast przywołać kapelana.

Służba żywo spełniła pańskie rozkazy.

— Wybacz księże — rzekł do wchodzącego — jeżeli przerwałem twój świątobliwy spoczynek. Dobrych wieści nie należy odkładać. Sprawa wygrana. Szlachcic zostawia pożyczkę, bierze w zarząd majątek; przysięga na duszę, że w dziesięciu latach, nie ubliżając w niczem zwykłym domowym wydatkom, z rozdętemi żaglami, bez grosza długów, wypłyniem na pełne morze, bogatsi niż kiedykolwiek.

— Laus tibi Domine! Święć się imię twoje! — rzekł ksiądz, składając ręce. — Cóż mówi o małżeństwie? — dodał pospiesznie.

— Nic; wypiera się brata, wraca mi słowo.

— I pomimo to bierze w zarząd majątek?

— Cóż z nim począć? Rozmiłowany w gospodarstwie na zabój, u siebie nic nie ma do czynienia, u mnie szuka zajęcia. Długo wzbraniałem się — godność moja — przyzwoitość — rozumiesz mię, księże? — Musiałem wreszcie uledz natarczywym prośbom.

— Hm! szlachcic widać nie w ciemię bity; idzie mu także o bezpieczeństwo, o pewność odzyskania uwięzionych kapitałów.

— Być może! Trudno przecie wymagać, aby mi darował kilkadziesiąt tysięcy dukatów?

— Wyborne nowiny! Jutro rano, jeżeli pan hrabia pozwoli, odprawię mszę dziękczynną.

— Zgoda, byleś mię tylko nie budził; potrzebuję wypoczynku. No! a u was przez ten czas nic nie zaszło nowego?

— Zaszło, i wiele. Mamy gości.

— Któż taki?

— Dziś z rana przyjechał szambelan.

— Szambelan?

— Za nim w kilka godzin zjawił się przewielebny ksiądz prowincjał. Ojciec Zefiryn mieszka w pawilonie, obok mego pokoju.

— Czy dawno jak położył się spać?

— Nie śpi jeszcze; towarzystwo rozeszło się późno. Ojciec prowincjał raczył długo ze mną rozmawiać; mocno żałował, że pana hrabiego w domu nie zastał; snać nie ma czasu do stracenia?

— Czy już rozebrany?

— Bynajmniej; od dawna słyszymy głos trąbki i czekamy powrotu. Ksiądz Zefiryn posłał mię nawet dowiedzieć się, kto przyjeżdża? Wezwanie pańskie spotkałem w pół drogi.

— Sądzisz więc księże, że gdybym —

— Bez wątpienia, panie hrabio. Ojciec prowincjał natychmiast pospieszy. Biegnę uprzedzić go.

— Czekam, z upragnieniem czekam.

Jezuita nie dał długo na siebie czekać. Wszedł z twarzą uradowaną, obłożył magnata uściskiem i powitaniami.

Sokolnik oświadczył kapelanowi, że nie chce dłużej przerywać mu wywczasu, tem bardziej że hrabina zwykła słuchać mszy o rannej porze, przed śniadaniem, do którego bez zadość uczynienia wprzód religijnym obowiązkom, nie byłaby usiadła z apetytem.

Tapczyc oddalił się z trzema głębokiemi ukłony; dygnitarz zaś posadził duchownego w wygodnem krześle i sam chodząc po pokoju, opowiadał mu skutki odwiedzin u Poraja.

Ojciec Zefiryn nawzajem prawił mu ciekawe szczegóły o szambelanie, jako tenże z każdym dniem rósł w fawor u księcia kanclerza i jako przed kilkoma dniami otrzymał nominację na konsyljarza ulicznego JCMości.

Narady przewlekły się prawie do świtu.

Magnat i Jezuita rozeszli się jako ludzie nawzajem z siebie zadowoleni, ale poważni, zaprzątnięci, ciężarni niby ogromnym zamiarem, który przyrzekli sobie z wspólną pomocą przywieść do skutku.

Powrót Sokolnika uweselił mieszkańców pałacu. Hrabina przyzwyczajoną była cieszyć się, ile razy mąż wracał. Szambelan zaczynał się nudzić jedyną męzką postacią kapelana, która jednostajnie, dżdżysto słaniała się mu przed oczyma.

Marja — dla hrabianki, połowa ta rodziców, znana pod nazwiskiem ojca, stanowiła codzienną, powszednią potrzebę oczu. Obecność jej nie czyniła na niej żadnego wrażenia; brak natomiast łamał symetrję domowego koła, do jakiej wzrok dziewczyny od kolebki był nawykł.

Słodkie to uczucie zwyczaju, jak również po śmierci jednej lub obu połów, żałosna konieczność stworzenia sobie nowych

przywyków, głęboką dotąd cześć odbierają pod firmą rodzinnego przywiązania.

Inne wreszcie uczucia w tej chwili roznamiętniały Marję. Słuchajcie!

Ze złotych obłoków nadziei zepchnięta w ciemną otchłań zwątpienia, biedna pokutnica, wyższej nad ziemskie, egzaltowanej natury, tęsknie poglądała na spływające po jej kibici misterne fałdy smutków, na zasłaniające jej widnokrąg nadziei gęste chmury serdecznych goryczy.

Dusza młodej dziewczyny, pierwszy raz porwana wszechpotęgą miłości, zna tylko dwa przybytki: raj lub piekło. W pierwszym widzi bezmiar roskoszy; w drugiem nieskończoność bolów. Ziemia dla niej nie istnieje.

Z tego zapomnienia o ziemskim padole płyną różne jasne wnioski i przestrogi dla ludzi zamiłowanych w prawdzie i w rzeczywistości.

Nic nie ma niebezpieczniejszego nad młodą duszę pierwszy raz porwaną wszechpotęgą miłości.

Wszechpotęgą miłości! — Lubię to wyrażenie. Przypomina mi ono mnogie ludzkie i nieludzkie, boskie i nieboskie komedje i przedświt prawdziwego, rzeczywistego życia.

Strzedz się zwłaszcza wypada wyższych, wyjątkowych istot, ogarniętych szałem wszechpotężnej miłości, jedyną poezją bytu, jak mówią bladzi balladnicy i rozczochrani soneciarze.

On młody i namiętny, ona piękna i zakochana — oboje nie należą już do siebie; ziemia im za ciasna. Ona mu śnieżną dłonią wskazuje niedościgłe błękity uczucia; on drżącemi ramiony kibić jej okrąża i za pierwszym promieniem księżyca dalejże nad światy, między gwiazdy, w niebo! —

Zniknęli! Słychać tylko dalekie gruchania o poświęceniu bez granic, o nawiecznem życiu jednego dla drugiego, aż wreszcie nic nie słychać, prócz ostatniej zwrotki nuconych przy towarzyszeniu uderzeń serca, pochwalnych, wzajemnych hymnów.

Zniknęli! — Czy przepadli, czy nigdy już nie wrócą? —

Próżne obawy, niestety!

Jej się tylko zdawało, że miała skrzydła.

Deszczowy obłok rozkręcił pierścienie jej włosów, mgła

szaremi kroplami osiadła na wstęgach. W krótkim czasie oboje wypowiedzieli sobie wszystko, poznali się tak, że jedno zgaduje zapytania, drugie naprzód wie odpowiedzi. Nic nowego nie mają ani na sercu, ani na myśli; powtarzanie ich zabija. Do koła pusto i głucho; wracają na ziemię: na ziemi przecież dość kwiatów.

Wracają.

Ona tęskna z pospolitości, z prozy kochanka; on milczy, odwraca oczy, zakłada ramiona i mówi w duszy z westchnieniem: «Do lotu trzeba skrzydeł.« Ach, jej zdawało się, że ma skrzydła: — Ona śmiertelna, ziemianka jak drugie! — Tem lepiej. Duch wieje gdzie chce; człowiek chodzi tylko po ziemi. W rzeczywistem tylko życiu głęboka i prawdziwa poezja; w przebojach z dotykalnemi wrogami, miejsce na poświęcenie, na dowody uczucia bez granic!

Droga otwarta! Dalejże między ciernie stosunków, między głogi codziennych przeciwności!

Idą.

On naprzód, piersią roztrąca zawady, kaleczy sobie dłonie i krwawi czoło. Ona — ale gdzież ona? —

Jej ciągle zdaje się, że ma skrzydła! Nie dla niej nędzny poziom powszednich wypadków; nie dla niej gmingemi stopy deptane manowce; nie dla niej spotkania z tłumem, który jej nie rozumie, nie zdoła ocenić!

Z nieba przypadkiem na ziemię strącona, ona może wzdychać tylko do gwiaździstej swojej ojczyzny; pośród śmiertelnych, jeżeli raczy przebywać, to tylko z łaski.

Więc znowu on staje, więc znowu zakłada ramiona, więc znów wzdycha głęboko — ale ujrzawszy się sam, tym razem głośno już mówi: — Ani po niebie, ani po ziemi! — Ani skrzydeł, ani nóg! — W imię Ojca i Syna i Ducha! — Cóż to za zjawisko! —

Szalonyś, człowiecze! — Gdzie widzisz zjawisko, w czem nadzwyczajność? — Ruszaj sam naprzód, lub jeżeli ci brak odwagi, wracaj do zwykłej kobiety z naszych pałaców, z kamienic i z dworów!

Nie ma nawet na kogo się skarżyć; co człowiek, to nie mrówka — wspominam zaś dla tego o mrówkach, że w tej

tylko republice napotkałem dziwną harmonję rzeczywistości z uczuciem.

Fizjologiczne moje badania nad zwyczajami i skłonnościami mrowiska, odkryły mi czarowny ten fenomen, godzien wszelkiej zazdrości.

Na wiosnę, gdy gmin mrówczany sznurkuje za swą pracą i w pocie czoła znosi belki do gmachów i zasoby do spiżarni, z robotniczego roju tu i owdzie rzadkie pary dążą na wierzchołek siedziby.

Są to kochankowie.

Pewni wzajemnych uczuć, biegną używać życia, światła miłości.

Jeżeli kochają się szczerze i głęboko, matka natura każdemu daje po parze skrzydeł.

Podczas gdy prozaiczna gawiedź czołga się i dźwiga — zakochani, wolni od frasunku, od kłopotów, od trudów, rzucają obmierzłe siedziby, ulatują ku słońcu, ku kwiatom; w powietrzu szepcą sobie miłośne wyrazy, wirują fantastycznemi kręgi, kąpią się w blasku i w woniach — kochają.

Raz poznawszy szczęście, w obec zwykłego życia nie śmieliby na siebie spojrzeć. Po wiekach roskoszy wdowa tylko do ojczyzny powraca i patrząc na podobną do lubego dziatwę, do śmierci płacze za kochankiem.

Jedno magnetyczne spojrzenie ostrzega ich o miłości; długie zalety nie pomogą kochankowi, który od razu nie umiał w lubej serdecznych wzruszeń obudzić.

Skrzydła są tylko nagrodą serc czułych wzajemnych.

Inaczej, jak słyszałem, dzieje się u ludzi.

Szambelan łatwo mógł spostrzedz, że starania, jakiemi otaczał piękną hrabiankę, nie sprawiały wielkiego skutku. Marja przyjmowała je obojętnie, często z roztargnieniem, jak gdyby wymogi światowej grzeczności nie były dość silne do oderwania jej na chwilę od jednej, samowładnie ogarniającej ją myśli. Samo nadto obejście wiedeńskiego panicza bynajmniej nie przedstawiało wiele ponęt dla urodzonej w pałacu polskiej dziewczyny.

Szambelan w głębi duszy nie poczuwając się do żadnego narodu, wybrał sobie za wzór kastę tego kraju, który najwięcej

odpowiadał jego wyobrażeniom. Żałował nieraz, że nie urodził się lordem. Austrjackie swoje miano i zaszczyty z radością byłby zamienił na tytuł margrabiego Westminster lub księcia Devonshire.

Złe nie było do naprawy; usiłował przynajmniej o ile możności modelować się na wzór angielskiej «gentry», i cieszył się bez miary, gdy często w Wiedniu, gwoli ubiorowi, powadze ułożenia, ruchu, wykwintnej rubaszności, znajomi żartem zapytywali go, czy nad Dunajem się urodził, czyli też nad Tamizą?

Rozmiłowany na zimno w konnych wyścigach i w polowaniu na lisa, zbyt własną godność szanował, aby ją miał parafianić uczuciem, rozmarzonemi zalotami ku kobiecie, westchnieniami miłości, jakiemi pozioma szlachta lub nędzne mieszczaństwo zastępowały brak przyzwoitego pochodzenia.

Szambelan w wielkim stadzie ludzkości uważał się za nieposzlakowanego folbluta; w małżeństwie szukał wygód urodzenia, majątku, wdzięków, jeżeli można; bez żony bowiem ani domu niepodobna było prowadzić, ani otwarcie przyjmować u siebie dam z wysokiego towarzystwa, ani żyć jednem słowem, jak przystało na człowieka umiejącego cenić komfort i dogodności tego stanu, gdzie wielki tylko pan, gdzie prawdziwy gentleman umiał jednoczyć wszystkie korzyści małżonka ze wszystkie roskoszami bezżennika.

Tak wyrozumowawszy prawdziwe znaczenie szczęścia, lord apostolsko-cesarski zawnioskował, że każda kobieta równego mu pochodzenia nie mogła inaczej marzyć swego ideału, że dość było, dać jej poznać, co ją czeka i z kim, aby z jej strony być pewnym odpowiedzi przychylnej, nawet pospiesznej. Paradował więc przed hrabianką, w tym celu na kształt huntera wystawianego na sprzedaż; wabił zaletami rodu i nabytemi przymiotami, napomykał niedbale o przyjemnościach miejskiego życia kobiety, połączonej z człowiekiem dobrze widzianym u dworu, poufałym z pierwszymi magnatami cesarstwa i Europy.

Błyszczeć w pierwszem towarzystwie stolicy, gasić wdziękiem kobiety sławne z urody, pochwycić berło tonu, widzieć dobijających się o wejście: dygnitarzów, ambasadorów, wielkich

ludzi stanu, przedstawić swoją żonę najjaśniejszej rodzinie, samemu może zostać kiedyś ambasadorem, samemu przedstawiać cesarza w Paryżu, w Londynie, lub gdzie we Włoszech — na honor i duszę! — gdzież kobieta, któraby z zamkniętemi oczyma nie rzuciła się w objęcia tylu uroczych snów? —

Szambelan nie wątpił, że Sokolnik z pocałowaniem ręki przywiedzie mu córkę do ołtarza, że Marja ze łzami przyjmie rodzicielską wolę — krótko mówiąc, w powodzenie swoich zamiarów wierzył więcej, niż w samego księcia kanclerza.

Ztąd we Lwowie, gdy wszyscy głośno rozmawiali o małżeństwie hrabianki z Porajem, on sam jeden kiwał głową, uśmiechał się z niedowierzaniem, nie odpowiadał; w duszy jednak myślił, że po kościelnem błogosławieństwie aż nadto będzie czasu do uwierzenia w niepojętą nowinę.

Związek dziedziczki jednego z najznakomitszych rodów, z ciemnym, z pod ziemi gdzieś wydobytym szlachcicem, nie mógł pomieścić się mu w głowie. Nie raczył nawet uważać, nie postrzegał częstych odwiedzin i obecności Kazimierza, pewny że za pierwszem słowem oświadczenia, Sokolnik oddali z domu nieprzyjemne mu postacie, Marja zaś ze wzgardą odepchnie natrętów, patrzyć nawet na nich zaniecha.

Ksiądz Zefiryn utwierdzał go w tych przekonaniach, przyrzekał nieograniczoną gorliwość i pomoc.

Szambelan umiał cenić rzetelność, potęgę środków i istotną wagę zobowiązań zakonu, więcej nawet co do swoich nadziei miał wiary od samego prowincjała OO. Jezuitów.

Ksiądz Zefiryn równie gorąco pragnął małżeństwa wiedeńskiego panicza z hrabianką: interes zakonu, wola rodziców Fürstemberga, którzy w zamian obiecywali Zgromadzeniu ważne przysługi, wymagały tego związku. Pomimo atoli wszelkich wysileń, sprawa byłaby ostatecznie przegraną, gdyby w samą porę nie była ją podparła cudowna przyczyna św. Ignacego Lojoli, który wymodlił u Boga zajście Wilczka z Porajem i następnie zerwanie małżeństwa szkodliwego dla kościoła i wiary.

Ojciec prowincjał podziękował świętemu patronowi i odetchnął. Zdało się mu, że odtąd zamiar nie spotka żadnej przeszkody. Wysłał szambelana w odwiedziny i sam za nim pospieszył, aby rzecz za jednym załatwić pociągiem.

Nieobecność Sokolnika z jednej strony nie była mu na rękę, z drugiej jednak pozwalała naocznie, z blizka przypatrzyć się i przekonać o usposobieniach hrabianki dla nowego konkurenta.

Należało młodych ludzi samym sobie zaniechać.

Jezuita zaprzątnął hrabinę, wdał się z nią w pilną a nieustanną rozmowę; przez ten zaś czas chciwem uchem łowił każdy wyraz, z pod oka chwytał każdą grę oblicza, śledził ton głosu, odgadywał tajemne myśli, tętniące pod osłoną zwykłych, bezbarwnych słów.

Nie było wątpienia. Marja z wstrętem przyjmowała zaloty szambelana; bodła go złośliwie jednem często słowem, jednem spojrzeniem. Towarzystwo niemieckiego zalotnika rozwijało w niej uczucie, nie miłości na nieszczęście, ale odrazy.

Szambelan na te drobnostki nie zważał; z przyjemnością słuchał własnych słów, rad był z samego siebie.

Ojciec Zefiryn przeczuł, że zwycięstwo nie obejdzie się bez walki; na chwilę nawet odważył się zwątpić o samemże zwycięstwie. W przywidzeniach polskiej kobiety, charakter, czyli, jak ksiądz nazywał, upór, grał nieraz ważnę rolę. Hrabiance mogło zachcieć się uporu do upadłego.

Nie przesądzając o wnioskach, założeniu Jezuity i uwagom niepodobna było zarzucić fałszu.

Marja łatwo odgadła cel odwiedzin szambelana. Najniewinniejsze dziewczęta w takich razach mają wzrok jasnowidny. Na pierwszą atoli myśl o jego zamiarach, nie mogła powstrzymać głębokiego oburzenia. Człowiek ten oczywiście przyjeżdżał urągać się jej niedoli, prozaicznem swem obejściem ubliżał poezji jej serca, ją samą obrażał, przypuszczając że dla nędznych, ziemskich widoków mogła zapomnieć przepełniające ją, pomimo przeciwnych losów, uczucia.

Przepych światowych uciech, blask wykwintnego życia stolicy, czemże były w porównaniu z jedną chwilą skojarzenia dwóch dusz godnych siebie, rozumiejących się nawzajem? W jednem wspólnem uderzeniu serca więcej szczęścia, niż w całym wirze za złoto kupionych roskoszy; lata samotności z lubym prędzej zbiegały, niż godziny w sztywnych korowodach wielkiego miasta. Przymus, udawanie, kłamstwo, stanowiły tło

miejskiego życia — błogi zachwyt duszy można było znaleźć tam wyłącznie, gdzie płonęła pochodnia czystej miłości, gdzie blask jej jutrzanym ogniem w nieskończoność się rozpromieniał.

Kto żył inaczej, ten nie żył; żyć zaś inaczej mógł ten, kto nie doświadczył objawienia wyższego bytu, kto na pełzanie skazany, nigdy nie wzbił się w niebo.

Kogo promień prawdy raz dotknął i naznaczył swoim wybranym, ten do powszednich zmierzchów przywyknąć już nie mógł, temu ciemność była hasłem śmierci.

Skoro złowroga dola ze sfer górnych uczucia strąciła ofiarę w ostatnią przepaść samotności i zwątpienia; niegodnik tylko wówczas chwytał się gałązek, uważał za ocalonego i odarty ze wszystkiego, w czem dawniej widział szczęście, jako zimny płaz, swobodnie czołgał się po ziemi.

Kto atoli wiary dochował uczuciu i prawdzie, temu rozpacz obarwiona wspomnieniem ubiegłych chwil, znośniejszą była od życia na pozór tylko świetnego, od bytu strojnego w tyle jaskrawych i wonnych kwiatów, ile ich wiosna rozwija na niejednym grobowcu.

Raz tylko miłość jest prawdziwą — kochać raz tylko można na ziemi. Miłość jest oddaniem całego serca, wszystkich myśli i wszystkich uczuć, wszystkich marzeń i wszystkich nadziei. Serce raz oddane, więcej nie wraca, zostaje na wieki przy obdarzonym; odebrać go już niepodobna. Tęskni za nieobecnym, przebacza niewiernemu, żyje jego życiem, cierpi jego cierpieniem, koi swą boleść widokiem jego szczęścia.

Taką przynajmniej jest miłość kobiet. Marzyła dalej Marja. Kobiet, istot stworzonych na poświęcanie się, na kochanie, na boleść często, na szczęście rzadko lub nigdy! Która z nich godna nazwiska kobiety, tej czara boleści nigdy prawie nie mija; prędzej czy później, raz musi ją wychylić.

Los na samym wstępie do życia podał Marji ten kielich. Przyjęła go z pokorą, zaufana że z ostatnią kroplą trucizny skończy się ostatnie jej tchnienie. Z wzrokiem utkwionym w posępną, grobową tę przyszłość, nie baczyła nawet na drobne wypadki, jakie mogły spotkać ją na drodze ku ostatecznemu celowi. W obec tragicznego rozwiązania jej losów, cóż ją

mogły obchodzić zwykłe ziemskie stosunki? — Gardziła niemi niegdyś za życia — w czemże miały ją zajmować dziś, gdy uważała się za pół umarłą, za nienależącą już do świata, za skończoną na ziemi, jak mówią kobiety, które nigdy żyć zacząć nie umiały.

Gdyby człowiek był stworzonym do jednostajności, Bóg wie jak daleko rój czarnych tych marzeń byłby zawiódł piękną hrabiankę. Ludzka atoli istota w szczęściu jak w boleści potrzebuje wytchnienia — zmiana głównym warunkiem bytu jej i sił.

Marja, jako najsmutniejszym się zdarza, odkładała czasami boleść na stronę, pozwalała nieboga prawić szambelanowi o Włoszech, o Paryżu i o Londynie; nie bez pewnego zajęcia słuchała opisów uroczystości, balów, przejażdżek, widowisk, a nawet, o zgrozo! — strojów niewieścich, które Niemiec opowiadał z zabawną nieświadomością tajemnic sztuki.

Niepodobna było przecież zawsze okapturzać się w jeden i tenże sam smutek. Przyzwoitość, dobre wychowanie, miały swoje konieczne wymogi; sama wreszcie przerwa w tęsknocie, tem milszym czyniła powrót do ulubionego wątku grobowych myśli.

Zdarzało się wprawdzie niekiedy, że Marja mimowolnie dotknięta nieznacznem dla ogółu słowem o miłości, o poświęceniu, o próbie, jak to widzieliśmy już raz na owym Krzyżaku, nie mogącym znieść wzmianki o Litwie i o krucjatach — zdarzało się, powtarzam, że Marja wówczas budziła się z zapomnienia, wstawała milcząca i z posępnem obliczem odchodziła od rozmowy.

Im dłuższe było przewinienie, tem sroższe następowały po niem zgryzoty.

Chwilowy wybieg za krąg koła boleścią jej zakreślonego, wyrzucała sobie jako niewiarę, jako niegodny powrót do wdzięcznej i wzgardzonej przez nią ziemi; sama się sobą brzydziła. Towarzystwo wtedy mogło wszcząć najzabawniejszą rozmowę — ona nic nie słyszała; ulatywała daleko, wysoko! Smętna gołąbka pławiła się w bezmiarze chmurnych, własnych roztęsknień.

Na trzeci dzień po powrocie Sokolnika, wieczorem, Marja

owładnięta jednym z podobnych napadów samożalu, wsparta na dłoni, w otwartem oknie, uczepiła wzrok o gwiazdy, upatrywała te z sióstr, które najtęskniej ku niej mrugały, szukała między djamentami rozhaftowanemi na szafirze niebios przyszłej swojej ojczyzny — marzyła i dumała — mniej o nim — wiele o sobie.

Tam gdzie idzie o boleść, teorja poświęcenia od siebie każe zaczynać.

W salonie ucichło. Hrabina z dwoma księżmi w przybocznym pokoju zamieniała rzadkie i ciche słowa; Sokolnika z gościem wcale nie było.

Nagle na jednej z ścieżek ogrodu szczególnie wysrebrzonej promieńmi księżyca, zjawiły się dwie postacie.

Wiatr w przeciwną stronę odnosił rozmowę; po ruchach atoli poznać można było, że Sokolnik z młodym dygnitarzem zachodził w ważne sprawy. Szambelan zwłaszcza, zwykle sztywno powłóczysty, jak przystało na wiedeńskiego gentlemana, tym razem zdawał się wyłamywać z nawleczonego układu, przykładał rękę na serce, podnosił głowę ku niebu, odstępował na krok i znowu szybko się zbliżał, aż wreszcie Sokolnik, wzruszony snać temi słowy i gesty, otworzył mu ramiona i do piersi go przycisnął.

Marja zerwała się, jak gdyby w serce zakłuta żądłem gadziny. Niewytłumaczone przeczucie, że o niej toczyła się mowa, ścisnęło jej duszę.

Rozpacz, żal, oburzenie, zgroza, miotały nią na przemiany. Ujęła czoło w dłonie; głowa jej ogniem pałała. Drżąca, niespokojna, powstała zwolna i jak cień przemknęła przez salon. Nie chcąc, aby ktokolwiek był świadkiem jej wzruszeń, pospiesznym krokiem wbiegła do swego pokoju, zamknęła się, padła na kolana, ukryła twarz w poduszki, i wkrótce żałosne łkanie oznajmiło boleść głębokiej, choć dotąd niczem może nieusprawiedliwionej, rany.

Skołatana żalem, późno usnęła, nie wiadomo, czy ze słowami wieczornej modlitwy, lub raczej z przerywaniem szemranemi przysięgi, że raz tylko można kochać na ziemi.

O miłości! — o poświęcenie! — o wiaro! — Imiona wasze mieszczą się w jednym wyrazie: kobieta! — —

Tak oddawszy winny hołd prawdzie, muszę następnie powiedzieć, że nazajutrz dzień był chmurny, dżdżysty, posępny.

Szczegół ten w niczem nie wpływa na los osób naszej powieści — dowodzi tylko, że natura, jak gdyby wiedziona siłą spółczucia, rozłożyła przed sobą zagraniczną jakąś książkę; ale wiersze nie zaczepione myślą, mknęły jej przed oczyma. Nie starała się nawet zebrać uwagi, zajęta więcej wątkiem swoich marzeń, aniżeli opisem cudzych, choć poetycznych może uczuć.

Powoli książka wysunęła się z jej rąk. Hrabianka zapatrzona we własną duszę, utkwiła przed siebie wzrok błędny, nieruchomy — gdy wtem ruch otwierających się drzwi wyrwał ją nagle z zadumki.

Marja ujrzała przed sobą ojca.

Sokolnik obiegł wzrokiem lice córki: bladość jej, rysy połamane smutkiem, głucha boleść rozlana po całej postaci, w nim samym wywołały stosowny wyraz twarzy.

Siadł przy niej z czułą troskliwością, pocałował ją w czoło, i niby ojciec, niby przyjaciel i lekarz zarazem, ujmując jej rękę między swe dłonie, rzekł:

— Pusto nam i smutno na dole, moje dziecię; nie zeszłaś do nas. Niespokojny o ciebie, przychodzę. Czy jesteś słaba — może przerywam ci jakie zajęcie? — Widzę otwartą książkę.

— Nie, mój ojcze! — odrzekła, pochylając usta na rodzicielską rękę — nic mi nie jest; trochę bólu głowy — to przejdzie. Nieznośny czas — deszcz; chciałam nieco u siebie wypocząć.

— Głowa cię boli? — Szkoda! Byłbym pragnął pomówić z tobą o ważnych rzeczach — skoro jednak chcesz zostać samą —

— Bynajmniej, mój ojcze! Możemy zejść na dół; natychmiast, jeżeli taka twoja wola.

Sokolnik uśmiechnął się.

— O woli mojej — rzekł z przymileniem — nie masz prawa mówić; wiesz dobrze, że nie przestępuje ona progów tego pokoju. Jesteś panią w twoim domu; przyjmujesz mię łaskawie — więcej niczego żądać nie mogę. Widzę cię smutną i nie chcę

dręczyć rozmową, która w stosowniejszej chwili byłaby może mniej przykrą.

Mnie samemu, drogie dziecię, nie wesoło na duszy. Ja sam dźwigam na głowie trosk i kłopotów nie mało. Nie zwierzam się nikomu, nie mówię, spokojnie znoszę moje zmartwienia — ale od niejakiego czasu poczuwam, że siły mię opuszczają. Potrzebuję znaleźć przyjazne serce, ku któremu miałbym nieograniczoną ufność. Przychodzę go szukać u ciebie. Gdzież indziej potrafiłbym je wynaleźć? Oboje znamy siebie na pamięć; oboje nawzajem o sobie jesteśmy przekonani. Jak świat długi i szeroki, nikogo nie kocham więcej nad ciebie; ty również z pochodnią nie znajdziesz szczerszego odemnie przyjaciela. Muszę zaś przyznać, że wielce dbam o to ostatnie stanowisko. Nie dość być ojcem, trzeba jeszcze umieć być przyjacielem swoich dzieci, zwłaszcza gdy te przestają już być dziećmi.

Od kilku miesięcy zaszły w domu naszym ważne wypadki. Nie wspominaliśmy o nich między sobą ani słowa; czekałem twojego wyzwania. Dziś jeszcze ust bym nie otworzył, gdyby głównie rzecz nie tyczyła się mnie i twojej matki. O naszym losie, lube moje dziecię, pragnę z tobą pomówić; jeżeli zaś wspomnę o tobie, to dla tego, że naszym losem, naszem szczęściem, jest tylko twój los, twoje szczęście. — Wiele wycierpiałem! —

Magnat opuścił rękę córki, wrzkomo się zadumał, jak gdyby chciał zebrać myśli; twarz jego przybrała wyraz smętny, posępny, surowy. Zwiesił głowę na piersi i westchnął głęboko.

Marja zadrżała. Wczorajsze przeczucia, wczorajsza długa rozmowa ojca z szambelanem przybiegły jej na pamięć. Trwożna, niespokojna, nie miała siły słowa przemówić. W milczeniu bawiła się, niby przesuwając w drobnych palcach obrąbek misternie dzierganej chusteczki; po ruchach jednak ręki, po przyspieszonych falach dziewiczego łona, po konwulsyjnem rozigraniu zbladłych ust, znać było, że niejedna gwałtowna boleść w łoskot wpędzała jej serce. Oczy miała spuszczone. Kobiety zwykle opuszczają wzrok, gdy im przychodzi cierpieć, lub słuchać bolesnych wyznań. Powiadano mi, że niektóre, przeciwnie, podnoszą wówczas powieki; takich atoli nie widziałem.

Sokolnik ocknął się z udanych rozmyślań.

— Przypominasz sobie — mówił — ostatni nasz pobyt we Lwowie. Na nieszczęście, i tobie i nam trudno będzie o nim zapomnieć. W jednej chwili tyle zwarzonych nadziei, tyle odczarowań, tyle jak z piorunem spadłych boleści. Złe stało się; można było je uprzedzić — nie przeczę i gorzko sobie nieprzezorność moją wyrzucam. Ale chciałem dotrwać w moich postanowieniach. Oddawna przysiągłem sobie, że w wybór zięcia w żadnym razie nie pragnę się mięszać. Kto twoje serce zyskać potrafi, ten już tem samem naprzód moje pozyskał. Matka twoja pochwalała ten sposób widzenia rzeczy; ona również w twojej woli szukała wyroku dla swego szczęścia. Oboje byliśmy gotowi wszystko poświęcić, byle zyskać pociechę na starość, byle ciebie widzieć szczęśliwą. Wprawdzie nie ufać tobie, nie mieliśmy żadnego powodu; od pierwszych lat przyzwyczaiłaś nas do kochania twego serca, do podziwiania rozsądku. Z zamkniętemi oczyma, jak wczoraj, tak dziś, tak jutro, przystaniemy na wszystko, co postanowisz.

Drogie moje dziecię! Przebacz wyrażeniu nie zgadzającemu się może z powagą praw rodzicielskich; ale powtarzam ci: opór z naszej strony przeciw jakiemubądź twemu zamiarowi, byłby niewdzięcznością. Od tylu lat przybawiasz nam do życia tylko słodyczy, tylko pociechy.

— Mój dobry ojcze! — westchnęła dziewczyna, do łez prawie ujęta słowami, w których miłość dla córki tak wdzięcznie splatała się z szacunkiem dla kobiety.—

Oczywiście, Marja nie mogła uskarżać się na brak rodzicielskiego przywiązania; los pod tym względem hojnie ją wyposażył. Wolność nawet, swoboda własnych postanowień, główne marzenia dzieci pod dachem rodziców, dla niej, wyjątkowym trafem, dojrzały przedwcześnie. Samowładna pani swoich zamiarów — tak przynajmniej ojciec jej zaręczał — w przebojach z nieszczęściem nie potrzebowała zwykłą w romansach koleją walczyć z namiętnym uporem rodzinnej przewagi. Wprawdzie był to w życiu brak jednej poetycznej struny. Walka z przeciwnościami na zewnątrz, dla wypełnienia ciemnego obrazu, wlokła zwykle za sobą ojcowski ucisk, matczyną przemoc — tem więcej jeden powód do strasznych bolów, do nadludzkich poświęceń. Marja atoli chętnie przyjmowała prozę tego stanowi-

ska w zamian za słodkie uczucie, jakiem przejmowała ją świadomość, że Sokolnik nie tylko był ojcem, ale istotnie wyższym człowiekiem, że sam jeden może umiał ją odgadnąć, należycie ocenić, że znał dokładnie jej wartość.

Człowiek zawsze prawie stwarza ideał samego siebie, ideał często wcale odmienny od rzeczywistości; kocha utwór ten własnej wyobraźni i uwielbia tych, którzy zręcznie odgadłszy jego chimerę, razem z nim padają przed nią na kolana. Umiejętność ta odgadywania cudzych widziadeł, stanowi główną zasadę sztuki życia.

Sokolnik niezaprzeczenie był sztukmistrzem.

— Błogosławieństwo moje — prawił dalej — czekało twego wezwania. Zdawało się, że nic stanąć nie może na przekor naszym nadziejom. Ale człowiek zna tylko przeszłość; nie domyśla się jutra. Spełnienie warunków naszego i twojego szczęścia musieliśmy odłożyć na później. Związek nie przyszedł do skutku. Kto go zerwał? — Nie my, nie ty, drogie dziecię; nam zarzucić tylko można ślepe zaufanie w niewyprobowaną ludzką szlachetność. On sam go zerwał, on pierwszy dla własnych widoków wyparł się widoków, wyparł się zobowiązań, zdeptał najświętsze uczucia. Ach! gdyby moje tylko serce był rozranił, mógłbym mu jeszcze przebaczyć! Starajmy się zapomnieć nieszczęsny ten wypadek; udajmy przynajmniej, że wcale o nim nie myślimy.

Bolesne prawdy rad pokrywam milczeniem; nie moja rzecz dognębiać ludzi, bez tego już pognębionych. Dziękuj Bogu, Marjo, że nie znasz świata. Najbrzydszem na nim stworzeniem często jest człowiek; niebo nosi na twarzy, piekło w duszy ukrywa. Podaje ci bukiet kwiatów: chwytasz ujęta ich wdziękiem, oddychasz czarowną ich wonią i po niewczasie dopiero spostrzegasz, żeś wchłonęła w piersi truciznę.

Na podobnych zawodach i zdradach siły powoli utracasz, i w zamian za życie zdobywasz drogi, choć gorzki skarb doświadczenia.

Gdybyś wiedziała, jak nikczemne pobudki rządzą często ludźmi, gdybym zwłaszcza na ostatni wypadek mógł zdjąć ci z oczu zasłonę —?

— Na ostatni wypadek, mój ojcze? — Czyliż nie wiem o wszystkiem? —

— Biedne dziecię! Wiesz, że pojechał i nie wrócił — nic więcej! Dla czego jednak nagle wyjechał, dla czego dotąd nie dał znaku życia? — Szczególne to postępowanie nie bez przyczyn. Ale po co o nich wspominać? Młoda twoja dusza pełna uczucia, złudzeń, zapału, boleśnie ścisnęłaby się na widok odrażającej prawdy. Lepiej często nie kalać czystego wzroku szpetnemi obrazami; nie każdą prawdę dobrze wiedzieć. Niebezpieczeństwo przeminęło; na co zgłębiać okiem otchłań, z której wydostaliśmy się cudem — na co wyzywać daremnie zawrót głowy? — Czyliż i bez tego nie dość już cierpień? —

— Ach nie, mój ojcze! Sam często mówiłeś, że prawdę zawsze lepiej wiedzieć. Nie lękaj się o mnie. Więcej wycierpieć nad to, czego doznałam, nie potrafię. Dziś nic mnie już dotknąć nie zdoła. Jestem skończoną; nieszczęśliwszą być nie mogę. Mów, mój ojcze!

— Nie nalegaj na mnie; wiesz że odmawiać ci nie umiem. Nie przeczuwasz co cię czeka. Musiałbym wprzódy długo mówić o sobie, o moich interesach, o materjalnem położeniu — jednem słowem, o rzeczach dla ciebie nudnych, nieznośnych, a które mnie tylko obchodzą.

— Ciebie tylko, mój ojcze? — Czyliż między nami wszystko nie jest wspólnem? Jeżeli ty masz zmartwienia, czyliż one w niczem mnie się nie tyczą? — Tem bardziej upominam się o moją część; smutne rzeczy z prawa do mnie należą.

— Luba moja córeczko! Przy tobie nieszczęście nigdy nie będzie zupełnem; nie zrówna nawet pociesze, jaką przynosisz. Jesteś u siebie, rozkazujesz — słuchaj więc.

Dziad twój, przodkowie nasi, przekazali nam klejnot rzadkiego blasku, ale jak na dzisiejsze czasy, ciężki do dźwigania. Ród nasz wymagał po nas nieustannych ofiar. Trzeba było godnie utrzymywać zaszczyt nazwiska, trzeba było wspomagać, żywić tłum ludzi, nawykły do przytułku w pańskich domach.

Pełniłem święcie obowiązek; rodzice moi atoli w ostatnich nieszczęściach krajowych, słuchając tylko głosu serca, nie kładli tamy swoim poświęceniom. Zostawili mi świetny tytuł

i nadwerężony majątek. Mogłem był żyć nędznie i odwlec straszne rozwiązanie. Miałem córkę. Postanowiłem nie szczędzić ofiar, poświęcić ostatek, ale przynajmniej wychować ją jak przystało na ostatnią dziedziczkę znakomitej rodziny. Ufałem w bożą pomoc. Napróżno!

Długo taiłem przed światem rzeczywistość naszego położenia. Ludzie znali z historji pamiętne dostatki naszej rodziny; nie przypuszczali, aby takowe mogły kiedyś się wyczerpać. Uważali mię za bogatego.

We cztery oczy powiem ci całą prawdę: ostatni chłop bogatszym jest od nas. Nic nie mamy.

Nieprzewidziane wypadki zniszczyły nas do szczętu!

— Wielki Boże!

— Słuchaj dalej. Ziemia ta, ogród, pałac, sofa, na której siedzisz, nic już do nas nie należy. Dzięki moim zabiegom i trudom, potrafię na kilka jeszcze miesięcy przeciągnąć zwykły tryb życia. Co dalej będzie? — Nie wiem, nie chcę przewidywac. Tajemnicę naszej zguby mało kto dotąd posiada. Skoro jednak prawda na wierzch wypłynie, ludzie zaczną od nas stronić, uciekać; pozrywają stosunki, przyjaźń; wyprą się wszelkich związków, odjadą i więcej nie wrócą — tak jak on, odkrywszy przypadkiem naszą niedolę, odjechał i więcej nie wrócił. Przeląkł się naszej biedy, zwietrzył nieszczęście — prysnął jak od zapowietrzonych.

— Kazimierz, mój ojcze! — Co mówisz? —

— Prawdę niestety, istotną prawdę! Zadziwia cię to, przeraża? — Rozumiem. Ja spokojnie wzruszam ramionami; nie darmo żyłem długo na świecie. Rzeczy to w naszym wieku i w naszem społeczeństwie zwyczajne, powszednie; .co krok je napotkasz.

— Między ludźmi zwyczajnymi, mój ojcze — ale tu nie o takim mowa. Cierpienia moje do mnie należą; nikogo za nie oskarżać nie będę, i nawzajem, cudzym oskarżeniom nigdy nie dam wiary. Fałszywe wieści, ludzka złość, potwarz, w błąd cię wprowadziły, mój ojcze. Człowieka częściej i lepiej można odgadnąć niż poznać. Niech świat obwinia go o brak serca, o niedostatek uczucia, o zbrodnię, o wszystko, byle nie o nikczemność. Bronić go nawet nie potrzebuję.

Jakież są więc istotne przyczyny jego postępowania? Mów, jeśli wiesz — słucham.

— Nie znam ich, nic nie wiem; może mój los, moja zła dola, moje własne nieszczęście! Jednych Bóg przeznacza do życia, drugich zawczasu na śmierć skazuje. Nie darmo ludzie powiadają, że dotykać się skazanego, nikomu na dobre nie wychodzi.

— Drogi, szlachetny mój aniele! — przerwał Sokolnik — przeczuwałem twoją odpowiedź, odgadłem każde niemal jej słowo; innej żądać po tobie byłoby szaleństwem. Czyste, cnotliwe twoje serce nie rozumie i nie przypuszcza wyrachowań; fala światowego zepsucia nie śmiała podpłynąć pod twoje stopy. Widzisz ludzi jakimi ich sobie wymarzyłaś. Główna, jedyna pobudka ich działań przez myśl nawet ci nie przychodzi. Nie znasz wszechwładnej potęgi pieniądza. Spokój, znaczenie, szacunek, wziętość — wszystkiego dokupisz się za garść złota. Miłość własna wygnała z duszy człowieczej wszelkie inne uczucia; zapanowała nad nią i jak samowładna pani, ciągle dopomina się o ofiary. Nie ma wymogi, nie ma dla samolubstwa roskoszy, którejby nie dostać za pieniądze. Człowiek udaje, że kocha niektóre rzeczy na zewnątrz swojej osobistości. Fałsz! — Kocha on tylko siebie samego. Gdybym chciał dowieść ci przykładami! Zdumiałabyś się, widząc że je wybieram między ludźmi najbliżej nam znajomymi. Ale o złych nawet nie lubię źle mówić; niech ich Bóg sądzi! Żyj dziecko jak najdłużej w twojej nieświadomości, uciekaj jak przed ogniem przed doświadczeniem: przyjdzie ono i bez tego, zawczesnie.

Żałuję, żem ci odkrył niepotrzebnie szkaradną tajemnicę; ale sama żądałaś. Wreszcie boleść, jaką ci sprawiam, może i korzyść po sobie zostawi. Wkrótce czekają nas cięższe przeprawy; nie nadto nam będzie nadludzkiej wytrwałości. Wszystkie cierpienia zwalą się na nas ryczałtem.

Po tylu latach, mało użytecznego dla siebie, wiele dla drugich, za nagrodę doczekałem się zatraty! Znieść walki, trudy, kłopoty, moja rzecz — ale sponiewieranie — ale nędzę — ale wstyd, ale hańbę! —

— Drogi mój ojcze, nie rozpaczajmy przed czasem, nie wątpmy — może Bóg złe od nas odwróci! Jeżeli nie — kto tu

mówi o wstydzie, o hańbie? Taki człowiek jak ty, z majątkiem lub w nędzy, zawsze wzbudzi szacunek. Cóż wspólnego między dostatkami a dobrocią twoją bez granic?

— Mniejsza o mnie, mniejsza o twoją matkę; starym prócej niż dłużej, zwłaszcza przy zgryzotach. Ale ty, moje dziecię? —

— Ja mój ojcze? Ja śmiało poglądam w przyszłość; będę pracowała na siebie i na was. Dla siebie nie miałabym chęci ani odwagi — dla was, zdaje się mi, że znajdę niewyczerpane siły. Słyszałam nieraz i łatwo sobie wyobrażam, że spokój częściej mieszka pod strzechą, niż w złoconym pałacu. Wszakże dla mnie nie szczędzono pracy, nakładów na wychowanie; ostatek poświęcano, jak sam mówisz, mój ojcze, aby mię czegoś nauczyć. Nadeszła moja kolej. Porzucimy kraj, wyjedziemy gdzie do wielkiego miasta i najmiemy skromne mieszkanie; znajdę lekcje muzyki, znajdę ich ile zechcę; czuję się na siłach pracować od świtu do nocy, bez zmęczenia; zaręczam ci — ja tak lubię muzykę!

— Ukochana moja córeczko, przestań! — Serce mi krwawisz. Ja miałbym cię widzieć pracującą? — Obym nie dożył tej chwili! — Z daleka tylko znam świat pracowniczy, ale to, com w nim spostrzegł, wystarcza na zdjęcie mię rozpaczą, gdy pomyślę o strąceniu cię w jego otchłanie. Różowe twoje ułudy wkrótce ustąpiłyby przed straszną, przerażającą prawdą. Kto chce na życie pracować, ten więcej żyje upokorzeniem niż zarobkiem.

Człowiek zrodzony w poślednim stanie, nie czuje tych upokorzeń, podobnie jak salamandrę ogień nie parzy. Ale kto przeznaczony i przywykły do innego bytu, w kim z naddziadów pańska krew krąży, temu każdy kąsek tak okupianego chleba — trucizną. Ja miałbym dziecię moje sprzedawać za pieniądze — zginać je pod jarzmem pracy i wstydu? —

Młoda twoja wyobraźnia kwiaty tylko postrzega; na ciernie rzuca tęczowe zasłony. Gdybyś mogła przejrzeć rzeczywistość, pierwsza wzdrygnęłabyś się ze zgrozy.

— Nie, mój ojcze — mylisz się. Wyobrażam sobie wszystko, więcej nawet niż słyszę. Dla mnie nie ma już strasznej rzeczywistości, nie ma szczęścia — jest tylko spokój, a tego nie znajdę, chyba w roskoszy wypełnionych względem was obo-

wiązków. Do pracy trzeba siły i chęci; jednej i drugiej widzę w sobie bezmiar.

— Rzecz jasna, nie dostrzegasz granic siły, podobnie jak w życiu nie umiałabyś naznaczyć kresu. Ja dalej widzę starym moim wzrokiem i drogo nabytem doświadczeniem. Pierwsza oznaka słabnących sił byłaby dla ciebie hasłem nieukojonej zgryzoty i śmierci. Myśl ta zabiłaby mnie i twoją matkę. Ha! Jeżeli koniecznie chodzi o ocalenie nas wszystkich, może dałby się znaleźć łatwiejszy sposób, jedyny; od ciebie on zależy. Ty tylko, moje dziecię, potrafiłabyś zapewnić nam spokój, i według mego rozumowania, własny twój los ubezpieczyć. Ale zdania twego odgadnąć nie zdołam, naprowadzać cię zaś na drogę nie przystoi mi, nie chcę.

— Mów, mój ojcze! mów! Czemże zasłużyłam na ten brak zaufania? Na wszystko jestem gotową.

— Nie przyrzekaj z zamkniętemi oczyma; mogłabyś później żałować. Szczęściem masz ojca, który nie zwykł korzystać ze słowa wyrzeczonego w zbytecznem wzruszeniu serca. Znasz mię doskonale; wiesz że ani w moich zwyczajach, ani w naturze, wpływać na twoje postanowienia, zmuszać cię do czegokolwiek. Dbam o twój los więcej, jak o własne życie, i tam, gdzie ty zechcesz go zapewnić, pospieszę, chociażbym widział wyraźną moją zagubę.

— Mój ojcze, powtarzam ci z głębi duszy: ja zmiany mego losu nigdzie nie widzę, nigdzie nie szukam. Pozwól mi o twoim pomyśleć, waszemu spokojowi się poświęcić. Ach! nie odrzucaj mojej prośby — na klęczkach cię błagam! —

Marja złożyła dłonie; usta jej drżały, straszna bladość pokrywała oblicze; krew lodem ścinała się w żyłach; niespokojność, trwożne przeczucia szarpały jej duszę. Zdawało się, że opętana piekielnym zawrotem, rzucała się w przepaść, że żywcem chciano ją pochować, ciało i duszę zatracić na wieki.

Magnat w milczeniu przeżuwał myśli, upatrywał miejsca do łatwej zaczepki. Jemu przedewszystkiem chodziło o postawienie na swojem bez hałaśnych oporów, bez rozczuchranych scen, bez nadwerężenia domowego spokoju.

Gwałtowne wybuchy, zacięte walki i spory mięszały mu digestję, a czasami nawet i sen. Za nic w świecie — chyba za

jeden order Złotego Runa — byłby naraził zdrowie na uporne z zawadami przeboje; wolał podczołgnąć się lub obejść, niż natrzeć lub rozbić.

— Żądasz tego, moje dziecię — rzekł, ciągnąc dalej tęż samą kolej uległości — powiem więc, wszystko wypowiem. Zawczasu jednak uprzedzam się, że przychodzę z radą tylko, z życzeniami, że sam jako ojciec, niczego nie żądam. Gdyby nawet wspólne nasze położenie nie wymagało bezzwłocznego ratunku, szczerze wyjawiłbym ci, że życie na wsi, do tego jeszcze w Galicji, uważam za niegodne ciebie, za niegodne tych, którzy usiłują cię w niem zagrzebać. Znaczenie moje u dworu, ród nasz, wdzięki twoje i zalety — wszystko w tym kraju marnieje. Im droższy klejnot, tem świetniejszej potrzebuje oprawy. Cóż z tego, że podziwia cię tłum lichego miasteczka, wówczas gdy przekonany jestem, że pierwsze stolice nie miałyby oczu tylko dla ciebie.

— Mój ojcze! —

— Nie mówię jak ojciec, ale jak doświadczony i bezstronny sędzia. Przyszłość twoją i naszą masz w ręku; jednem słowem możesz otworzyć sobie byt blasku, zaszczytów, godności, uciech, o jakich drugiej kobiecie w naszym kraju nie wolno zamarzyć. Świetny związek, stosowne małżeństwo, powróci cię w świat, do jakiegoś stworzona, nam pozwoli opuścić okolicę ze wszech miar dla nas niestosowną. Cudowna ta przemiana w jednej chwili da się uskutecznić. Niebo zesłało nam zbawienie.

Człowiek zacny, spokrewniony z pierwszemi domami cesarstwa, z nieposzlakowanym honorem — rozumiesz mię, moje dziecię? — z nieposzlakowanym honorem, kochający cię nad życie, świetnie wychowany, czeka z ust twoich jednego wyrazu —

— Odemnie? — czeka! — Nikogo nie widzę.

— Szambelan —

— On! — Ach! czyliż i bez tego nie jestem dość nieszczęśliwą?

— Mówił mi o tobie z wyrazem głębokiego przywiązania — oświadczył się.

— Oświadczył się! — powtórzyła Marja, patrząc w ojca osłupiałemi oczyma. — Przeczuwałam! — Wczoraj! —

— Tak jest — wczoraj wieczorem, w ogrodzie. Cóż mam mu odpowiedzieć? — Uważaj mię za jego posła — bynajmniej za ojca. —

Marja padła przed nim na kolana i ujęła go za rękę; ząbki jej dzwoniły jak w gorączce; w oczach śladu łzy nie było — snać wszystkie padały na serce.

— Nie uważać ciebie za ojca? — mówiła, szukając w piersiach oddechu. — Nie, nie, nigdy! Przeciwnie, bardziej niż kiedykolwiek potrzebuję czuć, że jestem przy tobie, mój ojcze, że doznam twojej opieki, że ty jeden mię obronisz. Nędzę, pracę, śmierć, wszystko zniosę, wszystko wycierpię — tylko nie mówmy więcej o tym panu, nigdy nie wspominajmy! Ja oddawna nie należę już do siebie; nie mam serca — oddałam, bezpowrotnie! Drogi, kochany ojcze! Pozwól mi umrzeć w boleści, dokończyć byle jak strasznego życia. Nie odpychaj mię od sobie — pozwól mi przy tobie, przy matce pozostać — zawsze przy was! — Zdala od was, do grobu tylko mogę się przenieść! —

— Przekonywasz się teraz, moja miła — przerwał smętnie Sokolnik, żem ci prawdę mówił o twoich siłach: zniknęły za pierwszem zetknięciem z rzeczywistością.

— Nie, mój ojcze, nie czuję się bezwładną. Do życia w nędzy, w pracy, w poświęceniu, sił mam w sobie podostatkiem. Do przepychu, do blasku, do [illegible]tku, do kłamanych uczuć, nie jestem stworzoną. Chciałeś mię tylko doświadczyć — nieprawdaż, mój ojcze? — Powiedz, że mię nigdy nie opuścisz, że o żadnem małżeństwie nigdy słowa nie przemówimy; że się nie rozstaniemy nigdy. Pragniesz mego szczęścia? — Ja przy tobie, w domu tylko mogę być szczęśliwą.

— Jak chcesz, mój aniele; wola twoja jest moim prawem: stanie się według twojej woli. Bóg zesłał nam kielich goryczy, wychylmy go do dna. A jednak żal pomyśleć!

— Ufajmy, mój ojcze, w boże miłosierdzie! Pan zsyła na nas niedolę; ja duszę mam ku niedoli otwartą. Wycierpimy ją z pokornem sercem; zawstydzimy tych, którzy wstyd widzą w nędzy. Jeżeli nie na tej ziemi, to tam — wysoko — kiedyś,

niedługo może, spotkamy się spokojni, wiecznie szczęśliwi. Masz słuszność, mój ojcze; nie jesteśmy stworzeni do życia, jakie nas otacza. Nie dla nas powszednie roskosze, zadowolnienia miłości własnej. Co innym gasi pragnienie, nam ust nawet nie odwilża. Każdy żyć potrafi w pomyślnym losie, w dostatkach; przeciwności uderzają tam, gdzie zdaje się im, że znajdą godny siebie opór. Bez walki z losem nie ma poświęceń, nie ma zasługi; życie wlecze się nędzne i bezbarwne. Lepiej być robakiem. Czemże wreszcie najsroższe katusze ciała w porównaniu z udręczeniami duszy? Pierwsze lada kto wytrzyma; moralne bole umie znosić mała tylko garstka wybranych. Ja przynajmniej, po tem co dotąd wycierpiałam, nie potrafię już doznać nieszczęścia. Ileż razy, zdjęta nadludzką boleścią, sądziłam że nocy nie przeżyję! Byłoby może już po mnie, gdyby Bóg nie był oświecił mię promieniem swej łaski. Jemu zaofiarowałam moje cierpienia, w nim odtąd żyję, pamięcią na jego rany ból moich zagłuszam. Święta nasza religja tyle zesłała mi otuchy, że niewdzięcznem bluźnierstwem byłoby nadal powątpiewać o wsparciu. Z bożą pomocą, mój ojcze, więcej jeszcze wycierpim. Ciało upada, ale duszę ból unieśmiertelnia. —

Nie mogę zapewnić, do jakiego stopnia w smak szły magnatowi religijne pociechy, któremi egzaltowana wyobraźnia córki starała się poetyzować mu marności tego padołu płaczu; nie zaręczam nawet, czyli z dwojga złego wybierając, Sokolnik nie byłby przeniósł wątpliwego piekła w wieczności nad niezawodne piekło na ziemi. Nie pod[illegible] atoli kwestji, że w tej chwili prawdziwe wrażenie słów córki głęboko zataił. Nadto nie pora, ani miejsce było wdawać się w dysputy teologiczne; rzecz chodziła o wydanie hrabianki za szambelana, o spotkanie się raczej w salonach księcia kanclerza, aniżeli w obłokowem empireum u przedwiecznego ojca.

Ucieczka Marji w nadziemskie sfery przybawiała Sokolnikowi zachodów, nie wydarła mu atoli wszelkiej nadziei. Przeciwnie, nabrał otuchy; zrozumiał że pobitemu na ziemi nie należy odmawiać walki w błękitach. Zbawcza myśl nagle przed nim zabłysła; tak się przynajmniej spodziewał.

Zbliżył się ku Marji i z uroczystem westchnieniem słuchał pobożnych jej marzeń; na każdą wzmiankę o Bogu religijnie

wywracał oczy, toczył białkami ku niebu i wzruszony niby do ostatnich głębin duszy, rzekł:

— Święte twoje słowa, lube dziecię! Poznaję w nich godną córkę twej matki. Dodałaś mi odwagi. Bóg takiego jak ty anioła i nas przy tobie nie opuści. Błogosławię dzień, w którym przyszłaś na świat. Prawdę wyrzekłaś. Dopóki dawna wiara przodków pierś nam zagrzewa, dopóty nie stracimy zwyczaju, Bogu poświęcać dolegliwości i w modlitwie szukać pociechy — dopóty mamy prawo szydzić z zawistnych losów i uważać siebie za wybranych, za przeznaczonych ku lepszemu życiu, za wyższych nad tłum ścigający znikomości tej ziemi.

Ach! drogie moje dziecię, przeżyłem i ja bolów nie mało, i jeżeli pod brzemieniem ich nie upadałem, zawdzięczam to jedynej pomocy, jaka mię nigdy nie opuściła — modlitwie. —

— Nieprawdaż, mój ojcze — zawołała do łez wzruszona — że to jedyne, niewyczerpane źródło pociechy i siły? Wczoraj jeszcze — wyznam ci wszystko jak na spowiedzi — wczoraj dostrzegłąm cię żywo rozmawiającego z szambelanem. Niewytłumaczone przeczucie ostrzegło mnie, że mówił ci o tem obrzydłem małżeństwie, o tym związku, przed którym przysięgłam uciec, choćby do grobu. Niezmierna boleść ścisnęła mi serce; przybiegłam do siebie jak obłąkana; rój czarnych myśli mózg mi roztaczał. Widziałam przed sobą otwartą mogiłę, Rozpacz kąsała mi głowę, darła piersi; łez mi już nie starczyło — myślałam że rozum utracę. Bóg mię ocalił. Sama nie wiem jak i kiedy znalazłam się na klęczkach przed tym oto świętym obrazem. Zaczęłam żarliwie modlić się, i nad rankiem domodliłam się przecie trochę spokoju. Dziś jeżeli czuję się zwątloną na siłach, jeżeli z śmiertelną trwogą poglądam w przyszłość — moja w tem wina. Czyste tylko serce można poświęcić Bogu i w zamian znaleźć pociechę i moc do życia; moje nie do mnie należy — Stwórcy nawet ofiarować go już nie zdołam. Nie zasługuję na jego łaskę. Tymczasem los zsyła na nas coraz więcej cierpień; z każdym dniem będzie nam potrzeba więcej wytrwałości, wiary, nadziei. Przeczuwam że dalej nie ostoję się o własnych siłach — i jeżeli na zewnątrz siebie wsparcia nie znajdę —

— Tu, moje dziecię — przerwał magnat, tuląc ją do piersi —

tu, na ojcowskiem łonie, w każdej chwili czeka cię spółczucie, przywiązanie bez granic. Łzy twoje z prawa do mnie nalezą, a w sercu mojem nieraz znajdę może sposób ukoić je, osuszyć. Co dalej nas spotka? — nie wiem; groźne chmury wiszą nad nami. Rozumiem że wypada nam zebrać wszystkie siły, uzbroić się w nadludzką niemal wytrwałość. Rozumiem także, że jeżeli Bóg nam odmówi otuchy i wsparcia — nigdzie ich nie znajdziem.

Posłuchaj, lude dziecię! Widzę że mocno cierpisz, że potrzebowałabyś duchownej pomocy, jakiej ja nawet, ojciec twój, pomimo mego przywiązania, nie jestem w stanie dostarczyć. Ale uspokój się — w naturze obok trucizn rosną lekarstwa. Niebo zesłało nam właśnie człowieka słynnego cnotą, świątobliwością, rzadkim darem słowa, rzadszemi jeszcze zalety duszy. Gdybyś chciała zasięgnąć jego rady, pomówić z nim? Jest to dawny oraz wierny przyjaciel naszej rodziny. — Odkryj mu twoje cierpienia, przyjm sakramenta; wzmacniają one ducha. Posłuchaj jego rad; pobożne słowo zabliźnia częstokroć najgłębsze rany. Co mówisz, biedna moja córeczko?

— Drogi mój ojcze! Z twoich rąk wszystko przyjmę; słowa twoje i rady zawsze będą dla mnie pierwszą ucieczką. —

Łkania przerywały jej mowę.

— Dobrze więc — rzekł magnat, powstając i całując ją w czoło — przyślę ci go natychmiast; w podobnych razach zwłoka jest grzechem. Tam wreszcie, gdzie idzie o złagodzenie bolu, pomoc nigdy zbyt wczesną. Za chwilę stanie przed tobą drugi twój ojciec, drugi przyjaciel — czcigodny nasz ksiądz Zefiryn.

— Mój ojcze! — zawołała dziewczyna, wyciągając ku niemu dłonie. Ale Sokolnika nie było już w pokoju.

Marja załamała ręce: z odejściem ojca opuściła ją reszta odwagi. Straszna rzeczywistość wybiegła jej przed umysł; opuszczenie kochanka, przerażający los rodziców, zaloty nienawistnego szambelana, który jak złowrogi kruk spadał nagle na rumowisko bytu całej rodziny i urągał wszechstronnemu jej nieszczęściu, tyle ciosów od razu przygniotło ją ku ziemi.

Nie było ratunku! Śmierć tylko pozostawała, śmierć nieochybna, która zwolna zaczynała już ducha z niej wymęczać.

Stroskana, bezsilna, toczyła do koła błędne spojrzenia po zamajaczonych przez łzy kształtach przedmiotów, gdy wtem, cicho, jako niegdyś wieko trumny zmartwychwstającego Łazarza, otworzyły się drzwi i wszedł ksiądz Zefiryn.

— Pokój temu domowi! — rzekł Jezuita, kreśląc w powietrzu znak krzyża. — We łzach będziesz poczęty i ześlę na ciebie utrapienie — mówi Psalmista. Ale na wszelki ból jest ucieczka. Pan wyprawia wierne swoje sługi, aby zwątlone krzepić, a strapione pocieszać.

— I grześć umarłe, nieprawdaż, mój ojcze? — odrzekła Marja z westchnieniem. — Tej ostatniej posługi wielu wkrótce, a może ja pierwsza zapotrzebuję.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — przerwał duchowny z wyrazem troskliwego oburzenia — nie godzi się nam zrywać zasłonę z Pańskich wyroków, zwłaszcza zaś tym, którym młodość, zdrowie, zapowiadają dlugie jeszcze lata.

Smutki mamy na sercu? — Któż ich nie ma? — Chwilowe przeciwności utrudzają nam życie? — Komuż ono jest łatwem?

Wiara, nadzieja, modlitwa, ufność w Bogu i w jego sługach pomogły nieraz wyjść z cięższych daleko frasunków. Bóg zsyła jednakowo złe i dobre, a w końcu wszystko na chwałę swoją nieśmiertelną obraca. Miłosierdzie boże jest bez granic. Nie ma cierpienia, któreby w niem nie znalazło ulgi, stanowczego nawet ratunku.

W zamian atoli za cudowną swoją pomoc, niebo żąda zaufania i nieograniczonej pokory. Skuteczność naszych modlitw, nas, pośredników między Przedwiecznym a śmiertelnymi, zależy od skruchy, od szczerości wyznań, od posłuszeństwa naszym radom. Powołani dbać o zbawienie duszy, o szczęście wiekuiste za grobem, z wysoka poglądamy na ziemskie pobudki. Świat i jego względy niczem są dla nas; ztąd też i w radach naszych Boga tylko widząc przed sobą, mamy prawo od wiernej rodziny kościoła wymagać ślepego posłuszeństwa.

Zmiłowanie boże możemy wymodlić, ale kogo opuścim, ten na wieki zatracon!

Panie, oświeć mię duchem twoim, oddal od nas szatana własnowolności, dumy, zarozumienia, a mnie niegodnemu

pozwól stroskaną twoją owieczkę doprowadzić do królestwa twego, gdzie wraz z Synem i z Duchem królujesz na wieki wieków — Amen.

Uklęknij przy mnie, moja córko, wezwij na pomoc ducha skruchy i pokuty, wnijdź w głębiny serca twojego, przypomnij sobie, czem obraziłaś Stwórcę? —

Ksiądz usiadł w szerokiem krześle, wzniósł głowę do góry, jak gdyby nawoływał górne natchnienia. Marja skłoniła się ku jego stopom, ukryła twarz w dłoniach, i przez łzy i łkania, stłumionym głosem, zaczęła jedną z tych historji dziewiczego sumienia, gdzie wystraszona piekłem wyobraźnia, w każdej myśli widzi występek, w każdem uczuciu zbrodnię, w każdem zwątpieniu bluźnierstwo.

Słodkie tajemnice czystego serca, grzechy jutrzennej przezroczy, urocze dziecinne trwogi, żale rozbrylantowane łzami, anielsko-promienne nadzieje, tęczowe poemata uczuć — za cóż lada mnich słyszy was codzień, kochanek raz ledwo w życiu, a często i nigdy! — W was tylko skrzy się prawdziwa niewinność; w was ani cnota, ani zbrodnia nie wiedzą o sobie.

Dziewczę w miłości, w poświęceniu nie postrzega zasługi; złego również nie rozumie. Porzuca, wabi, zdradza, morduje z uśmiechem na ustach, z pogodą w sumieniu, jako swawolne pacholę, gdy wesoło motyla szpilką przebija.

Święty wieku niewinności, kiedyż twój koniec, kiedyż drwić sobie z ludzi przestaniesz — —?

Ksiądz siedział jak posąg z hebanu, czarny, posępny, milczący. Gdy wreszcie piękna pokutnica umilkła, westchnął pobożnie i tym dźwięcznym głosem, jakim umiał kołysać najboleśniej rozdrażnione nerwy, jął zapuszczać w ukorzoną przed nim duszę balsam wymownej pociechy.

Dziewczyna cierpiała na niesłychaną egzaltację wyobraźni, na zaprzepaszczenie serca w bezdniach sentymentalizmu. Jezuita zwolna, łagodnie puścił się z nią naprzód w napowietrzne krainy, zrozumiał cierpienia, użalił się nad słuszną boleścią, pokazał jej słoneczne niebo, Boga siedzącego na tronie, Świętych rozposągowanych przed nim w wiecznem uwielbieniu, i aniołów zawodzących seraficzne chóry.

Powoli otuliwszy i owładnąwszy jej duszę, chylił się z nią ku

ziemi, stawał na tle światowego życia; dowodził chwały, jaką sobie zjednywali godnie wytrzymujący doczesne próby; prawił jej o niej samej, wywoływał na jaw rozum jej, wysokie zalety duszy, obowiązki względem nazwiska, względem rodziców, względem kościoła, obowiązki wzniosłe, szlachetne, święte, którym można tylko było zadość uczynić, wyzuwając się z bezbożnych, rozpasanych myśli, zapewniając szczęście swoje i rodziców, przyczyniając do utwierdzenia wiary wejściem w stan, przez Stwórcę przeznaczony kobiecie.

Marja porwana urokiem czarownej wymowy, długo słuchała go z zachwyceniem; skoro jednak dziwne wnioski odbiły się o jej uszy, nagle podniosła głowę i z trwogą, jak gdyby z nieba strącona na ziemię, rozpaczny wzrok utkwiła mu w obliczu.

Ksiądz dalej prawił swoje, aż nareszcie półgłosem wymówił nazwisko szambelana.

Hrabianka porwała się niby rażona piorunem. Uchwyciła skronie między drobne rączki, strasznie pobladła, uskoczyła na kilka kroków i drżąca, wsparła się o klęcznik w przeciwnym rogu komnaty. Obłąkanie wybiegło na jej lica, nie wiedziała co się z nią działo.

— I on także! — mówiła sennym, przerażonym głosem — i on — i tamten — i oni wszyscy — Boga nawet namówili — sprzysięgli się na moją zgubę! — Nieszczęśliwa! — zabijcie mię od razu! —

Padła na klęcznik, objęła go konwulsyjnie obiema rękami; bolesny spazm wydarł się z jej piersi.

Ksiądz powstał. Okiem gniewem mu zapalało; chciał mówić, grozić, przeklinać, ale poznał że słowa jego nie znajdą w tej chwili przystępu do rozhukanego żalem umysłu. Sam wreszcie strwożony stanem córki magnata, pospieszył dać znać rodzicom.

Sokolnik czekał go na dole.

— I cóż nowego księże? — rzekł, zdziwiony niezwykłym wyrazem twarzy Jezaity.

Ojciec Zefiryn zabierał się do odpowiedzi — —

Zanim jednak takowej udzielę, właśnie przypominam sobie, że kilka temu kartek, obiecałem zakończyć rozdział jednym tylko zwyczajnym, pospolitym, arcypowszednim wyadkiem.

Sam nie pamiętam, jak i kiedy zabłądziłem między tyle szczegółów.

— Na wszelki grzech atoli jest miłosierdzie — powiada czcigodny ojciec prowincjał Jezusowego zakonu.

Stawiam się na słowie.

. . . .

W miesiąc po dopiero co przytoczonym rozhoworze, wykwintny powóz wyjeżdżał z bramy Sokolnikowego pałacu.

Siedziało w nim dwoje młodych ludzi.

Zebrani goście żegnali ich ulewą grzeczności, życzeń, powinszowań.

Szambelan rozpromieniony, dziękował słowem i gestem; Marja z tęsknym uśmiechem, który dodawał powabu blademu jej obliczu, chustką przesyłała rodzicom ostatnie pozdrowienia.

Wyjeżdżali prosto do Wiednia.

Szczęśliwa droga — wesołej podróży!

Niech żyją państwo młodzi! —

XIII.

Dwa lata upłynęło według gregorjańskiego kalendarza.

Dwa te tuziny księżyców w słonecznych tylko obrachowaniach mają wartość stałą, ściśle oznaczoną. Człowiek każdy różnie je odmierza, stosownie do tego, jak mu przybyło w nich smutków lub radości, zgryzoty lub spokoju.

Dla nieopatrznych, dla wyzyskiwaczów przypadku fortunnego urodzenia, dwa lata — dwa błyski; dla lichwiarzy dwa lata — dwa termina procentów; dla biedaka dwa lata — dwie zimy mrozu i nędzy; dla wolnych dwa lata — dwa źródła życia i siły; dla więźnia dwa lata — dwie nieskończone pielgrzymki po bezdennych, wilgotnych, ciemnych i coraz głębszych otchłaniach piekła.

Lat podobnych ostatnim z każdym dniem się mnoży; zaprawdę bowiem, zaprawdę, nie tylko ci więźniami, którzy jęczą pod zamknięciem, którzy w zamarzłych stepach lub na wyspach z pod równika przeklinają swe losy. Miljony innych chodzi po białym świecie, dźwiga kajdany, lżejsze dla słabych, cięższe dla dzielniejszych duchów. Wolny tylko nie jest więźniem, a wolnych, klnę się na wszystkie potęgi niebieskie, mniej widno na świecie, niż źródeł w pustyni.

Tak dzieje się w rzeczywistości; inaczej możnaby sądzić, patrząc na tłum zbuntowanych niewolników, z których każdy za wolnego się uważa.

Ostrożnie — szlachetni, biedni moi marzyciele! — Sama walka nie jest jeszcze zwycięstwem.

Myślisz, żeś dla tego niewolnikiem, że cię żelazna przemoc ugniata, że pękasz pod prawem upurpurowanego oprawcy, lub pod knutem republikanskiej konstytucji? — Szalony — zbliż się! — Cięższe kajdany nosisz w sobie, niż na zewnątrz. Z jednych chwila zapału i święty bunt cię wyzwolą; z drugich któż mocen cię wyswobodzić? —

Gorzkie szyderstwo! — Boisz się piekła i nieba, wierzysz że dla tryumfu prawdy, Bóg niewidzialny mógł fałszem cuda cisnąć w twarz naturze. Osłupiałym okiem patrzysz na misterje czarnych przekupniów ducha, hamulcem ślepej wiary kiełznasz rozum, archimedesową dźwignię wolności; sam sobie zabraniasz iść naprzód, własnowolnie podpisujesz akt niewoli i jeszcze pytasz, kim jesteś? — Niewolnikiem! — odpowie ci głos sumienia, jeżeliś ołowiem przesądu zupełnie go nie przydusił.

A ty drugi, przecz tak wznosisz czoło? — Uważasz się za wyleczonego z przesądów, dla tego żeś zdeptał krzyż świętokradzką stopą, żeś jednego Boga zmienił na zdawkowych bogów miljony, żeś — jak pewien niemiecki mój znajomy — ogłosił się osobistym nieprzyjacielem Jehowy, żeś we wszystkiem odkrył próżnię twojego serca i czczość twego rozumu — że nie wiedząc dla czego źdźbło trawy wyrasta, zawyrokowałeś nicestwo ducha? —

Ha! niewolniku dogmatyzmu niewiary! precz odemnie plugawy płazie! Wolność twoja trucizną dla życia — ani światła w niej, ani powietrza.

Za poezję dziecinnej mojej mitologji dajesz mi przestrzeń wiecznie ciemną, gdzie rozpacz i nienawiść tylko się lęgną — gdzie krew mózg rozdziera, gdzie zmysły szaleją, gdzie pierś pęka od braku oddechu.

Nie powiem że milsze mi od ciebie zwierzę; ubliżyłbym — zwierzęciu.

Wy, stójcie z daleka, obrońcy szlacheckich i koronnych przywilejów, zaplecznicy tronu Baala, Molocha niezapracowanego złota, Odyna rozboju o żołnierskiej pięści, Temidy jędzy praw, Cerbera symbolu porządku! Wasza sprawa już pogrzebaną i przekleństwo wam wypłacone. Człowiekowi nic wspólnego z upiorem, chyba dębowym kołem przebicie trupiej piersi.

Zniknęli jak senne widziadła; oni sami nawet nie przyznawali się do wolności. Pogarda z nimi! — Więcej mieli wstydu, aniżeli ten oto, z rozpłomienionem obliczem, który chce wyswobodzić mię od tyranów, aby następnie ciemiężyć prawem wyszachrowanem na ludzie; który mi tłumaczy, że gdy z woli ogółu skórę będą ze mnie ściągać, mniej zacierpię, niż gdy car ongi pasy mi wyrzynał; który przysięga że wolność, to na zgliszczach przywileju wykwitła zasada wszechwładnej większości.

Wolność twoja gorsza od niewoli — wolność ta fałszem, oszustwem!

Między zasadą większości a prawem mocniejszego — gdzie różnica? Wola wszystkich jest mi równie nieznośną, jak wola jednego. Człowiek jedną wolę ma tylko świętą — swoją własną. Gdzie prawo, tam bezprawie — gdzie rękojmia, tam podstęp — gdzie wiele upajających słów i zaręczeń, tam więcej jeszcze obłudy. Każdy sobie panem i kapłanem, sędzią i rozjemcą, skarbnikiem nagród i wykonawcą kar; a kto od innych szuka zbawienia, ten niech otwarcie szyję pod łańcuch nagina, niech podpiera pierwszy ukradziony tron, niech przystaje do hordy obłąkańców, lub szajki opryszków, skupionych pod chorągwią szkolarskiej zasady wspólnictwa.

Tyle o głównych obozach ludzkiego rodu; cóż dopiero, gdy zejść do szczególników! — Każdy przesąd, każda światowa wymoga, każdy fałsz, każda namiętność, każde samolubstwo, każdy system, systemacik i systemek, wloką za sobą swoich niewolników, dławią jarzmem miłości własnej, sieką rózgami zwyczaju.

Od westchnień ku wolności, potwierdzonych nawet zaofiarowaniem życia, do świadomego jej pojęcia daleko — dalej niż do niepodległości, dalej niż do republiki.

I któż więc dziś wolny? — Gorzkie i zawiłe pytanie! W tej chwili zwłaszcza trudno mi odpowiedzieć.

Bagnety despotyzmem zbezczeszczonej starej kochanki rogatego Jowisza, dwa morza, szerokie pustynie, przedzielają mię od Europy, od krajów, gdzie pomazaniec, ksiądz, prawnik i kat, pojedyńczo lub wszyscy razem, kąpią się we łzach i w krwi uciemiężonych ludów.

Kto wolny? — Sam siebie nie śmiem zapytać.

Ze stolicy narodu-patrona rewolucji i oświaty, z republikańskich więzień, na których czarno poczwarzy się hasło: wolności, równości i braterstwa, wydarłszy się — stoję pośród libijskich obszarów i o własnej swobodzie nie śmiem zamarzyć.

Żałobnym korowodem wszędy pełzną za mną wspomnienia kraju, który za każdem uderzeniem tętna, piekło mąk na sobie zużywa — wlecze się pamięć dzielnych spółpracowników, powięzionych za zbrodnię człowieczej godności — ciągnie rozpacz, zwątpienie i nieodstępna przyboczna straż harpji ślepo zażartych na przeklętą pierś wygnańca.

Jedno tylko od nich wyswobodzenie: zgon — i jeżeli to jeszcze nie ostatnia ułuda. Gdyby przynajmniej swoi i blizcy chcieli byli oszczędzić trucizny! —

Dziwne pokolenie, dziwna epoka; łatwo w niej umrzeć za wolność; żyć wolnym niepodobna — zawcześnie!

Cóż więc pozostaje? —

Rozpacz? — Głupia melodrama, przelotne uczucie, stokroć znośniejsze od głodu lub od pragnienia. Obojętność? — fałsz! Życie i obojętność nie znoszą się nawzajem; mumja tylko może być obojętną. Nadzieja? — lep na dudki, pustynny majak na niedoświadczone wędrowce. Cierpliwość? — hasło niedołężnych lub niewolników.

Ha! na wszystkie ognie afrykańskiego słońca, nic by człowiekowi nie pozostało, gdyby szczęściem nie umiał drwić z siebie i z przypadku.

Błogi uśmiechu o zmarszczonem czole, o surowych rysach, ostatnia ucieczko strapionego, najwyższy tonie wolności ducha, święta i jedyna pochodnio prawdy — rozprosz uderzeniem stalowych skrzydeł zmorne widziadła, obudź siłę i życie, tchnij w piersi potęgę, bież, przybywaj czemprędzej na wichrach zwątpienia, zagrzmij pieśnią wolności, pokaż żywe, wcielone jej dowody! —

Dość mi oczy otworzyć, przypomnieć gdzie jestem.

Od sześciu dni nie ruszam się z oazy.

Całe łono namiotu osłania gorączką trawione ciało. Poko-

lenie Ualad-al-Said pociągnęło dalej; kilku tylko synów pustyni zostało przy rozniemogłym wędrowcu.

Rzecz dla nich zwykła; gość im bratem, choć na chorągwi wyrazu «braterstwa» nie piszą.

Usiedli z dala pod palmą, karmią w milczeniu wielbłądy; żaden z nich do namiotu wejść się nie odważa; lękają się przerwać spoczynku lub dziwnego zatrudnienia, jakiemu podróżny często się oddaje, gdy na grubym papierze cienki rozściela i kawałkiem, snać węgla w drzewo oprawionego, kreśli tajemnicze znaki.

Mołła jaki zapewne albo wróżbita z Frengistanu, stara się przyszłość odgadnąć, lub zaklęciami odegnać złowrogie powiejki systemu.

Turka tu nie ma; o psią niewiarę nazarejskiego pielgrzyma nikt nie posądzi.

Błędny mieszkaniec pustyni nie zna żadnych dogmatów; mało z nich który słyszał o Proroku; muzułmańskiego wyznania wiary żaden nie umie i zdziwione oczy otwiera, gdy mu powiesz że jeden tylko jest Bóg, a Mahomet jego objawiciel.

To mi dopiero naród, aż miło w nim się rozgościć! —

O powody przyjazdu, o długość pobytu, o dziwaczność zatrudnień, nikt nie zapyta.

Ba! cóżby wreszcie im ztąd przyszło? — Gdyby nawet najbliższy mój Habib, naczelnik pokolenia, sam Hussejn-Ebn-Saleh, chciał się dowiedzieć, dla czego gość jego często samotne nad zwojem papieru trawi godziny — jak mu wytłumaczyć, temu władcy natury, temu półbogowi wolności, że są ludzie, którzy przez świstek papieru stwarzają sobie blizkich druhów, widzą dalekie kraje, przenoszą się na drugi koniec świata, przeszłość wywołują z grobu, w przyszłość wytężają źrenice. Zwłaszcza też że nie chodzi tu o listowne przesyłki, o wieści i odpowiedzi; znaki te nie tyczą się osobiście nikogo; jeden powiew wiatru może unieść je w niepamięć, tak, jako inny z pamięci je wywołał.

Nie dość na tem. Jak następnie dać zrozumieć wątki, z których snują się myśli?

Dla czego jedna nić szara, inna błyszcząca, ta potargana, ta krzepko nawiązana, jako wojennego łuka cięciwa? Zkąd pły-

nie ta rozmaitość barw i dźwięków — przecz jednocześnie nieraz źródło zapału mięsza się ze rwącym potokiem rozpaczy — gdzie jedno serce nabrało w siebie tyle boleści, goryczy, zwątpienia? —

Ile zapytań, tyle zarzutów, a na wiele z tych ostatnich nie godzi się odpowiadać.

Senne przeczucie ostatecznego sądu, na bezdrożach Arabji skalistej stokroć mi wyraźniejszem w przyszłości, skoro jaki katolicko-literacko-poznański podsędek rozciągnie mię na Madejowem łożu krytyki i słodkim głosem zapyta: dla czego w powieści brak ładu, zkąd prawo do osobistych ustępów, czemu zamiast opisów nie djalogi, miasto djalogów nie opisy — przecz nie pytano go o radę i o błogosławieństwo, nie przewidywano jego cenzury, nie wyłamano się z swego charakteru, nakręcono do jego przekonań? —

Ha, prawda w oczy kole! — Nie ma co odpowiedzieć. Vade retro satanas! —

Być może. Prawiłem o wolności i w obec arkusza białego papieru chciałem jej zakosztować. Krytyka sądem; niechże więc szamoce się z martwą literą prawa. Ale powieść życiem, niechże więc będzie wolną i prawdziwą jak życie, nielogiczną jak przypadek, roztułaną jak wygnaniec, doraźną jak natchnienie, ustałą nieraz jak pognębione ciało, wesołą czasami jak chwile dobrych snów, zgrzytliwą jak codzienna rzeczywistość, gorzką jak wieczna samotność, zapalną jak zgorączkowany umysł, śmieszną, ba! nawet ślepą jak sąd ludzki, jak opinja.

Komu rodzinna mowa mile dźwięczy w uchu, kto wtedy tylko słyszy polski wyraz, gdy go sam głośno wyrzeknie, ten, aby nie zapomnieć pieszczot piastunki i módz ją kiedyś zrozumiałą rzeczą powitać, ten musi od biedy czasami chwytać za pióro i sam z sobą porozmawiać.

Tak rodzi się powieść. Tem gorzej dla tych, którzy w dzisiejszych czasach przez poważne okulary poglądają na podobny rodzaj utworów.

Wreszcie cóż poważnego na świecie? — Śmiejmy się ze wszystkiego, zacząwszy od powieści i wszystkich mniej więcej grubych książek! Dotąd niejeden znał życie tylko z okładek —

księgi natomiast badał od wstępu do spisu. Czas, aby człowiek zbuntował się przeciw jarzmu z druków i ze szpargałów. Najstraszniejszą plagą rodzaju ludzkiego byliby bez zawodu mędrcy, gdyby literatów nie było na świecie. Samo wspomnienie na zajadliwość tego plemienia, przywołuje mię do porządku; przyznaję się do winy, przepraszam pokornie za wszelkie ustępy, przyrzekam żadnym uskokiem nie przerwać odtąd wątku i rzecz jak najspieszniej doprowadzić do końca.

Mnie samemu pilno do kresu. Obiecałem sobie po dobiciu nareszcie trzeciego okresu, przez kilka miesięcy przynajmniej nie spojrzeć na żaden druk, na żadne pismo, nie wziąść pod żadnym pozorem pióra do ręki. Tęskno mi za urzeczywistnieniem drogiej nadziei.

Dalej więc do dzieła!

Mówiłem, jeżeli się nie mylę, o Beduinach? Nie — jesteśmy przecie w Galicji, nie na stepach Ghazy.

Prawda, niezaprzeczona prawda! — Zbieram myśli, przypominam sobie, żem wytoczył proces wolności i rozumowi.

Bynajmniej! Nie o wolności tu mowa, ani o rozumie — ale o galicyjskiej szlachcie; druga z pierwszemi nie ma żadnego związku.

Zaraz — natychmiast — otóż to — zawsze tak bywa! — Gdy raz nić się przerwie, trudno ją potem schwycić — nawiązać. —

Nieszczęsna pamięć! Muszę sam siebie odczytywać. Dobrze mi tak! — Ha! mam go nareszcie — przeklęty początek!

Oświadczyłem wszem w obec i każdemu z moich czytelników po szczególe, że między drugim a trzecim okresem powieści upłynęły dwa lata.

Powyższe oświadczenie zdaje się mi nader prostem. Galicja bowiem to ma w sobie wspólnego z innemi najoświeceńszemi nawet krajami, że w niej równie dobrze jak gdzieindziej lata płyną jedno za drugiem. Złośliwe języki utrzymują wprawdzie, że rok w galicyjskim pałacu często, jako dzień dżdżysty, nie ma końca. Co do mnie, nigdy nie przywiązywałem się dosłownie do tego wyrażenia; uważałem je za poetyczną metaforę, przekonany że 31. grudnia, o północy, rok zarówno się kończy nad Sanem jak nad Sekwaną, nad Wisłą jak nad Nilem. Silnie

w tem przekonaniu utwierdzon, raz ostatni powtarzam, że dzięki postępowi rewolucyjnych pojęć, w Galicji sam cesarz nawet nie ma prawa przeszkodzić upływowi dwóch lat, chyba, jak w wojnie węgierskiej, przyzwałby na pomoc Moskali; ale i wtedy jeszcze zwycięstwo niezupełnie pewnem. Francja i Anglja mogą zaprotestować.

Tymczasem korzystajmy z łaskawej nieopatrzności rządów i powiedzmy sobie do ucha, że na krótki czas przed pamiętnem powstaniem 29. listopada, dwa lata upłynęły w Galicji, każde spożywszy, jak należało, po dwanaście miesięcy.

Z działaczów naszej powieści niejeden mógł umrzeć. Dwóch lat na podobne przedsięwzięcie niekoniecznie potrzeba; żaden przecie nie umarł, wszyscy żywi i zdrowi, dzięki Bogu — sposób mówienia w Polsce, używany do rzeczy często najmniej pobożnych.

Spotkamy ich co do jednego przed kresem naszego opowiadania, złych i dobrych razem pomięszanych, jak zwykle dzieje się w życiu.

Zacząć jednak wypada od tych, których autor przedewszystkiem ukochał.

Zawczasu więc uprzedzam, że nie o Sokolniku tu mowa, ani o księdzu Zefirynie, ani nawet o czułej hrabiance, która w tej chwili jeżeli jeszcze wzdycha, oddawna napróżno wzdycha za błogiemi czasami swego panieństwa.

Kazimierz, po pamiętnem zajściu we Lwowie, opuścił miasto i wrócił w góry, do siebie, gdzie wkrótce dowiedział się o małżeństwie Marji z szambelanem.

Ostatni ten cios, pomimo udanej obojętności i wyrzeczenia się własnych nadziei, gromem go uderzył.

Długo mniemał, że umiał tylko rozumować, walczyć i nienawidzieć. Nie spodziewał się, aby tyle mógł kochać.

Przez kilka dni szalał z rozpaczy i z bolu, aż nareszcie wrodzona dzielność wzięła górę nad żalem. Inne, niemniej silne uczucia napłynęły mu na duszę; wtłoczył na same dno pamięci świadectwo doznanych cierpień, zwarł się sam w sobie, i jak gdyby rzecz chodziła o obcą mu istotę, spokojnie jął układać bilans doświadczeń swoich, stanowiska i wniosków.

Wracał do kraju, przyjeżdżał z Włoch, gdzie fortunny wypadek zetknął go ze znakomitymi walecznikami za wolność, sprzysiężonymi przeciw haniebnemu uciskowi domu Lotaryngskiego. Poznał się z nimi, zaprzyjaźnił, przejął ich zasady i nadzieje; zapragnął na krajowej niwie zapielęgnować podobneż ziarna poświęcenia i oporu. Szukał tylko czucia, zapału, pewny że przy takowych łatwo znajdą się środki, znajdzie zwycięstwo.

Widzieliśmy, co znalazł we Lwowie, gdy brat niepojętną dłonią pchnął go w war wykwintnego towarzystwa Galicji.

Załamał ręce, ale nadziei pomimo to nie stracił. Ufał w moc swoich postanowień, poczuwał się dostatecznie na siłach rzucenia samego siebie jako pierwsze ogniwo świętego łańcucha. Życiem odmiennem od powszedniego chciał zapewnić sobie wpływ i konieczną do działania powagę.

Marzenie to wkrótce rozwiało się bez śladu; za pierwszem odstrychnięciem się od hulaszczej czeredy zamiast wziętości, zyskał nienawiść.

Odczarowanie było mu dość obojętnem; inne uczucie, niespodziane a drogie, przepełniało mu duszę, ogarniało całą jego istotę.

Kazimierz zapomniał że dwom panom służyć trudno; że w ugnębionym kraju walka za swobodę jest zakonną regułą, wyłączającą bez miłosierdzia wszelkie osobiste stosunki. Zdało się mu, że wystarczy sercem dla ojczyzny i dla kochanki. Mniemanie to mogło być przypuszczalnem, gdyby gdzieindziej był szukał, gdyby inaczej był wybierał.

Co do mnie, w każdym razie wątpię.

Ale Kazimierz nie szukał, nie wybierał; przypadkiem napotkał, i wnet w jednej myśli, w jednem uczuciu całą duszę utopił. Prawda go wiodła; z prawdą nie mógł zabłądzić na fałszywe manowce; o podwojonych siłach prędzej nawet stawał u celu. Tchnął szczęściem, ukochał teraźniejszość, wytęczował sobie widoki na przyszłość. Za kilka dni miał umiłowaną na wieki do serca przycisnąć.

Zawiść atoli czatowała nań pokątnie, ostrzyła szpony — i w chwili, gdy najmniej tego się spodziewał, skoczyła mu do oczu.

W zwyczajnej kolei życia Kazimierz byłby według zwyczaju postąpił. Podówczas czuł się na wyłącznem stanowisku, zapragnął pokosztować owocu opinji, przekonać się, gdzie ustaje ludzką sprawiedliwość, jak daleko sięgają wiara i zaufanie tych, którzy sercem badając, wszechstronnie mogli go poznać.

Postępek Wilczka nie dawał się rozwiązać w pospolite wnioski. Zrównoważenie wartości dwóch bytów było niepodobnem; jeden miał wszystko do utraty, drugi nic. Poraj nie pragnął wypłacać długów własnej próżności i wymogom światowym, ale zupełnie pognębić głównego przedstawcę zgubnych dla kraju żywiołów. Najprzód opinja powinna była potępiać napastnika, a następnie do znieważonego należała osobista zemsta.

Czekał, wystawiał drugich na próbę — samego siebie był pewnym.

Nie długo czekał.

Sąd świata, zły z swojej natury, a głupi, bo po wierzchu muskający wypadki, wyzwierzył się przeciw sprawiedliwemu, lunął nań deszczem oszczerstw, jadu, złorzeczeń, i tak głęboko w falach żółci i potwarzy pogrążył, że gdy Kazimierz zagrożony zatratą, ufne dłonie wyciągnął do najbliżej stojących na brzegu, nikt nie śmiał pochylić się nad topielą.

Czarna gawiedź patrzyła z dala; każdy lękał się pośmiewiska. Uciekli znajomi, tuż w ślady za nimi pomknęli wczorajsi przyjaciele. Po chwili brzeg opustoszał — dwoje tylko ludzi pozostało: brat i młoda kobieta!

Jeszcze nie prysły ostatnie nadzieje, jeszcze było u kogo odwołać się do wiary, do zaufania. Kazimierz czepiał się pozostałych dwóch gałązek.

Niebawem pękła mu pierwsza: brat chwytając się za głowę, przeklinał i uchodził. Spojrzał raz drugi: kochankę — ostatni wyraz społeczeństwa — plugawy cesarski służalec uwoził do Wiednia.

Brzeg ten był mu wrażym; nie było powodu dobijać się na nim o gościnność.

Myślano że zginął. Wkrótce zapomniano o topielcu.

Wartki atoli prąd pognębienia znalazł godnego siebie zapastnika.

Kazimierz silnem ramieniem roztrącił nurty, dobił na przeciwny brzeg, gdzie ludzi nie było, gdzie znalazł się sam.

Na jeden raz zabrakło mu wszystkich żywiołów społecznych: wszyscy od niego odskoczyli. Otrząsłszy się z pierwszych uniesień bolu, w głębinach własnej duszy zamierzył poszukać świata. Sam sobie za wszystkich postanowił wystarczyć. Jednym zamachem ręki pożegnał dawne marzenia osobistego szczęścia, odepchnął podobieństwo wszelkich towarzyskich stosunków, od razu stanął tam, gdzie charakter jego przy najpomyślniejszych losu kolejach byłby go kiedyś doprowadził.

Jedno tylko spotkanie przewidywał w przyszłości, z jednym tylko człowiekiem pragnął zetknięcia; nieugięta jego wola obiecywała mu spełnienie zamiaru. Rozbratany z całym wieńcem uczuć, jedno w piersi tylko zachował: to, które nie potrzebowało ludzkiej wzajemności. Zdawało mu się nieraz, że konieczność pędziła go do wcielenia w pojedyńczą postać ogólnych nieprawości i własnych krzywd, że szał zemsty ogarniający go, wsiąkły mu w krew, w mózg, miał na celu więcej, niż odwet za osobistą zniewagę, za bolesne, wynikłe z niej skutki.

Ale zemsta z natury swojej musiała być niezawodną. Kazimierz nie chciał poruczać jej niepewnym igraszkom przypadku. Wypadek walki mógł być wątpliwym, upatrzona pora i wprawna dłoń nie powinny były zawieść. Czuł w sobie cierpliwość bez granic i zaufanie, że los nie zechce żywcem pochować go pod wiekiem bezkarnie puszczonej krzywdy. Błagał nie o pośpiech, lecz o niezawodność; z roskoszą pieścił myśl zemsty dla samego siebie.

Narodowi, rodzinie, kochance, przyjacielowi, pierwszemu z biednych wydziedziczonych, spotkanemu na publicznej drodze, rozumiał że wszystko w danej chwili można było poświęcić — światu, takiemu jakim go poznał, opinji, jakiej doświadczył, pogardę tylko mógł cisnąć w bezczelne oblicze.

Ze swojej strony, ludzie jak gdyby w przeczuciu usposobień odludka, z daleka pomijali dom obciążony klątwą opinji; pasibrzuch nawet nie zawitał żaden. Kazimierz stroniony od wszystkich, opuszczony od własnego brata, którego szlachciane przesądy i niewolnicza uległość wyrokowi ogółu pokazały się silniej-

szemi nad głos serca, prawdy i krwi — Kazimierz wiódł życie całkiem odosobnione.

Byt pustelniczy, dla kogo innego nieznośny, jemu nie sprawiał żadnej przykrości, nie budził w duszy żadnego uczucia niedostatku. Przeciwnie — żywot światowy byłby mu w tej chwili nie do wytrzymania. Zbrzydło mu towarzystwo, o jakie pokaleczył się za powrotem do kraju; samotność stanęła mu jedyną i ostatnią przyjemnością życia. Owładnięty wreszcie jedną myślą, zwartą w jedno ognisko, wytężoną w jeden w przyszłości punkt, nie obracał na teraźniejsze swoje położenie żadnej uwagi.

Zatrudnienia wiejskie nie przedstawiały mu zajęcia. Od podwładnych wymagał opieki i nieustannej pomocy dla ludu wiejskiego; od służby niczego nie żądał, prócz aby jak najrzadziej nawijała się mu na oczy.

Żądania jego święcie spełniano.

W rodzinie Porajów, służba oparta na swobodzie przywiązania, dziedzictwem, z ojca przechodziła na syna. Miejsce rozkazów i ślepego posłuszeństwa zajmowały z jednej strony otwarcie wyrzeczone zdanie, z drugiej przyjacielska zgoda. Zdanie otwierał raz pan, to znowu podwładni i słudzy, stosownie do woli lub potrzeby.

Wewnętrznym zarządem domu trudnił się stary Grzegorz, dawny sługa nieboszczyka ojca braci Porajów; piastun niegdyś młodszego panicza, dalej towarzysz wędrówek po świecie, dziś dowolny zawiadowca jego dochodów, orędownik za nędzę ludzką, spółuczestnik w serdeczności pańskiej i w dobrodziejstwach. Grzegorz z natury był milczącym, rzadko kiedy się odzywał; natomiast wiele rozmyślał, zastanawiał się, brał do serca wszystko, co dotyczyło jego wychowańca; o nic nigdy nie pytał, nie było atoli wątpienia, że gwoli przywiązania wiele rzeczy sercem odgadywał.

Reszta domowników nieraz rada byłaby dowiedzieć się o szczegółach pańskiej podróży, powrotu do kraju, pobytu we Lwowie, zamiarów na przyszłość; ale stary sługa opędzał się nieznacznemi odpowiedziami, lub zżymał, gdy nastawano. Bystrzejsze tylko umysły, po stroju usposobienia, mogły rozeznać co święci się w domu: smutek czy wesele.

Grzegorz nie miał własnych uciech, ani żalów, ani nadziei; można więc było być pewnym, że skoro opryskliwie się wyrażał i ludzi unikał, sprawy pańskie musiały się wikłać — i nawzajem, lada promień wesołości na obliczu pana, rozjaśniał chmurne czoło starca; w domu było weselej, choć nikt nie wiedział, ani badał powodu zmiany.

Od powrotu ze Lwowa, Grzegorzowi drugie tyle zmarszczków na twarz przybyło. Ostatni włos ciemny mu pobielał i postać widocznie zgarbiła się ku ziemi. Polecenia wydawał głosem ponurym, często gniewnym, czasami drżącym — nie wiadomo czy z wewnętrznych wzruszeń, lub może dla słabnących wiekiem sił; starzec bowiem siedmdziesiąte lato za swoje uważał. W codziennej usłudze młodszych pomocników niechętnie do pana dopuszczał, sam chodził koło niego, z podwójną od pewnego czasu troskliwością, i nieraz gdy Kazimierz nie baczył, spoglądał nań ukradkiem, trząsł głową, zaciskał usta, mrużył powieki, wychodził tłumiąc westchnienie; wracał po chwili na palcach, z zaczerwienionemi oczyma, stał, czekał rozkazu, a nie doczekawszy się słowa, znowu odchodził i ująwszy głowę między pomarszczone dłonie, samotny, nieruchomy, długie trawił godziny.

Obowiązki jego były dziwnej łatwości; ale właśnie brak ten wymóg i zachodów wedle pańskiej osoby, gorzko mu doskwierał. Grzegorz byłby z radością krzątał się od świtu do nocy; niezadowolnienie, wymówki byłyby mu słodszemi od obojętności i milczenia. Gdyby przynajmniej mógł był odkryć w panu jedno upodobanie, gdyby potrafił mu wynaleźć jakąkolwiek rozrywkę!

Z początku myślał że Kazimierz miał pociąg do polowania. Na domysł ten wprowadził go nieznany dotąd zwyczaj Poraja, zabawiania się każdego poranku strzałami z pistoletu. Grzegorz nikomu nie dozwalał dotykać się pańskiej broni — sam opatrywał ją, czyścił, lał kule, nabijał, urządzał tarczę, stawiał cele.

W pierwszych dniach kule rzadko chodziły po woli strzelca. Wkrótce jednak, dzięki codziennym ćwiczeniom, Kazimierz nabierał trafności, aż nareszcie tak dalece wprawił oko i rękę,

że niemal o zakład, na nożu rozcinał ołowiany pocisk, lub urywał jabłko zawieszone na nitce.

Za każdym z podobnych strzałów, starzec wybuchał śmiechem, patrzył w oczy panu i szukał w nich zadowolnienia. Naprożno! Oblicze młodzieńca surowszy jeszcze przybierało wyraz; nie rozweselały go dowody własnej zręczności. Często zakładał ręce, wpatrywał się w uwięzłych na sobie kilka kul, ścigał dalekie jakieś myśli, jak gdyby marzył o innych celach dla strzału.

Grzegorz gubił się w domysłach. Tymczasem sprzątając pistolety, napomykał że knieje pańskich lasów pełne zwierzyny, że biegły myśliwy znalazłby w nich wielką uciechę; że nie źle byłoby może odłożyć pistolety dla strzelby, wprawić się nieco do strzałów w bieg i w lot.

Kazimierz potakiwał z tęsknym uśmiechem, ale o strzelbę nigdy nie pytał, do gołębia, do wróbla, nigdy nie zmierzał. Oczywiście nie miał w łowach żadnego upodobania.

Grzegorz nie pojmował trybu życia, stosownego raczej dla mnicha, dla pustelnika, niż dla młodego i bogatego pana. W dalsze atoli wywody i wnioski nie było czasu się zapuszczać: Poraj bowiem, wystrzeliwszy ostatnią kulę, wracał zwykle do swego pokoju.

Tam dla nikogo nieprzystępny, rozkładał przed sobą książki, mapy, astrolaby, szklanne i mosiężne narzędzia, papiery pisane — tonął w niezgłębionych falach nauki, uganiał się za wiedzą, taranem woli i umysłu tłukł o zawarte tajemnicą podwoje natury. Stracony i oderwany od świata, znajdował sam siebie w bezmiarach historji, w nieskończonościach porządku wszechstworzenia.

Częściej jednak odkładał te zajęcia na uroczyste cisze nocy; dniem zaś wołał o konia, dosiadał dzielnego a milczączgo druha i szybko mijał wiejskie zabudowania i ludzi, mknął w pole, do lasu, na góry siniejące w oddali — ginął bez śladu.

Rzadko spotykali go robotnicy na łanie, podróżni na gościńcu, pastusze chłopcy na łąkach. Kazimierz stronił od miejsc uczęszczanych, szukał odludnych uroczysk; oddychał gdy był sam, gdy prócz siebie w okół widnokręgu nie postrzegał nikogo.

Zdało się mu, że krom samotności, wszystkiego już w życiu doznał do zbytku, do uprzykrzenia.

Ludzie po dziennej pracy rozsiadłszy się wieczorem na przyzbach, z niepojętem przeczuciem trwogi poglądali po sobie, widząc jeźdzca i konia, chmurnych, czarnych, migających przed nimi w gęstym obłoku kurzawy. Niejedna kmotra zbierając z ulicy wystraszoną dziatwę, mimowiednie kładła na czole i na piersiach znak krzyża świętego, jakby od uroku, a może — Panie odpuść! — i od złego ducha.

A przecież, Bóg widzi, nie było czego się strachać.

Młody pan od łońskiego roku, jak siadł we dworze, dobrem tylko płacił. Podarował pańszczyzny i czyńsze, pozakładał szkółki, w każdej wiosce pobudował dom dla sierot, kalek, chorych, przyjął doktora i leki za darmo kazał rozdawać.

Ludziom u niego jak u Pana Boga za piecem. Na całą okolicę nie było gospodarza, któryby rad do niego się nie przesiedlił. Bywało, nieraz idą aż do sądu ze skargą, że pan nie chce ich puszczać, i niedawniej jak na przeszłą N. Pannę Gromniczną dwunastu chłopów z Wytłoczyna od kreisrata SzurkensztERna, chodziło prosić o pozwolenie przeniesienia się z chudobą do pana Poraja. Kreisrat zaszachrował. Ludzie, jak arędarz Icek mówił onegdaj na jarmarku, dotąd jeszcze siedzą w kryminale.

Podobnie goworzono po wsiach o nowym właścicielu, nie przywiązując wreszcie żadnej wagi do dziwnych wrażeń, jakie w gromadzkiem ludzie budziły rzadkie i przelotne spotkania z panem, życie jego odosobione i szczególny wstręt do zajmowania się własnem dobrem.

Dworska gawiedź, chytrzejsza, praworna, bliżej obeznana z trybem szlacheckiego życia, nie przestawała na wyliczaniu powszechnie znajomych dowodów pańskiej łaski. Tu spostrzeżenia faktów mięszały się często z krytyką, z tysiącznemi domysły i wnioski, z rozpowiadaniem dalekich posłuchów, tajemnych wieści, niedocieczonych pryczyn. Tłum gorących wątpliwości nie mógł pozostać bez objaśnień. Dla czego pan nie jeździł w gościnę, czemu inni panowie nie zajeżdżali do dworu; czemu zwykle dnie i noce siedział jak rabin nad książkami, czego w nich szukał, gdzie wyjeżdżał sam jeden i wracał,

tak zmęczywszy konia, jak gdyby kilkanaście mil był ubiegł; za co nigdy do siebie nie wołał ani rządcy ani ekonomów? — Wszystko to, prędzej lub później, musiało się wyświecić; niepodobna było bowiem dworskim ludziom żyć zawsze jak w zaklętym domu.

Na czoło podobnych uwag wytaczało się koniecznie pierwsze i główne pytanie, dotyczące starszego brata, pana Piotra. Przedtem ludzie, którzy ich razem widzieli, zaręczają że obaj bracia nie mogli się obejść jeden bez drugiego. Wzdyż razem przyjechali, gdy młodszy pan obejmował majątek. Od dwóch blisko lat, jak gdyby uciął toporem. Ani na Wielkanoc, ani na Świątki, ani na Boże Narodzenie, pan Piotr nie zajeżdżał do dworu, Pan Kazimierz także nie tęsknił za bratem.

Musieli się poswarzyć. Ale o co? — W tem cały sęk.

Pastuch Koźlaczek powiadał, że spędzając bydło z pastwiska, na drodze do Łopuchowa, tuż za ogrodem, dwa razy spotkał przejeżdżającego starszego pana. Przysięgał że go widział jak na dłoni. Pan Piotr — jeżeli staruch prawdę mówi — przykazywał stępo jechać, stawał na bryczce, przysłaniał wzrok ręką, jak gdyby kogoś chciał dostrzedz, upatrzyć; długo się oglądał, ale ku dworowi nigdy nie skręcił.

Bóg go święty wie, czy prawdę powiada, pijanica? Często dwoi się mu w oczach. Jużcić gdyby starszy pan był aż pod ogród podjechał, to u ciężkiego licha! byłby przenocował we dworze. Pan Piotr wreszcie nie mieszka w Łopuchowie; folwark to pana Kazimierza.

Szafarz natrącał uwagę, że pastuch Koźlaczek wspominał o spotkaniu przejeżdżającego na drodze z Łopuchowa, co bynajmniej nie pociągało za sobą posiadania wioski tegoż nazwiska — zaczem gawiedź, uderzona trafnością szafarzowego sądu, kiwała głowami i brnęła w przypuszczenia.

Kuchenne rozhowory, naturalną koleją pogłosek, obijały się o gorzelnię, o browar, gdzie zebrana izba senatorska państwa Kazimierzowego, pod laską pisarza, a niekiedy i rządcy, udzielała sobie cichaczem wzajemnych spostrzeżeń.

Piwowar, szczwany lis, odznaczał się tu szczególną bystrością umysłu. Przez dwa lata będąc czeladnikiem w Wiedniu, napatrzył się on ludzi i rzeczy nie mało. Miał rodzonego brata

chirurgiem w wojskowym szpitalu; sam przeto znał się na medycynie i poufalszym znajomym ostrożnie szeptał tajemnicę, że pan Poraj, jak to często bywa między ludźmi z rozbujałą głową, cierpiał na melancholję, czyli po polsku mówiąc, na bzika.

Nieszczęściem dla piwowara, doktorskie to arcanum doszło do wiadomości Grzegorza. Starzec niespodzianie zjawił się pewnego wieczora w browarze, sam wszczął rozmowę o młodym panu, wytoczył niezbite dowody i cierpkiemi słowy skarcił zarozumiałe sądy piwnego Hipokrata.

Zdanie Grzegorza przeważyło. O bziku nikt dotąd nie ważył się wspominać. Zagadka atoli została nie rozstrzygniętą.

Przyszłość miała sprawę na jaw wyprowadzić. Sam tylko pisarz prowentowy, człowiek młody, z jasnemi włosy i z powłóczystem spojrzeniem, namiętny lubownik płci pięknej i tkliwych romansów, których czytaniu poświęcał świąteczne godziny, w nieszczęśliwej miłości szukał przyczyn dziwacznego odludztwa pana Poraja.

Nie darmo pan Kazimierz jeździł po Włoszech i po Francji. W krajach tych każda kobieta była okrutnie zalotną, pasła się krwią serca, poiła łzami nieszczęśliwych ofiar, zdradzonych kochanków.

Pisarz na tę myśl zanosił się od westchnień, dudnił pięściami w deskę piersiową, czuł że u niego kołatało ogniste serce, że i on mógł posłużyć za pastwę zwodniczym syrenom.

Domysły sentymentalnego regestratora zdawały się potwierdzać pewne listy, jakie tenże sam kilka razy przywiózł był z miasta, a na których wyraźnie przeczytał pieczęcie zagranicznej poczty. Co większa, że po odebraniu każdego z podobnych listów, Poraj zwyczajnie przez kilka dni na ganek nawet nie wychodził; siedział u siebie jak zaklęty: odpisywał zapewne. Wkrótce bowiem jedne odpowiedzi posłaniec wiózł na pocztę, z innemi spieszył aż do Lwowa i tam wręczał je osobiście, niekiedy cudzoziemcom, czasami krajowym, zawsze jednak ludziom z pozoru cale nie zakrawającym na panów.

Oczywiście, w konszachtach tych swawolny amorek grał główną rolę; tajemnica zaś miała na celu nieskompromitowanie panny, księżniczki jakiej bez wątpienia lub hrabianki, dręczonej przez nielitościwych opiekunów.

Pisarz byłby pół życia poświęcił dla możebności poskoczenia na pomoc smętnej dziewicy; ale czasy rycerskie minęły. Z zamkniętą przyłbicą i bez paszportu trudno było błądzić po świecie; przytem nie wiedział ani nazwiska, ani zamku, gdzie jęczała ofiara sprosnej przemocy. Mógł tylko wzdychać na tę intencję — wzdychał też, zwłaszcza w nocach pyzatego księżyca.

Dziwna to planeta, księżyc! — Sam pisarz ulegał romantycznemu jej wpływowi.

Kazimierz tymczasem pędził dalej dnie przed sobą, jednostajne dla drugich, dla niego pełne odkryć i urozmaicenia.

Za pierwszym promieniem wiosny opuszczał zimowe ustronie, spieszył ku otwartemu niebu, ku słońcu, ku zieleni.

Pył martwych ksiąg padał mu na piersi, spragniony powietrza i życia, rzucał się w miłosne objęcia zmartwychwstałej natury, wdzięcznej towarzyszki samotnych jego chwil, nieśmiertelnej mistrzyni mądrości.

Z każdym dniem bogacona wiedza, odsłaniała mu tajniki przyrodzenia.

Namiętny czciciel bytu, jedynej wszechprzyczyny dobra, śledził go w najmniejszych objawach, wnikał w głąb stosunków wiążących złoty łańcuch stworzenia, znajdował w nich słowo wielu ludzkich zagadek, wzory wielu społecznych porządków, rady na mnogie człowiecze niedostatki.

Zwyczaj, przesąd, niewola, na opak prawdzie, usiłowały zagnębić w ludziach osobistą wydatność, ujednostajnić wszystkich na wzór kilku form utkwionych przy źródle kastowych rozgraniczeń. Natura inaczej obchodziła się z swoją dziatwą. Każdy twór wyrastał, rozwijał się wedle wrodzonych usposobień, każdy nosił cechy swojej wyłącznej osobistości. Wierny przedstawiciel urozmaicenia, każdy dodawał jedną nutę do akordu powszechnej harmonji.

Podczas gdy między ludźmi wrzała nienawiść, chciwość i wojna, gdy jeden drugiego spychał, uciskał, przeklinał, odzierał — u stóp ich i nad głowami zgoda i wolność błyszczały za każdym krokiem. W imię jedynego prawe, którego ludzkość nie umiała dotąd zrozumieć, a które było Alfą i Omegą wszelkich ludzkich i bożych zakonów, w imię prawa do życia, w mi-

sternym porządku zahaczyły się ogniwa stworzenia, każde stanowiąc najprzód całość, następnie część — inaczej ziemia byłaby bryzgnęła w kawały i w zamęt pochłonął gwiazdy i słońca.

Wszystko zawodziło mu święty hymn anarchji! Leszczyna nie prosiła dębu o przywilej wyrastania pod jego cieniem, fjołek żył w swobodnej obojętności na dumny przepych róży, konwalja z wilgotnemi perły swojego kwiatu nie ustępowała miejsca jeziornym liljom. Słońce dla wszystkich równo świeciło; ziemia nikomu nie szczędziła zasobów.

Ład i swoboda wszędy jaśniały, gdzie nie zawitał szatan opiekuńczej władzy, mądrych urządzeń, sztucznych porządków, uciskiem i obłudą przesiąkłych praw.

Cierpienia, jakie i tu nieraz bodły wzrok postrzegacza, płynęły po większej części z zetknięcia się nieludzkich istot z ludzkiemi. Człowiek, król stworzenia, jako taki głupotą i nadużyciem rwał harmonję, kaleczył porządek, naznaczał wszędy swą nieśmiertelność śladami bezczucia i zatraty.

Kazimierz z chciwością skąpca wyszukiwał miejsc ludzką stopą nietkniętych; wtedy tylko poczuwał się upragnionym, prawowitym gościem natury. Położenie jego siedziby przedstawiało mu w tym względzie nieskończonę pasmo wycieczek.

Okolica tuż za domem zaczynała wydymać się w pagórki, rozpadać w parowy, drzeć na wąwozy; drogi płowemi wstęgi wiły się ku Karpatom, przepadały śród skał, błyskały znów między posępną zielenią świerków i jodeł, pięły się ku wierzchołkom, aż wreszcie za szczytami gór daleko gdzieś ginęły w obłokach.

Z granicą ludzkiej pracy sztuka otwierała swoją dziedzinę, rozściełała przed wędrowcem igrzyska dziwacznych kształtów, nęciła go uroczemi widoki, odpychała nieprzystępnym manowcem; zalotna czarodziejka dzielnej tylko wytrwałości pozwalała się zdobywać.

Szczęśliwy, kto raz ją posiadł! Wiecznie młoda rusałka wiodła go do swoich pałaców, z cudów w cud, z czarów w czar, z roskoszy w roskosz. Więc dalejże z lubym do jaskiń ubranych w stalaktytowe arabeski, na wyniosłe z granitu trony, pod gęste sklepienia z iglastych liści, na uroczyska przerażającej ciszy, to znowu nagle pod strop z łoskotem tłukącej się kaskady, mię-

dzy srebrne oka sieci rozpędzonych strumieni, lub chyżym zawrotem na kolce w niebo wybiegłych skał, gdzie dotąd jeden tylko gościł jej kochanek: orzeł. Swawolnica długo i upornie broniła wdzięków; ale gdy zmiękczona męskim zapałem, raz mu padła w objęcia — świat niechaj ginie! — Nie chciała już go więcej wypuścić z ramion. Kołysała go pieszczotami i usypiającego nowemi pieszczoty znowu budziła do życia. Skoro zapotrzebował spokoju, wywoływała mu widowisko cichych pogoni chmur. Fantastyczne okręty na opalowych falach, błędne łabędzie na wezgłowiach wyhaftowanych ostatniemi promieńmi słońca, zwolna, w milczeniu przed nim płynęły; każdy uroczyście dążył w nieskończoność, roztrącał często rubinową pierś o wierzchołki skał i niknął w oddali. Skoro luby żalił się na bezwładną i pragnął wzruszeń, jednem zaklęciem wyzywała rozpasaną świata bachantkę — burzę. Wichrom i nawałnicy jego tykać było nie wolno; jemu na wyniosłościach cisza leżała u stóp i słońce złociło natchnione czoło. Tymczasem pod nimi dudniła ziemia, trzęsły się skały; dwa hufce zażartych na siebie chmur zwierały się z wielkim hukiem. Grzmot zaś w pomoc przyzwawszy echo, szturmował do głazów, rozbijał się po przepaściach, błyskawice rozdziawiały ogniste gardziele, piorun w drzazgi darł odwieczne dęby. Wylękłe potoki na złamanie nurtów leciały szukać ucieczki po dnach wąwozów. Wojna, zacięta wojna — dopóki umiłowany myślą o powrocie nie dał hasła rozejmu.

Wnet zapaśnicy przepadali bez śladu; cisza ze szczytu gór spływała na niziny, księżyc wydzierał się z chmurnych zawojów, srebrnym słupem padał przed nim na wznak, by mu wyiskrzyć drogę do domu; balsamiczna woń jodeł pieściła mu oddech, świecące muszki mrugały nań po zakrętach, ognik często aż do samych wrót wioski go przeprowadzał.

Innym dniem zmieniała się widownia, zmieniał charakter obrazów. Zamiast szerokich kształtów sztuki wiedza roztasowywała swoje badania, tęczując fantazją niedokładność suchych spostrzeżeń. Biedna niewolnica rozumu, ukradkiem wciskała się za marzeniem; chciała dumnie podnosić głowę, pysznić się wydartemi skarby, wyrokować — ale roszczenia jej nie długo trwały.

Myśl rozhojdana swobodą, rzucała niebawem ciasne podziemia nauki, wyrywała się ku słońcu, znikała lub w szczęśliwszym razie tonęła w bezwładnej na pozór rozwadze.

Dowodnie, naocznie przekonany o jedności zasady stworzenia, Kazimierz upatrywał tenże sam pierwotny zaród, zacząwszy od lichej trawki aż do człowieka; śledził cudowne szczeble rozwoju, widział wszędzie tenże sam pierwszy wyraz coraz dłużej rosnącego porównania. Mimowolnie wpadał na dziwaczne wnioski: pytał sam siebie, czyli między istotą o samowiednem czuciu, a pierwszem ogniwem stworzenia istniała tylko materjalna wspólność początku? Miałoż życie nie wiedzące o sobie nie być życiem, lub też czy nie było życia o sobie nieświadomego? — Kto mógł zaręczyć, przysiądz? — a raczej kto w stanie był dowieść? —

Człowiek, mówiono, na obliczu nosił piętno swojego ducha; rodził się z wypukłem czołem do rozumu, ze zgniecioną czaszką do uzwierzęcenia, z wywróconemi wargi do zmysłowości, z zaciętemi usty do dzielnego czynu. Nikt dotąd nie znalazł dwóch kwiatków tegoż samego rodzaju, zupełnie do siebie podobnych, jednakowych. W jednej chwili z tegoż samego nasienia wytryskały dwie lilje: jedna żywo-błękitna śmiało patrzyła w niebo, druga posępnie ku ziemi chyliła bladą koronę. Leciuchne dzwonki, jaskier, świerzop, dzięcielina, zadumane nad strumieniem kwiatki pamięci, cały rój leśnych i polnych klejnotów, puszystych, wątłych, ulotnych, dzierganych Sylfów szydełkiem, wystrzyganych ręką Chochlika, malowanych kraskami swawolnej wróżki — cały ten kobierzec barw i zieleni, jakąż zwrotkę w wielkim hymnie wydzwaniał, z jakim wyrazem przychodził na ziemię, czem się tłumaczył? — Boć przecie nie było kształtu dla kształtu — każdy hieroglif natury musiał mieć swoje znaczenie.

Kazimierz porwany urokiem przypuszczeń, im wyższy organizm miał przed sobą, tem częściej zadawał sobie pytanie: w czem człowiek znajdował prawo uważania się za wyłączną na ziemi istotę, dla czego sam jeden mniemał się być składem twórczego ducha, ogniskiem sił uprzywilejowanych do rozumem przemyślanego działania, czynów wynikłych z zastanowienia, wniosków zawiązujących pasmo uprzednich założeń?

Ustawiał nieraz sztuczne szkła, potęgował rozmiary przedmiotów; spostrzeżenia coraz cudowniejsze wybiegały mu przed uwagę — nieprzebita atoli tajemnica zdawała się pokrywać rozwiązanie ostatecznej zagadki.

Więc rzucał badania nad pojedyńczemi osobnikami i wzrok przenikliwy zapuszczał w ukonstytuonowane gromady żyjątek. Tam wypatrywał zwyczaje, prawa, popędy, prace i cierpienia, smutki i roskosze rządzące drobnym tłumem.

Widział rozkład pracy u mrówek, wzajemność w przedsięwzięciach, żołnierską regularność w obrotach, wstręt i nienawiść do świata w staraniach, jakie skrzętny owad podejmował dla ukrycia przed okiem natręta gospodarczych zatrudnień.

Ul pszczelny, nie wiadomo z jakich przyczyn republiką nazwan, przedstawił mu wierny wzór niejednego ludzkiego społeczeństwa. Królowa trawiła czas na próżniactwie, na wyzyskiwaniu, na roskoszy. Do koła niej czereda pasożytnych dworzan zużywała czas na wzgardzie dla roboczej hołoty, na nieustannych schlebianiach monarchini, na dobijaniach się ciągłych o jej względy. U spodu tłum pracowniczy, fatalizmem skazany na wieczną niewolę, wyciągał szeregami na łąkę, i nie bacząc na skwary słońca, brał się do dzieła, wracał obładowany pyłkiem kwiatów, słodyczą kielichowych prątków; na wosk przetapiał cząstki lepu, miodem wypełniał komórki, darmozjadom pokornie zastawiał biesiadę. Niańki tymczasem opatrywały po ukrytych komórkach królewską dziatwę, roznosiły pokarm, doglądały czystości, wiodły na przechadzki, upewniały w pierwszych krokach. Królowa, istna moskiewska Katarzyna, co chwila zwąc ku sobie nowych gachów, bynajmniej nie troszczyła się o potomstwo.

Czasami jednak, biedny lud do ostateczności przywiedzion, gdy skąpe lato nie napełniło szpichlerzów, a długie mrozy zagrażały głodem, dopominał się o swoje prawa, rozwijał święty proporzec buntu, uderzał na kastę dworzan, mordował trutniów bez miłosierdzia i pocisk zemsty topił w samejże królowej.

Ale w ulu, jako na ziemi często się zdarza, nikt nie umiał korzystać z rewolucji.

Zatajone fakcje monarchiczne umiały skryć w zakątkach

dziedziczkę tronu, karmiły ją przez zimę kradzionem dobrem i wstecznemi zasadami.

Za pierwszym promieniem wiosny, gdy rój wyleciawszy na dziewiczą łąkę, powracał ze zdobyczą, w głębi ula, otoczona liczną strażą, siedziała już królowa.

Lud giął karki pod teorją dopełnionego czynu; przywilej znowu wprzęgał go w jarzmo niewoli i pracy.

I cóż w tem dziwnego? — powie niejeden przeuczony filozof. Owad od początku świata tenże sam ruch ciągle powtarza; pędzony ograniczonym zwierzęcym instynktem, na włos dalej działalności swojej nie rozwinął, na krok nie postąpił, nowego nic nie wynalazł. Gdzie doraźna a samowiednia niespodzianość czynu, gdzie wniosek i postanowienie wydobyte z pasma całych uwag, gdzie dowód wcielenia choćby iskierki nieśmiertelnego ducha?

Kazimierz z uśmiechem myślał o tych zarzutach, poglądając pewnego dnia na dziwne widowisko, jakiego mu dostarczył owad z daleka pokrewny z dopiero co wymienionym.

W rozpadlinie skałów, nad gęstą zaroślą ostów i bodiaków, osa ulepiła gniazdo.

Gmaszek zbudowan z cząstek żywicy i z gryzionego na miazgę kamienia, zrosł się niemal z głazem i wyrównywał mu w twardości. Olbrzymia ta praca nie miała na celu samolubnej wygody budowniczego; owad przez połowę lata trudził się dla osłonienia od wiatrów i mrozu zarodów przyszłorocznej dziatwy.

Złożone jajka wylęgały się ku zimie; trzeba było niemowlętom aż do wiosny zapewnić utrzymanie.

Troskliwa matka ruszyła na wojenną wyprawę, na wielkie pająki, na muchy, na gąsienice. Uderzała żądłem na wrogów: zapuszczonym jadem, który razem chronił od zepsucia, wpędzała zdobycz w długi letarg i wlokła do swojej zagrody.

Wylęgły owad spożywał ogłuszony tylko, świeży łup.

Wyczerpanie pokarmu nieomylnie zapowiadało wiosnę. Wyrostek mógł odtąd bujać o własnych siłach, żyć własnym trudem.

Ale nie tylko między ludźmi przywilej żyje kosztem pracy. Między owadami, między osami znajduje się kasta urodzo-

nych, która w prawie do życia widzi tylko prawo do próżniaczych wygód.

Arystokrata okryty złotym pancerzem, zwie się chryzydą, co w osim języku wielmożność oznacza. Chryzyda zbyt delikatny ma pyszczek, aby sama miała trudzić się łupaniem kamieni, budową gniazda. Gmin pospolity za nią pracuje.

Domek już był skończony, na komórki podzielony: w każdej alkowie leżało u wnijścia jajko; reszta przestrzeni miała służyć za skład na karm dla wylęgłych poczwarek.

Osa robotnica właśnie w tym celu wyleciała na łowy i wracała wesoło, dźwigając w przednich łapkach kosmatą gąsienicę, gdy wtem na krok od siedziby uderzył ją przerażający widok.

Nieprzyjaciel szturmował do jej zagrody.

Chryzyda, upatrzywszy wygodne, misternie wykończone gniazdo, cichaczem, zdradziecko, sunęła tyłem, szukając w cudzej spiżarni ukrytego miejsca dla swego zarodu. Dygnitarka chciała złożyć pasożytne jajko i ukradkiem wykarmić je kosztem pracownika.

Osa zatrzęsła się ze złości, wypuściła zdobycz i jak piorun wpadła na złoczyńcę. Ale nadaremnie rozpacznem żądłem uderzała w rabusia: chryzyda przeczuwając niebezpieczeństwo, zwinęła się w kłębek, spuściła na ziemię. O walce otwartej słyszeć nawet nie chciała.

Razy obrońcy rodzinnej strzechy ślizgały się po złocistym pancerzu szlachcica: do nóg, ani do brzucha niepodobna było dostąpić.

Osa zżymała się, bzykała, podwajała usiłowania — napróżno! Napastnik drwił z jej sztyletu.

Rozpacz atoli matczyna płodną jest w sposoby; dla zemsty nie ma zbyt stromych ścieżek. Zaczepiona, nie mogła bezkarnie puścić zniewagi. Po chwili namysłu porwała w pół złodzieja i uniosła go o kilka kroków dalej, na skałę. Tam, cedząc okrucieństwo, wydarła mu czworo skrzydeł i z pogardą strąciła na ziemię.

Dumna zwycięstwem i spokojna odtąd o los rodziny, jeszcze kilkakroć zakrążyła nad ofiarą, brzęcząc jej przekleństwy i złorzeczeniem, i znowu dalejże na łowy!

Ostatnie dźwięki tryumfalnego jej hymnu tonęły w oddali, gdy srodze pokaleczony wielmożnik, zwolna wyciągnął przed siebie macki, podniósł głowę i obejrzał się do koła.

Mściwa gospodyni daleko gdzieś bujała po drzewach i kwiatach. Magnat bzyknął szydersko i pozbawiony skrzydeł, niby mrówka jął pełznąć ku upragnionemu gniazdu. Wytężał siły, wybierał co najkrótsze drogi, piął się co żywo na skałę. Jeszcze kilka kroków, już dotykał celu, już stawał u progów — jeszcze jedno wysilenie — wygrana! Jajko było złożone; na przyszłą wiosnę w gnieździe robotnicy wylęgał się młody szlachcic.

Spełnione przeznaczenie! — Grabieżnik cudzego trudu, wycieńczony na siłach, padał na ziemię i kryjąc się przed okiem pokrzywdzonej właścicielki, dokończył nędznego żywota pod liściem łopuchu.

Osa chłopska swobodnie dalej pracowała, w przekonaniu że owoce jej zachodów dostaną się własnym jej dzieciom.

Złudzenie — nieszczęsne złudzenie! — Graf urodził się, żyć musi, a praca nie w jego naturze.

Ród osi czuje przynajmniej pokrzywdzenie i broni się, gdy tymczasem ludzie — —

Kazimierz z tęsknotą pozierał na nieopatrzną osę, ale tęskniejszą daleko myśl ku równym sobie nawracał; brnął we wnioski, które goryczą serce mu zaprawiały, zaciskał ręce, pytał czy sprawiedliwość ludzką jest zasadą, lub też czyli ostatniem słowem stworzenia były: ucisk, nienawiść i wojna? —

— Walka o wolność! — odpowiadało mu sumienie. Nadzieja odwróciwszy swe oblicze, nic do tych słów nie dodawała — w dalekiej tylko przyszłości majaczył jutrzenny promień zbawienia.

Kazimierza raziło słońce, którego zawsze jednakowy blask obojętnie świecił na tyle smutków, niewoli i boleści. Rzucał miejsca otwarte, zapuszczał się w ciemne lasy, a gdy spokój ciszy ukoił mu nieco serce, gdy z życiem chciał zawrzeć sojusz i ludzkiej twarzy zapragnął, skręcał parowem ku górom, tam, gdzie do gęstwin starego boru tuliła się chata rówienniczego spróchniałym jodłom Macieja leśnika.

Był to ostatni punkt przedgórza dostępny dla jezdnych. Kazimierz często, gdy szedł piąć się na góry, konia tam zosta-

wiał u chaty. Tajemnica mało znajomych ścieżek i gęstwie posępnego liścia kryły ustronie przed tłumem. Zabłąkany drwal lub myśliwiec wprzód stawał na progu, nim dosłyszał głos ludzki, albo szczekanie psa, strażnika wiejskich strzech.

Stary Maciej, kościuszkowski żołnierz, i mało co młodsza od niego kobieta, pokątnie dopływali brzegu życia. On zniechęcony do ludzi i zawzięty na świat od czasu maciejowickiej klęski — ona, potulne odbicie mężowych usposobień, przyzwyczajona zawsze i wszędzie myślą i uczynkiem jak cień kroczyć w jego ślady.

Piotr Poraj umiał jak przystało cenić chłopa-walecznika za swoją i za cudzą wolność: ofiarował mu przytułek, ściskał nieraz rękę; kilka razy do roku, zwłaszcza ku wielkim świętom posyłał zapasy krzepkiego napoju i żywności.

Kazimierz za objęciem majątku chciał polepszyć położenie starca, zbliżyć go do ludzi, uwygodnić mu byt. Maciej odmówił.

Między ludźmi, na łaskawym chlebie, byłby musiał rozstać się ze starą przyjaciółką strzelbą, sznurkiem owiązaną, z którą, jako czasami muskając srebrny wąs, wspominał — polował był niegdyś na moskiewskie niedźwiedzie. W lesie natomiast, lubo dla przygasłego wzroku zwierzynie nie zbyt srogo dawał się we znaki, bez strzelby atoli, dla samej przyzwoitości, nie mógł wychodzić.

Został więc w lesie i dla honoru przyjął tytuł leśnika; po prawdzie bowiem nie było czego pilnować: włościanie Kazimierza podostatkiem mieli budulcu i opału, cudzy zaś kradzieżnik nigdy tak daleko się nie zapuszczał.

Maciej byłby ongi dał zabić się za pana Tadeusza; dziś gdy nie stawało naczelnika chłopskiego powstania, z równąż swobodą byłby pozwolił ukrzyżować się, choćby tylko dla przyjemności którego z braci Porajów. Starzec nie potrzebował ludzkich stosunków — musiał atoli kogo kochać więcej niż samego siebie. Taka była gminna jego natura. Cóż z nim poradzić?

Od mnogich lat sędziwe małżeństwo wiodło byt wedwójny, porami roku jedynie znaczony; od mnogich lat półgłosem szeptany pacierz lub krótkie pytania męża; krótsze odpowiedzi

żony przerywały tylko milczenie, gdy wkrótce po osiedleniu się w ojcowiznie młodego pana, podobnie jak we dworze, w chacie starego leśnika także przybyło mieszkańców.

W pierwszych dniach pobytu Kazimierza na wsi, szelest liści, szmer daleki spłoszonej zwierzyny, drażniły mu ciszę, ilekroć szedł błądzić w te strony — teraz inny, głębszy odgłos go dochodził.

Lepiona ściana, bywało, nie przeświecała jeszcze z gęstwiny, a już nadstawiał ucha, już dosłuchiwał dziwacznych dźwięków ludzkiego głosu.

Był to czasami straszny, a mglisto znajomy nam niegdyś śmiech, czasami tęskna nuta grobowej jakiejś piosenki, szarpana wartkiemi słowy, łkaniami i znowu tymże przerażającym uśmiechem.

Czyj głos, czyja piosenka, czyj śmiech kąsały mu tak serce, że zanim odważył się wkroczyć do chaty, w zastanowieniu długie nieraz trawił chwile, jak gdyby siły w siebie garnął i oddechu nabierał, jak gdyby przewidywał że przyjdzie mu spotkać się z niezwykłą boleścią?

Dla rozwikłania zagadki musimy cofnąć się wstecz o dwa blisko lata.

Przed dwoma niespełna laty, tego samego dnia może, gdy sentymentalna hrabianka poprzysięgała wieczną miłość szambelanowi, Kazimierz od kilku tygodni osiadły na wsi, wtajemniczał się właśnie w to życie natury, które później miało stać się głównem tłem jego rozmyślań, jedyną samotności jego pociechą,

Łatwo wnosić, że dzicz gór przedewszystkiem wpadła mu do smaku. Okolica, której niewinnym dozorem trudnił się stary leśnik, była pierwszym celem jego wycieczek.

Pewnego dnia, ku zachodowi słońca, po całodziennej wędrówce, Kazimierz opuścił cugle i wolnym krokiem powracał do domu. Obłędnie zapatrzony przed siebie, myślą mniej jeszcze kierował, niż koniem; ścigał grę purpurywych promieni pozaczepianych o wierzchołki drzew, rozbryzganych o drżące liście, przedzierających się upornie przez najdrobniejsze szczeliny gęstych zarośli.

Złote błyski swawolnie ślizgały się po lśniących szlakach

ziemi; gdziekolwiek zdradzał się poświętny promień, wnet wszystko ożywiał, weselił, uprzezroczystniał. Spłoszony cień ze wstydem padał na ziemię, krył się po niedocieczonych zakątkach, noc przyzywał na odsiecz.

Światło, dusza wszechstworzenia, źródło miłości i siły, bez gniewu, z różanym uśmiechem żegnało przeciwnika, z ostatnich krańców widnokręgu śląc mu bladnące spojrzenia. Czoło słoneczne krwawo zarumienione już zaczynało tonąć w bezmiarze — już zwolna zapadało i tęczując piersi obłokom, z rubina przelęwało się w opal. Zaczem i szafir niebieskich stropów zapłynął w perłę i szare wieczorne muśliny uroczyście zachodziły na błękit i ziemia zalotnie owiewała się tą przejrzystą tkanką półświatła, półcienia, jaka rażący blask jej wdzięków zastępuje stokroć wabniejszemi ponęty. Wykradłszy się z zazdrosnych objęć słońca, oddychała wieczornym chłodem, zionąc w powietrze tysiączne kwiatów swoich i roślin balsamy.

Kazimierz w zupełnem o sobie zapomnieniu lubował się uroczą rozpustą barw, zaprzepaszczał w nieskończonej ciszy burzę swojego serca, słodko zatracał pamięć własnego bytu — gdy w tem koń jego, zwierzę wtajemniczone, rzekłbyś w pańskie usposobienia, uciął nagle kroku, parsknął, zastrzygł uszami i w bok uskoczył.

Jeździec ocknął się z zadumki, uchwycił cugle, powiódł wzrokiem do koła, szukając przyczyny przestrachu swego towarzysza.

Koń stał jak wryty; ostrogi nawet nie słuchał.

Kazimierz przez chwilę nic nie postrzegał przed sobą; obejrzał się, zaszperał oczyma.

Tuż za nim, w bok ścieżki, na ciemnem tle wrzosów i skupionej leszczyny, bielał kształt ludzki, nieruchomy — że ludzki, można było rozeznać po zmarszczonych tu i owdzie fałdach białej odzieży.

Biedny jakiś wędrowiec potrzebował zapewne pomocy, wycieńczony na siłach, ze znużenia, a może i z głodu.

Poraj żywo zeskoczył z siodła, odgarnął gałęzie krzewu i postąpił.

Była to wiejska dziewczyna, jak się pokazało ze stroju.

Ze splecionemi w okół głowy ramionami, z twarzą między

wrzosy wciśniętą, pół lica tylko odsłaniała, ale wpół ukradziony ten widok nic przerażeniu nie odejmował.

Brak życia widocznie skurczał postać biednej pątnicy; kibić łamała się w niekształtne linje przedzgonnych wyprężeń; błękitne usta, trupia bladość oblicza, zapadłe jagody, rysy ścięte głęboką boleścią, wydartą, jak się zdawało, z ostatnich tajni ubiegłego ducha, konwulsyjnie zaciśnięte dłonie — wszystko to świadczyło, że łup ten po upornych dopiero walkach dostał się zatracie.

Byłaż to ostateczna wygrana śmierci, lub tylko chwilowe w głębiach organów zatrzymanie życia utajonego ze zgrozy i bojaźni dalszych przebojów z losem?

Kazimierz pochylił się, przykląkł, położył dziewczęciu rękę na sercu, ujął ją za dłoń i łagodnie sprobował rozczepić zaciśnięte jej palce.

Niespokojny o rozwiązanie zagadki, utkwił wzrok w badawczej troskliwości w upiorne oblicze, którego wyraz ogarniał go coraz silniejszem a niewytłumaczonem spółczuciem.

Długo wodził oczyma, wysłuchiwał oddechu, szukał obiegu krwi pod skrzepłych żył powłoką — nadaremnie.

Przez wszystkie boże potęgi! — Dziewczyna nie mogła umrzeć; na bladych jej skroniach przeświecał tu i owdzie odblask niepewnego rumieńca; poszlaka życia czy gra zwodnicza krwawo przez liście zachodzących słonecznych promieni?

Poraj okrążył ramieniem kibić wędrownicy, podniósł ją, wsparł na swych piersiach; tulił ucho do jej serca, z zapadłych powiek nie opuszczał wzroku.

Są oczy, co usypiają; są inne, których daleki pogląd budzi często najtwardszy sen. Dla czego jedne pędzą w senność — czemu drugich iskra ducha na jaw wyzywa? — Odpowiedź nie trudna temu, kto raz zastanowił się, jakiej woli, jakich charakterów, zamiarów, uczuć, wzrok ludzki bywa posłańcem.

Ach, i ja pamiętam wzrok! —

Wzrok jednego z moich szkolnych profesorów, który ile razy upadał na mnie przy towarzyszeniu ołowianego głosu i mało co lżejszej nauki, zawsze pomimowolnie, nieprzezwyciężenie sklejał mi powieki. Młodociana żywość nie mogła oprzeć się

wszechwładnemu magnetyzmowi mistrza. Skoro jednak zdarzało się, że twarz na chwilę odwracał i głos ucinał, budziłem się gwałtownie, zrywałem, jak gdyby nagle pozbawiony dziwnej słodyczy narkotycznego nektaru. Pokój z nim — wycierpiał i on za swoje! —

Księżyc wypływał z za gór, zapędzał pod widnokrąg blade wspomnienia zaszłego słońca. Porajowi zdało się, że uczuł w objęciach lekkie drżenie, że zacięte dotąd usta dziewczyny tchnęły niedoścignionym prawie oddechem.

Na Boga żywego! — Nie złudzenie to było — istna rzeczywistość. Łono jej zwolna się podniosło, serce zakołatało pod łagodnie przytuloną dłonią wybawcy.

Kazimierz sam teraz zacierpiał na brak w piersiach powietrza; nadzieja i trwoga ścisnęły mu duszę. Życie wyzwane zaklęciem serca, wracało — ale czy wracało na długo, czyli na chwilę — czy podobna ubłagać je, zatrzymać — czyli daremne za nim po szlakach wieczności pogonie? — Raz jeszcze ujął ją za tętno — głucho i zwolna dzwoniło o żyły. W roztajałych palcach zaczynało objawiać się przedczucie samodzielnego ruchu.

Poraj lękał się sobie uwierzyć. Niewysłowione radosne uczucie, gość w sercu jego oddawna nie witany, wypromieniło mu czoło. Podniósł bezwładne ramię niebogi, spojrzał na jej rękę, szukał śladów dowodnego życia, urzeczywistnienia gorących swoich nadziei.

Pogląd ten wywołał w nim zadziwiającą uwagę. Młodzieniec rotworzył oczy szeroko, zapomniał wkrzomo na chwilę o głównym celu swych starań, utopił całą uwagę w tajemniczym powodzie swego zdumienia.

Strój wiejski, głowa owiązana wypłowiałą pospolitą chuściną, na szyi proste czarne jakieś korale z uwiązanym na końcu starym szkaplerzem, do pół ciała wytarty kaftanik z błękitnego niegdyś sukna — wszystko zdawało się oznaczać biedną dziewczynę z pod strzechy. A jednak — dziwna! dziwna! — Z rękawa grubej płóciennej koszuli wyglądała wytwornych kształtów rączka, blada wprawdzie, lekko pomarmurowana żyłkami cierpienia, ale tak drobno wysmukła, tak miękko prze-

zroczysta, że niejedna księżniczka radaby widzieć podobną na końcu swego ramienia.

Oczywiście, dziecinnych tych palców coraz ostrzej zwężających się ku paznogciom, i dłoni u spodu pomuskanej zaledwie dojrzanemi kreskami, z wierzchu u wytrysku palców poznaczonej w trzy różane dołki — rączki tej nie skaziła ciężka praca, nie skaleczył nigdy mróz, skwarny promień słoneczny rzadko nawet kiedy zadrasnął — wygoda ją wybieliła, zbytek wypieścił.

Jakiemże zdarzeniem z jedwabiów, z pokrewnego sobie puchu, ręka ta przeodziała się w szorstkie wieśniacze płótno — jaka tajemnica, jakie nieszczęście załamały te ramiona w wyraz przedzgonnej boleści.

Poraj gubił się w domysłach i jak chiromanta, z rysów dłoni wysrebrzonych blaskiem księżyca, usiłował odgadnąć przeszłość — gdy tym razem uczuł silniejszy ruch ramienia, które rozkurczało się z bolu, prężyło niby z grobu do życia, zwolna zaczynało ogrzewać pod nabiegiem krwi.

Na Boga! — O ratunek, o śmierć lub o życie chodziło, nie o zaspokojenie próżnej ciekawości!

Kazimierz zgrozą zdjęty przeciw samemu sobie, obejrzał się do koła, jak gdyby szukał pomocy. Wiatr nawet nie przerywał ciszy; śladu człowieka ani dojrzeć, ani dosłyszeć! Rzucił w niebo wzrokiem bezsilnej rozpaczy, i wkrótce uderzony nagłą, ostateczną myślą, porwał omdlałą jak uśpione dziecię na ręce i znajomemi wyłomy przedzierał się co chyżej ku chacie leśnika.

Starzec i żona jego Agnieszka siedzieli na przyzbie. Kobieta półgłosem szemrała wieczorne modlitwy; leśnik codziennym zwyczajem opatrywał strzelbę — przeciw nocnym złodziejom. Boże od nich uchowaj!

Trzask gałęzi, szelest zeschłych, gwałtownie tratowanych liści, wyrwał oboje ze spokoju przedsennych ratrudnień.

Agnieszka żywo powstała, wskazując w milczeniu mężowi stronę, zkąd łoskot dochodził. Maciej pochwycił strzelbę, nie bacząc że zamek staroświeckiej broni tylko co oczyszczony, o kilka kroków leżał na ławie, wymierzył ku nieprzyjacielowi bezbronną lufę.

Ale znajomy głos całą piersią wołał na nich po imieniu i zaledwie leśnik miał czas ochłonąć z pierwszych wrażeń, już Poraj stał przed nim, już składał ciężar swój na ławie i gromko domagał się zaradczych środków.

Starzy zakrzątali się co duchu: przyniesiono octu, wódki i wody ze zdroju; Agnieszka wynalazła nawet kilka kropel wina troskliwie pielęgnowanego w zielonawej, kręconej flaszce. W mgnieniu oka wszystko troje jak Bóg natchnął, wzięli się do ratowania rozniemogłej sieroty.

Bóg snać zsyłał im szczęśliwe natchnienia. Nie wyszło pół godziny, a chora, choć drżąca jeszcze, rozchwiana, siedziała już atoli o własnych siłach.

Ujęli ją pod ramiona, wprowadzili do chaty, położyli wedle pieca na tapczanie starej Agnieszki.

Dziewczyna usiadła zwinięta w kłębek, wsparła głowę na podniesionych kolanach, twarz między dłonie ukryła. Kilka rozjęklych westchnień wydarło się z jej piersi, kilka spazmowych łkań boleśnie drasnęło obecnych, i znowu cisza — widać tylko było po niesfornych ruchach głowy, że ból przesilał się w rzewny, nieutulony płacz.

Po chwili nieboga odrzuciła się w znak, wsparła na jednej dłoni, drugą z czoła i ze skroni odgarnęła rozploty płowych włosów i błędnym wzrokiem zatoczyła do koła.

Czerwonawe światło zażegniętego łuczywa migotliwym błyskiem oświeciło blade oblicze wieśniaczki, djamentowemi iskry odbiło się w łzawych jej oczach.

Zaprawdę, w powróconej do życia, sam Wilczek z trudnością byłby poznał Nastusię.

Nie straciła czasu biedaczka: w kilku dniach strasznie się zmieniła.

Sędziwe małżeństwo stało w głębi izby, czekając nieruchomie na wolę pana, lub zaszczyconej jego opieką dzieweczki. Poraj siadł u głów jej na zydlu i z niecierpliwością oczekiwał pierwszego słowa.

Łuczywo płonęło dymno, smutnie, krwawo,

Nastusia dygotała od zimna, od strachu także zapewne. Gorączka trzęsła nią bez miłosierdzia.

Kazimierz nasunął na nią płachtę, wziął ją za rękę, zapytał łagodnym głosem, czyli czego nie potrzebuje?

Nastusia go nie słyszała.

Powtórzył zapytanie.

Obróciła ku niemu twarz, zwolna wysuwała mu dłoń z ręki, topiła w nim wzrok.

Chryste Panie, jaki dziwny wzrok! — Agnieszka przeżegnała się ukradkiem, leśnik mimowolnie o krok naprzód postąpił. Kazimierzowi mróz przebiegł po żyłach; takiego wzroku w życiu jeszcze nie widział!

Wielkie błękitne oczy w głąb czaszki zapadłe, to słupem stawały, wyrażając niby uczucie śmiertelnej trwogi, to z niesłychaną szybkością biegały do koła, niby jaskółki przed burzą. Snać pojętna wola, rozum, całkiem straciły nad niemi kierunek; boleść tylko i ślady niedomarłej pamięci iskrzyły się w rozwartych źrenicach.

Wzrok ten rozpaczy widocznie czegoś szukał — może pamiątek niepowrotnej przeszłości? — Widocznie drżał przed czemś z obawy, ze zgrozy — może przed głuchą samowiednością teraźniejszego bytu? — Rzeczywistość dla niego nie istniała; w obecnych przedmiotach śledził dalekich jakichś przypomnień, podobieństw lub bezwiednie, mimowolnie zaczepiał się i spoczywał na otaczających go kształtach.

Nastusia z dziecinnem zdumieniem poglądała od chwili na posępny promyk łuczywa. Blask ten niepewny przywodził jej może na pamięć ostatnie nocne światło, jakie widziała, gdy z rodzinnej wioski pobiegła ku mogiłkom, gdzie chowano jej matkę. Co dalej się z nią stało? — Nie przypominała. Nadaremnie byłoby pytać ją, dla czego na mogile nie oddała duszy; jak wyszedłszy z długiego omdlenia, sama jedna na smętarzu, w nocy, nagle zerwała się i pomknęła łąką i polem, drogą i manowcem, daleko, daleko — za górę, za las? —

Do kogo bieżała i gdzie? — Do nikogo — «w świat», jako mówi lud polski, gdy chce wyrazić wygnanie z ojczystej strzechn, bez celu i bez końca pielgrzymkę nieskończonego bolu — emigrację z pomiędzy swoich w cudzoziemskie kraje, śród ludzi o sercach oziębłych.

Los nie zagrażał Nastusi długiem tułactwem.

Tegoż samego dnia ku południowi, wycieńczona z ostatku sił, znękana cierpieniem, zatoczyła się w lesie i padła prawie bez duszy.

Niespodziana pomoc marzyciela zabłąkanego przypadkiem w te miejsca, wydarła ją śmierci. Wróciło życie, ale tyle też jej wróciło; rozum na mogile matki niepowrotnie pozostał.

Kazimierz zaczynał przeglądać smutną prawdę: obłąkaną miał przed oczyma.

Uprosił starą Agnieszkę, aby odeszła do alkierza na spoczynek, sam jeszcze bliżej łoża cierpiącej się przysunął, wsparł łokciem na tapczanie i postanowił czatować na pierwszy promyk jej pamięci, chcąc ślad chociaż jakiegoś wątku z niepewności wywikłać.

Leśnik ani chciał słyszeć o spoczynku. Siadł przed kominem, ujął łysą głowę między ręce, oparł się na kolanach, i tak pochylony, ważył w myśli przyczyny niespodzianego zdarzenia — ścigał w przeszłości własnych podobnych wspomnień; czasami tylko dawał znaki życia, zapalając świeże łuczywo.

Poraj wspominał o zbawiennym wpływie magnetyzmu na nerwowe, delikatne zwłaszcza istoty. Zebrał w sobie dwa niezbędne warunki działania: wolę i spółczucie; złożył łagodne dłonie na tętnach drobnych rączek dziewczyny, uczepił półgłosem kilka łatwych, wstępnych zapytań.

Nastusia opuściła głowę ku piersiom, wzrok jej powoli łagodniał, oddech stawał się swobodniejszym, ustały gorączkowe szamotania krwi, z czoła znikło kilka głębszych zmarszczków, piętno niesłychanej boleści. Wkrótce podniosła twarz i ukołysany wrzkomo błękit oczu, nieruchomo utkwiła w przenikającym ją wzroku nieznajomego przyjaciela.

— Cierpisz, strasznie cierpisz, moje dziecię! — rzekł Kazimierz. — Jesteś u dobrych, życzliwych ci ludzi. Powiedz, czy potrzebujesz czego — co ci dolega? —

Nastusia lekko skłoniła na bok głowę, jak człowiek który łowi uchem z daleka dochodzące a dziwnie lube mu dźwięki.

Głos ucichł; smutek rozpędzony na chwilę, znów zaległ jej oblicze. Westchnęła głęboko, jak gdyby chciała żegnać jakieś złudzenie, jakąś nadzieję.

Kazimierz ponowił zapytanie. Tym razem w słodyczy głosu wyraźnie przebiła się nieubłagana wola, rozkaz odpowiedzi.

Nastusia wskazała na pierś i na głowę.

— Rozumiem, biedne dziecię; spotkało cię zapewne okropne jakie nieszczęście?

Dziewczyna ścisnęła go za rękę i chyląc ku niemu błędne, przerażające oczy, mówiła wolnym, cichym i jednostajnym głosem:

— Kruki spotkały mię na drodze, a na smętarzu ognik za mną uganiał. Słońca pod ziemią nie widać! W mróz, w słotę, w nocy burzliwe, leżeć w samotnej trumnie, pod krzyżem — straszno! — Nikt nie użałuje.

«Zapóźno! — mówi kościelna baba — oddaj łachman; ja ubierałam nieboszczkę!»

«Kłamiesz, stara zmoro! — druga odpowie. — Ja od roku bywało, co północ z sowami zlatuję na strzechę; hukam jej śmiertelną piosenkę.

— Zapóźno! — Wielki Boże! — Biegłam przecież co tchu, co siły!

— Nie przyszłaś! — jęczała z pod ziemi. — Bez ciebie oczy piaskiem mi zasypali. Już mię nie obaczysz; między mną a tobą łokieć gliny nakrytej murawą. I pójść do ciebie — nie pójdę. Pilnuje mię dwudziestu czarnych strażników, dwadzieścia żelaznych ćwieków, a każdy główką tkwi w sosnowem wieku, końcem w mojem sercu. Ty mię porzuciłaś i ja ciebie porzucam. Mnie nikt na starość łez nie otarł — i ty sama wypłaczesz oczy. Pochowali! — Ksiądz nawet nie przyszedł; grosza nie było w chałupie. —

Boże, zmiłuj się! — Patrz — tam, pod kominem, zły duch miga ognistym językiem. Wyrwij, wyrzuć gadzinę — kąsa mi serce.

Czy pod smętarzem są takie izby? — Czy w każdej mogile tak na ciebie patrzą? —

Ach, źli ludzie zabili ją bez litości! — zabili — przez tyle lat, co dnia mordowali mi matkę, biedną Krystynę! —

Nastusia załkała, wyciągnęła ramiona, jakby ze zgrozą odpychając straszliwy jakiś widok.

Kazimierz położył rękę na głowie dziewczyny, odgarnął jej ze skroni rozpuszczone włosy i zniewolił do wypicia kilka kropei wody.

Niestrojne jej słowa pozwoliły mu przecie zdgadnąć, że pamięć świeżo doznanej straty, że śmierć matki była jedną z przyczyn rozprzężenia umysłowego nieszczęsnej istoty.

— Uspokój się — rzekł po chwili — znajdziesz ludzi, którzy nie opuszczą cię w niedoli. Czy nikogo już nie masz na świecie, ani ojca, ani rodzeństwa?

— Miejsca na świecie dość, ale ludzi mało — rzekła Nastusia. — Wielkie drzewa w lesie zostają, wiatr obrywa liść, niesie w dalekie strony. Spytaj, gdzie wędrują na zimę liście kaliny kiedy powrócą? I lepiej że nie wracają; zwiędłych, wyżółkłych matka kalina by nie poznała!

Słyszysz świerszczyka? — O dziecię się dopomina; ciężko mu żyć samemu.

Patrz — skłonił głowę — tam, przed kominem, wsparł na kolanach; człowieka udaje.

Idź, powiedz mu, że ojcu nic do dziecięcia, skoro potrafił raz je porzucić. Lepiej mu w cudzym kraju — niech do własnego nigdy nie wraca; znalazłby tylko rozpacz i biedę. Zemrze między cudzymi, a zemrzeć musi, bo matki nie ma, a od śmierci może tylko wybawić matczyna modlitwa i pieszczota. Od maleńkości przyuczona kołysać, tulić, wie gdzie doszukać się bolu, jak go rozpędzić.

Usta z głową w niezgodzie: w głowie majaczą pamiątki, na usta cisną się inne, straszne jakieś wyrazy.

Zapóźno! — Kądziel stargana; nici nikt już nie zwiąże. Była wszystkiego jedna tylko prządka — skrzyżowała ręce, palce zapletła; więcej ich nie rozplecie — umarła!

Na tamtym świecie, w niebie, inaczej, lepiej; dzieci umierają przed matką. Tu wszystko się psuje. Grobu ubogich ludzi poświęcić nikt nie chce; na żebraczej mogile jedynym krzyżem rozkrzyżowana sierota.

Za życia krzyżów nie szczędzą — od świtu do nocy krzyżują.

Gdyby przynajmniej ostatnia pociecha, jedyne dziecię było przy niej zostało? —

— Sama jedna byłaś u matki; kochała cię nieboga? —

— Dziś pierwszy dzień sama jednam na ziemi. Ale wczoraj w nocy wiatr dął silny, pogasił wszystkie gwiazdy i miesiąc zagasił. Odtąd noc do skończenia świata.

Jak było nie kochać bladego miesiąca? — Przed kim teraz wypowiedzieć smutki?

Co nad kołyską śpiewała? — nie pomnę. Miała jedną tylko dziewczynkę; prócz niej, jak świat długi i szeroki, nikogo więcej. Często sama się rozniemoże; tęskno jej na sercu. Kukułka szuka zielonej dąbrowy — ona, zatajona przed ludźmi pieści się z swojem dziecięciem; z wzroku, z głosu maleńkiej pije sobie życie i zdrowie.

Gdy Pan Bóg się sroży, gdy grzmi na niebie i błyska, kwiatki pod ziemię kryją, w rzeczułce skaczą topielce — ona córeczkę tuli do piersi, przed błyskawicą nakrywa rąbkiem fartucha.

Nie budź pioruna! — Niechaj śpią gromy; bez tego straszno w mogile!

W lesie sosen bez liku, a każda gruba, wysoka. Za cóż trumny tak ciasne, że ledwie jednemu w nich się pomieścić?

Po obu stronach parowu stoją dwa świerki; patrzą na siebie, dotknąć jeden drugiego nie może. Ale gdy burza oba wyłamie, razem spadają na dno przepaści, jeden ich strumień unosi; chwytają się gałęziami, płyną obok siebie tam, gdzie oko więcej ich nie doścignie.

Na polu wietrzno, ponuro.

Biedna Krystyna sama ku Bogu popłynie; ani za życia, ani po śmierci nie być jej razem ze swojem dziecięciem! —

— Nie byłaś więc przy matce? Któż was rozłączył?

— Siwa orlica sama pławi się w chmurze i słońcu w lice nie zajrzy, od czasu jak jej wydarto orlęta. I krzyż na rozdrożu niby samotny, ale u stóp jego na pagórku bawią się wiejskie dzieci, wiążą równianki. Szczęśliwa dziatwa! — Na każde w domu czeka uścisk matczyny. Jedna tylko kobieta płacze naprożno — darmo ku drodze wygląda; dzieci z powrotem wszystkie ją miną — żadne ku niej się nie przytuli. Jeszcze wyśmieją starą smętnicę!

Ach Boże! zmiłuj się! — Straszne zarzewie ciągle sypią mi na głowę; czerwony węgiel mózg mi wypieka.

Ksiądz prawił, że grzech od matki uciekać.

Małgorzata z pasieki miała trzy córki; wszystkie ją odeszły. Ksiądz sam na grzeszną drogę im błogosławił.

Kwiat w potok rzucony pod wodę nie płynie. Kwiaty porywać, grzech! — mówią z ambony.

Czyj grzech — komu pokuta? Potok przynajmniej rozbija się o skały; kwiat więdnie gdzieś porzucony na piasku.

U ludzi z dwojga winnych jedno tylko pokutuje. Nie strumień pokutnikiem.

Może Bóg dopuścił, że nie z samego żalu umarła; nędza ją dobiła. Wprzódy wszystkiego było podostatkiem — na raz zaniechała wygody, musiała pracować na kawałek chleba.

Ręce na starość do odpoczynku, a nie do pracy. Pomódz nie było komu. Miała jedyną córkę; wyhodowała ją na utrapienie. Zmarniała matka, i córce nie lepiej się nadarzyło.

— Gdzież miałaś matkę, biedne dziecię? — Czem była dawniej?

— Piękna z słodkiemi oczyma kobieta! Niedawno jeszcze była żywą — czem więcej być na świecie jak żywym? O wschodzie słońca jak ptaszek śpiewała. Słyszę dotąd zwykłą piosenkę; ciągle ta sama, a zawsze miła i nowa. U zwrotki nuta roztapia się w powietrzu, niknie; serce pełne dźwięku, choć ucho nic już nie słyszy.

Anioł Stróż co dnia budził swe dziecię taką piosenką.

Nagle ucichło!

Czarne sny jęły targać sierotę — nie było czem odegnać złą marę.

Jutrzenka krwawo wschodziła; przepadły na zawsze różane jej uśmiechy.

Kto bywało, chory we wiosce, komu głód, komu nędza dokucza, komu pożar spalił ostatnią skrzynkę, ostatnie ziarnko zboża, kto doznał krzywdę, kto pożałował za winę — ten wie, czem była Krystyna.

Dobrze jej tak! Później za to nikogo nie miała przy sobie. Pouciekali!

Dzieci na smętarzach boją się ognika, dziewczęta wieczorem nie śmią przebiegać wedle kostnicy; zda się im że śmierć z kosą goni za niemi, że grzegoce białemi żebrami. Dorośli ludzie ni-

czego się nie boją, bez strachu idą na mogiłki; niejeden wyspałby się w kostnicy — a przecie najśmielszy ucieka co siły — przed cudzą biedą.

Nędza człowiecza psy nawet drażni, rozjusza.

Kto nas dziś potrzebuje — kto od nas czego się spodziewa? Matka umarła w nędzy — córka wyszła za mąż — poślubiła kij żebraczy. Z suchego nawet kija zielone listki rozpękną — ale z serc ludzkich pamięć nie wyniesie na usta niepotrzebnego nazwiska.

Ha! — gdyby mogli byli zamordować i zapomnieć! — Za cóż zdaje się im, że niepodobna krzyczeć inaczej tylko głosem ofiary?

Pan Bóg aniołów swoich ubiera w tęcze, ludzi w siermięgi, szatanów w zbytek, w bogate stroje. Każdego z daleka poznasz po odzieży.

Ona długo inaczej myślała, aż póki wąż wykarmion jej mlekiem, w pierś ją nie ukąsił. Zginęła od trucizny!

Czasami, w spokojniejszej doli, mawiała do swojej dziewczynki—jak gdyby przewidywała! Co mawiała — nie zdołam wypowiedzieć. —

— Przypomnij sobie, moje dziecię; jakiem imieniem cię nazywała?

— Słowik na dzieci woła po swojemu, i gwiazdy na niebie do gwiazd na dnie jeziora złociście mrugają. — Luba pieszczotko — moje kochanie, miła dziecino! — woła do piskląt jaskółka.

Jeżeli nie te wyrazy pierwsze słyszałeś, nie umiesz mówić; one jutrzenką życia, początkiem ludzkiej mowy.

Dopóki w głowie jasno, człowiek wszystko pamięta. Nie zawsze pogoda.

Ciągną, płyną, mijają ciemne chmury, aż jedna, czarniejsza nad drugie, twarda jak kamień, ciężka jak ołów, usiędzie na czole, przyrośnie do skroni, weźmie pół słuchu, pół wzroku, otumani na wieki.

Próżno oglądasz się za siebie; wczorajszy dzień szarzeje — dawniejszych nie widać.

W dali, tu i owdzie, z kłębów dymu prześwieca czerwony płomyk. Patrz! — błyska — tam — u komina. Pewno dawny

jaki smutek, dawna zgryzota — nie mogą dogasnąć, tlą ciągle w pamięci.

Straszne komary! — W dzień ani im się opędzić — w nocy pełna ich poduszka.

Są i świecące muszki — tyle też wszystkiego pociechy.

Bywało, słodkie słowo matczyne, pieszczota, uścisk, wejrzenie, spłyną na dziecię i wnet każde przedzierzga się w iskrę skrzydlatą, w gwiazdkę powietrzną, w tęczy kropelkę. Iskrzą, migocą, wzlatują w oddali, a gdy oczy od łez rozbolą, dość na nie spojrzeć, aby wypocząć.

Pałac, biały, wysoki! — Wewnątrz kobierce, szkła przejrzyste, stubarwne dywany.

Na progu stoi Krystyna, piastunka panicza, dłonią od słońca oczy przysłania, wzrokiem biega po ogrodzie i woła: «Dzieweczko — Nastusiu! Natalko! gdzie ty? — Wracaj — pani starościna się niecierpliwi!»

Zwiędły słonecznik smutnieje, nie błyszczy; ku niebu ciągle zmarszczone lice obraca.

Zbieram drobnemi nóżkami, biegnę co żywo.

Drugi ogród — później — później; w grzędach nie w klombach — druga siedziba — nie pałac — dom wielki, drewniany.

Stara gospodyni Krystyna wysyła folwarczną dziewczynę po córkę.

— Pani matka czeka — już blisko północy — czas na spoczynek.

Ach, na spoczynek zawsze czas! — Cóż z tego, kiedy wypocząć nigdzie nie można.

Choć ciało we śnie, głowa na jawie; marzy w życiu, żyje w marzeniu.

Stara żebraczka ucieka od dawnej strzechy, wychudłą ręką kiwa na swoją dziewczynkę, często płacze, czasami przeklina — przeklina. — Ty panie, czego ci oczy tak świecą? Powiedz, czy przeklinała — czy słyszałeś kiedy o matce sierocie? — Porzuciło ją jedyne dziecię — jak nie miało porzucić!

Po dworach panienki mają po kilka serc — u chłopek jedno.

Zaczekaj, matulu! — Gdzie biegniesz? — Goni za tobą dziewczyna — to twoja córeczka, Nastusia. Nie uciekaj —

dogonię! — Ach, ze wstydu, z nędzy, z rozpaczy kryjesz się przedemną, głęboko się kryjesz — zapadasz! — gdzie? — aż pod ziemię. Umarła!

Na pałacu skrzypią chorągiewki — wiatr wieje od lasu. Będzie słota. —

— Gdzie, w jakim pałacu wychowałaś się, miła moja biedaczko? U kogo byłaś we dworze?

— Na dworze wietrzno, ponuro — jak nie użałować biednego wędrowca? Serce skostniało mu od chłodu, nogi ustały, z piersi krew ciągle pluska — jak go wypędzać na dwór? Bóg stworzył chatę dla biednych; we dworze zły duch szamoce się ze złością.

Łany, płaszczyzny dla ludzi; jaszczurka pnie się na wysokie mury; jastrzębie na wieżach zakładają gniazda. Na czerwonych dachach sowa przedrwiwa nocami z człowieczej nędzy. Dziki ptak gołąbce z serca wydobywa farbę, białe jej puchy krwawo maluje. Szpony krwią mu ociekły; spada na łąkę, wydziera murawie stokrotkę, niesie ją na wszystkie skały; tam zasępiony, listek po listku obrywa. Kocha — niech zginie — przepadnie; kocha — niech zginie, przepadnie!

Nie ma zagadki: ostatnie słowo zawsze wypada na ostatni listek.

Niechaj marnieje! — Dla jednej stokrotki łąka nie uschnie.

Ciężki rok! — Na raz wszyscy ludzie wymarli. Upiory błąkają się gdzieniegdzie; na ludzkie stworzenia trzeba czekać póki paproć nie zakwitnie.

Cóż po kwiatach, jeżeli nie można sadzić ich gdzieindziej tylko na grobach!

Jutro Nastusia pobiegnie daleko w las i poszuka stokrotek o ostatnich tylko listkach. Pierwszych nie ma już na świecie — wyginęły wszystkie od wczorajszej burzy.

Chcesz mię zabić? — Dziękuję ci z serca; zgorzkniało życie. Stań tu, w nogach, oburącz uderz mię w piersi jednym tylko wyrazem: sama! — bez nikogo! — opuszczona! —

— Biedne dziecię! — Nikogo nie masz na ziemi?

— W ziemi na Nastusię czekają rodzina i spoczynek. Na powietrzu słońce wzrok ślepi, wiatr słowa rozkrada; co drugim mówisz, co drudzy mówią, trudno nieraz zrozumieć.

Tam pod zieloną darniną głos z daleka dochodzi, szepcą nieboszczyki o przeżytych biedach. Miejsca nie braknie, a gdy zabraknie, dawni mieszkańcy ściskają się dla nowego przychodnia. Czas mierzą zegary. Robak w sosnowej desce ciągle nakręca zegarek. Drużki i druhy do koła; żaden nie powie: zdradziłaś! — Biali goście spokojnie odpoczywają na wieki; nikogo nikt nie porzuca.

Wstawajmy, chodźmy — już matka Krystyna ściele podgłówek.

W lesie droga głogiem zarosła; pokaleczyłam sobie ręce i nogi — pokaleczyłam i serce.

Odpoczniem.

Boże bądź miłościw grzesznej duszy mojej! Ulituj się, matko boża — daj o wszystkiem zapomnieć! —

Nastusia złożyła ręce, błękitem oczu strzeliła do góry i szemrała na pół rozchylonemi usty, nie wiadomo, piosenkę jakąś zatłumioną czyli modlitwę? Gdzie myślą wybiegła, co zdawała się widzieć, zkąd błyskawica tęsknego uśmiechu drasnęła blade jej usta? — Nie ona biedna potrafiłaby rozpowiedzieć.

Niewysłowiony urok porywał Kazimierza, zawrot ogarniał mu głowę. Zdało się mu, że widzi przed sobą istotę z wyższego, z innego przynajmniej świata, obcą dla wszelkich ziemskich stosunków, a jednak widocznie przez ludzi na ciele i na duszy zamordowaną.

Prawda zaczynała wyłaniać się mu z tajemniczych obłędów. Dziewczyna miała natchnione obłąkanie. Z potarganego wątku jej opowiadań mogło wybłysnąć ostatnie słowo tajemnicy.

Oczy Nastusi niebawem znowu spoczęły na obliczu jej towarzysza; sama podała mu rękę. Poraj ujął ją z wyrazem głębokiego spółczucia i krzyżując z nią łagodne swoje wejrzenie, rzekł:

— Porzuć te smutne myśli, lube dziecię; odpoczniesz przy nas, smutek ukoisz, i może da Bóg, trochę zapomnisz. Łatwiej między nami znajdziesz spokój, aniżeli dotąd szczęście znalazłaś na ziemi.

— Szczęście! — odrzekła z westchnieniem Nastusia, chwiejąc głową ku piersiom. — Po co Krystynie szukać mogiły? — Kto raz śmierć znalazł, ten drugi raz za nią już nie pogoni.

W naszym ogrodzie, bywało, róż pełne kwietniki: jedne jasne, wesołe, prą się ku niebu, a gdy listkom ich przyjdzie wypłowieć, nie żałują życia, byle przy schyłku mogły przypomnieć pieszczoty ze słońca promieniem.

Na smętarzu także są kwiatki, smutne, widziałam; co rana płaczą rzęsistą rosą.

Czasami w nocy zerwie się burza. Nazajutrz dzień jeden i drugi słota; kilka różanych pączków rozpęknie, ale rozwinąć się, żyć nie chcą. Co im po życiu bez słońca? — Chylą rumiane główki ku ziemi, marnieją.

Widziałeś słońce! — Drugiego nie czekaj. Nastusi nie żal umierać, ale i życia nie żal, bo po zachodzie słońca puszczykom tylko żyć lubo.

Dziś serce strasznie boleje. Jak nie ma boleć? Żelazna rękawica bez ustanku krew z niego wyciska. Biło i dawniej, ale biło inaczej. Tuliłam je nieraz obiema rękami, by nie uleciał rozpieszczony, śnieżny gołąbek.

Jakie gruchania — jakie piosenki! —

Błękitne dzwonki kołyszą się na prątkach, ku ziemi się chylą, słuchają czy wietrzyk nie biegnie ku nim przez ziela. Byle z daleka je musnął — szczęśliwe!

Z głowy do serca, z serca do głowy, ciągle myśl jedna przelata; siada na skroniach jak równianka z bławatków.

Pojechał! Wróci — jutro — dziś wieczorem musi powrócić. Tu w piersiach balsamem wieje nowina, choć oko jeszcze nie dojrzy.

Nie ma księżyca. Hej! — zawołajcie na miesiąc, przyzwijcie gwiazdy. Po obu stronach domu niech w krzach bzu i jasminu rozpieją się dwa chóry słowików, niech kwiaty odżyją, niech rzeka odzieje co najsrebrniejsze atłasy!

Wrócił! Z nieba słychać muzykę. Nie — to jego głos! Ha! serce wyskoczy! Słychać znajome stąpanie. Luby! nie zapomniałeś twojej Nastusi?

Zgrzytło po szkle żelazo. — Słyszysz jak dusza piszczy w łuczywie? — Gdzie anioł? — nie anioł! — Z bożego dopuszczenia piekielne straszydło, upior spragniony niedoli i łez sieroty.

Na Matkę Boską Gromniczną wilk głodny w lesie przeraźliwie wyje. Człowiek ostrzeżony, z daleka go mija, ucieka do wsi przed wilkiem.

I cierń bury kolce najeża, straszy dłoń, zawczasu grozi boleścią.

U niego uśmiech był na ustach, słodycz w rozmowach — on jednym wyrazem umiał zmarłych wracać do życia.

Czarownik — niebo otwierał. Niebo bez granic; mieściło się całe w jednem człowieczem sercu.

Wczoraj była pogoda. Dziś z pod ziemi wypełzły chmury; huczą i świszczą, jak szare wiedźmy latają nad głowami; grzmi, błyska się, piorun uderza, druzgoce przed chwilą jeszcze wesołą topolę.

Wszystko stracone! Gore, pożar — płonie budynek, iskry sypią się z trzaskiem. Ludzi we wiosce gromada, każdy przechodzi, nikt ognia nie widzi, nikt dymu nie czuje. Zapal garść słomy, gawiedź zewsząd się zbieży. Naraz spłonęło tyle przysiąg, wiary, szczęścia, nadziei; życie jedno w popiół się rozsypało. Stara piastunka z nędzy umarła, a ludzie się śmieją.

I on odpoczywa? — Codzienne kłamstwo ołowiem gniotło mu sumienie — jeżeli miał sumienie!

Czy mówili ci kiedy starzy ludzie, dla czego zielsko nie kwitnie?

Różane listki słów na obuch topora nagle przemienił.

Niech Bóg zbójcy przebaczy! —

— Zgaduję, biedne stworzenie! Oszukał cię, porzucił.

— Pszczoła porzuca kwiat z słodkich pyłków obrany — porzuca, ale żądła w nim nie topi. On nie porzucił — zakradł się z nienacka — nóż w piersiach pogrążył.

Stoi Nastusia, słucha — uderza ją każde słowo jak rozpalone żelazo, rwą się na krośnach mózgu rozpięte nitki, na serce spada garść smoczych zębów, a każdy kąsa i zgrzyta. W oczach jej noc i płomienie. Patrzy — ogląda się — nie ma nikogo! — Na żółtej ścieżce ogrodu włóczą się ślimaki w tęczowanych domkach i motyl rozsiaduje się w róży, rad z wonnej swojej siedziby.

Nastusi szczęście nie w zbytku.

Miękkie puchy, złocone ściany, wstęgi, jedwabie, kobierce, wszystko marnieje, gdy czarno duszy.

Ranek majowy na łące, w lesie!

Ksiądz prawi o raju — po co go szukać daleko? Odziej złotogłowem kościotrup, rzuć mu na piersi najcieńsze muśliny — strachu z niego nie zdejmiesz. Dreszcz obrzydzenia ściśnie każdego przechodnia.

Rzuciłam wszystko co błyszczy, uciekłam jak szalona. Szalałam długo, nim rozum do mnie powrócił. Ale powrócił znękany, wybladły, na dwie głowy już go nie stawało. Wszystek dla siebie zabrała tamta druga.

Nastusia została obłąkaną! Panie, świeć nad jej głową. Ludzie w maleńkości już zwali ją warjatką.

Biedna! — Z dawnych przepychów niczego nie żałuje, prócz może jednej czerwonej szafki; stała w kącie, na prawo, pod klatką. Gdyby zawczasu była wiedziała, że w klatce choć wyzłoconej grzech szczęścia szukać! —

Od spodu do wierzchu szafka pełna książek. Ciche piastunki skołatanej myśli szeregami ciągną z pociechą; śpiewają, kołyszą, rozpowiadają cudowne bajki. Jużcić prawdy w nich nie wiele, bo często mówią, że kto całą duszą kocha, ten bywa ukochan. Jużcić fałszu w nich siła, gdy prawią, że człowiek co pomyśli, wypowie — że dobrym dobrze, złym źle na świecie. Cóż z tego? — Tak mile nócą, tak słodko gwarzą, że nie żal na chwilę im uwierzyć.

Kto wie, może dawno temu, bardzo dawno, działo się jak wyprawiają.

Dziś — wiosna ubiegła, jesień nastaje — świat zwiądł, pożółkniał.

Ach! — i w jego wzroku zdrada, przekleństwo, żółcią mi świecą.

Odepchnąć chcesz? — Odepchnij! — Po co nogami tratujesz?

Nastusia zniesie nędzę, sieroctwo, niemoc; na ludzką boleść wystarczy jej łez i modlitwy; ale tu w piersiach żarzą się boże iskry prawdy, miłości, wiary.

Zabluźnił im jak potępieniec!

Nastusia nie płacze, chyba ogniem musiałaby płakać!

Ogniem? — Ach! ona dziś jeszcze za jeden jego uśmiech — za jedno tylko ludzkie słowo, z radosną twarzą skoczyłaby w ogień!

Darmo — zabił sierotę! —

— Któż taki, moje dziecię? Nie przypominasz nazwiska — młody czy stary — gdzie mieszkał — jak wyglądał — nie pamiętasz?

— Długie miesiące samotnie nieraz płynęły. Ach! weselej jednemu świerkowi nad grobem!

Tęskno sierocie — od ptaszków, od kwiatów ucieka, bieży do ostatniej półki, dobywa książkę; snać napisali ją dobrzy ludzie, miłosierni na bliźnią biedę.

Jak wyglądał? — Jak chciał! Inaczej wygląda smutny — inaczej kto kocha — straszny, kto nienawidzi. Zdrada i fałsz przeszkaradzą anioła z wielkiego ołtarza w dworskiej kaplicy.

W książce mrówki literki piszą wyraźnie: na króla podobien, choć nie ma na głowie korony; oczy z takiegoż bławatu, jak w noc miesięczną szyba jeziora. Nad brzegiem wody rosną wysmukłe topole — on wysmuklejszy. Latem, w skwarne upały, pod strzechą zieleni, w lasku, szmer źródła lubą muzyką. Przy jego boku, na jego piersiach nie zaznasz zimy i głos jego milszy od szemrań źródlanych. Gdy się rozgniewa, gdy co rozkaże, grzmot tak nie tętni po górach. Dawniej miał z bluszczu ramiona, czasem z powoju — bez kwiatków; błękitne kwiatki Nastusia w wieńcu nosiła na głowie.

Drapieżne ptastwo czepia się wysokich dachów.

Jadą goście, jadą z daleka: każdy gość wiezie drugiego; często trzech naraz wysiada.

Płoną okna w pałacu; służba się zwija. Noc cicha, w oddali słychać zgrzytliwy dźwięk szkła, śmiechy, rozmowy, wykrzykniki. Hałas się wzmaga, ciepło na dworze — przez otwarte okna buchają szalone pieśni, kłótnie, zwady i znowu dzikie śmiechy.

Nie wesoło od nich Nastusi. Szczęściem od domku do pałacu kilka staj: patrzy, słucha, póki ją sen nie zmorzy.

We śnie piekło przed nią się kłębi; ogniste mary wydziwiają straszne korowody.

Nazajutrz albo go porwą lub zostawiają; ale choć sam zostanie, znać po nim że złe duchy za nim się upędzały.

Za każdym wyjazdem, za każdym najazdem, ubywało w nim blasku. Nareszcie całkiem poczerniał jak węgiel.

Zagasł! Szczęście sieroty z nim zgasło; czego później się dotknął, wszystko czernił, zabijał. —

— Gdzież się to działo? Czy daleko ztąd?

— Złemu do nieba daleko, dobremu blizko. Sierota legnie na grobie matki, płacze, wyrzeka; matka tuż pod nią spoczywa. Oj, strasznie daleko do matki! Do przeszłych cierpień blisko — dość się obejrzeć: ciągną stadami, czarnemi skrzydły biją o szyję. Żelazny łańcuch! — Każde ogniwo ukute z wspomnienia, każde wspomnienie z łez, z oczekiwań, z trwogi, z gorzkich wyrzutów. Ostatnie cięży bez miary — na rękach, na nogach kości piłuje. W oka mgnieniu tam je ukuli, tam, gdzie niegdyś kwiaty tylko splatały się w wieńce.

Tam tylko życie zostało — tam! — gdzie? — Na końcu świata i jeszcze dalej. Zły duch pokutuje; sprawiedliwym ludziom tam nigdy nie zajrzeć.

Straszno i duszno — ani światła, ani oddechu — jak w podziemiach naszego starego kościoła. Duszę tam biorą na męki, głowę ściskają w żelazne obręcze; przez resztę życia potem oka nie zmrużysz. —

Nastusia drżała w gorączce przestrachu, toczyła obłąkanym wzrokiem, konwulsyjnie ściskała ramię Poraja, tuliła się do niego, jak gdyby szukając opieki przed wyzwierzonem na nią okropnem widziadłem.

— Dobry mój panie — mówiła targanym głosem — co patrzysz na mnie oczyma anioła stróża? Niech Bóg cię od nieszczęścia uchowa — niechaj oddala od ciebie zatratę. Nie wychodź z lasu; na świecie mordują niewinnych. Chyba że zechcesz do matki wybiegnąć; ale wtedy przemykaj się uboczami, nie wchodź do wioski, strzeż się czerwonego pałacu, gdzie piołun rośnie do koła. Uciekaj — za siebie się nie oglądaj, gdy strwożeni ludzie półgłosem ci rzekną, że w pałacu tym siedzi — pan graf Wilczek! —

— Wilczek! — powiadasz, dziewczyno? —

— Nieboszczka starościna mawiała mu: «Władziu» — i Nastusi niegdyś wolno go było tak nazywać.

Umarła Nastusia i odtąd ciągle umiera — piekło ma wieczne! — —

Kazimierz zadrżał — twarz ręką zasłonił.

Nastusia wycieńczona, z zamkniętemi oczyma, jak bez duszy leżała na pościeli. Długie natężenie skołatanego umysłu rozwiązywało się w półsenną bezwładność. Pierś pracowała urywanym oddechem, ból zaciął jej usta, w załamanych zmarszczkach wybiegł na skronie i czoło.

Stary leśnik zbudzony nagłem ucięciem rozmowy, podniósł drzemiącą głowę, patrzył obłędnym wzrokiem, jak gdyby na jawie ciągnął dalej senne jakieś marzenie.

Poraj stał z założonemi rękami, poglądał na pół martwą dziewczynę. Teraz wszystko zgadywał.

— Wilczek, zawsze i wszędzie Wilczek! — powtarzał, do głębi duszy wstrząśnięty wzmianką nienawistnego mu nazwiska, niespodzianie wyiskrzonego na dnie tajemnicy.

Dziwne zrządzenie!

Jakiż los, jakaż tajemna konieczność, rzucała mu na drogę życia tę postać złowrogą, wcielenie wszystkich żywiołów krajowej i społecznej zatraty?

Omdlona w lesie dziewczyna — szczególne spotkanie!

W odludnej chacie, w przytułku zaświatnych niemal ludzi, na biednej pościeli leży rozciągnięta, zabita — jak sama powiada — smutna igraszka pańskiej rozpusty, boże stworzenie niby nędzne cacko zdruzgotane w przystępie bezsumiennej fantazji.

Słodkie oblicze, gdzie wiara i prawda, gdzie święte rodzime uczucie w wdzięcznej harmonji rysów wypowiadały niegdyś czystą pogodę duszy — dziś, poorane boleścią, na wieki podarte nadludzkiem cierpieniem — bez nadziei ratunku na ziemi!

I duch źródlanego kryształu, wierne odbicie spokoju nieba, krasy natury, dziś wzięty na męki wspomnień, szaleje bolem jak skorpion żarem otoczony, sam siebie kąsa z rozpaczy; zatracić się niezdolny, nie widzi kresu męczarniom.

Głupi przypadek — jeżeli mniemał, że do utrzymania Znicza zaprzysiężonej zemsty potrzeba było codziennego widoku zdradziecko zamordowanej wieśniaczki!

Mądry przypadek — jeżeli chciał krzywdę bezsilnej ofiary rzucić na szalę nieubłaganych zamiarów odwetu!

Spełni się przeznaczenie! Runie kolumna podpierająca gmach nieprawości, chociażby zwaliska miały strzaskać czaszkę samego Samsona.

Co później nastąpi — czy Baal gdzieindziej potrafi wznieść sobie świątynię? — Przyszłość odpowie. Tymczasem jeden przynajmniej głos fałszowi zaprzeczy, głos wołającego może na puszczy: przekleństwo!

Ha! stracili pamięć i miarę czasu! Post od dawna nastąpił, dla nich ciągle jeszcze zapusty. Popiół biednemu tylko spada na głowę. Oni larwy cudzoziemskie wcisnęli na twarze, z monarszych przedpokojów wyżebrali łachmany służalczej liberji — wirują w zapalnem powietrzu bezbożnych zapędów, harcują po grobach, trzęsąc dzwonkami szału, klaszczą sobie w ręce nawzajem korzystając, że Bóg od nich oczy odwrócił.

Zabili piastunkę ziemi, co ich wykarmiła — córkę ziemi, jedyną prawą dziedziczkę puścizny ojców, świętą pracownicę ogołocili z rozumu, wprzęgli w jarzmo niewoli i nędzy. Rzecz jasna! Wykwintnemu uzwierzęceniu, rozpasanemu samolubstwu nigdy nie było dość pastwy.

Ciężkie sieroctwo! Lud bez ojczyzny, sierotą.

Biedny polski ludzie, nieszczęsna sieroto! Jak harfa eolska pełen wdzięków, piękności, uczucia i prawdy — gdzie pieśni twoich harmonja? Milczysz stłumiony brakiem wolnego powietrza, lub targan burzą cierpienia, zgrzytliwe jęki ślesz w głuche dla ciebie niebo.

Biedna dziewczyno! Gdyby nawet błyskawica obłąkania nie była oślepiła twego rozumu, jeszcze nie byłabyś odgadła, jaka moc pędziła cię do lasu, jakie tajemne wpływy naznaczały ci spotkanie z ręką bożego gniewu.

Zerwany kwiat polny dzielniej od ciebie zemścić się zdolen; zgaszona iskra cudem jeszcze w niszczący pożar rozpłonie. Tobie złamanej lilji cóż postaje? —

Nastusia westchnęła głęboko, senną dłoń przesuwała po wybladłem czole, oddech jej stawał się wolniejszym, swobodniały członki skurczone boleścią. Oddawna nie zakosztowany sen folgę przynosił gorączce umysłu i skołatanemu ciału.

Kazimierz ostrożnie dotknął się jej ręki: tętno biło łagodniej, krew ciepło zaczynała krążyć w żyłach przed chwilą lodem ściętych.

Życie na pół ubiegłe wracało na głos serdecznego spółczucia. Czyli rade wracało do nadwerężonej powłoki, czy nie byłoby wolało przerzucić się w tęskny kwiatek konwalji, z rozgruchaną żałośnie samotną turkawkę, w gwiazdkę wędrownicę po cichych stepach nocnego błękitu?

Bożej zmiłuj się! We wszystko wróciłoby radziej, niż w ciało biednej sieroty.

Poraj przekonany o ustępie niebezpieczeństwa, odsunął się na palcach, targnął w milczeniu starego leśnika za ramię, i obaj jak cienie wymknęli się z chaty.

— Dziewczyna zostanie u was — mówił półgłosem, odwodząc starca od progu. Nieszczęście obłąkało jej rozum, nieszczęście, którego przyczyny mi wiadome. Ojcze Macieju, znam dobre serce Agnieszki i twoje ku mnie przywiązanie; odwołuję się dziś do was obojga. Czego po was żądam, dowiesz się w dwóch słowach: dziewczę to jest dla mnie równie drogiem, jak gdyby było rodzoną siostrą moją; niech dla was będzie córką. Nie pytaj, nie staraj się nigdy odgadnąć, zkąd i dla czego? Żonie przykaż milczenie; przed ludźmi zachowaj niewzruszoną tajemnicę. Starań, opieki nie szczędźcie. Pamiętaj że wszystko co uczynicie dla sieroty, wyświadczycie mnie samemu.

Leśnik za całą odpowiedź wyciągnął dwa palce i starym zwyczajem, podniósł je ku czołu, na znak że polecenie z żołnierskim rygorem wypełnionem będzie co do joty.

Kazimierz ścisnął mu rękę i w jednej chwili przdpadł w gęstych zaroślach.

Wróciwszy do chaty, Maciej raz i drugi powtórzył w myśli słowa Poraja. Potrząsł głową, ale brnąć dalej w przypuszczenia się nie odważył; rozkaz wyraźnie zaprzeczał mu badania wątku zagadki. Przypomniał sobie atoli polecenie czuwania nad dzie-

wczyną, usadowił się na miejscu tylko co opuszczonem przez Kazimierza i do białego dnia, czyli do obluzowania go z warty przez Agnieszkę, wzroku z chorej nie spuszczał.

Maciej nie miał istotnych zatrudnień; potrzebował czegoś doglądać, czegoś strzedz, pilnować. Zjawienie się obłąkanej wieśniaczki wypełniało mu życie.

Stara Agnieszka wysłuchawszy mężowych i wydanych przez pana rozkazów, zakrzątnęła się wedle stosownego dla chorej posiłku. Do wpół wsunięta w komin, pochylona nad garnuszkami, kiedy niekiedy oczy ku łóżku zwracała ukradkiem, rozglądała delikatne kształty, przejrzystą płeć dziewczyny, tłumiła westchnienia, dumając nad dolą wieśniaczki na pozór, w istocie jednak dziecka urodzonego w pańskich pieluchach; ślepy mógł tylko nie dojrzeć prawdy.

Gospodyni pierwszy raz zacierpiała na skromność zasobów chaty; łamała sobie myśl nad wynalazkiem wykwintnego pokarmu; jużcić razowym chlebem oczywiście szlacheckiego dziecka trudno było ugościć.

Na szczęście, zapasy leśnikowej śpiżarni o wiele przewyższały wymogi Nastusi.

Chora o wschodzie słońca otwarła oczy, zatoczyła je bezprzytomnie; utkwiła w tęczową pręgę pyłku wyzłoconego wnikłym przez szczelinę promieniem. Leżała nieruchomie, oddechem tylko dając znak życia.

Agnieszka podała jej kaszę warzoną w mleku. Dziewczę w milczeniu odwróciło głowę ku ścianie; napój natomiast pochwyciła chciwemi rękami, z widoczną roskoszą wychyliła do dna kubek kwasem zaprawnej wody. Gorączka paliła jej piersi.

Leśnik i żona jego rozmawiali z sobą gestami, stąpali na palcach, jak zwykle czyni się przy chorym.

Ku południowi tentent konia rozległ się po lesie i zanim sędziwe stadło miało czas się opatrzeć, drzwi zwolna się uchylały. Poraj stawał na progu.

Leśnik skłonił mu do kolan łysinę. Kazimierz rzucił wzrok bystry na łoże. Nastusia nie okazywała żadnego ruchu; zapewne spała.

Skinął na starca i obaj wyszli przed chatę.

— No, cóż Macieju! — rzekł, poufale kładąc mu dłoń na ramieniu — jak się ma twoja komornica?

— Niczego — odparł leśnik — nie skarży się; od wczoraj nie mówiła ani słowa. Pilnowałem ją przez noc całą; spała dość spokojnie.

— Czy jeszcze śpi nieboga?

— Broń Boże! — Razem ze słonkiem otwarła oczy; patrzy w jedno miejsce jak w poświętny obraz. Kobieta moja dawała jej podjeść — ale nie głodna snać; do napoju tylko pochopna.

— Stary człowiek jesteś, Macieju; siła masz doświadczenia. Powiedz mi, jak myślisz: zamrze czy wyzdrowieje?

Leśnik podniósł oczy ku niebu, zastukał w palce.

— Agnieszka mówi, że wyłabuda się z biedy; baba moja zna się na ziołach i na niemocach; ciągle jej warzy jakieś napoje. Klnie się duszą, że dziewczyna za kilka dni wstanie na nogi.

— Tem lepiej, stary mój przyjacielu; trzeba nam o niej pomyśleć. Pamiętasz, co ci mówiłem wczoraj? Naradziłeś się z żoną? Czy możesz wyświadczyć mi tę przysługę i wziąść ją do siebie?

— Do kroćset Niemców i Moskali! — Wielmożny pan niepotrzebnie pyta. Chatę mam z łaski, żyję z łaski — chata i życie należą do tego czyja łaska. Starzyśmy oboje, to prawda; ale sił nam nie brak. Nie takie usługi każde z nas gotowe naszemu panu zaofiarować.

— Dziękuję ci; nie o tem mowa. W twoim wieku, z twoją zasługą, tobie należy wymagać usług od młodszych. Człowiek wart ile przeżył i wytrzymał, czy to w kapocie, czy w sukmanie. Ale w tej chwili o co innego chodzi. Dziewczyna zostanie więc u ciebie; rzecz ułożona.

Nie dość na tem; rozumiesz że nie radbym narzucać wam próżnego ciężaru. Gdzie więcej ludzi, tam więcej potrzeb; z zasiłkiem, jakiś sam sobie wyznaczył, na dwoje, mojem zdaniem, za szczupło; na troje tem bardziej nie wystarczy. Nie troszcz się atoli, nie przybędzie wam ciężaru ani frasunku; pomyśliłem o wszystkiem. —

Starzec najeżył wąsy; widno w niesmak mu szła pańska troskliwość. Zarumienił się jak podlot dziewczyna i rzekł, w ziemi niby czytając odpowiedź:

— Gdzie dość dla dwojga, tam trzecie z głodu nie umrze. Mamy wszystkiego do sytu; od biedy jest nawet i gościa czem przyjąć. Więcej żądać lub brać, byłoby marnotrawstwem bożego daru. Toć i wielmożny pan nie pogardza przecie dobrą naszą chęcią.

— Przeciwnie; spytaj Agnieszki jak pogardzam mlekiem, którem mię częstuje, ile razy do was przychodzę. Ale nie zapominaj, stary gaduło, że my zdrowi na byle czem przestajem; choremu trzeba więcej wygód, ba! nawet i wymysłów.

— Dziewczyna otrząśnie się z choroby; na przyszłą niedzielę o własnych siłach pobieży do dworu. Agnieszka rzadko kiedy się odzywa, ale co powie, to prawda.

— Chora czy zdrowa, mniejsza o to. Widzę że nie dojdę z tobą do ładu. Muszę gdzieindziej poszukać, a jednak nie spodziewałem się, aby ty Maciej, stary mój znajomy — wszak od kolebki, nieprawdaż?

— Nieboszczyka rodzica — Panie świeć nad jego duszą! — pamiętam małem chłopięciem — zawołał leśnik głosem drżącym nieco od wzruszenia — i panią matkę wielmożnego pana, opiekunkę wszystkich biednych, widzę jak na dłoni.

Szukać gdzieindziej! Szukać wierniejszych sług od starego Macieja!

Do miljona pękatych beczek! — jak mawiał pan szewc Kiliński. — Po mojej śmierci, nie mówię — ale dopóki żyję, szukać pewniejszych ludzi odemnie, potulniejszej kobiety od Agnieszki? — Co wielmożny pan rozkaże? — Baczność! oczy przed siebie — naprzód, marsz! — chociażby przyszło stąpać po węglach. —

Leśnik wyprostował się jak pika, ręce do lędźwi przycisnął, prawą nogę do góry podnosił — istny rekrut na mustrze.

Lekki uśmiech przebłysnął po obliczu Poraja.

— Zgoda! — rzekł — ofiarujesz mi dowództwo nad twoim korpusem. Przyjmuję i uprzedzam zawczasu, że nie będę zważał na żadne wymówki; karność wojskowa i posłuszeństwo

przedewszystkiem. Niechże więc teraz komenda nadstawia uszu i pilnie słucha rozkazu dziennego:

Szeregowy Maciej uda się natychmiast do dworu, zgłosi się do starego przyjaciela swego Grzegorza i przywiezie go tu jak najspieszniej wraz z pakunkiem w tym celu przygotowanym. Tenże Maciej przejdzie następnie pod rozkazy Grzegorza i udzieli mu czynnej pomocy w wewnętrznych zmianach, w urządzeniach chaty, w zaopatrzeniu jej i uwygodnieniu stosownie do wydanego planu. Naczelny wódz zaleca pośpiech i ślepe posłuszeństwo pod karą oddania winowajcy pod sąd wojenny Agnieszki. Pół obrotu na prawo, ku stajni — prawa noga naprzód — marsz! —

Leśnik już wyciągał prostą linję ku małej stajence, nadymał policzki, wytrzeszczał oczy dla nadania sobie pewności. Chwiał pomimo to niepewną postawą i ostatnie kroki puścił nieborak oczywistym zygzakiem.

Kazimierz poglądał chwilę za odchodzącym. Ufny w żołnierską akuratność starego wiarusa, zostawił go przyborom do drogi, sam zaś wszedł do chaty. Przepowiednie Macieja chciał jak najprędzej sprawdzić własnemi oczyma.

Nastusia podniosła nieco postać, głowę wsparła na dłoni, wzrok utkwiła w białe i niebieskie kratki swojej poduszki, szukając czegoś w pokrzyżowanych niciach płótna — wątku może myśli bezpowrotnie straconej niestety!

Szmer kroków przychodnia nie wyrwał jej z zadumki. Ostatnie iskry rozwagi tlące na zgliszczach pojęcia, nie miały dość blasku do odbicia się w zewnętrznych przedmiotach.

Kazimierz długo poglądał na to żywe rumowisko uczuć, dorzucał na ognie własnych wspomnień zarzewia cierpień dziewczyny, siadł wreszcie u głów jej i łagodnie objął jej rękę.

Nastusia z początku nie zważała; gdy jednak ciepło przyjaznej dłoni rozbiegło się po jej ramieniu, wzniosła zwolna powieki i spoczęła wzrokiem na tęsknem obliczu gościa.

Czy poznawała go, czy przypominała wypadki dnia wczorajszego? — Trudno było odgadnąć. Wodziła błędne źrenice po spokojnych rysach Poraja, głaskała rękaw jego odzieży, ale żaden wyraz czucia nie rozjaśniał jej twarzy, nie rozpędzał mgły bezwiedzy, majaczącej przed nią gęstym tumanem.

Kazimierz sprobował zaczepić ją słowem.

— Co mi dziś powiesz o sobie, moja droga? — rzekł, wolno upuszczając dźwięk po dźwięku. — Co cię dolega? Czy nie czujesz się lepiej jak wczoraj?

Nastusia wpatrywała się w ruchy jego ust. Rysy tego oblicza, dźwięk tego głosu, oczywiście miłe niosły jej wrażenie. Znaczenia słów nie pojmowała, o przyczynę troskliwości nieznajomego opiekuna nie umiała siebie zapytać.

— Ciężko jeszcze bolejesz, moje dziecię? — ponowił Kazimierz. — Bądź dobrej myśli, Bóg cierpienia oddali. Może chciałabyś trochę napoju? Nic ci przez myśl nie przechodzi — do niczego nie masz chęci?

Nastusia oburącz uścisnęła skronie i opadła na pościel.

Przeciągłe westchnienie, mimowolny tłumacz dotkliwych jej bolów, wydarło się z jej piersi.

Poraj położył rękę na jej czole. Żarem pałało.

Dziewczyna przymknęła na chwilę powieki, garnąc niby w siebie słodkie uczucie ulgi, jakiem przejmowało ją dotknięcie łagodnej dłoni. Wrzkomo zdawała się coraz upadać na siłach; pojętny atoli umysł łatwo mógł poznać, że właśnie gwoli temu wycieńczeniu ciała, stan jej widocznie się polepszał. Wczorajsze gorączkowe natężenie umysłu i członków musiało rozwiązać się w bezwładność.

Troskliwe starania i dzielniejsza nad wszelkie leki natura, obiecywały zwalczyć materjalną niemoc biednej istoty. Na teraz potrzebowała przedewszystkiem spokoju, spoczynku.

Kazimierz nie odważał się trudzić jej dalej pytaniami; poprzestał na wyręczaniu Agnieszki w zachodach około chorej, podawał jej napój, odwilżał czoło i skronie, poprawiał poduszki, z niezadowolnieniem patrząc na nędzną pościel.

Przyjazd Grzegorza miał zaradzić mnogim niewygodom.

Nastusia chciała zamknąć powieki, w sen może uciec przed targaniną myśli: sen od niej uciekał, niezwalczony pociąg bez ustanku zwracał jej wzrok ku licu sąsiada. Z nasuniętemi brwiami, ze zmarszczonem czołem, topiła w nim błękitne źrenice, jak gdyby sama na siebie gniewna, że znajomej sobie od wieków postaci dziś poznać, przypomnieć, nazwać nie może.

Próżno mózg pracował, daremnie skołatany umysł ścigał, nawoływał ostatki wspomnień — ćmiło jej tylko w oczach. Z porwanego łańcucha myśli, większa część ogniw zginęła bez śladu.

Poraj nie ciekawym był bliższych szczegółów życia dziewczyny; wystarczało mu wczorajsze wyznanie. Własną myślą powypełniał puste miejsca w obrazie; krwawa posępność tła nic na tem nie straciła.

Fatalizm grał z nim w dziwne igraszki. W dramacie, jaki przed nim się rozwijał, przeznaczenie od każdego działacza wybierało daninę w miarę charakteru i możebności: cierpienie i zagubę od słabych, wytrwałość i czyn jędrny od dzielnych.

Główne wypadki rozwoju musiały stać się, dopełnić, chociażby nawet na przekor przedstawiaczom nieubłaganych jego wyroków. Przekonanie ludzkie tyle o nich naprzód wiedziało, ile prawdy do koła siebie spostrzegał wzrok obłąkanej wieśniaczki.

Dziewczyna bezwiednie patrzyła w oblicze swego strażnika; żaden cień myśli, żaden odbłysk uczucia nie przewijał się po jej twarzy. Obumarła na teraźniejszość, z przeszłości nosiła tylko nieme cierpienia.

Kazimierz zabierał się ku wyjściu. Powstał, oddalił się na kilka kroków, z progu raz jeszcze spojrzał na blade rysy dziewczyny, biednego stworzenia utowarzyszonego mimowolnie w dalszych jego zamiarach.

Nastusia patrzyła za odchodzącym; wzrok jej pierwszy raz ocknął się nieco, zadrżał błędnym jakimś niepokojem. Dwie grube łzy zabłysły na jej rzęsach i spokojnie spłynęły po białych jagodach.

Dwie łzy! W nich zwierało się całe życie, wszystkie uczucia, cała wymowa pognębionej sieroty.

Kazimierzowi łzy te upadły na serce — przemówiła do niego Nastusia. Zwarjowana wieśniaczka głębiej zrozumiała i poczuła w nim człowieka, aniżeli niejedna z pańskiego pałacu, o świetnym rozumie, o wykwintnem wychowaniu.

Ha, minęło — nie ma o czem mówić! —

. . . .

Stary Grzegorz sam jeden wtajemniczony w pobyt dziewczyny u leśnika, nadjechał wkrótce z żądanemi przybory. Maciej całą siłą mu dopomagał; Agnieszka z radosną ciekawością oglądała każdy szczegół.

Niebawem chata zaobfitowała we wszystko, o czem tylko można było zamarzyć dla dostatnich wygód życia. Inne odmiany, wymagające dłuższego czasu, te zwłaszcza, które dotyczyły rozprzestrzenienia i wewnętrznych ustrojów siedziby, Grzegorz z pomocą dwóch znajomych mu z dalekiego miasta robotników, przed pierwszemi jeszcze przymrozki zupełnie uskutecznił.

Chata leśnika na pozór wyglądała zawsze jednako; wewnątrz atoli nie ustępowała zamożnym dzierżawnym dworkom. Nastusia nastręczyła Porajowi sposobność przełamania uporu starego żołnierza, który niby pokutnik, nie wiadomo za czyje grzechy, wzbraniał się do ostatniego w czemkolwiek uwygodnić schyłku w trudach zużytego życia.

Przepowiednie Agnieszki ziściły się co do słowa.

Dzięki lekarskim jej znajomościom, a może i innym tajemniczym środkom — powszechnie bowiem było wiadomem, że leśnikowa umiała zamawiać niemoce — Nastusia w przeciągu kilkunastu dni zupełnie wróciła do sił. Z walki z cierpieniem została jej tylko bladość oblicza, zostały zapadłe, posępnie świecące oczy, dwie lampy grobowe zatlone na mogile znikłego szczęścia, dwa ogniska, gdzie dymnie dopalały się reszty pamięci i rozumu.

Ciało wstało na nogi, duch raz uwikłany w straszną plątaninę zakatowanych uczuć, napróżno starał się wygmatwać z przeklętego bezładu; twórcze co najdzielniejsze iskry na wieki zagasił wraz z szczęściem dziewczyny.

Czasami jednak smętarny ten ognik pogrzebanego bytu błyskał przelotnym płomykiem, ale bez punktu oparcia, bez celu; świecił z wyrwaną z bezmiarów gwiazdą i wnet ronił ją gdzieś w nieskończonych otchłaniach.

Niekiedy chwilowe przypomnienie, lub nagły widok dawniej widzianego przedmiotu, albo dźwięk niezatarty w pamięci serca, lub pieszczota starej Agnieszki, wyzywały na chwilę do zmartwychwstania obłąkany umysł sieroty. Nie wiadomo zkąd

i dla czego, Nastusia zwykle milcząca, pochmurna, wyjaśniała czoło, wdzięczała uśmiechem, prawiła dorzeczne wyrazy, tkliwemi słowy płaciła pieszczotę. Rozpogodzenia te szybko mijały — gęsty smutek zazdrośnie parł się na najmniejszą szmatę błękitu jej myśli.

Stare małżeństwo nie miało wreszcie żadnej z nią biedy, z każdym dniem nawet silniej przywiązywało się do znalezionego dziewczęcia.

Nastusia cicha, potulna, nie znała żadnych wymóg. Wlubiona w samotność, zostawiała leśnika i jego żonę upodobanym zatrudnieniom. Słychać jej w domu nie było, chyba gdy półgłosem zawodziła tęskną jaką piosenkę, lub z niewidzialnymi gośćmi wszczynała dziwne jakieś rozmowy.

Leśnik rad słuchał piosenek; melodyjny głos dziewczyny kołysał go i słodko usypiał. Agnieszka w samotnych jej rozhoworach wysłuchiwała często przysięgi, żale, skargi, wyrzuty, czasami długie rozpowiadania zimowych niby bajek, to znów utyski bez miary, ciche modlitwy i łzy.

Nastusia zapytywana, odwracała głowę, odpowiadała milczeniem. Przestali nareszcie pytać, przyzwyczaili się do jej obyczaju.

Dla Kazimierza wieśniacza sierota była jedynem może stworzeniem, którego widok ku sobie go pociągał. Zaświatne dzicze, w jakie pędziła go błędna fantazja dziewczyny, błogo przerywały mu własne niepokoje, podczas gdy myśl o ulżeniu jej cierpień pozwalała zużywać na rzeczywistym celu jeden z głównych popędów jego serca.

Chata leśnika stała się zwykłym kierunkiem jego wycieczek. Zdawało się mu, że człowiecze społeczeństwo, że świat ludzkiej niedoli, przesądów, bezprawia, ucisku i wojny, kończył się u brzegów lasu. Odtąd berło wszechwładztwa bezsprzecznie wracało naturze.

Troje ludzi rzuconych śród samotnych jej państw, nic wspólnego nie miało z resztą sobie podobnych. Leśnik w istocie poległ pod Maciejowicami: od pamiętnej klęski wiódł upiorny niejako żywot: Agnieszka oddychała życiem męża; trzecie zaś stworzenie, mniej jeszcze od dwóch poprzednich, należało do ziemi.

Ludzie jedni odumarli Nastusię, drudzy w przystępie żądz lekkomyślnych podali jej kielich fałszywej słodyczy z kroplami trucizny na dnie. Wychyliła czarę nieboga. Znikło czarowne złudzenie. Z rozdartem sercem, z podruzgotanym umysłem, śród wichrów i burzy, nagle ujrzała się sama jedna, w nocy, klęcząca na świeżym grobie matki.

Ostatnie wrażenie na wieki przymarło jej do pamięci; inne, szczęśliwsze, uleciały wraz z szczęściem.

Z dawnych drużek, z dawnych powiernic, jedna jej tylko nie opuściła; przetrwała z nią wszystkie boleści, odcieniem spółczucia przytarła ostrych kolców obłąkaniu, rzewnym jakimś obłędem zagrodziła wstęp dzikiemu szaleństwu. Siostra natura przytuliła do wiecznie pięknego łona opuszczoną sierotę. Pamiętna serdecznych pokumań w chwilach szczęścia, w niedoli podwoiła ku niej pieszczot, wdzięków, uroków, szeptała tajemne pociechy, odzywała się tysiącznemi głosy, z których każdy płynął prosto do serca, kołysał rozpacze, zabliźniał rany, umilał byt. Im głębiej rzeczywisty świat tonął za nią w niepamięci, tem szerzej roztaczał się przed nią krąg widzeń nieziemskich na ziemi i ziemskich na niebie. Pełne uczuć, choć ogołocone z wniosków, zapatrywanie pochłonęło całą jej istotę.

Śmiech na twarzy, a w sercu płomienna nienawiść, przyjazne słowa kryjące zdradę, dobroć na ustach, oszustwo i walka na zabój w czynie, religja w teorji, a w praktyce bluzganie jadem na bliźnich — takie są często dowody ludzkiego rozumu. Po zręcznem dopełnianiu tych warunków, świat rozeznaje mądrego od obłąkańca.

Kazimierz światowej mądrości nie znajdował w Nastusi; spotykał się z nią natomiast na zewnątrz powszednich wyobrażeń, podawał jej rękę w tej krainie, gdzie dotykalne kształty rozwiewają się w ogólne uczucie piękności, światła, swobody, gdzie cała mądrość zestrzela się w oku, całe życie objawia w natchnieniu.

Mniejsza o to zkąd urok pochodził, w skutek jakiego prawa wykwitła piękność — czyliż nie dość było, że wzrok ich mimowiednie, często i razem, w jedną zwracał się stronę — na tymże samym spoczywał przedmiocie, z równąż lubością pieścił się jednym widokiem?

Nieraz po wysłuchaniu gwarów Nastusi, wracając samotny do domu, długo marzył o ślepych rozumach, o jasnowidnem obłąkaniu. Miałażby najwyższa mądrość być niczem innem tylko najwyższem uczuciem? Podobnej mądrości iskra świetnie błyszczała w umyśle Nastusi; każde wrażenie znajdowało w niej oddźwięk — spojni tylko nie dostawało w obrazach, jeden ton nie przelewał się w drugi — silnie wprawdzie uderzał, brzmiał głębokim odgłosem, nagle atoli urywał się, giął czasem w niesfornym akordzie, niekiedy w obumarłym przestanku, w zupełnej niepamięci na teraźniejszość.

Uroczysta cisza lasów, wspaniały widok rozpiętrzonych gór, tęczowe kobierce dzikich kwiatów, gry wichrem granych obłoków, wgarnęły w siebie życie Nastusi. Zbolałe jej serce, odarte z obojętnej tkantki rozumowego samolubstwa, tem silniej przyjmowało zewnętrzne wrażenia. Ulgę atoli, spoczynek, przynosiła jej tylko bezwładność; boleść jak bluszcz pasożytny oplatała każdą jej myśl, każde uczucie.

Kazimierz zapuszczając się w ulubioną przechadzkę, często nadstawiał ucha na szmer liści, na szelest gałęzi, na stłumioną nutę tęsknej jakiejś piosenki. Zatrzymywał się — spostrzegał Nastusię.

Dziewczyna oswojona z jego widokiem, promieniła na chwilę oblicze, biegła, stawała mu tuż przed oczyma. Zadumana, milcząca, wypuszczała z rąk fartuch pełen leśnej zdobyczy i kaskadę kwiatów sypała gościowi pod nogi.

Poraj z uśmiechem pomagał jej zbierać uronione łupy, siadał na pniu powalonej jodły, lub na wywrocie starego dębu patrzył jak wiązała równianki, odgarnial jej z czoła włosy, gdy do stóp mu przyklękła; nagle podnosiła źrenice, gdy pokazywała mu nowy jaki kwiatek i w oczach szukała wspólności podziwu.

Dziewczę przerywało milczenie, rozpowiadało dziwne historje, barwiste i potargane, jak kwiaty w jej dłoniach, łzy mięszało z uśmiechem, westchnienia z szmerem żałosnych piosenek.

Kazimierz ścigał myślą rzucane na wiatr listki uczucia, upędzał się za prawdą błyszczącą głęboko gdzieś na dnie chmur-

nych obłędów, podziwiał w dziewczęciu błyskawice z nieba wyrwanych natchnień.

Czasami pozwalał jej towarzyszyć sobie w dalekich wycieczkach, a gdy siły zdradzały biedną wędrownicę, porywał ją w ramiona, unosił pół senną jak dziecię, składał w pobliżu chaty, gdzie pewnym był że ją wynajdą matczyne starania Agnieszki, lub troskliwa baczność leśnika.

Pewnego dnia Kazimierz czuł silniejszą niż zwykle potrzebę samotności.

Z rana odebrał był ważne przesyłki z zagranicy, z Włoch. Tajemniczą drogą wręczone wieści donosiły mu o niebezpieczeństwach zagrażających w Lombardji kilku bliskim jego druhom. Dorywcze wzmianki o konieczności wybuchu, o walce, o nierównych siłach, wpędziły go na manowce głębokich rozmysłów, gorzkich przewidzeń. Za ciasno mu było w domu, gdzie od roku przeszło nikt samotności jego nie przerwał. Wskoczył na konia i pogonił ku górom.

Wjechał do lasu, przemykał się drożynami, gdy nagle z zarośli doszedł go szmer i pokazała się między krzewy postać starego leśnika.

Maciej ze znajomą nam strzelbą przewieszoną przez plecy, co chwila schylał się i podnosił, jak gdyby bóstwu tych miejsc wybijał pokłony. Wojowniczy atoli jego przybór nie oznaczał mordeczych igraszek. Leśnik zabawiał się niewinnem polowaniem: zbierał grzyby.

Jeździec zsiadł z konia i pozdrowił starca. Nie rad wdawać się w dłuższe rozmowy, powierzył jego straży wierne zwierzę i znajomemi ścieżkami zapuścił się w las, ku skałom.

Maciej nie sam porzucił chatę: Nastusia podążyła za nim na kwieciste swe łowy. Wkrótce jednak oboje znęceni, każde szczególnie miłą sobie zdobyczą, rozeszli się: starzec gdzie go wabiły grzyby, dziewczyna gdzie więcej błyskało kwiecia.

Tentent konia wyrwał oboje z właściwych im marzeń. Nastusia przytuliła się do ziemi i kędy mniej gęsty liść zarastał, uweselonemi oczyma patrzyła na rozmawiających. Gdy Kazimierz zabierał się do odejścia i ona także powstała, mimowiednie uwieńczyła czoło niedowiązaną jeszcze równianką z dzwonków, z konwalji i z niezapominajek, i lekkiemi stopy coraz od-

dalała się od leśnika, w stronę, gdzie młody jej opiekun obrócił był swoje kroki.

Poraj splótł ręce na piersiach, zwolnił chód; las przed nim rzedniał, ziemia zaczynała wydymać się w góry, rozpadać w wąwozy, najeżać skałami — istne pobojowisko Tytanów, mogiła bajecznych waleczników i ślady upornego ich z bogami przeboju.

U krańców widnokręgu najwyższe piętra gór tonęły w błękicie, na niższych warstwach skały świeciły wyzłoconemi od słońca czerepy, darły się, pękały, zwieszały nad przepaściami, wywracały na wznak i znowu stawały jak wryte; zadumane widze pogoni chmur, strażniki z szumem rozhuczanych potoków.

Opodal na skraju piorunami snać podartego wąwozu, wznosiło się kilka świerków, zabłąkanych od reszty lasu, wygnańców może za nieuległość królom puszczy — dębom. Z trzech stron ciemnej osady tułaczów, głaz zimny, na którym nie wiadomo jak wyrastały, prawdziwa ziemia wygnania — rozpadał się na urwisko i stawił posępne czoło gęstej zieleni rozlicznego krzewia natłoczonego na przeciwnej stronie parowu, podczas gdy z czwartej strony skaliszcze kolcatym złomem zaczepione o ziemię, śmielszym tylko stopom dozwalało przystępu.

Z miejsca tego wzrok obiegał dalekie okolice; natura tu rozdziwaczała się w wybryki szalonej fantazji, bezprzytomną rzekłbyś dłonią miotała cały przepych roślinności obok nagich szkieletów ubogiego granitu lub wybladłych piaskowców.

Poraj wspiął się na wyżynę, wewnętrzne troski silniej go zaprzątały, niż bogata krasa przyrody. Z oczyma wlepionemi w ziemię, myślą wędrował gdzieś daleko, siadł na łomie głazu, dobył z bocznej kieszeni kilka listów zasianych makiem liter, pragnął raz jeszcze je odczytać. Pismo majaczyło mu przed wzrokiem, tłum ciężkich niepokojów osiadał na umyśle.

Podniósł oczy — lekki szmer przerwał mu szarą nić zadumań.

O kilkanaście kroków na dole, śród ciemnej zieleni jałowców i głogów zabielała ludzka postać. Niebawem rozchyliły się gałęzie i jak leśna rusałka, Nastusia pokazała swą twarz oprawną w ramy z liścia i z kwiatów.

Dziewczyna strzelała do koła bystremi oczyma. Zoczyła nareszcie cel swoich poszukiwań, klasnęła w dłonie, wysunęła naprzód drobną nóżkę, czekała na odzew, na znak, na przyzwanie.

Kazimierz pieścił przez chwilę wzrok wdzięcznym obrazem; przyzwyczajony często spotykać dziewczynę w samotnych przechadzkach, nie dziwił się wcale zjawieniu. Tajemny pociąg instynktowo nęcił sierotę ku swemu opiekunowi; duchy ich spotkały się i pobratały na wspólnych manowcach cierpień; struna spółczucia strojnie w obu dźwięczała, chociaż w pierwszym miała wszelką sposobność do pełnego akordu, w drugiej sama jedna pozostawała nietknięta między resztą na wieki potarganych siostr.

Tęskny, przelotny uśmiech drasnął lice Kazimierza. Nastusia wydarła się z objęć krzewiny, pobiegła ku niemu i zadyszana przysiadła, klęcząc u stóp swego przyjaciela.

Poraj powiódł łagodną rękę po czole dziewczyny, poprawił jej na skroniach kwiecistą równiankę, rzucił nieznaczne jakieś pytanie.

Nie odpowiedziała; nie podniosła nawet ku niemu oczu, bądź że zmęczenie oddech jej tamowało, bądź też że widok czarownego, pierwszy raz oglądanego miejsca wyłącznie pochłaniał biedną jej uwagę.

Nic dziwnego. Często, gdy nawet słaby wątek jej myśli snuł się zrozumiałym ładem, Nastusia przerywała go nagle, uderzona niezwykłym a wymownym dla niej kształtem listka, kwiatu, motyla, obłoku, brzęczącej muszki, lub rozpiętego na chmurach orła. Słowo ludzkie było ostatnim dźwiękiem znajdującym w niej odgłos. Lada szczegół dotykalny, lada pyłek dojrzany okiem, otrzymywały pierwszeństwo.

W tej chwili z podaną naprzód kibicią, z rozchylonemi nieco usty, na roścież otwierała błękitne źrenice, topiła je w uroczem widowisku, jakie przed nią rozściełała druga jej opiekunka — natura.

Ze szczytu gór srebrną wstęgą pędził rozhukany strumień, borykał się z powalonemi na drodze złomami, wydzierał z pod granitów, okrążał większe zawały, dopadał wreszcie swobodnego łożyska i naprzeciw kępy świerkowej dopłynąwszy brze-

gów parowu, kryształową płachtą aż do dna wąwozu rozbijał się w kaskadę.

Nastusia odrzuciła w tył głowę i wsparta na łokciu, wczepiła wzrok w plątaninę promieni słońca i rozigranych pasm wody.

Potok gonił co siły, ale zanim uległ konieczności ostatecznego upadku, raz jeszcze wspinał się i grzywił na skraju rozdołu, wirował w tysiączne kręgi, okręcał jak na osi; wyzłacał, brylantował, wyiskrzał każdą wody kropelkę i tak dopiero wystrojony, śmiało, hucznie, wesoło leciał na zatratę.

Kazimierz długo poglądał na rozjaśnioną twarz dziewczyny. Widok pogody na jej czole i jemu ulgę przynosił, i on część własnych frasunków zaczynał gubić w uroku rozesłanych przed nim obrazów. Nastusia mimowolnie udzielała mu swego spokoju, swego oderwania od świata.

— Nie znałaś jeszcze tego miejsca? — rzekł do niej po chwili. — Do chaty ztąd daleko, mila z okładem; nie chciałem cię na zmęczenie prowadzić.

Dziewczyna ujęła go za ramię i za całą odpowiedź wyciągała rękę ku stronie kaskady.

— Piękny widok, nieprawdaż moja miła? Czy pierwszy raz widzisz podobne zjawisko?

— Kto wylał tę wodę? — odrzekła Nastusia? — Kto ją tak szybko pogania?

— Źródło ją wylewa, tam, daleko, pod obłokami, u szczytu gór. Źródło takie same jak to, które widziałaś tuż za chatą niedaleko wielkiego dębu, gdzie często siadujesz wieczorem.

— Żródło nasze nie takie; woda w niem ciemna — kwiatek przejrzeć się nie może. Tu złocistych blaszek jak maku i djamenty z góry ktoś sypie. U nas woda zimna i cicha — tu kipi i ogniem pryska. Czemu nie chcesz prawdy powiedzieć? Nastusia nic nie wie; bez bolu chorą ma głowę.

— Dziecię! zaczekaj zmierzchu; przekonasz się, że i tu woda zciemnieje. Za nadejściem nocy gwiazdy na niebie się zapalą, ale tu w kaskadzie wszystkie pogasną.

— Noc wszystkie pozabija? Jeden tylko dzień życia! Może dla tego im tak wesoło?

— Komuż wesoło?

— Gwiazdki mrugają, skaczą kropelki, w górze się łączą i pieszczą. Ha! dziwne kropelki temu, kto wszystko w nich widzi! W każdej prześwieca twarzyczka, mieni się, znika, wypływa. Śmieją się jedna ku drugiej, weselą życiem i słońcem, i jak pląsają, i w jakie wianki się plączą! U każdej główki z boku tryskają tęczowe skrzydełka, jako w kościelnym obrazie Wniebowzięcia, u stóp Najświętszej Panny, na każdym obłoczku siedzi Cherubek. Tylko że ich tu więcej, daleko więcej, to prawda, i każdy błyszczy jak słońce, i wiecznie świeży i piękny — kąpią się w złocie promieni.

Słychać szmer nieustanny. Ach, gdyby piosnkę dosłyszyć! Tańcują i pewno zawodzą piosenki.

Od kolebki ludzie nad uchem krzyczeli, ogłuszyli na wszystko, prócz na ich głos. Huk tętni z daleka, głos złego ducha. Owinął się w chmurę, przerzucił w wicher, zaczaił, zszedł małe aniołki bawiące się w górach, wystraszył, rozpędził. Teraz gna je przed sobą; sam straszny i ciemny, zajrzał im krasy i wesela, pędzi je na zatratę. Biedne z błękitu motylki! — Jak uciekają! jeden przez drugiego, a tuż za niemi znowu gromadka i jeszcze jeden, dziesiątki, tysiące — nie zliczysz wszystkich, gonią a gonią, lecą a lecą, wylękłe, drżące, obejrzeć się nie odważą. Patrz, panie mój! Widzisz, jakby się chciały zatrzymać. Darmo! Nie mogą, nie ostoją się same. Tyle kamieni na drodze, a wszystkie ostre i zimne. Co z niemi się stanie? Mów!

— Znikną w parowie, moja miła.

— A potem?

— Potem dnem wąwozu popłyną dalej do Dniestru — do długiej, szerokiej rzeki, którą już nieraz widziałaś. Z Dniestrem następnie razem podążą przez dalekie kraje i utoną w morzu.

— W morzu?

— W morzu — w wielkiem niezmiernem jeziorze, tak wielkiem, jak niebo nad twoją głową — w głębiach wody gorzkiej —

— Tak gorzkiej jak łzy — przerwała Nastusia. — Zkąd się jej tyle nabrało? — Czy ziemia ma w sobie tyle goryczy, ile człowiecze serce, gdy zła dola ból w nie na wieki zapuści? Toć lepiej byłoby może dać się czarnemu wichrowi wystraszyć

i z niemi razem popłynąć. Pobiegnąć na góry, ręce na piersiach skrzyżować, jak nieboszczyki w trumnicach zamknąć powieki, i dalej — puścić się ku gorzkiemu jezioru.

Na głowie, tu z wierzchu, zmoru rozpala często ognisko. Czem ugasić, gdy już łez w piersiach nie stało! Innym razem na czoło, na skronie, obręcz żelazną naciska; ból niesłychany jak młotem w mózgu kołace. Kwiaty więdną na skroniach od żaru, co pamięć wypieka. Tu na srebrnej pościeli chłód nieustanny, i kwiaty żyłyby wiecznie; możeby tak się rozrosły, że na przyszłą wiosnę ujęłyby ciało Nastusi w zielone rańtuchy. Chodźmy na góry! Inaczej odetchniem. —

— Daleko na góry — bez tego jużeś zmęczona, biedna dzieweczko! Skarżysz się na głowę — czy znowu cierpisz? — Powiedz.

Nastusia wzięła rękę Kazimierza, położyła ją na czole.

— Dłoń nie lód — mówiła — ciepła, łagodna, a jednak byle jej dotknąć, byle się do niej przytulić, wraz boleść rzednieje, spokój na duszę zachodzi i widniej w oczach i jaśniej w pamięci.

Dawno temu, dawno, w dalekim dworze miała taką dłoń stara jedna wieśniaczka, piastunka Krystyna.

Umarła cała; dłoń jej tylko chodzi po świecie.

Miała dziewczynkę; dziewczynka umarła — ból jej tylko wędruje po ziemi.

Ból dziecka szuka dłoni matczynej. Czasem na długo się tracą, ale gdy znów się spotykają, dziewczę odżywa i zapomina o bolu.

Pamiętasz, mój panie, nad kołyską jakie piosenki, bywało, śpiewa ci mamka Krystyna. —

— Pamiętam twoje piosenki, moja luba — odrzekł Kazimierz, usiłując na weselsze szłaki zwrócić marzenia sieroty — nuty spamiętać tylko nie mogę. Gdybyś mi chciała przypomnieć? — Zaczekaj — tę długo piosenkę, o dwóch siostrach, co razem znalazły kwiat paproci. Wiesz jak mi twój głos miły; słuchałbym go przez całe życie.

— Próżno przyzywać piosenki, gdy nie chcą, nie wrócą. Gdy same się nagromadzą, Nastusia musi je wyśpiewać, inaczej odetchnąćby nie mogła; ale gdy ich nie ma tu w sercu, darmo

za niemi się uganiać. Dawniej nie tak bywało. Przybiegały ze wschodem słońca i miesiąc na niebie uśpić ich nie zdołał.

Dziś zbójcy rozbili miesiąc, porąbali, ukradli. Patrz, tam nad lasem, choć dzień jeszcze szeroki, miesiąca blady tylko okrawek połyska.

W chacie wieczorem, w lesie, u źródła, przyjemniej śpiewać; nikt nie podrzeźnia.

Tu w górach, straszno! Nie odzywaj się głośno; złe duchy chwytają ostatnie słowa, śmieją się z bolu, z ludzkiej niedoli; żal palcem wytykają. Jeden drugiemu powtarza, roznoszą po skałach, tłuką piosenkę o głazów urwiska, wloką po jaskiniach, męczą, aż rozpłakana w chmury gdzieś daleko ulata. Po co tu przyszliśmy? Wypocząć? — Na łące weselej, niż na smętarzu. Mogilnik! Świerki posępnie czekają na kogoś; płaczą tymczasem. Jeźli odejdziem, będzie im smutno; wolałyby szumić nam nad głowami. Jakiemu nieboszczykowi kapią na pierś ciemną zielenią? — A ten najwyższy, nad rozdołem, ku czemu się tak pochyla? — Żadnym listkiem nie ruszy, jakby z kamienia wyciosan.

Ha! — widzisz? — Słucha — ale jak słucha! — I my słuchajmy!

Biedna nieboga! — Słyszysz ją? — Patrz, tam na dębie — słyszysz nieszczęsną?

Boże zmiłuj się nad nią! — Słuchaj! Chciałeś piosenek — wszak sam wyzwałeś sierocą piosenkę? —

Nastusia cisnęła Poraja za rękę, skłoniła ku niemu zadziwioną głowę, przysłaniała ucho otwartą dłonią, jak gdyby nie stracić chciała żadnego z dochodzących ją dźwięków.

— Dziwna piosenka! — mówiła. — Na białych puchach śladów krwi nie widać, ale pod puchem bije ciężko zranione serce. Odleciała od swoich — samotna! Próżno za spokojem ugania, wicher rozmiotał jej gniazdo, już go więcej nie znajdzie. Do koła złoto, świeżo, zielono — ona się skarży, wyrzeka. Co świeci, nie dla niej świeci — co kwitnie jej nie weseli; na każdą radość smutek zarzucił jej wieczne całuny. Czy słyszysz łkania? Piosenka na nutę tłumionych łez. —

Kazimierz zapuścił wzrok w stronę, gdzie dziewczyna zwracała słupem ścięte źrenice. Tuż nad potokiem, na dębie, mię-

dzy wystrzelonemi w górę gałęźmi, bielała dzika gołębica. Z różanym dziobkiem pod skrzydło wtulonym, zdawała się wysłuchiwać i koić tenteny serca. Czasami zdjęta niby rozpaczą, w głuchych gruchaniach wynurzała wezbraną boleść, żałośnie wznosiła główkę ku niebu, wrzkomo w niedościgłych przestrzeniach upatrując pociechy.

— Panie mój! — prawiła dalej Nastusia — na cudzoziemskich książkach umiesz czytać jak na Złotym Ołtarzyku, a rodzinnej gołąbki nie chcesz rozumieć. Posłuchaj tylko: cierpienie wszędy utyskuje jednako. Powieść prawdziwa, choć nie pisana, ani wypowiadana człowieczym głosem. Sama jedna! — Przed sobą czarną przepaść spostrzega, za sobą stado kruków; krukiem dla niej każde wspomnienie. Próżno ucieka, darmo ostatnie siły wytęża, grobowe ptastwo, choć go nie widzisz, kracze jej w ucho przekleństwem, skrzydłami bije zajadle. Ten, z płomienistemi oczyma, najbliżej ją dopada, skrwawioną gardziel ku niej rozdziawia. Kryje się przed nimi gołąbka pod skrzydło, radaby nie słyszeć a słuchać musi złorzeczeń. Gdzie?— kracze — podziałaś matkę? Porzuciłaś starą piastunkę Krystynę! — Wyrzekła się własnego dziecka, zmarła z rozpaczy, leży w głębokiej mogile osierocona wieśniaczka. Krystyna! — Krystyna! — Gdzie matka Krystyna? — Czy słyszysz jak kracze? —

— Uspokój się, biedne dziecię — rzekł Kazimierz, ujmując w obie dłonie jej rękę — gołąbka twoja wcale nie smutna. Patrz! muszcze się, podnosi główkę, grucha wesoło.

— Grucha po gołębiemu, więc miło słuchać, ale nie wosoło, oj, nie wesoło! Tęczowe piórka, wyrzeka sierota, daleko ją uniosły; świt wschodził nad błoniem, jutrzenka siała na kwiaty rosę djamentów, pereł, rubinów. Dzień będzie piękny. Życia, wesela, uciechy, więcej niż w gnieździe matczynem. Dobrze u matki, u siwej gołąbki, ale od Krystyny wyciąga nadludzka moc. W piersi pełno świata, niby słońca w jaskrawe południe. Dalej za słońcem, choćby tam, gdzie już ziemi nie staje! Jak słodko, jak lekko, jak lubo we dwoje oddychać jednem westchnieniem!

Niebo błękitne — kto prawił o chmurach? — Dawniej bywało ich siła; zginęły i nigdy więcej nie wrócą.

O dniu wczorajszym nie ma co myśleć; jutro nie przyjdzie, dzisiaj wyciągnie się w wieczność.

Dusza upojona roskoszą, jak gdyby wchłonęła w siebie bezmiar kwiatowej woni. Głowę kołyszą czarowne, odurzające szumy. Mała ptaszyna, zda się, nie wystarczy na tyle szczęścia. Marne obawy! W tej drobnej piersi, pod puchem różowym, błogich upojeń świat się pomieści. Byle żyć było o czem, serca na radość nie zabraknie.

Doznała życia nieboga, jakiego błogosławionym tylko wolno kosztować. Na niej, niewinnej grzesznicy, ciążyło matczyne przekleństwo. A przecież był czas, gdzie o wszystkiem umiała zapomnieć. Jednem spojrzeniem porywał ją w niebo, jednym uściskiem raj jej otwierał.

Słuchaj jak rozpowiada, jak obłokowe gardziołko wzdyma perłami pamiątek! —

— Miałem więc słuszność, moja droga! Przekonywasz się sama: siostra twoja gołąbka nie narzeka; przeciwnie cieszy się życiem.

— Dawnego bytu wspomnienia brzmią jeszcze słodko. Ach! niegdyś wiele musiała zapoznać szczęścia, kiedy dziś z popiołów potrafi wygrzebać tak świetne iskry, kiedy w oddźwiękach wskrzeszonych tyle słodkiego śpiewu. Gorzko żyć choć na najmilszych pamiątkach.

Strażnik mogiły, świerk, nigdy nie kwitnie; posępnie kolce najeża.

Zmieniła nutę. Ciągną straszne chmury, w środku czarne, po brzegach krwią i żółcią oblane. Błyskają — ale nie błyskawice: śmiechy piekielnych upiorów. Grom bije po gromie; upiór z żywego stworzenia życie wypija, wdzięczną postacią smętarne kości okrywa, sunie na palcach, pieści zdradliwem słowem, Boga i chaty wieśniaczej wyprzeć się każe, porywa, wlecze na ciernie pod jedwabiem schowane, odurza głowę zatrutych oddechem kwiatów. Jeszcze jeden grom — raz jeszcze się błysło; słychać przeraźliwy śmiech!

Wszystko znikło. Łąka nie trawą, ale zeschłym mchem usłana — nie kwiaty, ale krzyże na niej wyrastają. Rodzinne gniazdo piorun potrzaskał, spopielił; na miejscu gniazda, grób świeży się czerni.

Noc ciemna, dżdżysta, wicher po kościach przewiewa. Co samej jednej począć?

Ucieka nieboga, ucieka przed sobą, goni daleko ku górom — może da Bóg, że w jakiej przepaści pamięć dawnego zatraci.

Nie mówmy głośno; niechaj wypocznie na dębowej gałązce; może ostatni to jej wypoczynek.

Panie mój, podejdź z cicha, ona nie zlęknie się ciebie. Popatrz na nią twojemi oczyma, jako spoglądasz gdy żal ci ludzkiej biedy. Siędzie na twojem ramieniu, zaniesiem sierotę do chaty; będziesz miał dwoje.

Teraz powoli zbliż się do dębu; ja uklęknę z daleka i zmówię pacierz za obłąkanych pielgrzymów.

Spiesz się póki czas. Widzisz, pogląda ku górom, uleci na własną zgubę; ciebie drugiego nie znajdzie. Ach, zlituj się nad biedną — przynieś Nastusi siostrę gołąbkę! We dwoje zmiłowania u Boga wyprosim. Patrz — ona tak blizko! —

— Daremne chęci, moja miła — rzekł Poraj. — Chociażbym dostał się na drugą stronę wąwozu, nic nie wskóram; gołąbka uciecze, siły jej nie brak do lotu; w jednej chwili zniknie nam z oczu.

— Uciecze i zniknie? Jeżeli tak, nie ważmy się jej tykać; zostawmy biednej ostatnią pociechę — dwa skrzydła do lotu. Ziemia w smutki porasta — im dalej od ziemi, tem weselej być musi. Tam, wysoko, pod słońcem więcej światła, lżejsze powietrze; nie dościgną ciężkie tęsknoty rozwisłe nad ziemskiem bagniskiem. Od nienawistnych pamiątek chmurą się przesłoni — krew zakrzepłą na ranach omyje w jasnych promieniach. Znużona, pod samem niebem, na szczycie góry wypocznie. Tam nie ma smętarzy, tam z grobu żaden rozjękły głos na nią nie zawoła. Gołąbce lżej cierpieć na świecie. Gdyby z ramion Nastusi dwa skrzydła mogły wytrysnąć, i ona niedługo przykrzyłaby się ludziom. Jedną piosenkę na pożegnanie, jedną na podziękowanie, jedną na przeprosiny, a potem bywajcie zdrowi, sprawiedliwi ludzie, stary Macieju, Agnieszko i ty mój miły panie! Już nigdy nie ujrzycie biednej dziewczyny. Nastusia leci ku szarym obłokom, ku siostrom gołąbkom, ku szlakom błękitnym gwiazdami dzierganym, ku zatraceniu nad ziemią!

Ach, gdyby na chwilę choć przerzucić się w białą ptaszynę! Patrz — zda się spokojniejszą — jakiemi barwy maluje piersi, jak słodko w górę pogląda! —

Nagle krzyk przeraźliwy, krzyk szalonego przestrachu, wydarł się z łona dziewczyny. Poskoczyła na nogi; z wylękłem okiem, z rozchylonemi usty, z licem połamanem nadludzką trwogą, wygięła postać naprzód, konwulsyjnie wpoiła swe palce w dłoń towarzysza — jak skamieniała zawisła nad przepaścią.

Kazimierz zerwał się; strachem zdjął go widok oblicza Nastusi: oczy jej krwią zabiegły, drżały zsiniałe usta, słowa wymówić nie mogła; wyciągała bladą rękę, ze zgrozą wskazując gałąź, zkąd przed chwilą dochodził ją żałosny jęk powietrznej siostry.

Poraj dośpiał wyśledzić przyczynę niespodzianego wzruszenia.

Podczas gdy dziewczę gubiło się w swoich marzeniach, z pomiędzy chmur rozbójnik-jastrząb gromem spadł na białą gołąbkę, topił w niej szpony i dźwigając się na ociężałych skrzydliskach, ulatywał ze zdobyczą daleko, na skały.

Przenikliwy krzyk ludzki wystraszył snać drapieżnika: rozpuścił pierzyste żagle i mgnieniu oka zniknął pomiędzy górami.

Nastusia nadaremnie śledziła go między siwemi granity — próżno wzrok zaczepiała na osieroconej gałęzi — śladu nie było, ani zabójcy, ani ofiary.

Załamała ręce, strzelała do koła obłąkanemi oczyma.

Z rozhukanej piersi sieroty wydzierał się to pół ucięty jakiś wyraz, to dźwięk niedokończony, myśl potargana, wrażenie rozbite obłędem.

— Widziałeś? — mówiła, tuląc do łona mrozem ścięte ręce — widziałeś? Porwał i zabił! — pan graf — jastrząb zbójecki! Wprzód zabił Krystynę — matka i piastunka leżą w jednej trumnicy — na białych puchach czerwone plamy! — Co jej po skrzydłach? — Piorun przekleństwa i między skrzydła ugodzi. Jaskółki przepowiadają burzę, jastrzębie śmierć wróżą. Tu w górach zbójców bez liku! — Ach, jeszcze nie czas ziemi nasypać na oczy — byle tylko do zimy! Dopóki kwiaty na polu,

życie złe, śmierć gorsza. Nie daj żywcem zakopać Nastusi! — Patrz! — z ziemi wychodzą — motyki — każda z jastrzębim dziobem — idą grzebać mogiłę. Nie, nie, choć do wieczora! — Uciekaj na koniec świata! —

Nastusia odepchnęła ramię Kazimierza, zbiegła z pagórka, jak strzała pomknęła ku lasowi, wpadła w zarośle, pędziła co siły, trzęsąc rękami nad głową, jak gdyby na skroniach czuła musk skrzydeł jastrzębich. Myśl ucieczki zdawała się wszechwładnie ją ogarniać; zawady na nieprzewidzianej drodze bynajmniej nie zwracały jej uwagi. Poraj w obawie, aby nie rozbiła się gdzie o kamień, nie roztrąciła o drzewo, nie ześlizgnęła w przepaść, pogonił za nią czemprędzej.

Przezorność jego i krzepkie siły nie zdołały tym razem wyrównać szałowi dziewczyny. Darmo dzielnemi ramiony torował sobie śród gęstwin drogę, próżno sadził jak jeleń wystraszony hałasem rogów — Nastusia migała mu między zielenią, nikła za drzewami, przeświecała w oddali — całkiem nareszcie przepadła.

Kazimierz stanął, aby nabrać oddechu. Niepokój i rozpacz szarpały mu serce; łowił uchem szmer, w nadziei że dosłyszy łom gałęzi i szelest liści; przezierał bystro między drzewy, patrząc czy gdzie nie dojrzy białego odzienia dziewczyny.

Napróżno!

Głęboka cisza zalegała okolicę; słońce chyliło się ku zachodowi. Broń Boże ciemnej nocy — nadaremne poszukiwania!

Włos stanął mu słupem na głowie; zimny pot wystąpił na czoło, śmiertelne przeczucia zakołatały w piersiach. Zebrał całą odwagę, rozniecił ostatnie iskry nadziei, nawoływał pełnemi piersiami. Głos samotnie rozlegał się po lesie.

Zwrócił kroki ku chacie, chciał dopaść najspieszniej starego leśnika, zawezwać jego pomocy. Targnęło go tajemne przeczucie. Zatrzymał się, pomyślił chwilę i sam nie wiedząc dla czego, podążył w przeciwną stronę.

Zaledwie ubiegł pół staja, gdy nagle między gęstemi wrzosy, u stóp dębu piorunem snać zwalonego, zabielił mu kształt człowieczy.

Kazimierz krzyknął z zadości, podwoił kroku; żywą czy umarłą, znachodził ją wreszcie.

Nastusia na pół osunięta, na pół wsparta na dębie, na pół omdlała, z oczyma szeroko, nieruchomie otwartemi, utkwionemi w stronę, gdzie jastrząb dokonał był pomyślnych swoich łowów, strasznie dyszała. Członki jej dygotały; słowo przymarło do ust zaciętych.

Poraj objął jej kibić, chciał podać ramię do wsparcia, nakłonić do powrotu: dziewczyna nie mogła podnieść się z ziemi; wyczerpała ostatnie siły.

Szukać pomocy? — Opuścić ją choćby na chwilę? — Niepodobna!

Kazimierz podjął niebogę na ręce, przypomniał sobie podobny wypadek pierwszego spotkania, i dziś z większą jeszcze niż przedtem troskliwością, po długiej podróży uniósł drogi swój ciężar do chaty.

Przywiązanie w szlachetnych sercach rośnie w miarę wyświadczanych dobrodziejstw. Kazimierz sam nie postrzegał starań, jakiemi otaczał sierotę; w głębi jednak duszy zawdzięczał jej nieskończenie sposobność, jaką mu podawała zużycia na kimś godnym świętych istoty jego żywiołów.

Dziwny charakter! — Im głębiej sam w sobie się rozwijał, tem więcej spostrzegał niemożebności nastrojenia się do zgody z spółczesnem w kraju towarzystwem. Uciekł przed zgiełkiem w samotność, ale i tu dochodziły go dalekie odgłosy szalonych krzyków, zapamiętałej rozpusty, jakiemi majętna młodzież świadczyła o swoim bycie. Poważnego dźwięku nie mógł dosłyszeć — może słuchać nie umiał, może oczekiwał go z tych wyżyn społecznych, gdzie pamięć prawdy nawet oddawna wygasła — gdzie samolubstwo, przesąd, służalczość, zawiść i koteryjne niewolnictwo rozpasywały się wszechwładnie.

Płonny zarzut! Poraj znał tych ludzi i nie spodziewał się od nich niczego. Nic mu nie mieli do zaofiarowania; wybrał już od nich wszystko, na co potrafili się zdobyć: wybrał płytkość rozumu, kamienność serca, lekkomyślność uczucia i sądu, porywczość ku potwarzy, słodką obłudę obejścia i jad zatruty zaocznych wynurzeń.

Dawniej jeszcze, zanim wszystkie węże światowej Gorgony

razem utopiły mu w piersiach żądła, poufali znajomi oddając sprawiedliwość jego zaletom, wyrzucali mu brak znajomości życia.

Kazimierz odwracał się z uśmiechem.

Umieć żyć znaczyło taić w sobie głos prawdy i szlachetnych oburzeń, schlebiać przesądom, wybijać pokłony uświęconym przez chorowite sumienia bałwanom, wirować razem z drugimi pod karą wyklęcia w upiornem kole wyuzdanych uciech. Nie chciał nauczyć się życia; poniósł skutki zawczasu mu przepowiedziane; przeklęto go bez odwołania.

Dziś, zamiast wszystkich ponęt towarzystwa, jakie mu zapowiadało osobiste jego położenie, spostrzegał się sam — sam jeden w obec obłąkanej wieśniaczki.

Biedna sierota! Ona przynajmniej nie miała żadnych praw do stracenia. Los mieszcząc jej kolebkę pod strzechą, tem samem już skazywał ją na potyranie. Wygodny świat nie potrzebował zwracać uwagi na lada jakie poziome stworzenie; dla urodzonej w niedoli, w nędzy, nieszczęście było właściwym, rodzimym chłopki żywiołem. Ludzie źle wychowani lub wcale bez pozoru, mogli tylko zaprzątnąć się podobną istotą.

Kazimierz i w tych nawet zasadniczych prawdach nie mógł zgodzić się ze zdaniem ogółu.

Nastusia wydawała się mu najwznioślejszą kobietą, jaką dotąd napotkał. Z rumowisk jej ducha łatwo odgadywał bogactwo, przepych pierwotnej budowy. Formalizm ludzkich zwyczajów, mechaniczność powszednich myśli i czynów, oskarżały ją o obłąkanie; w sferach wrażenności i uczucia dziewczyna świeciła jasnowidem. Boleść potargała wątek jej myśli; zerwał się i rozsypał różaniec jej pojęć, ale pomimo to każde ziarnko różańca zostało czem było wprzódy: perłą.

Poraj z religijną czcią zbierał nieraz rozproszone klejnoty, nawłóczył na nić własnej wyobraźni, podziwiał cudne ich kształty i tęczowe blaski. Jedno nieprzemyślane spostrzeżenie sieroty więcej mu zaprzątało uwagę, niż niegdyś najsztuczniejsze rozmowy salonów; jeden prosty wniosek wywołany krasą natury lub wewnętrznem cierpieniem, głębiej go uderzał aniżeli grube księgi najsubtelniejszych teorji.

W codziennych pogoniach za obłocznemi marzeniami dzie-

wczyny, Kazimierz chętnie byłby może dokończył reszty życia, gdyby na dnie namiętnej tej duszy nie wrzały inne popędy, nie kipiały inne niepokoje, nie tliły inne nadzieje. Między światem a nim sprawa nie była jeszcze skończoną; nieugięte własne postanowienie i przyjazny los, prędzej czy później musiały ją znowu na powszechne widowisko, na biały dzień wywołać.

Tymczasem każdego dnia pozwalał spółczuciu wieść się ku chacie leśnika.

Nastusia ostatnią wycieczkę w góry odpokutowała kilkoma dniami niemocy. Troskliwe starania opiekunów przywróciły ją do zdrowia, ostatnie atoli wstrząśnienie do ran umysłu dodało nowe blizny. Blask oczu jej przesłonił się jeszcze jedną chmurą i w gorączkowych tylko napadach wyiskrzał dawnym żarem. Głos i ruchy nabrały powłóczystości; dziewczę zesmutniało widocznie, częściej zapadało w milczenie, zapominało piosenek, obojętniało ku wielu dawnym upodobaniom.

Nastusia przedtem wybiegała naprzeciw Kazimierza, witała go uśmiechem; lub gdy przypadkiem minęła się z nim na drodze, spieszyła do miejsca, gdzie zostawił konia, karmiła siwosza chlebem, pieściła dłonią, przemawiała do niego wesołemi wyrazy, tak, że zwierzę z daleka poznawało chód swojej przyjaciołki, że radośnie biło kopytem i na wzrok jej odpowiadało pełnem wyrazu spojrzeniem.

Od ostatniej niemocy dziewczyna zapominała niewinnych tych starań. Jeździec częściej niż w lesie napotykał ją siedzącą w milczeniu na progu, z czołem między dłonie ujętem — i koń napróżno czekał odwiedzin. Nastusia nie przychodziła, lub jeśli niekiedy raczyła pogłaskać mu grzywę, postać tak pochylona i wzrok tak posępny towarzyszyły pieszczocie, że pojętne zwierzę dotknięte niby przeczuciem, trwożnie strzygło uszami, smętnie zwieszało głowę, wietrzyło boleść, nieszczęście.

Były może inne jeszcze przyczyny ponękania sieroty.

Od pewnego czasu Kazimierz rzadziej przyjeżdżał, a skoro zjawił się, nie przynosił już z sobą dawnego spokoju. Troski w głębokich zmarszczkach wybiegły mu na czoło; roztargniony, przez długie godziny słowa często nie wyrzekał, zrywał się, odchodził, nie pożegnawszy ludzkim wyrazem. Oczywiście dręg-

czyły go ciężkie frasunki, niepokoje zalegały mu serce, ważne może jakie zamiary toczyły po mózgu.

Nastusia spoglądała na niego trwożnemi oczyma, dwoiła własne cierpienia wrażeniem smutków, jakich cień z towarzysza na nią upadał; mimowolnie stawała się wiernem odbiciem jego udręczeń. Gdyby Poraj mógł był obojętnie nad nią się zastanowić, w obliczu jej byłby ujrzał odzwierciedlenie własnej duszy. Inne atoli myśli wszechwładnie ogarniały mu głowę.

Od kilku tygodni tajemny posłaniec coraz częstsze przynosił wieści. Kazimierz ze swojej strony wysyłał w dalekie okolice powiernych mu, z drobnej szlachty, rzadkich przyjaciół.

W podobnych razach ukradkiem wpuszczał do siebie gońca, zamykał się z nim po nocach, nie tyle powierzał mu pism, ile wydawał ustnych poleceń, wyprawiał drogą ku Warszawie, ku Wołyniowi, ku Ukrainie lub Litwie; czekał powrotu jak skazany na śmierć ułaskawienia, liczył godziny jak nieułaskawiony chwile przedzielające go od wykonania wyroku.

Pewnego wieczora późno powrócił z lasu, niespokojniejszy niż zwykle, wszedł do domu osmutniałego wiecznem milczeniem, rzucił się w krzesło, otworzył okno i wzrokiem w niebo zabłądził, jak gdyby z błękitu chciał tajemnice przyszłości wybadać.

Drzwi otwarły się, lunęła struga światła. Grzegorz wkroczył na palcach, lampę postawił na stole. Kazimierz olśniony nagłym blaskiem, zabierał się już do odprawienia światła i sługi, ale starzec widno inne jeszcze obowiązki miał do spełnienia. Podszedł ku panu, dobył ostrożnie z zanadrza pismo, podał je i wedle zwyczaju nie czekając zapytań ani rozmowy, spiesznie się oddalił.

Poraj rozeznał rękę, poskoczył ku światłu, szybko jął przebiegać list zasiany drobnemi i dla niego tylko samego przystępnemi głoskami.

Gwałtowne uczucia w pokrzyżowanych błyskawicach migały mu po obliczu. Zastanowił się, siadł znowu, po drugi raz perjod po perjodzie odczytywał ważne doniesienia.

List datowany z Medjolanu, między innemi szczegółami tyczącemi się wyłącznie Włoch, zawierał następujący ustęp:

«Nad Adygą dotąd wszystko spokojnie, ale powietrze coraz cięższe, coraz nieznośniej tłoczy piersi; brak wolnego oddechu z każdym dniem dokuczliwiej daje się uczuwać.

«Wzmaga się liczba cierpiących; każdy z nich przeniósłby doraźną śmierć nad długie, powolne męczarnie.

«Gwałtowne wstrząśnienie, burza, wicher wszystko wywracający, mogą jedynie rozpędzić zatrute wyziewy — ocalić lud.

«Przesilenie lada dzień musi nastąpić. Na widnokręgu zbierają się już chmury, każda zbrojna piorunem; za danem hasłem wszystkie od razu wypalą.

«Niech się dzieje wola boża! Żadna moc ludzka nie potrafi nawałnicy oddalić, wstrzymać choćby na chwilę.

«Chcąc pozbyć się skorpiona, trzeba go zewsząd żarem otoczyć. Inaczej nadzieje spełzną na niczem; nieszczęść tylko przybędzie.

«Hydra podwójną ma głowę; obok niej druga zarówno czarna, także dwie zabójcze paszcze rozdziawia.

«Oba potworne dwugłowy należy uciąć za jednym zamachem. Galicja i Lombardja jednocześnie muszą zakipić. Każda z dwóch siostr ma dom ojczysty do odzyskania, każda musi podać dłoń licznemu, ujarzmionemu rodzeństwu.

«Za kilka miesięcy wyrzutek północnego potworu ma zjechać na walną uroczystość do Warszawy — z łańcucha niewoli oderwie jedno ogniwo, wyzłoci je i opasze niem sobie głowę.

«Dzień ten winien być ostatnim dniem dla ciemiężcy i dla całego przeklętego plemienia.

«Plan mamy w ręku — oba wybuchy jednocześnie nastąpią. W tejże samej chwili nad Dniestrem i nad Sanem iskra paść musi na prochu. Od porozumienia się, od zgody, od gotowości do czynu i pilności w wykonaniu, zależy zwycięstwo.

«Najwyższa wenta postanowiła, abyś bezzwłocznie udał się do Warszawy i zniósł z ludźmi, którzy uprzedzeni już o tobie, poznają cię po wiadomych znakach.

«Wtajemniczony zostaniesz do zamiarów, otrzymasz polecenia i część planów, których wykonanie w twojej okolicy nie ulegnie żadnej wątpliwości, skoro zajmiesz się niem ze znako-

mitemi twemi zdolnościami, a więcej jeszcze ze znajomą nam odwagą i poświęceniem.

«Baczność, pośpiech, wytrwałość i zemsta, oto wspólne nasze drogi, które nas doprowadzą do pożądanego celu.

«Advertus hostem aeterna auctoritas — powiesz pierwszemu, który cię o towar zapyta.

«Podmajstrzemu dasz się poznać hasłem: Sanguis et ferrum, libertatis via.

«Nie odpisuj, chyba na krótko przed ostatecznem uderzeniem w dzwony.

«Zaufanie nasze w tobie bez granic.»

Kazimierz złożył list, powstał, rozmierzał izbę szerokiemi kroki, tonął w dumaniach.

Zawiązane we Włoszech stosunki z węglarstwem, wtajemniczyły go do tej podziemnej pracy, która rozkorzeniona pod całą niemal Europą, nurtowała stary porządek, pod trony zapuszczała podkopy, w nadziei że jeden wybuch od razu i bezpowrotnie wysadzi wszystkie warownie ucisku.

Kilka dowodów zimnej w rozmyśle, szalonej w wykonaniu odwagi, zjednały Porajowi przyjaźń i wziętość u pierwszych dostojników stowarzyszenia.

Stosunki polskiego szlachcica z włoskimi sprzysiężnikami długo objawiały się jedynie na drodze moralnego rozpowszechnienia pojęć, zgromadzenia i organizacji zapalnych żywiowiołów.

Nadeszła wreszcie chwila czynnego wystąpienia do walki. Niepodobna było dłużej hamować zapału sprzysiężonych; z przeciwnej też strony czara niewoli wzbierała nad brzegi.

— Teraz lub nigdy! — powtarzało tysiąc szlachetnych serc. Pod Alpami ostrzono sztylety — w Warszawie kręcono ładunki.

Dwa trony związane piekielnym sojuszem, sposoczone krwią, we łzach skąpane, jednocześnie musiały runąć. Pod tym tylko warunkiem miljony ofiar mogły otrząsnąć się z kajdan, zmartwychwstać, odetchnąć życiem wolności i światła.

Sfinks swobody podówczas tę samą co dziś przedstawiał zagadkę do rozwiązania.

Sybir, więzienie, szubienica lub topor, oczekiwały nietrafnie rozplątujących węzeł.

Ogień świętego natchnienia zakrążył w żyłach Kazimierza, oko rozpłonęło mu szlachetnym zapałem. Uczuł się lekkim, swobodnym na duszy, jako wędrowiec długo zbłąkany w podziemnej jaskini, gdy nagle białą arkadę nieba i świata przed sobą spostrzeże.

Niepodległość narodu! Słowa te czarownym dźwiękiem brzmiały mu w uchu; powtarzał je i z roskoszą wyciągał ramiona ku ukochanej przyszłości, która miała mu urzeczywistnić marzenie. Żywioły wstecznictwa, społecznego rozkładu uzwierzęcenia i letargu, same dotąd występowały mu przed umysł i kaleczyły mu wzrok.

Namiętne serca w przedmiocie swoich zapałów wprzód widzą niedostatki, niż przymioty. Troskliwa matka za umartwieniem z błędów często nie postrzega pociechy z zalet swych dzieci; radaby je widzieć doskonałemi, aby przed Bogiem i ludźmi usprawiedliwić nieskończoną swą miłość.

Zaciętość tę ku wadom krajowym i błędom narodu czują tylko umysły głęboko rozdrażnione jego nieszczęściem, poświęcone do ostatnich sił pracy i walce za jego przyszłość. Przed obcym atoli napadem matka zapomina żalów i smutków, a widzi tylko uciśnione dzieci: brat bratu błędy przebacza, syn w ojca obronie wszystkie uczucia w zemstę zestrzela.

Nie godzi się wreszcie jednej strony bezwarunkowo, wyłącznie obwiniać.

Jarzmo niewoli nie tylko ciało, ale i ducha poniewiera; rdza z kajdan pada i na sumienia, inaczej wolność byłaby czczym wyrazem, bezpłodną zasadą. Niech jednak promyk swobody zaświeci, niech biało-czerwone proporce na pełny wiatr się rozburczą — pleśń z orlej tarczy zniknie jak cudem. Łazarz wstanie znów jasnym młodzieńcem, skąpie się w bożych falach poświęcenia i walki; miły druh Zbawiciela z trupiego letargu wspomnienie tylko uniesie. Ogień boju za wolność przetrawi nieczysty kruszec, kąkol i plewę spopieli. Jedno tylko wysilenie a zgodne, jedna tylko chwila zapału a powszechna — pękną sklepy sromotnego więzienia, i knut cara i stryczek Habsburgów spłoną na jednym stosie. Hymn wesela roz-

legnie się po całej Europie; społeczeństwo odrodzone wpadnie na nową kolej, wyjarzmione ludy podadzą sobie bratnie dłonie, pociągną razem w nieskończone przestrzenie swobody, postępu, miłości, wiedzy i prawdy, obrócą rozpętane zdolności nie na opór przeciw uciskowi, nie na rzezie w bezbożnych bitwach, ale na szlachetną walkę przeciw tajemnicom natury, przeciw jej skąpstwu, przeciw nędzy wróconych do dziedzictwa tłumów.

Gdzie cel tak oczywiście widoczny, gdzie niewola tak głęboko dokuczliwa, tam na środkach do boju nie zbędzie. Jedna tylko walka ostatnia i ostateczne zwycięstwo. W obec wspólnego wroga zniknie każdy wzgląd osobisty; kto w podobnych chwilach może o sobie pamiętać, o tym wszyscy powinni zapomnieć. Tem lepiej że los pozwoli w jednym świętym trudzie zaprzepaścić pojedyncze cierpienia, krzywdy i zemsty.

Poraj przepełniony nadzieją i zapałem, z weselem chwytał sposobność zatracenia w boju za ojczyznę własnych, złowrogich zamiarów, odpychał marzenia osobistej zemsty, uczucia nikczemnego wówczas, gdy nie za jednego mścić się należało, lecz za miljony. Pierś tchnęła mu harmonją, wzbierała miłością; poczuł się zdolnym do wygładzenia wszelkich bolów, do zatarcia śladu wszelkich krzywd, do rzucenia się pierwszy w objęcia zgubnych mu dotąd ludzi — byle tylko zgoda dopełnić się mogła na polu bitwy, pod ojczystym sztandarem, byle ogłuchłe chwilowo sumienia odzyskały słuch na szczęk pryskających kajdan narodu.

Kończyła się jego samotność. Byli jeszcze ludzie umiejący go cenić. Wkrótce miał spotkać bratnie uściski, gorące serca, wzniosłe spółczucia, dzielnych przyjaciół, którzy zapraszali go nie na haniebne rozpusty, ale na wspólną pracę, na pracę, do jakiej historja i naród powołują rzadkich tylko wybranych. Nowe życie przed nim się otwierało, nowy świat mu wybłyskał. Znajdował nareszcie skarb, jakiego oddawna szukał, znajdował druhów, wielki trud, wielki cel i godną nagrodę.

Nazajutrz, ukończywszy domowe i miejscowe rozporządzenia, umyślił natychmiast ruszyć do Warszawy.

Nocne ciemności rzedniały, świt blado zaczynał przeświecać. Kazimierz przy blasku lampy, nad pismem i papierem doczekał się słońca; poczem ułatwiwszy, co miał na myśli, polecił Grze-

gorzowi gotować się do podróży, sam zaś raz jeszcze, raz może ostatni, kazał przyprowadzić sobie konia. Bóg wie, co mogło go spotkać; nie chciał odjechać bez pożegnania sieroty, zbratanej z nim dziwnem zrządzeniem losu.

Leśnik o świcie wyszedł był do boru, stara Agnieszka krzątała się na podwórzu około gospodarstwa; pusto było w pierwszej izbie, w alkierzu tylko Nastusia siedziała na pościeli z podwiniętemi pod siebie nóżkami.

Nieruchoma, po swojemu gdzieś myślą zabłąkana, przebierała w milczeniu bukszpanowy różaniec, dar leśnikowej, gościńcem przyniesiony z ostatniego odpustu.

Drzwi uchyliły się zwolna: schylona, w progu pokazała się postać Kazimierza.

Nastusia podniosła oczy, lecz nie powitała przychodnia dawnym uśmiechem. Owładnięta niby bolesnem przeczuciem, topiła w nim przeciągłe spojrzenie, pełne niewypowiedzianej żałości.

Jemu samemu smutno było na sercu. Zbliżył się, siadł przy niej, pozdrowił ją łagodnym głosem i po chwili milczenia wręcz oznajmił że przyszedł się pożegnać, że musi rozłączyć się z nią, na niedługo; że byle mu przyrzekła dbać o siebie i być spokojną, wkrótce powróci.

Nastusia zadrżała.

Poraj z tęsknym uśmiechem powtórzył jej warunki powrotu, prosił aby sama jedna nie wybiegała daleko od chaty, aby nie zapuszczała się w góry, aby czekała na niego, na wspólne znowu wycieczki; polecał jej staraniom kwiatki rosnące przy źródle: bzy, jarzębiny, topole zasadzone ręką starego Macieja; starał się pocieszyć ją, rozweselić, na pogodniejsze szlaki stroskaną myśl jej nawrócić.

Dziewczyna milczała, ze spuszczonemi oczyma bystrzej pędziła ziarnka różańca; po mieniącej się jednak barwie oblicza znać było, że doskonale zrozumiała, że głęboko czuła smutek, jaki miał w nią uderzyć.

Kazimierz domagał się u niej dobrego słowa na drogę, przyrzeczenia, że rad posłucha. Nastusi słowa więzgły w piersiach, ku sobie myśli skierować nie miała mocy. Biedny jej umysł bez tego ledwie mógł nastarczyć udręczeniom z bolesnej wieści.

Różaniec wysunął się z jej palców; Kazimierz podniósł pobożne cacko. Dziewczyna ujęła rękę jego między obie dłonie, przytuliła do serca, opuściła na pościel, i podczas gdy Poraj pieścił ją słodkiemi wyrazy, ścisnęła mu rękę, wzroku nie zdejmowała z tej dłoni, której łagodne dotknięcie tyle razy koiło cierpienia jej głowy, uśmierzało boleści jej mózgu, ciszę sprowadzało na skołatane serce.

Dłoń męska, krzepka, choć szczupłych rozmiarów, otwarta, przyjacielska, nieco może niewieścia, choć każdy jej rys drgał dzielnością i siłą.

Na ostatnim palcu tej ręki Nastusia spostrzegła znajomy od dawna pierścionek z dziwacznie połamanemi kreskami na czarnym kamyku. Niepozorna ta ozdoba miała przecież w sobie coś pociągającego. Dziewczyna z dziecinnem roztargnieniem okręciła ją na palcu: luźny pierścionek zsunął się w jej ręce.

Kazimierz zaprzątnięty własnemi myślami i żalem nad sierotą, nie postrzegał zguby; jeszcze raz przyrzekał spieszny powrót, przypominał rady, powstał wreszcie, pocałował ją w czoło i wyrzekł ostatnie: «Bądź zdrowa!«

Dwie perły i tuż za niemi dwa strumienie łez wytrysły z oczu Nastusi. Załamała ręce, zaszlochała, jak gdyby od razu pękały w niej wszystkie struny uczucia; ukryła twarz w dłoniach, zanosząc się od płaczu.

Poraj sam czuł się mocno wzruszonym, nie chciał przedłużać bolesnych dla obojga chwil, krzyknął jej z progu ostatnie pożegnanie i znikł z chaty.

W kilka godzin Nastusia siedziała na temże samem miejscu, w tejże postawie bawiła się różańcem i zapomnianym pierścionkiem. Kazimierz szybko oddalał się od domu po drodze do Warszawy. Dziewczyna nadspodziewanie była spokojniejszą, weselszą; młody podróżny na dnie świetnych nadziei uczuwał niewytłumaczone niepokoje, troski, obawy.

Stolica Kongresowej Polski przedstawiała wówczas jedno z najponętniejszych miast Europy. Wesoły charakter ludu, słynny wdzięk kobiet, przepych możnych krajowców, ruch

świetnego wojska, napływ młodzieży i cudzoziemców, pod północnem niebem roztaczały powaby grodów południa.

Postać ówczesnej Warszawy nosiła pewne właściwe sobie cechy, jakich napróżno szukalibyśmy w dzisiejszych stolicach europejskich.

Charakter przemysłowy, fabryczny, jaki genjusz epoki coraz silniej dziś piętnuje na miastach, w mazowieckim grodzie znikał przed najbystrzejszem okiem. Na ulicach łatwiej było spotkać pana w sajecie, niż robotnika wybladłego w walkach o codzienną strawę. Nędza nie istniała w miejskich zwyczajach; pomyślność wynagradzała ludowi każdą umiarkowaną pracę. Warszawa zdawała się miastem, gdzie pracowano dla zaspokojenia przyjemności raczej, niżeli pierwszych potrzeb życia.

Byle święto, byle niedziela, domy stały pustkami; tłum różnobarwny wysypywał się na ulice, zalegał miejskie przechadzki, brzmiał nieopatrznem weselem, jak gdyby rozrywka nigdy nie miała się skończyć.

Z wyjątkiem Wiednia, noc warszawskiego życia huczniejszą była od dnia reszty niemieckich miast.

Zwyczaje mieszkańców, przy silnie odbitych cechach narodowych, odznaczały się jeszcze tą nieograniczoną, uprzejmą ku obcym gościnnością, jakiej nadaremnie szukano by w sztywnych galicyjskich koterjach, lub w zapasionem na niemczyznie wielkopolskiem obywatelstwie.

Wychowanie, osobiste zalety, wszędy otwierały przystęp Duch demokratyczny de facto silnie wiał w Kongresowej Polsce.

Podczas gdy w Galicji głupia magnaterja rozwieszała na sobie spleśniałe pargaminy, gdy w Poznańskiem niejeden ojciec odprawiał od córki zalotnika dla braku szlacheckich rodowodów, w Warszawie o feodalnych pojęciach tyle miano wyobrażenia, co o mieszkańcach na księżycu. Równość ta nie pochodziła z teoretycznych przekonań, ale z wrodzonych zwyczajów, z nieświadomości złego, z poganizmu, że tak powiem, względem religji przywileju.

Powierzchowny badacz, zabłąkany śród tego miasta gwarów,

śmiechów, muzyki, przepychu, oddając sprawiedliwość zaletom, byłby mniemał sumiennie módz oskarżyć mieszkańców o lekkomyślność.

Rzecz miała się inaczej.

Warszawa nie odznaczała się ani posępnym patrjotyzmem Litwinów, ani hulaszczą a zaciętą zamaszystością Ukrainy, ani trochę wyharbejtlowaną powagą poznańską — na dnie atoli swej wesołości kryła przymioty w niczem nie ustępujące zaletom innych części ojczyzny.

W Warszawie przeskoki z jednego uczucia w drugie dokonywały się z dziwną łatwością.

W kole hucznego mazura nie brakło na tancerzach; na odgłos rewolucyjnego dzwonu w mgnieniu oka każdy tancerz stawał walecznikiem. Wykonywacze ucisku zachodzili w głowę; najbieglejszy moskiewski Machiawel nie mógł naprzód przewidzieć, gdzie kończą się pojedyńcze zdolności, dokąd dochodzą przekonania, jaki stopień obojętności usypia serca, jaka siła zemsty wre w piersiach, kto w chwili gwałtu wypadnie zbrojny na ulicę, kto ucieczе, kto stanie na przeciwnej stronie.

W istocie, ludność warszawska między dwoma piosenkami czuła się gotową wydusić wroga; śród rozrywki, od biesiadnego stołu zdolną była porwać się, uderzyć na Moskali i znów powrócić i kończyć dalej przerwaną biesiadę.

W podobnych razach domy znowu byłyby stanęły pustkami jako podczas świątecznych przechadzek; w Warszawie bowiem, skoro idzie o bójkę z Moskalem, kobiety, ba! nawet dzieci nie popróżnują.

Ostatnia uwaga dotyczy głównie tej części ludności, która w niedzielę tańcuje przy dźwięku katarynki, która nie pokazuje się nigdy w powozie, a rzadko kiedy w doróżce. Im na wyższe szczeble społeczeństwa będziem wstępować, tem mniej napotkamy podobnych żywiołów; na najwyższych młodzież tylko żyje — wszystko, co wybiegło z młodzieńczych lat, karmi się, roślinieje.

Różnica w tym względzie między Warszawą a innemi krajami leżała w tem, że gdzieindziej grzyb arystokracji gnił już w zarodku; że zepsucie, że śmierć duchowa, ogarniały i młodzież.

Wesołe te i spokojne fale zewnętrznego życia po wierzchu nawet marszczyły się czasami, groźnie huczały, wyzwane nagłym podrywem mongolskiego wichru. Zgrzyt przeraźliwy niekiedy mięszał najweselszą harmonję.

Hasłem powszechnego rozdźwięku bywał odgłos jednego ze zwykłych napadów wściekłości carewicza Konstantego.

Zastępca godnego siebie brata, wielki książę obliczem i duchem mało przypominał człowieka. Siwe ledwo co widne oczy, utkwione w spłaszczonej twarzy, nos zadarty i rozdęty na wiatry, jak u drapieżnych zwierząt, usta zmarszczone wieczną konwulsją rozkazu i zniewagi, szyja wciśnięta w jarzmo dwóch ramion; głos ucinany, chrapliwy, zdolniejszy do naśladowania szczękań uwiązanego psa lub warczeń tygrysa, niż ludzkiej mowy, dzikie szaleństwo w myśli, bezinstynktowe rozchełznanie w czynie, nieumiarkowana srogość dla słabszych i podła bojaźń w obec osobistego niebezpieczeństwa — takie były własności tworu, któremu mistyczno-rycerskiej pamięci cesarz Aleksander, dozwolił pastwić się nad konstytucyjnym łachmanem dawnej Polski.

Carewicz nie zawiódł położonego w nim zaufania: upędzał się za ludźmi jak ryś z rozłamanej klatki. Lada szczegół niedostrzeżony nawet przez ostrowidzów jego policji, budził w nim uczucie, jakiego w królestwie zwierząt doznają byk i jędyk na widok czerwonej płachty.

Krzywo zaczepiona baftka, źle przyszyty guzik, twarz zbyt blada lub zbyt rumiana, oko otwarte lub przyćmione — szatan sam wynajdował mu przyczyny do wyzwierzania się na biednego polskiego żołnierza.

Kapralska natura carewicza, którą ukoronowany jego bra tak szeroko w sobie odtąd rozwinął, wzdryga się na wszystko: co czynem, myślą, postacią, rysami twarzy, objawiało wstręt ku niewoli.

Dziwne to stworzenie posłuży może kiedyś do rozwiązania jednej z najważniejszych psychologicznych zagadek. Badacze niechaj wytłumaczą, zkąd zdarzają się w ludzkości jednostki od urodzenia skazane na przeprowadzenie złego na ziemi, istoty, w których żadne ludzkie uczucie nigdy żadnego oddźwięku nie znajdzie.

Carewicza Konstantego równie jak brata jego Mikołaja, nikt nie zszedł na żadnem ludzkiem uczuciu. Obydwóch poprzedzała rwoga, za każdym goniło wieczne przekleństwo; każdy liczył wielu sobie zaprzedanych — pozyskanym człowiekiem żaden poszczycić się nie mógł.

Okradanie ogółu dla zakupu jednostek, niewola znów dla wszystkich — oto były środki, oto cel, ku jakiemu przez potoki krwi i łez brnęli synowie Pawła, zaduszonego za przyczyną najstarszego brata.

Rząd, siła, dusza cesarza i jego namiestnika, zwierały się w jednym wyrazie: policja.

Carewicz Konstanty nie znał dowcipniejszego żartu, jak zaczajać się pod drzwiami i wysłuchiwać rozmów swej żony. Poranna modlitwa cesarza Mikołaja składa się z policyjnych doniesień, które monarcha co dnia za przebudzeniem na pół sennemi oczyma wyślepia. Carewicz bez szpiegów byłby z nudów i z rozpaczy życie sobie odebrał. Cesarz Mikołaj zepchnięty z tronu, wygnany z kraju, z zawiązanemi oczyma znalazłby pierwsze policyjne bióro.

Bóg czyta w sumieniach. Kniaź lub car moskiewski za pośrednictwem szpiega staje się Bogu podobnym. Tajna policja, zrodzona w sektach i w inkwizycjach, stała się konieczną podporą władzy świeckiej. W Rosji car, głowa kościoła, na mocy dwóch zasad: władzy bożej i ziemskiej, podwójne ma prawo do szpiegowania.

Polowanie to na ducha człowieczej godności i dążeń do swobody, odbywało się z pomyślnym dla carewicza skutkiem. Donoszono mu o wszystkiem. Rewolucyjne przedsięwzięcia, polityczne rozmowy, tajemnie składane narodowe pieśni, drobne nawet szczegóły dotyczące prywatnego życia — wielki książę co dnia otrzymywał swą strawę; brata cesarskiego nie godziło się zamorzyć głodem.

Warszawa ciężko opłacała następstwa książęcej rozrywki. W niejednym domu znikała naraz wesołość; rodzice osłupiałym wzrokiem poglądali na żandarmów porywających im syna, przyjaciele tajemnie zawiadamiali się o strasznej wieści, kochanka próżno czekała narzeczonego — nie przychodził, dzień, jeden, drugi, dziesiąty, znikał nareszcie bez śladu. Później dopiero,

po długich dniach niepokoju, dowiadywano się ukradkiem o losie nieszczęśliwego.

Karmelickie więzienie pochłaniało kwiat polskiej młodzieży. Subtelne męczarnie, powolna śmierć, siedziały na progu tego przedpiekła. Udręczenia ciała niczem były w porównaniu z mękami duszy. Wycieńczanych bezsennością, karmiono odrażającą strawą; przez osłabienie materji dobijano się do upodlenia ducha. Napróżno! Płodny w wynalazki umysł oprawców rozbijał się o chrześciańską wytrwałość męczenników narodu. Carewicz szalał z wściekłości, mścił się na ofiarach, jak pies rozjuszony nad kamieniem.

Czasami po długich katowniach wypuszczano więźnia na wolność; świat go nie poznawał, on nie poznawał świata. W kilku miesiącach z młodzieńca zgrzybiały starzec; znać było że do dna wychylił kielich tej strasznej trucizny, znanej pod nazwiskiem moskiewskiego śledztwa. Drobne dzieci uciekały przed nim jak przed upiorem; przerażał bladością oblicza, zapadłym wzrokiem, roztrzęsionemi członkami. Trup wracał do rodziny, milczał upornie na zapytania, z gorzkim uśmiechem wyznawał tylko, że wraca w skutek cesarskiego ułaskawienia.

Przykłady tej srogości nie tyle budziły przestrachu, ile rozpłomieniały zemsty. Jeden męczennik znajdował tłum naśladowców. Podziemne dążenia do swobody w całej Polsce tętniły wartkiemi nurty. Młodzież uniwersytecka wrzała zapałem czynu, zawiązywała się w tajemne grona, skrycie i otwarcie przeprowadzała opór przeciw ciemiężcom ojczyzny. Wojskowe zakłady podawały rękę uniwersytetowi; każdy wybuch carewicza dorzucał palnych materjałów, ognisko rewolucyjne coraz szerszem zataczało się kołem; walka leżała w sumieniach — za pierwszą sposobnością na biały dzień musiała rozpłonąć.

Cesarz Mikołaj gotował się z całą rodziną zjechać na obrzęd koronacyjny do Warszawy.

Naczelnicy spisku niecierpliwie wyglądali tej chwili. Za jednym zamachem obrąbać wszystkie łby hydrze, jednym ciosem wyplenić od razu całe jaszczurcze gniazdo — i wtedy dopiero, korzystając z bezcarewia, na wszystkich punktach dawnej Polski zapalić wojnę. Taki był olbrzymi plan ludzi, którzy

rozumieli, że chcąc przeciw głowie powstać, trzeba w głowę uderzyć.

Wymordowanie cesarskiej rodziny byłoby od razu zniszczyło w kraju nieszczęsną a mnogą we wszelkich powstaniach klassę pośrodkowców i obojętników. Wicher rewolucyjny poderwany silnym wybuchem, byłby w jednej chwili odłączył kąkol od zdrowego ziarna. Na trupach Gottorpów musiała zakipić śmiertelna walka, z obu stron bez miłosierdzia, z obu stron do upadłego. Wojna zaczęta w trzydzieści tysięcy wojska narodowego nie byłaby, jak we dwa lata później, skończyła się w siedmdziesiąt!

Taż sama źle zrozumiana szlachetność, a raczej tenże sam sentymentalizm, który nie ośmielił się niegdyś powołać przed sąd konwencji narodowej i skarcić głową wiarołomnego Stanisława Augusta, w pół wieku później zwarzyła w zawiązku owoce świetnych zamiarów.

Napisanem było, że car po łokcie zaposoczy się krwią polską, że pół Europy weźmie pod knuty, a reszcie stałego lądu narzuci piekielny swój system.

Niemcewicz i Małachowski śpią na ziemi wygnania, podczas gdy ocalony przez nich ciemiężca, przed mordowanem bez ustanku ciałem ich ojczyzny urąga bezkarności niebios.

Podówczas atoli żaden z przywódców sprzysiężenia nie przewidywał marnego rozmiotu zamiarów; nadzieja wyjaśniała na przyszłość, wiara w pomyślny obrót świętego przedsięwzięcia dodawała otuchy, odwagi.

Spiskowi ścisnęli się ku sobie. Wybuch, jak zwykle bywa w podobnych razach, przed wybłyskiem na rzeczywistość, cudownem prawie zrządzeniem przypadku uchodził baczności policji.

Najbieglej wyćwiczone kohorty szpiegów nie zapobiegły dotąd żadnej rewolucji.

Wyznać wprawdzie należy, że sprzysiężeni widząc przed sobą bliską chwilę czynu, zaprzestali piśmiennej i ustnej propagandy; każdy stał na wyznaczonem miejscu i w milczeniu oczekiwał hasła.

Inne strony duchownego życia w Warszawie, objawiające się z wiedzą rządu, jak na przykład perjodyczne piśmiennictwo

i w ogóle cała drukowana literatura w niczem nie mogły wprowadzić policejskich szczwaczów na trop rewolucyjnych przedsięwzięć.

Warszawa w owym czasie mało słynęła znakomitymi pisarzami. Litwa jak dziś tak i ongi dzierżyłą pod tym względem pierwszeństwo.

Rzecz dziwna! Podczas gdy duch buntu i walki legł się niejako na warszawskim bruku, gdy lud w każdej chwili czuł się gotowym do boju, gdy nienawiść przeciw Moskalom i pragnienie swobody, do głębi przejmowały każde niezaprzedane serce, w koryfeuszach warszawskiego piśmiennictwa napróżno śledzonoby iskry czucia, prawdy, zapału, natchnienia. Płytkość ówczesnej literatury z płodami nędznych prowincjonalnych mieścin da się tylko porównać. Nic żywego, nic wytrysłego z rodzinnej gleby, z ducha polskiego, nic narodowego — nic takiego, co w dwadzieścia lat później warto byłoby jeszcze wziąść do rąk.

Francuzczyzna z czasów Boileau i Delilla dawała ton natchnieniu wierszarzów; proza płaskiego doktrynaryzmu wydawców Minerwy służyła za wzór djalektyki, przekonań i stylu. Jeden Niemcewicz miał w poezji uczciwe zamiary — jeden Mochnacki byłby mógł otworzyć nową epokę światła i wiedzy; ale pierwszemu brakło potęgi ducha, na drugiego jeszcze nie nadeszła była pora.

Zgroza pomyśleć, że był czas, gdzie w stolicy polskiego narodu berło smaku, poezji i krytyki trzymał pyzaty Ludwik Osiński, napuszony deklamator, zwietrzały pisarz, mdły patrjota, schlebiacz mieszczańskim namiętnostkom swoich słuchaczów; uczony bez wiedzy, umiejący może z otwartej książki wytłumaczyć, wygrać na języku odę Horacjusza, ale nie domyślający się ani ducha epoki, w jakiej żył, ani żywiołów tlejących w łonie narodu, ani kolei, jakie tenże miał posłannictwo rozwijać. Cóż dopiero rzec o Franciszku Salezym Dmóchowskim, który jedyne w literaturze zasługi znaczył tłumaczeniem sklepikowych, francuskich romansów. I ten — Boże odpuść! — uchodził za literata — i ten w pokątnych jakichś gazetach rozmczywał zatłuszczone swoje krytyki.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk samo wiele o sobie trzymało,

w kraju atoli nie zostawiło żadnych prawie śladów swoich usiłowań. Była to akademja, jak inne akademje, mniej może uczona, ale niemniej sztywna, bezpłodna, zamarła. Ludzie składający ją, stanowili koterję, poprzestawali na sypaniu sobie nawzajem rzęsistych oklasków, spisywali katalogi, tłumaczyli zagraniczne sprawozdania; byliby nawet w razie gwałtu zdobyli się na słownik — ale na nic więcej. Nieszczęsnym jednak wypadkiem słownik już istniał; nie było nad czem suszyć głowy — drzemali więc spokojnie, drzemali snem niewinnego.

Względnie do innych prowincji Polski, warszawscy pisarze z zawiścią, z pogardą spoglądali na ruch umysłowy wileński. Bodła ich wyższość Litwinów, oburzali się na wszelką nowość, odmierzali znakomite utwory wileńskich pisarzów na ciasną skalę własnego rozumu i natchnienia. Im mniej pojmowali, tem ostrzej sądzili; im na chudszą treść zdobywali się sami, tem zawziętsze wrzaski podnosili przeciw Wilnu. Franciszek Salezy Dmóchowski sam jeden wrzeszczał za dziesięciu.

Policja moskiewska ze strony piśmienników nie miała się czego obawiać. Rząd z tego tylko rodzaju utworów wyciągając wnioski na przyszłość, spokojnie mógł zasypiać.

Konstytucyjne władze narodu, izby: senatorska i poselska, z natury swojej nie potrafiłyby mieć nic wspólnego z wszelkim zamiarem gwałtownego wstrząśnienia. W pierwszej nie brakło zacnych mężów, sąd sejmowy jasno tego dowiódł; w drugiej znajdowali się nawet ludzie zdolni, na których czele bez zaprzeczenia stało kaliskie poselstwo. Ale jednym i drugim wyraz: «powstanie» zgrzytliwie brzmiał w uchu, z tą różnicą, że pierwsi widzieli w nim bezbożne szaleństwo, drudzy, postępowi, ganili przedwczesność, błagali o zwłokę, radzili czekać — na co? — Żaden z nich dobitnie nie umiał wytłumaczyć.

Sejm Kongresowego królestwa był wielkim archiwistą zdolnym tylko, jak się to później pokazało, do zaciągania w regestra dopełnionych wypadków.

Zwyczajowy patrjotyzm szedł swoją drogą.

Niezgłębiona przepaść rozgraniczała dwa strumienie: ruskiego i narodowego towarzystwa. Gdzie oba pędziły? Czyli jeden z nich prawowity na swojej ziemi, miał bezskutecznie

zapaść się w jaskinię niepamięci, lub wypłynąć na pełne morze swobody? — Nikt nie przewidywał; bożej woli poruczano kierunek fal.

W wojsku rosyjskiem, rozkwaterowanem w Warszawie, pojęcia człowiecze odznaczały się podówczas zupełną nieobecnością. Grudniowy spisek Murawiewa i Pestela nie znalazł żadnego spółczucia w tej hałastrze, wylakierowanej mniej więcej powierzchownem wyżyciem, kryjącej pod połyskliwą łupiną zwierzęcość rozpasaną na wszelkie bezprawie. Czerń ta uważała się jak na chwilowym postoju w zdobytej ziemi, nie wierzyła w niezawodność jutra, korzystała z każdej ukradzionej godziny, goniła ostatnim rublem, ostatnią trzeźwością,

Załoga ruska, odpychana od prywatnych domów, rozsypywała się, żyła niemal na ulicach. Miasto zyskiwało na zgiełkliwym ruchu; patrjotów kłuł w oczy nieustanny widok moskiewskich mundurów. Gdzie tylko wleźć można było za pieniądze, tam niezawodnie trudno było docisnąć się przez Moskali; do bezpłatnego przyjęcia żaden z nich nie rościł nawet prawa.

Śród takiej to Warszawy, śród podobnego życia, po kilkudniowej podróży zajechał Kazimierz. Z sercem przepełnionem nadzieją, z głową ogarniętą zapałem, upoił się bezmiarem pierwszych wrażeń.

Po dwuletniem osamotnieniu, widok niezwykłego ruchu, życia, wrzawy, tem silniej go uderzył. Pierwszy raz znajdował się w stołecznem mieście swojej ojczyzny.

Nazajutrz po przyjeździe trafił na wojskową paradę. Nic dziwnego. Carewicz sobie i mieszkańcom nie skąpił tego rodzaju widowisk.

Poraj pierwszy raz w życiu ujrzał narodowe wojsko polskie. Twarz wypromieniała mu szczęściem, radością, nieznanem dotąd wzruszeniem.

W podróżach swoich po zagranicy przyglądał się różnym wojskom i broniom; żołnierz polski przewyższał wszelkie jego w tym względzie wyobrażenia.

W istocie było to wojsko, jakiego po rozbiciu gwardji napoleońskiej nie widziano, jakiego odtąd zapewne żaden kraj nie ujrzy. Hufce przyszłych polskich powstańców w waleczności tylko będą mu mogły wyrównać.

Zastępy dowodzone przez carewicza, stanowiły apogeum, łabędzi śpiew regularnych armji. Z podobną siłą, zdało się że można było uderzyć na niewolnicze żołdactwo wszystkich despotów.

Poraj jak dziecko uśmiechał się, a łzy rozrzewnienia miał w oczach; byłby chciał rzucić się w objęcia pierwszego żołnierza z białym orłem na kaszkiecie, przyszłego walecznika za swoją i cudzą wolność. Na dwugłowe dziwolągi spojrzeć, nie starczyło mu wzroku. Zapuszczał się w ulice miasta, błądził bez celu, poił się czystym dźwiękiem rodzinnej mowy, dzielnością oblicza ludu, brakiem austrjackiej niemczyzny, której widok tyle mu dokuczał w Galicji. Zatrzymywał przechodzących rzemieślników, wdawał się z nimi w rozmowy; każdy odpowiadał mu wesoło, uprzejmie, po polsku.

Nęcony ciągle nowemi a miłemi sobie przedmioty, byłby chętnie dnie całe strawił na przeglądaniu szczegółów miejskiego życia, gdyby inne ważniejsze cele, którym przedewszystkiem musiał zadość uczynić, nie były go pędziły naprzód.

Stosownie do otrzymanych poleceń, za przybyciem do Warszawy, o godzinie ósmej zrana miał stawić się w Wizytkowskim kościele, dokąd zbierała się uniwersytecka młodzież; tam zboczyć na prawo ku rogowi ostatniej ławki, naznaczyć białą rękawiczkę rysą czarnego węgla, wesprzeć z niechcenia rękę na ławce i czekać na znak.

Kazimierz przyszedł już ku końcowi mszy; uczniowie hurmem wysypywali się z kościoła. Rzucił do koła badawczemi oczyma: żaden wzrok nie odpowiadał mu na zapytanie. Sam na siebie za opóźnienie markotny, zabierał się do wyjścia, gdy nagle w kruchcie silna dłoń ścisnęła go za ramię.

Wysmukły, jasnowłosy młodzieniec szybkiemi słowy zapytał go o mieszkanie.

Kazimierz szepnął mu umówione hasło, rzucił nazwisko hotelu i numer swoich drzwi.

Akademik spojrzał po nim bystro, jak gdyby z twarzy chciał całego człowieka odgadnąć, ostrzegł o wieczornej godzinie schadzki i przepadł w tłumie.

W chwilę potem pusto było w kościele, pusto na placu; ostatni uczniowie szybko zdążali do szkolnych gmachów. Jeden

tylko uczeń zdejmował ukradkiem wychodzący mu z pod długiego surduta kołnierz akademickiego munduru, naciskał kapelusz na oczy i bocznemi ulicami przedzierał się ku stronie miasta, gdzie leżała szkoła podchorążych.

Stosunki polskiego związku z włoskiem węglarstwem wiadome tylko były dwom lub trzem naczelnikom warszawskiego powstania. Inni sprzysiężeni rozumieli hasła, ale nie badali nawet ukrytego ich znaczenia. Bezpieczeństwo ogółu i powodzenie przedsięwzięcia wymagały od podrzędnych towarzyszów nieograniczonego zaufania i ścisłej tajemnicy. W wigilję zwłaszcza wybuchu spiskowi podwoili ostrożności. Miejsca były już wyznaczone i zapełnione; najmniejsza lekkomyślność mogła zwichnąć zamiar. Przywódcy postanowili zamknąć listę waleczników, nie przypuszczać nikogo więcej, chyba jednego z takich, za którego każdy mógł ręczyć, jak za siebie samego.

Przybycie nowego towarzysza całkiem nieznajomego oblicza, ubodło ich ciekawość. Człowiek ten, wedle doniesień akademika, miał twarz szlachetną, dzielną, otwartą, znał tajemnice, przynosił hasło; należało dokładnie wywiedzieć się o nim, wybadać, i następnie dopiero zawyrokować.

Akademik otrzymał w tej mierze stosowne polecenia.

Wieczorem Kazimierz niecierpliwie trawił godziny oczekiwania, gdy z cicha zapukano do drzwi i wszedł znajomy mu z dzisiejszego poranku młodzieniec.

Powitał go uprzejmie, obejrzał się da koła; lewe drzwi wychodziły do sypialnego pokoju, prawa ściana kończyła dom; nie było czego obawiać się sąsiadów.

Poraj ofiarował gościowi krzesło. Akademik podziękował, tłumacząc że ważne zatrudnienia powoływały go w oddaloną część miasta, prosił go tylko o wymienienie nazwiska, o oznajmienie zkąd i kiedy przybywał? Szczegóły te, dodawał obojętnie, obchodziły ludzi, którzy w obecnym stanie rzeczy mieli wszelkie prawo o nie pytać. O głównym celu dążeń, o sprzysiężeniu, o stanie umysłu ludu, o siłach powstańczych żywiołów, przychodzień ani słowa nie wspomniał. Przyrzekł tylko dać wkrótce znać o sobie, polecił strzedz się nowych znajomości, zapowiedział na jutrzejszy wieczór odwiedziny jednego ze swo-

ich przyjaciół, którego sprawa bliżej dotyczyła, i który po zapytaniu przekona się o wartości towaru.

Kazimierz po odejściu gościa przez chwilę stał zamyślony. Odwiedziny nie zupełnie go zadowolniały. Wezbrane jego serce łakomie oczekiwało sposobności wynurzenia się przed ludźmi z bratanych przekonań, wspólnych zamiarów i nadziei. Spodziewał się że wnet za przybyciem przyjmą go otwarte, przyjacielskie ramiona, że od razu wpadnie w war przygotowań, trudów, działania, że zaprzepaści w nim na wieki własne bole i gryzące niepokoje. Czuł w sobie nadmiar kipiących sił, potrzebował zużyć je na szlachetniejszych celach, niż na powolnej samego siebie zatracie. Znał nieszczęsne strony charakteru swego: przerażał go często odzew rozhukanych w nim niektórych osobistych namiętności; rad był zniszczyć je na zawsze w ogniu świętego czynu, w natchnionej walce za naród, za powszechną wolność.

Tymczasem zamiast utowarzyszenia w wielkiem przedsięwzięciu, obchodzono go, badano, zwłóczono, wystawiano na próbę jego cierpliwość.

Poraj swoim zwyczajem naciągał już na umysł czarne chmury niechęci ku sobie samemu i ku ludziom; ale zimna rozwaga, pilniejsze zastanowienie, przybiegły mu w pomoc. Podziemne rozwijanie spisku miało konieczne swoje warunki; było grzechem wymagać nadwerężenia takowych dla jakichkolwiek osobistych powodów. Kazimierz łatwo zrozumiał niepewne wstępne kroki przyszłych towarzyszów, ochłonął z myśli niegodnych siebie i naczelników przedsięwzięcia, wyjaśnił czoło i spełnienie swoich nadziei spokojnie odłożył.

Nazajutrz o tejże porze otwierał drzwi nowemu gościowi. Nieznajomy zrzucił z siebie płaszcz i pokazał się w oficerskim mundurze, bez szlif, z żółtym konierzem, jaki oznaczał linjową polską piechotę.

Przychodzień miał wyniosłe czoło, oczy zapadłe, świecące; w przyciętych ustach wyrażał energję czynu, postawą i głosem zdradzał jednego z tych ludzi, jakim zwykle w chwilach ważnych niebezpieczeństw dostaje się kierownictwo oporu przeciw klęsce. — Wojskowy zapytał go, czy przyjaciele z Włoch nie dali mu żadnych szczególnych poleceń?

Kazimierz odpowiedział mu drugiem hasłem stosującem się do wyższych dostojników węglarskiego stowarzyszenia.

Oficer uścisnął mu obie ręce, wypogodził surowe oblicze, przybrał obejście poufałego znajomego, wyciągnął się w krześle i jął wypytywać o wieści z Galicji.

Poraj opowiedział położenie kraju, siłę austrjackiego żołnierza, duch szlacheckiej młodzieży, mieszczaństwa, ludu, żywioły ruchu i oporu; możebność walki, prawdopodobieństwo zwycięstwa, obawy niepowodzenia, przypuszczalne przyczyny złych lub dobrych kolei; konieczne do użycia środki, jedne natychmiast, inne po stosownem przygotowaniu gruntu, słowem, wtajemniczył go do wszelkich szczegółów, jakie mogły dotyczyć rewolucyjnych zamiarów.

Wojskowy słuchał bacznie, nalegał tu i owdzie o objaśnienia, potrącał mimochodem różne struny w duszy rzecznika, jak gdyby szukał w nich harmonijnych dla własnych przekonań oddźwięków, nastawał na rozwój pewnych ogólnych zasad, zgłębiał stałość pojęć, naprowadzał na wnioski.

Twarz jego łagodniała z każdym niemal Kazimierza wyrazem. Szlachetne uczucia przyjaźni, braterstwa, czasami nawet zachwytu, przejmowały go na widok tej dzielnej natury, pełnej życia, prawdy, zapału, zrozumienia sprawy, gotowości do czynu. Iskra wzajemnego spółczucia drasnęła dwa zbratane duchy. Po kilku godzinach rozmowy byli dawnymi już przyjaciołmi; żaden z nich nie miał prawa samotnym uważać się na świecie. Z przeciwnych dwóch granic kraju przypadkiem ku sobie rzuceni, poznawali w sobie synów jednej matki, matki ojczyzny.

Oficer objaśniał Porajowi życie warszawskie, opisywał mu niegodziwości moskiewskiego rządu, otwierał przed nim długi martyrolog męczenników wolności, pokazywał szerzące się do koła uczucie zemsty, przysięgał że godzina bożej sprawiedliwości wkrótce wybije. Spiskowych przedsięwzięć mu nie taił; przeciwnie, wręcz oznajmił, że takowe istniały, że lada dzień gotowały się do rozwinięcia proporców, że powstanie musi na wszystkich punktach Polski od razu wybuchnąć, i że natychmiast po załatwieniu głównej sprawy w Warszawie, naczelnicy ziem, mianowani przez władzę powstańczą, rozjadą się do wyznaczonych sobie okręgów.

Lista sprzysiężonych, dodawał wojskowy, była już zamkniętą; nie wątpił wszelako, że naczelny komitet otworzy ją dla brata przybyłego z Galicji.

Kazimierz ścisnął mu rękę i narzekał na bezczynność.

Oficer pojmował słuszność żalu, zaręczał że gdyby od niego zależało, szranki działania natychmiast stanęłyby mu otworem. On sam atoli jeden tylko głos przedstawiał, głos, który na dzisiejszem północnem zebraniu silnie przemówi za nowym zaciężnikiem w hufiec walczącego, polskiego kościoła.

Stosunki Kazimierza z najwyższą władzą włoskiego ruchu usposobialy go do zajęcia miejsca w rzędzie głównych przywódców sprzysiężenia. Przyznanie jednak podobnego stanowiska musiało być przedmiotem szczególnej narady. Była to formalność. nic więcej, ale której w obecnym stanie rzeczy nie godziło się zaniedbywać.

Wojskowy obiecywał towarzyszowi nazajutrz rano przyjść po niego i wprowadzić go do grona spiskowych.

Kazimierz odrzekł, że tego tylko się domaga, do czego czuje w głębi sumienia potrzebną siłę, a tem samem niezaprzeczone prawo.

Oocer serdecznym uściskiem podzielił z druhem to przekonanie.

Rozeszli się obaj, nawzajem sobą przepełnieni.

Poraj znalazłszy się sam, odetchnął szeroko, jak gdyby kamień spadał mu z piersi. Widział więc przed sobą, chwytał nareszcie oburącz to życie zapału, poświęcenia, zemsty za ucisk narodu, walki za wolność całej Europy. Jakikolwiek czekał go los, wszystko miał do zyskania; wszystkiem były dla niego spokój duszy, pogoda sumienia, przekonanie że pobyt swój na ziemi upożytecznił dla wielkiego celu, że dług powierzonych sił wypłacił dobru powszechnej sprawy.

— Gdzie ludzie? — mówił sam do siebie. — Abym ich objął jednym uściskiem — gdzie osobiści moi nieprzyjaciele, abym im podał bratnią dłoń, wskazał innego godniejszego ich zaciętości wroga, rozpłomienił przed nimi ofiarny stos niewoli i z dymem puścił wraz z więzami ludu nędzne nasze niesnaski, miłości własne, niezgody, potwarze, haniebne zwyczaje, zdradzieckie zobojętnienia? — Ha! marnotrawcy życia! — Zamiast

sromotnie rozrzucać niem po łowach, gonitwach, biesiadach — zamiast bezbożnie igrać w szalonych karczemnych bójkach i pojedynkach — rzućcie je na szalę łez i krwi narodu, zagrajcie z nim o najświętszą wygranę, jaką człowiek może zamarzyć!

I tak się też stanie. Naród nasz nie umarł; drzemie, sny straszliwe go trapią, zmora ucisku siadła mu na piersiach. Lud marzy że go na wieki przeklęto, młodzież szlachecka że zgraja szatanów porwała ją w opętany wir uciech i w konwulsyjnych łoskotach śmiech, na śmierć zaśmiać się przymuszą; panowie — ci śpią snem wiecznym, tych już nic nie przebudzi.

Ale tamci! — Niech tylko zagrzmi dzwon wiecowy powstania, wnet czar djabelski pryśnie, szczeznie jak nocna ułuda; od Baltyku aż do Dźwiny obudzi się męczennik ludów, wstanie Lech, otrząśnie kajdany, krzywą szablą na poły zasłonę ucisku i ciemności rozetnie, a choćby niebo przesłoniło się przed nim czarnem z granitu sklepieniem, wyrąbie w niem wrota do słońca, samego Boga zmusi, ażeby wyjrzał znów z obłoku zapomnienia i sypnął na ziemię promieńmi swobody i światła.

Tylko jedna błyskawica czynu! — tylko jeden piorun zaczepki! — tylko na chwilę niech biało-czerwony proporzec zawieje, sama konieczność resztę zdobędzie. Precz z tem co było na wieki! — Przyszłości, otwórz nam nieskończone ramiona! Jeżeli przestrzenie twoje bez granic i czara cierpień naszych była bezdenną i pragnienie nasze wolności i prawdy nieugaszone! —

Kazimierz uścisnął czoło obiema rękami: pałało ogniem, ale na sercu było mu lekko, swobodnie, wesoło, i we krwi czuł wzbierające siły, i w ramionach stal mu tętniła; głowę, zdało się mu, że nosił na barkach Samsona.

Dzień tylko jeden przedzielał go od życia. Poraj błogosławił swemu przyjazdowi do Warszawy; miasto wypiękniało mu nad pierwsze europejskie grody, ukochał je jak gdyby każdy dom był mu rodzinnem ogniskiem.

Ku południowi wyszedł na ulicę; umyślił skorzystać z ostatnich godzin wolnego czasu, zwiedzić przedmieścia i ulubione przechadzki mieszkańców. Za pierwszy cel przechadzki obrał Pragę; pobożny wędrowiec zażądał uczcić pamięcią sławne w dziejach okopy i miejsca uświęcone krwią ofiar moskiewskiej rzezi. Przedmieście dotąd zachowało chorowitą, zbolałą postać;

domy szare, na pół rozwalone, po większej części drewniane, smutnie odbijały od świetnej stolicy rozesłanej w amfiteatr, na przeciwnym brzegu Wisły.

Kazimierz długo błądził po zaułkach Pragi, wrócił wreszcie na most i zapuścił się w ciasne ulice Starego Miasta. Zygmuntowskie czasy wstały mu przed myślą; każdy staroświecki kształt budził w nim jakieś historyczne wspomnienia, aż nareszcie założył ręce i z lubem uczuciem utkwił myśl w wywołanym fantazją obrazie pana majstra Kilińskiego.

Rój ludzi brzęczał mu do koła; niejeden spieszący rzemieślnik potrącał zamyślonego przechodnia. Poraj przepraszał z uśmiechem, rozglądał twarze, szukał wcieleń wkrótce mających się spełnić zamiarów; wszędzie spotykał zgodne z własnemi marzeniami oblicza

Jedna tylko postać nieprzyjemnie go uderzyła; postać tę kilkakrotnie już za sobą spostrzegał.

Z przysuniętym na oczy kapeluszem, z twarzą, na której zdawały się wypisane dwa tylko wyrazy: «policzek i pijaństwo», tajemniczy człowiek nie spuszczał z oka ciekawego przechodnia, zdążał za nim z daleka, strzelał wzrokiem po domach, jak gdyby czegoś szukał; co chwila atoli z podełba ku jednej tylko osobie zwracał spojrzenie.

Kazimierz wzdrygnął się mimowolnie. Człowiek ten sprawiał mu wrażenie ohydnego płazu, gadziny jadowitej.

Przestrogi oficera wbiegły mu na myśl: policja nie przyzwyczajona do jego oblicza, chciała zapewne wyśledzić w jakim przyjeżdżał zamiarze, czego tak pilnie szukał po mieście.

Noc zapadała, zapalano latarnie; zbliżała się godzina schadzki. Kazimierz ze swojej strony nieznacznie zaczął uważać ruchy policyjnego strażnika, kierował się gdzie najwięcej było ludzi, i w upatrzonej chwili, gdy tłum rozdzielił go od szczwacza, uskoczył nagle do przechodniego domu, zakrył twarz chustką niby od bolu zębów, wpadł w pierwszą dorożkę i kazał czemprędzej odwieźć się do domu. Serce biło mu niespokojnie, gdy wstępował na wschody; lękał się chybić umówionej godziny.

Stary Grzegorz podał mu troskliwie zapieczętowany list od wczorajszego gościa — jak dodawał, wedle tego co mu był

oznajmił młody jakiś, z pańska ubrany posłaniec. Pismo miało być do własnych rąk wręczone — «do własnych rąk», kilkakrotnie mu powtórzono.

Poraj rozerwał pieczęć; ręka zdała się umyślnie przeistoczoną. List zawierał następujące wyrazy:

«Przeklęta przyjaźń, której pierwszym uczynkiem zaprawienie serca bratniego trucizną. Pod jarzmem niewoli każde czyste uczucie w zarodzie przeklęte. Na wczorajszem posiedzeniu podałem umówiony wniosek. Obradowano długo. Niegodna potwarz, którą na nieszczęście przeczuciem tylko mogłem zwalczać, dowodów bowiem nie posiadam, znalazła przystęp do ucha rady. Wieści z Galicji, poparte fałszywemi bez wątpienia faktami, doniosły: że osoba, o której rzecz się toczyła, wyzutą jest z osobistej odwagi, że w razie niebezpieczeństwa wszystko poświęci dla ocalenia własnego życia. Przeczyłem potwarzy, przysięgałem na duszę, brałem na siebie odpowiedzialność. Napróżno! — W wyrokowej urnie znaleziono jedną tylko białą gałkę. Poddajmy się obaj przeznaczeniu; zacznijmy od pokonania własnej boleści. Niedaleka przyszłość przekona, że na obradzie biały głos miał prawdę za sobą. Zaufanie i przyjaźń, które ofiarowałem wczoraj, skończą się z mojem życiem. Wytrwałość, bracie, odwaga! Dwóch nas tylko, ale prawda z nami, a przed nami walka.»

Papier wypadł mu z rąk. Kazimierz stał osłupiały, blady, drżący; długie minęły chwile, nim zdołał zebrać myśli i oswoić się z ogromem przywalającego go ciosu.

Cierpienia atoli wyhartowały dzielną duszę; charakter jego, jak stal damasceńska, mógł prysnąć pod uderzeniem — ugiąć się nie umiał. Zapędy szalonej rozpaczy biły mu czasami do mózgu; zimna rozwaga brała je na cugle, kiełznała rozhukane namiętności.

Ile piekła tej nocy wycierpiał! — Bóg tylko sam mógł ocenić; ile Laokonowych męczarni rozbiło się mu o serce, wyobraźnią nawet później sam nie zdołał ogarnąć.

Aż wreszcie cała jego istota ścięła się w kryształ bolu i niezłomnych postanowień.

Chciał ukochać, przebaczyć; przeznaczenie pędziło go w inną stronę. Los pokonywał w nim wolą; próżno było dalej borykać

się z koniecznością. Znikło ostatnie złudzenie — musiały pełnić się pierwsze wyroki.

Ha! niechże się pełnią, kiedy tak chce wyższa, nieubłagana wola — Opatrzność, jak mówią Nazarejczycy — fatalizm, jak prawił stary arabski szeik! —

Fatalizm! — powtarzał Kazimierz i machinalnie szukał na palcu odbicia strasznego wyrazu.

Dziwna, dziwna! Nie było pierścionka! Dar Beduina zabłąkał się gdzieś w chacie Nastusi.

Poraj buchnął dzikim śmiechem, zawołał na starego sługę, rzucił mu rozkaz do bezzwłocznego wyjazdu.

W godzinę potem znikała przed nim Warszawa. Nieszczęsny marzyciel, przeklęta igraszka losu, wracał do Galicji.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.

